



CLARE CLARK

BAGNA LUIZJANY
SKRYWAJĄ
WIELE MROCZNYCH
TAJEMNIC...

**DZIKA
ZIEMIA**

Początek XVIII wieku,
we Francji rządzi król Ludwik XIV.
Elisabeth, wychowana w mieście miłośniczka
książek, dla której biblią są dzieła Montaigne'a,
jest jedną z dwudziestu trzech dziewcząt,
które wyruszają ze starego kontynentu
do nowej francuskiej kolonii, Luizjany,
by tam wyjść za mąż. Choć dziewczyna nie spodziewa
się znaleźć tam szczęścia, nieoczekiwanie zakochuje się
namiętnie w swoim mężu, charyzmatycznym
i pozbawionym skrupułów żołnierzu
z Quebecu. Zdrada jest jednak tak samo częścią nowego,
jak i starego świata, i kiedy Elisabeth odkrywa,
iż mąż nie jest jej wierny, sama nawiązuje sekretny
romans z pewnym młodzieńcem
wychowanym wśród Indian...

„W wielu aspektach *Dzika ziemia* jest wciągającą powieścią
przygodowo-obyczajową w dziewiętnastowiecznym
stylu, z dokładnie przedstawionymi szczegółami
historycznymi i zaskakującymi zwrotami akcji.
Luizjana jest przedstawiona jako miejsce
pełne moralnej zgnilizny i zarazem metafora
wewnętrznego życia bohaterów
– i w tym leży główna siła powieści”.

Ursula Le Guin

www.zysk.com.pl

ISBN 978-83-7506-701-9



32 zł 90 gr
(w tym 5% V AT)

9 788375 067019

CLARE CLARK

DZIKA ZIEMIA

Tłumaczyła
Joanna Szczepańska



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Każdy zechce mienić barbarzyńcą to, co różni się od jego obyczaju. Jakoż po prawdzie nie mamy innej miary dla prawdy i rozumu jak tylko przykład i obraz mniemań i zwyczajów naszej ojczystej ziemi.

Nic nie zmienia rzeczy w naszej pamięci bardziej niż chęć zapamiętania o nich.*

MICHEL DE MONTAIGNE

*** Michel de Montaigne, *Próby*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2004.**

1704

Przedtem

Jego Wysokość posyła dwadzieścia dziewcząt, by poślubiły Kandyjczyków oraz innych osadników Fortu Louis, dzięki czemu kolonia zostanie skonsolidowana. Wszystkie te dziewczęta są pracowite i właściwie wyedukowane pod względem pobożności i cnotliwości. Oczekujemy, że przekażą swe użyteczne umiejętności indiańskim kobietom, co przyniesie kolonii widome korzyści. By być pewnym, że nie zostanie wysłany nikt, kto nie ma nieskażonej reputacji, Jego Wysokość poruczył zadanie wybrania dziewcząt z odpowiedniego środowiska biskupowi Quebecu. Ich prawa natura i charakter mają stawiać je poza podejrzeniami o przekupstwo. Zadbajcie ze wszystkich sił o to, by rozpoczęły nowe życie w Fortcie Louis i poślubiły mężczyzn, którzy są zdolni zapewnić im dom.

Luizjana, marzec 1704

**Obwieszczenie skierowane
do Zgromadzenia Fortu Louis**

Dziewiętnastego kwietnia Roku Pańskiego 1704 „Pelikan”, zdobyty niedawno, ważący sześćset ton okręt holenderski, podniósł kotwicę i wypłynął na otwarte morze. Elisabeth stała na głównym pokładzie z kilkunastoma innymi dziewczynami, ręką osłaniając oczy, podczas gdy iglice i wieże La Rochelle znikały za horyzontem. Był piękny dzień, niezwykle ciepły jak na tę porę roku. Przechodzące w ostatnich tygodniach burze ustały, pozostawiając niebo czystym. Nad jej głową zwisali z lin i takielunków, przypominając pająki, marynarze. Krzyczeli jeden do drugiego poprzez łopotanie żagli. Natomiast żadna z dziewcząt nie mówiła nic, tylko Marie-Françoise de Boisrenaud ujęła w swoją dłoń rękę małej Renée Gilbert, która chwiała się lekko, a jej twarz przybrała zielonkawy kolor. Choć nadmiernie obciążony, statek sunął delikatnie po gładkiej powierzchni wody, za nim zaś sunęło dwanaście kanonierek. Za rufą okrętu tworzył się kremowy kilwater.

To był koniec — los Elisabeth został przypieczętowany. W pierwszym tygodniu października, gdy statek zawinął już do Rochefort, biskup oświadczył, że całkiem prawdopodobne jest, iż większa część dziewcząt wyruszy w następnym roku. W dniu, kiedy ojciec chrzestny miał ją zabrać do Paryża, Elisabeth stała w swojej sypialni na poddaszu, trzymając rękę na żelaznej ręczce okiennicy. Przez pokryte kroplami deszczu szyby widziała

stłoczone dachy i kominy wspinające się ku zachmurzonemu niebu. Pomyślała wówczas: „Kiedy na drzewach znów pojawiają się liście, będę już zamężna”. Za rzędami warsztatów tkackich i farbiarni widniały nagie drzewa, które na tle nieba wyglądały niczym pęknięcia na lodowej tafli. Okienna rama była stara i wypaczona, farba zaś na niej popękana. Elisabeth przesunęła ręką po zimnym uchwycie okiennicy. Wiatr wył przez obluzowane szyby, a przeciąg sprawił, że dziewczyna zadrżała.

Ze sklepu dał się słyszeć głos ciotki. Wołała ją po imieniu, zawieszając głos na ostatniej sylabie. Elisabeth odwróciła się od okna, zaplatając ręce na piersiach, by zyskać trochę ciepła, lecz nie odpowiedziała. Wydało się jej, że choć jeszcze nie wyjechała, w pokoju już można było wyczuć jej nieobecność. Z łóżka stojącego w kącie zdjęto kapy, usunięto leżące na podłodze dywaniki, a pościel zwinięto, by można było przewietrzyć materac. Drzwiczki do szafy były otwarte, półki i zakamarki opróżniono. Pozostało tu tylko kilka kartek żółtego papieru, które ciotka włożyła, by drewno nie uszkodziło bielizny. Dzbanek i ozdobiona wizerunkiem wyblakłych niezapominajek umywalka zostały umyte, zabezpieczone i wyniesione do kuchni, a w kominku nie palił się już ogień. Nawet stare biurko z krzywymi nogami było teraz puste i wyglądało, jakby miało się zapaść bez stale panującego na nim bałaganu, który tworzyły książki, pamflety, katalogi i papiery. Elisabeth pogłaskała jego porysowany blat, przejeżdżając palcem po słoju drewna. Choć nogi biurka zostały kunsztownie wyrzeźbione, mebel był dziełem jakiegoś mało utalentowanego rzemieślnika. Blat stołu był umieszczony zbyt nisko, zważywszy na jego szerokość, delikatne zaś nóżki nie pasowały do tak topornego mebla. Obok biurka stało leniwie krzesło kuchenne z prątkowanym oparciem, przypominające nieruchawego właściciela karczmy w dzień targowy.

Elisabeth ponownie usłyszała, że ciotka ją woła, i ponownie nie odpowiedziała, odsunęła natomiast krzesło i usiadła. Jego oparcie z postrzępionej trzciny zawsze było za wysokie, dzięki czemu Elisabeth czuła, że spód biurka naciska na jej uda. Czasami, kiedy trafiały się rzadkie okazje, że mogła nie opuszczać swojej sypialni, rozbierała się nocą, tak by znaleźć na swoim ciele odciski na nim sekretne linie. Biurko było zniszczone, poplamione inkaustem i plamami z woskowej świecy. Jedyna szuflada pękła ze starości, więc ktoś niezdarnie pozbijał ją gwoździami, mimo to Elisabeth gorąco pragnęła zabrać ten mebel ze sobą. Jednakże nawet jeśli ciotka przystałaby na to, każda z dwudziestu trzech dziewcząt mogłaby wówczas wziąć ze sobą tylko jeden kufer.

Elisabeth sama spakowała książki, wyjmując z kufra kilka cięższych belek płótna, które ciotka przyniosła ze sklepu. Nie powiedziała jej o tym. Ciotka myślała w sposób charakterystyczny dla większości kobiet — uznawała, że obrus i komplet chusteczek do nosa mają większą wartość niż słowa La Rochefoucauld czy Racinea. Gdyby nie jej ojciec chrzestny, Elisabeth nigdy nie zdołałaby zgromadzić swojej skromnej biblioteczki.

Szanowany kupiec, jakim był Plomier Deseluse, nie był bibliofilem, książki bowiem stanowiły żalosną rozrywkę w porównaniu z przyjemnościami, jakich dostarczało towarzystwo karciarzy, lecz nieźle mu się wiodło i miał dobre serce. Kiedy wuj Elisabeth zmarł, Deseluse przyznał jej niewielką pensję, którą mogła wydawać na to, co określał jako niezbędne drobiazgi. Pensja miała wystarczyć Elisabeth do czasu, gdy dojdzie do wieku stosownego do zamęścia.

— Elisabeth!

Dziewczyna położyła dłoń płasko na biurku. Na najdłuższym palcu jej prawej ręki widniała plama z inkaustu, a po wewnętrznej stronie lewej dłoni znajdowało się pięć piegów przypominających

piątkę na kostce do gry. Przynajmniej ręce może zabrać ze sobą. Zamknęła oczy. Potem pochyliła głowę i oparła na stole, wdychając nikły zapach lakieru i inkaustu. Król w pewnym sensie kupił także jej książki. Aranżacją małżeństw zajął się biskup, którego diecezja z siedzibą w Quebecu rozszerzyła się, objawszy nowe siedliska w Luizjanie. Oprócz własnego posagu każda z dziewcząt otrzymywała niewielkie stypendium od ministra marynarki Jego Królewskiej Mości, które miało służyć do momentu, gdy wyjdzie za mąż, i które miało być wypłacane przez czas nie dłuższy niż jeden rok. Deseluse uznał to za więcej niż rozsądne. W Luizjanie było prawdopodobnie około setki niezonatych mężczyzn, których stać było na ożenek. Dziewczęta mogły spośród nich wybierać.

Na dole trzasnęły drzwi.

— Na miłość boską, dziewczyno, czy chcesz, bym sobie zdarła gardło?

Nie otwierając oczu, Elisabeth nieznacznie podniosła głowę. Nosem musnęła blat biurka, a potem bardzo delikatnie przycisnęła wargi do jego powierzchni. Zdumiona własną głupotą wstała i szybko przeszła przez pokój. Zamykając za sobą drzwi, nie obejrzała się, po czym zeszła po schodach.

Deseluse się spóźnił. Ciotka pospieszyła, by go powitać, dłońmi wygładzając jakieś niewidoczne fałdki na swoich spódnicach. Elisabeth wpatrywała się w ciemny kształt jego powozu, który widziała z okna, słyszała pobrzękiwanie uprzęży i postukiwanie końskich kopyt, podniesiony głos człowieka, który ze złością protestował przeciwko zatorowi na ulicy. Ściemniało, choć dochodziła zaledwie trzecia po południu. Zapalono już lampy, które lśniły niczym mosiężne monety. W ich świetle długa, błyszcząca lada połyskiwała, przypominając konia czystej krwi. Elisabeth oparła się o mosiężną miarę, która widniała wzdłuż lady. Poczowała, jak ostry brzeg wbija się w jej brzuch.

Pokochała ten sklep w chwili, gdy tutaj przybyła. Przyzwyczajona do skromnego i pozbawionego wdzięku domu ojca, czuła się tak, jak gdyby ocknęła się w pudełku pełnym klejnotów. Z zachwytem patrzyła, jak ciotka zdejmuje ciężkie bele jedwabiu, aksamitu i delikatnego jak pajęczyna muślinu i rozwija je, by klient mógł podziwiać ich piękno i sposób, w jaki się układają. Wzdłuż jednej ze ścian sklepu znajdowały się niewielkie szufladki, a w nich guziki rozmaitych kształtów i kolorów, guziki zrobione z muszli, kości, polerowanego metalu i kolorowego szkła o wielu odcieniach, które lśniło jak cukierek bożonarodzeniowy, gdy się go podnosi do światła. Elisabeth nie miała pojęcia, że na świecie istnieje tyle kolorów. Czasami, gdy wszyscy myśleli, że zajmuje się szyciem, zakradała się do sklepu i, ukryta za konturem, zanurzała ręce w szufladach pełnych grzechocących guzików, po czym wyrzucała je w powietrze, tak by przestrzeń pośród wstążek, dodatków i nici wypełniła się kolorami. Początkowo nie wiedziała, że można czuć się przytłoczonym nieustanną fe'erią barw i różnaitością tworzyw. Później zdarzało się, że pod koniec dnia marzyła o tym, by wyjść na ścieżkę przed sklepem, odchylić głowę w tył i przyjść do siebie pod wpływem brudnawej szarości nadchodzącego zmierzchu.

— Elisabeth, moja droga.

Plomier Deseluse wszedł do sklepu, strzepując wilgoć z ramion niczym otrząsający się pies. Jego niezgrabna, niemodna peruka lśniła od deszczu. Elisabeth dygnęła, skłaniając głowę.

— Sir.

— Podejdz, proszę, i pozwól, że cię ucałuję. Nie każdego dnia zdarza się, że wysyłam swoją podopieczną, by zawarła małżeństwo.

Uśmiechając się z przymusem, Elisabeth posłusznie ruszyła i pozwoliła, by ojciec chrzestny ją objął. Czuć było od niego zapach wina i mokrej wełny.

— Oficjalnie jesteś teraz podopieczną króla lub jakiejś innej ważnej osobistości, ale nie możemy pozwolić, by takie formalności powstrzymały przed serdecznym pożegnaniem. — Dobył z kieszeni dużą chustkę do nosa i głośno wytarł nos. — Czy to jest twój bagaż? — Wychylił się na zewnątrz i gestem pokazał woźnicy, by załadował kufer na tył powozu. Kiedy drzwi się z powrotem zamknęły, Deseluse zatrzęsł się. — Co za paskudna pogoda.

— Proszę, ogrzejcie się przy ogniu — zaproponowała spieszenie ciotka. — Może przynieść wam trochę herbaty? Albo nieco wina?

Deseluse potrząsnął głową.

— Powinniśmy zaraz ruszać. — Skinął na Elisabeth. — Jesteś gotowa?

— Tak, sir.

— Tak więc jedźmy. Drogi nie są zbyt bezpieczne po ciemku. — Skłonił się ciotce Elisabeth. — Do widzenia, madame. Moja żona prosiła, żeby ci powiedzieć, że odwiedzi cię jutro. Wygląda na to, że kobiety nigdy nie mają dosyć sukien.

Ciotka wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Były żółte i miały nieco ciemniejszy odcień niż jej cera.

— Mam nadzieję, sir, że choć Elisabeth wyjedzie, będziecie do nas zaglądali. Będziemy wam radzi.

— Tak, tak, z pewnością — powiedział Deseluse i ponownie wstrząsnął nim dreszcz. — Elisabeth, jesteś gotowa?

Elisabeth popatrzyła na delikatnie połyskującą ładę, na beł materiałow ulokowane na przepastnych półkach i pomyślała o długich popołudniach, kiedy wydawało się jej, że umrze z nudów. Na ścianie wisiały na wpół rozwarte nożyce na błękitnej wstążce. Dziewczyna splotła ręce.

— Ruszajcie zatem — pospieszyła ich ciotka.

Elisabeth odwróciła się powoli. Drzwi były otwarte, na ze-

wnątrz zaś deszcz przekształcił się w gwałtowną ulewę. Naciągawszy kaptur peleryny, dziewczyna dotknęła wargami żółtego policzka ciotki.

— Szczęśliwej drogi, dziecko, i niech cię Bóg błogosławi.

— Żegnaj, ciotko.

— Pisz i poinformuj nas, jak tam wszystko wygląda. Twoi kuzyni będą ciekawi. Luizjana. Wyobraź to sobie.

— Spróbuję — powiedziała Elisabeth i zatrzasnęła wrota swej wyobraźni, tak by nic sobie nie wyobrażać.

Spośród dwudziestu trzech dziewcząt siedemnaście miało ruszać z Paryża. Niektóre z nich były w jakiś sposób związane z klasztorami i misjami działającymi w Paryżu; inne, jak Elisabeth, zostały zarekomendowane biskupowi przez klientów jego znajomych. Dwadzieścia trzy dziewczęta w wieku pomiędzy czternastym a osiemnastym rokiem życia, dziewczęta o nieskażonej moralności, nie wszystkie wysokiego stanu, lecz wychowane w cnocie i prawości — doskonałe stadko, z którego powstanie Nowa Francja w Nowym Świecie.

Dwadzieścia trzy dziewczęta, które — gdyby nie wyjazd do Luizjany — mogłyby w ogóle nie wyjść za mąż.

Elisabeth wiedziała jedynie, że mężczyźni w Luizjanie byli w przeważającej części żołnierzami lub urzędnikami w służbie króla. Niektórzy byli Kanadyjczykami, inni Francuzami. Jeden z nich zostanie jej mężem. Podpisała umowę, że tak się stanie. Za piętnaście 50/50 dziennie i skrzynię płótna oraz koronek sprzedała się na wygnanie, stając się własnością króla Francji do czasu, gdy w dzikim kraju po drugiej stronie świata mężczyzna, którego wcześniej nigdy nie widziała i o którym nie wiedziała nic, a nawet nie znała jego imienia, pojmie ją za żonę.

Jeśli nawet taki los był lepszy od przyszłości, która czekała ją w Saint-Denis — małżeństwa zaaranżowanego przez ciotkę albo życia składającego się z powtarzających się ponurych dni spędzo-

nych za ladą sklepu — była to nikła pociecha. Los dorosłej kobiety był dość marny, zwłaszcza jeśli nie miała pieniędzy ani wpływów, jakie winna mieć, jeśli chciała decydować o swoim losie. Jako dziecko Elisabeth lubiła leżeć na brzuchu pod kuchennym stołem, z książką leżącą przed nią na podłodze. W kuchni było miło i przytulnie. Dziewczyna leżała więc pod stołem, a słowa w książce, trzask ognia, pochrząkiwania Madeleine zagniatającej ciasto na chleb otaczały ją niczym koc, gwarantując spokojny czas. Kiedy nadchodziła pora obiadu, stara służąca schylała się, lekko sapiąc i próbowała wygonić Elisabeth z jej kryjówki za pomocą najeżonej miotły. Ta zaś wybuchała śmiechem, łaskotała Madeleine pod jej tłustymi kolanami i myślała jak, gdy będzie już dorosłą kobietą, urządzi sobie dom pod stołem, gdzie świat składał się z przeczytanych historii i spuchniętych kostek u nóg.

Potem ojciec zmarł, Madeleine odeszła, Elisabeth zaś została odesłana do siostry ojca w Saint-Denis. W domu ciotki byli chłopcy, a pod stołem w kuchni skrzynki, w których ciotka trzymała starannie opakowaną herbatę. Elisabeth miała wówczas dziesięć lat. Ciotka wymagała, by dziewczynka za dnia pomagała w sklepie albo w domu. Tak więc Elisabeth czytała w nocy, przy świecy, która migotała pod wpływem podmuchów wiatru z zewnątrz. Czasem, gdy kładła się do snu, nocne niebo już zmieniało się na krańcach, odsłaniając szaro-pomarańczową podszewkę dnia, a Elisabeth słyszała, jak po ulicy postukują ciężkie koła wózków z warzywami. Ciotka narzekała potem, że świece się za szybko wypalają i łajała Elisabeth za to, że ziewa w sklepie, ale w gruncie rzeczy sama też była znużona i wreszcie dawała spokój.

Mąż to była inna sprawa. Kiedy będę mężatką, myślała Elisabeth, nawet noce nie będą już do mnie należały.

Pudło było duże i płaskie, przewiązane sznurkiem. Zgodnie z poleceniem swego pana położył je na stole w głównej izbie

karczmy dla podróżnych. Choć oberżysta poinformował ich, że kilkanaście innych dziewcząt już przybyło, izba była pusta i słabo oświetlona. Ogień w palenisku dymił. Oprócz duszącego dymu w karczmie czuć było silny zapach zupy i brandy.

— Zatem zaczynajmy — powiedział Deseluse, którego nastrój wyraźnie się poprawił, gdy na stole pojawiła się szklanica madery. — Otwórz je.

Elisabeth zwlekała.

— Co to jest? — zapytała.

— Dowód, jeśli w ogóle go potrzeba, że nikt jeszcze nie nauczył się mądrości z książek. — Kupiec zwrócił się do karczmarza i wsunął mu monetę w dłoń. — Dlaczego nie otworzysz go, moja droga, i nie zobaczysz sama?

Elisabeth uczyniła, co jej powiedziano. Zdjęła wieko z drewnianego pudła. Jedwab wewnątrz był koloru jasnej zieleni. Taki kolor miał maleńki nefrytowy tygrys, który stał na ladzie w sklepie. Tygrys został przywieziony z krajów Orientu przez brata pracującego w sklepie księgarza i to zapewne wbrew woli figurki, sądząc po ludzkim wyrazie jej twarzy, prezentującej wściekłość i niezadowolenie. Elisabeth pomyślała nagle, że nigdy już nie odwiedzi tego sklepu, nigdy nie usłyszy dźwięku dzwonka przy drzwiach, który rozbrzmiewał, gdy ktoś je otwierał, nigdy nie będzie wdychała zapachu kurzu, skóry i leków, na skutek czego marszczyła nos, a serce biło szybciej. Wszystkie te myśli sprawiły, że nie mogła zająrzeć do pudła, tylko uderzała nadgarstkiem w jego ostrą krawędź.

— Wyjmij — przynaglał wuj.

W końcu nachylił się nad pudłem, po czym włożył w jej ręce zwój zieleni. Kołdra spłynęła z jej ramion na ziemię. Chłodny jedwab był ciężki od piór. Karczmarz gwizdnał.

— Gęsie — powiedział Deseluse. — Z Perigord. Najlepszy puch w całej Francji.

Elisabeth strzepnęła kołdrę. Ważyła tyle, ile ciężar, jaki czuła w sercu.

— Dziękuję — odrzekła. — Jest piękna.

— Prezent ślubny — powiedział Deseluse. — Z dobrą żoną u boku, przykryty ciepłą kołdrą mężczyzna będzie spał niczym król.

— Lepiej, żeby w odwrotnej kolejności — rzekł karczmarz z błyskiem pożądania w oku, lecz widząc, że kupiec marszczy się z niezadowoleniem, błyskawicznie zmienił temat. — Jeszcze jedna szklanica wina, sir?

Kiedy karczmarz odszedł, Deseluse wziął kołdrę z rąk Elisabeth i starannie ułożył na oparciu drewnianego siedziska.

— Jest tam coś jeszcze. Coś, co, jak sądzę, może cię uradować. Pozwól. — Sięgnął do pudła i wyjął trzy ciężkie tomy oprawione w wytłaczaną skórę. — Piękna oprawa. Warta kilka liwrow, bez wątpienia.

Elisabeth wyciągnęła rękę jak żebrak.

— Dla mnie?

— No cóż, te książki nie są dla tego zuchwałego karczmarza, bez wątpienia! — Deseluse przewrócił tom na bok, by móc zobaczyć jego grzbiet. — *Eseje*, tom pierwszy Michela de Montaigne'a. Biorąc pod uwagę, że jest jeszcze tom drugi i trzeci, powinno to zaspokoić twój apetyt.

Elisabeth wzięła gwałtowny oddech i ujęła w ręce trzy tomy. *Próby* Montaigne'a. Jej ojciec opowiadał o nim, nazywał go jednym z największych mędrców współczesnego świata. Elisabeth zaintrygowało wówczas, że ten znamienity człowiek tak nazwał dzieło swego życia.

— *Próby!* — rzekł Deseluse. — Wydaje się, że pan de Montaigne miał obsesję na punkcie sztuki sprzedaży.

Ale Elisabeth się nie roześmiała.

— Dziękuję — wyszeptwała, a jej głos drżał z lekka. — Ja, ja nie wiem, co powiedzieć.

— Na Boga, dziewczyno, to tylko książki. „Dziękuję” w zupełności wystarczy.

Dużo później, już po kolacji, kiedy wreszcie udało się jej zamknąć w swoim pokoju, Elisabeth otworzyła pierwszy tom. Książka miała nierozcięte kartki, przez co zdawała się zawierać wiele sekretów. Dziewczyna pociągnęła palcem po literach narysowanych tuszem na frontyspisie. Ochota na przecięcie kartek była silna, ale Elisabeth jej nie uległa.

Przez wszystkie miesiące oczekiwania w Rochefort, kiedy wojna z Anglikami sprawiała, że wszystko się opóźniało, a Elisabeth myślała, że umrze znużona towarzystwem innych dziewcząt i ich plotkami — nawet wtedy się nie poddała. Książki pozostały w jej kufrze nietknięte. Czasem w nocy, dla przyjemności, kładła je sobie na kolanach, głaskała ich skórzane grzbiety i wodziła palcem po pięknie złożonych literach. Podczas podróży, jeśli coś pójdzie nie tak, może pozwoli sobie przeczytać pierwsze rozdziały. Będzie to kasek lub dwa, w sam raz, by ją zaspokoić.

Resztę zachowa do Luizjany.

Wiatr wydymał żagle, statek zatoczył szeroki łuk, oddalając się od lądu. Ciemna plama morza poszerzyła się. Widniejący daleko na horyzoncie port wydawał się węższy, nie większy niż splątana nitka, którą obszyto skrawek nieba. Wkrótce port zniknął.

Wśród dziewcząt zapanował ruch. Zaczęły szeptać pomiędzy sobą. Elisabeth zatrzymała się przy relingu i wychyliła za burtę, wyciągając szyję. Na twarzy poczuła podmuch wiatru. Wokół piętrzyły się fale wody, unosząc dziewczęta na spotkanie z ich przyszłością. Elisabeth wdychała zapach soli i smoły i myślała o świętym Augustynie, który wierzył, że ziemia jest płaska jak pokrywa pieca i że unosi się na wodzie niczym plasterek pomarańczy. Astronomowie udowodnili już tysiące razy, że świat ma kształt kuli, jednak Elisabeth przyłapywała się na tym, że wciąż myśli o nim jako o miejscu, które gdzieś się kończy, a każde

skrzygnięcie statku zdawało się obwieszczać, że spada on w otchłań.

Powoli, niezdecydowanie, jakby były przykute do siebie, dziewczęta zaczęły się rozchodzić do swoich kwater. Elisabeth nie podążyła za nimi. Na horyzoncie, powyżej linii morza w kolorze indygo, widniała ciemna plama, która wyglądała jak ląd. Elisabeth wiedziała jednak, że to nie był ląd. Przed nimi rozciągał się Ocean Atlantycki, tysiące niezmiernych mil wody. Po drugiej stronie znajduje się Nowy Świat.

Dziewczyna wpatrywała się w morze przez długi czas. Mieszkańcy Rochefort nazywali Luizjanę „zatopionym światem”. Szepotali o bagnach, które zasiedlali tylko młodzi żołnierze i kanadyjscy myśliwi, o straszliwych ostępach, po których krażyły dzikie zwierzęta i jeszcze bardziej dzicy ludzie. Nad głową Elisabeth, na dolnym pokładzie, słychać było szuranie zwierząt, stłoczonych w ciasnych klatkach. Ładownia była zbyt mała, by je wszystkie pomieścić, ponadto załadowana muszkietami i prochem, beczułkami z mąką, winem, boczkiem, belami materiałów i zwojami lin oraz dwudziestoma trzema kuframi, wypełnionymi po brzegi nowo nabytymi rzeczami przyszłych narzeczonych nieznanymi mężczyzn. Elisabeth odwróciła wzrok i zamknęła oczy. Jasność słońca sprawiła, że pod powiekami zobaczyła czerwone wzory.

Usiadłszy za wąską drabiną, która wiodła na główny pokład, dziewczyna przyciągnęła kolana do klatki piersiowej, tak że stanowiły teraz rodzaj pulpitu, i dotknęła palcami postrzępionej wstążeczki, którą zaznaczyła strony książki. *Odyseja* Homera przetłumaczona na francuski. Egzemplarz w skromnej okładce z materiału, drukowany na tanim papierze.

— Podróż epicka — powiedział księgarz, gdy ją kupowała.

— Z wyjątkiem tego, że Odyseusz powrócił do domu — odrzekła Elisabeth i wyszła ze sklepu, nim księgarz zdążył zadać jej jakieś pytanie.

Pod koniec września upał był nadal nie do zniesienia. Leżeli w cieniu małej palmy, ale nawet poza zasięgiem promieni słonecznych powietrze było gęste, oddychanie sprawiało trudność. Chłopiec kręcił się na stosie sitowia służącego za ławę i namiętnie drapał na piersiach ślady po ugryzieniach owadów. Jaskrawe światło popołudnia przyprawiało go o ból oczu. Piski i szумы dochodzące z ciemnej puszczy wdzierały się pomiędzy odgłosy bicia w bębny, przeraźliwy gwizd fleatów i wycie, które miało być śpiewem. Nawet najmniejszy powiew nie łagodził gorąca. Stopy chłopca w zbyt ciasnych butach były spuchnięte, spocone i pokryte pęcherzami. Od wyjazdu z La Rochelle kilka miesięcy temu urósł trochę i teraz rękawy koszuli ledwo sięgały nadgarstków. Słońce Luizjany spaliło wierzch jego dłoni na czerwono.

W rodzinnym mieście La Rochelle, na przystani, gdzie przekleństwa żeglarzy unosiły się w słonym powietrzu jak źdźbła trawy, dzikusów nazywano *peaux rouges*, czerwonoskórymi. Chłopiec włóczył się po nabrzeżu, kopiąc zwoje lin, i wyobrażał sobie rasę ludzi w kolorze szkarłatu, lśniących i gładkich jak owoc wiśni. Prawda, jak w wielu innych sprawach, rozczarowała go. Dzicy nie byli czerwoni, lecz brązowi. Skóra niektórych miała miedziany odcień, ale na ogół była po prostu brązowa, pokryta gęsto tatuażami. Mężczyźni wyglądali, jakby ich kończyny przy-

mocowane były do tułowia jardami czarnej nici. Na twarzach też mieli tatuaże, niektóre tak niesamowite, że nie sposób było dojrzeć oczu i ust. Włosy zaplecione w ciężkie warkocze przystrojone piórami spadały im na plecy. Nie okrywali ciał; nagość ich nie gorszyła. Kiedy tańczyli, tupiąc, śpiewając i waląc w bębny, ich członki obijały się o uda, a ścięgna na szyjach napinały się pod pomalowaną skórą.

Kobiety nie były wiele skromniejsze. Nosiły jedynie pasek skóry, z którego zwisał pas futra szerokości stopy, farbowany na czerwono, żółto i biało. Kiedy szły, ich piersi kołysały się i podskakiwały — u starszych kobiet płaskie i puste, z sutkami wielkości dłoni, u młodszych mniejsze, uniesione, poruszające się w sposób, który sprawiał, że chłopcu wydawało się, iż dają mu znaki; gapił się zawstydzony i zły z powodu podniecenia, które go wtedy ogarniało. Podobnie jak u mężczyzn, ciała dzikusów pokryte były tatuażami. Wiele z nich miało czarny pas namalowany przez cały nos i brodę, dzielący twarz na pół, jak drzewo oznaczone do ścięcia. Twarze i czarne włosy były wysmarowane niedźwiedzim sadłem. Jedna z kobiet nachyliła się, częstując go kawałkiem twardego, żółtego chleba. Owiąta go silna, piźmowa woń; chłopiec zarumienił się i poczuł nagłą, nieodpartą potrzebę uderzenia jej, aż krew napłynęła mu do zaciśniętych pięści. Zajął się talerzem dyni, a ona bezszelestnie odeszła, palce u stóp miała otoczone kółkami czarnych kropek. Znów przypomniał sobie La Rochelle, kiedy z kuzynem Jeanem schowali się za domem wuja i podglądali, jak wuj podciągnął spódnice swojej nowej żony i przyparł ją do ściany, przedtem wyłuskując jej piersi ze stanika. Jean trącił go wtedy tak mocno, że przewrócił się i narobił hałasu; wuj ich usłyszał i przybiegł z kijem. Nie pamiętał bicia, tylko biało błękitne piersi ciotki i jej grube białe uda, którymi obejmowała wuja w pasie.

Nałożywszy sobie jedzenie na talerz, chłopiec posilił się po-

spiesznie, tak jak dzicy — nie używając łyżki. Sok dyni był słodki i gęsty jak syrop. Spił go wprost z talerza, a resztki wytarł kawałkiem kukurydzianego placka. Po skończonym posiłku kobiety zbierały puste koszyki i gliniane talerze, a on znów patrzył na ich kołyszące się piersi i błyszczące pośladki. Cieśla zauważył jego spojrzenie i gwizdnął, a kilku mężczyzn się roześmiało. Chłopiec zaczerwienił się po uszy, ale wzruszył ramionami i splunął w garść na znak, że go to nie obchodzi.

Później, kiedy słońce zaszło i noc nadeszła nad palisady z rozłupanych kłód otaczające obozowisko, dzicy znów tańczyli. Dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn poruszało się najpierw w rzędzie, a potem w kręgu do wtóru gwizdka i bębna zrobionego z garnka obwiązanego jelenią skórą. Chłopiec pomyślał o żeglarzach w La Rochelle, mających złote zęby i kolczyki, tańczących żywego jiga wygrywanego na skrzypkach. Trzcinowe pochodnie, dwa razy większe od najwyższego mężczyzny i grube jak on, rozświetlały ciemność. Twarze dzikusów lśniły pomarańczowym blaskiem, a cienie chwiały się na palisadzie i ciemnej bryle świątyni, gdzie przechowywali kości swoich przodków, złożone w stos jak drewno na ognisko. Bębny biły coraz głośniej, chłopiec odczuwał ich dźwięk jak grzechotanie patyków między zebrami. W namiotach wojowników wisały wysuszone skalpy ich wrogów o żółtej skórze i włosach kruchych jak suche wodorosty.

Gdy wreszcie tańce dobiegły końca, mężczyzn zabrano do glinianego budynku o dachu z liści palmowych, gdzie mieli spać. U wejścia stała młoda dzikuska, złożony dłońmi; miała luźno narzucony na ramiona kawałek tkaniny, a przy niej stało małe dziecko, opierając policzek o jej udo. Kobieta wypowiedziała kilka słów we własnym języku, pytając gestami, czy mają wszystko, czego im trzeba. Cieśla z Nantes o szurzej twarzy

zaprzeczył, kręcąc gorliwie głową i wpychając palec wskazujący jednej ręki w kółko utworzone przez palec wskazujący i kciuk drugiej. Mężczyźni ryknęli śmiechem, klepiąc go po ramieniu i popychając przed sobą do środka. We wnętrzu skóry niedźwiedzie rozpostarte na ubitej ziemi służyły za posłania.

Stojąc na progu, chłopiec odwrócił się w stronę dziewczyny, tknięty impulsem, którego nie potrafił wytłumaczyć. Wyciągnął do niej rękę. Dziewczyna zawahała się, przysmykając ciemne oczy; muszelki w jej uszach załśniły. Chłopiec rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu nie odezwał się i spuścił wzrok. Dziewczyna powoli schyliła się, podnosząc dziecko i opierając je na biodrze. Ciężki czarny warkocz opadł z jednego ramienia. Dziecko oplotło rączkami jej szyję, a nóżkami talię, wtulając buzię w jej policzek. Dziewczyna podniosła głowę zwróconą w stronę chłopca, jak wietrzący jeleń; przytuliła dziecko i zniknęła w ciemności.

Mężczyźni byli tej nocy poruszeni. Wszyscy wiedzieli, że wódz dzikusów zaferował dowodzącemu tyle kobiet, ilu mężczyzn było w grupie, lecz dowódca odmówił, przykładając swe blade ramię do ogorzałego ramienia wodza i tłumacząc gestami, że biała skóra nie powinna stykać się z ciemną. Cieśla, leżący na posłaniu obok chłopca, przechylił się i palcem dźgnął go w żebra.

— Dla ciebie to najgorsze, co? — zaszydził. — Chłop z twoim apetytem i doświadczeniem musi się kurewsko męczyć, jak nie ma kobity!

Mężczyźni roześmiali się, a chłopiec przeklął i zwinął się w kłębek.

— Chyba dziecko płacze — drażnili się.

— Przeprowadź babę, żeby mu dała possać! — krzyknął inny.

— Przyrowadź po jednej dla każdego! — zawtórował trzeci.

Kowal o przezwisku Le Grand głośno wypuścił wiatry. Śmiech wzmógł się. Mężczyzna z blizną pod okiem — chłopiec nie wiedział, czym się zajmował — wyjął z kieszeni flaszkę whisky* i podał po kolei kompanom. Kiedy dotarła do chłopca, chwycił ją wywiczonym skrętem nadgarstka i wypił, starając się nie zwracać uwagi na palący ból w mostku. Cieśla rozpoczął jakąś okropną opowieść o parze skórzanych bryczesów i dwóch rudych krawcowych z Wandei. W miarę jak flaszka się opróżniała, opowieści stawały się coraz bardziej sprośne, grubiańskie słowa rozbrzmiewały w ciemności; chłopiec słuchał ze swego miejsca w środku koła i dostawał gęziej skórki od powątpiewania pomieszanego z oczekiwaniem.

Później, gdy mężczyźni spali, mrużąc i chrapiąc, a komar wyśpiewywał mu do ucha swe brzęczące sekrety, chłopiec leżał nieruchomo z zaschniętym gardłem, czekając na ból głowy, który czaił się u podstawy czaszki. Był przyzwyczajony do bezsenności. W La Rochelle, w sypialni, którą dzielił z pięciorgiem rodzeństwa, wychylał się przez wąskie okienko i przyglądał kołysaniu masztów na tle rozgwieżdżonego nieba w zatoce, podczas gdy wszyscy spali. Teraz leżał na plecach, patrząc w ciemność, a łzy płynęły mu z oczu. Na statku byli inni chłopcy tacy jak on, w sumie czterech. Razem uczyli się, jak naprawiać liny, myć pokład, zabezpieczać osprzęt przy każdej pogodzie, odczytywać wskazania kompasu i znosić bez słowa skargi regularne ciężki, jakie im spuszczał bosman. Nocami przechwalali się szeptem, jakie to przygody czekają

* W oryginale fr. *eau-de-vie*, dosł. „woda życia”, od gaelickiego *uisge beatha*, później *whiskey* (Irlandia) lub *whisky* (Szkocja) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki, jeśli nie zaznaczono inaczej).

na nich w Nowym Świecie. Pracą płacili jedynie za podróż; żaden z nich nie zamierzał zostać marynarzem.

Pierwszy odpadł samozwańczy przywódca grupy, szczerbaty młodzieniec o włosach koloru powideł morelowych, który chodził kołyszącym się krokiem i bardzo przypominał Auguste'owi jego kuzyna Jeana. Zaczął gorączkować krótko po tym, jak statek wypłynął z Hawany, gdzie uzupełniali zapasy. Gdy był już w zupełnym delirium, dwaj pozostali zaczęli się uskarżać na dreszcze i bóle w plecach i stawach. Kiedy statek zawinął do portu w Massacre Island*, wszyscy trzej chłopcy oraz kilku członków załogi nie żyło.

Spędzili w wiosce trzy dni, podczas których dzicy śpiewali i tańczyli trzy razy dziennie. Popołudnia przynosiły gwałtowne burze, które jednak nie dawały ulgi w strasznych upałach. Dowódca nie okazywał żadnych oznak pośpiechu. Był niewysokim, niemalże karłowatym mężczyzną o jasnej cerze i chociaż ledwo przekroczył dwudziestkę, unosiła się wokół niego aura władzy, której nikt nie kwestionował. Jego starszego brata, założyciela kolonii, uważano za lepszego żołnierza, ale wszyscy zgadzali się, że w sprawach polityki i dyplomacji to dowódca był autorytetem. Upał, kapryśne, dzikie otoczenie i dziwne obyczaje tubylców zdawały się nie mieć na niego wpływu. Jego ojciec przybył do Nowej Francji z Dieppe jako młodzieniec i wszyscy synowie, których miał dwunastu, byli od urodzenia osłuchani z językiem Huronów — dzikich, którzy byli najbliższymi sojusznikami kanadyjskich osadników. Języki używane na południu brzmiały inaczej, ale dowódca nauczył się ich z równą łatwością. Czy rozmawiał z dzikim, czy z cywilizo-

* Wyspa na północy Zatoki Meksykańskiej, nazwana tak w 1699 roku przez podróżnika Pierre'a Le Moyne, który znalazł na niej mnóstwo ludzkich kości. Obecnie wyspa nosi nazwę Dauphin.

wanym człowiekiem, zachowywał kamienny spokój, jakby nie mogło wydarzyć się nic, czego by nie oczekiwał. Nie sprzeciwiał się obrzędowi dzikich. Na piersi miał, podobnie jak oni, tatuaż przedstawiający spleciony kłęb żmij o rozdwojonych językach, wykonany przez członka plemienia Pascagoula* w czasie przedwojennych przygotowań. Nienawidził tytoniu, ale zawsze wypalał fajkę pokoju zwaną kalumet, wciągając dym powoli i długo, jak wódz. Fajka wyglądała bardzo egzotycznie — wydrążona trzcina ozdobiona piórami — przypominała wachlarz eleganckiej damy.

Kiedy dowódca pozwolił dzikim wysmarować twarze w białe koła, chłopiec już miał zachichotać, ale rozejrzał się wokół i zobaczył, że żadna z twarzy nie wyrażała podobnej chęci. Le Grand jako jedyny patrzył na chłopca, a w jego wzroku była przestroga. Chłopiec odwrócił wzrok i niezręcznie opuścił dłoń, którą miał zakryć usta.

Trzy dni później jeden z tubylców zaferował dowódcy swe plecy; ku zdumieniu chłopca dowódca skinął głową i wdrapał się na ramiona czerwonoskórego. Drugi dzikus przytrzymał mu stopy i w ten sposób udali się do pała wbitego w centralnym punkcie wioski; inni dzicy w tym czasie robili hałas za pomocą bębnow i tykw wypełnionych kamykami. Na miejscu dowódca został usadzony na jeleniej skórze, plecami do wodza, który położył dłonie na jego ramionach i kołysał go jak niemowlę, które nie chce zasnąć. Następnie każdy z wojowników plemienia zbliżył się do pała i uderzył w niego mocno drewnianą pałką zwaną przez Francuzów *casse-tete*.

Chłopiec potarł oczy i próbował nie ziewać. Było straszliwie gorąco. Oczy go szczypały, a głowa wydawała się ciężka i napuchnięta. Nagle pomyślał o swojej matce, pochrapującej na stołku przed domem w podobnie upalny dzień, z głową odrzu-

* Dosłownie „zjadacz chleba”, plemię indiańskie zamieszkujące Luizjanę.

coną do tyłu i miską fasoli między udami. Jean podkradł się, włożył jeden strąk do ust matki i uciekł. Zza ściany gospody patrzyli, jak się budzi, wypluwając strąk i wywracając miskę. Pamiętał, jak śmiesznie wyglądała, niezgrabnie grzebiąc w kurzu, by zebrać fasolę. Pamiętał też gniew ściskający mu gardło. Ukrył się za ścianą, żeby go nie widziała, ale Jean stał z rękami na biodrach i otwarcie śmiał się z niej. Matka nic nie powiedziała, nie uderzyła go ani nie poskarżyła ojcu Jeana. Mieszkańcy La Rochelle uważali jego matkę za kobietę słabą i niemądrą.

Chłopiec oparł podbródek na kolanach, patrząc w ziemię. Jakiś czarny owad wielkości mniej więcej jego palca siedział niedaleko. Dzięki długim złożonym odnóżom przypominał koniki polne, jakie chłopiec łapał we Francji, ale był dużo większy. Podpełzł na brzuchu, chcąc przyjrzeć się bliżej. Owad miał dużą głowę o szeroko rozstawionych oczach i wystającą szczękę, jak u konia. Chłopiec zastanawiał się, czy owad gryzie i czy odniósł jakieś obrażenia, bo siedział tak spokojnie. Jego cztery małe skrzydła lśniły żywą purpurą. Wreszcie owad poruszył się na swych patykowatych odnóżach i odleciał.

Dzicy, przykucnąwszy w półkołu, przypatrywali się, jak dowódca nakazuje dwóm mężczyznom rozpakować przyniesione upominki i rozłożyć je na skórach. Chłopiec też patrzył. Były to przeważnie zwykłe rzeczy: noże, siekiery, małe lusterka, miedziane pierścionki, grzebienie, czajniki, szklane paciorki, kapelusze i pończochy. Dzicy, nie podnosząc się, wyciągali ręce, by dotknąć jednym palcem zębów szylkretowego grzebienia czy posrebrzanej rączki lusterka. Dowódca położył sznur koralii przed wodzem. Wódz podniósł je i oglądał pod światło, mrugając, gdy szklane paciorki załśniły na zielono. Chłopiec pomyślał o swojej siostrze. Miała kiedyś sukienkę, o której zawsze mówiła, że pasowałyby do niej zielone koraliki, ale nie pamiętał tej sukienki ani nawet, czy była zielona. Marguerite była najmilszą z jego sióstr. Poślu-

biła rzeźnika z ulicy d'Armagnac. Teraz w domu została tylko najmłodsza Jeanne. Chłopiec znów przypomniał sobie matkę, jedną stopą bujającą kołyskę podczas cerowania. Czasami płakała, gdy się ukuła, a jej łzy spadały na szorstką wełnę jak małe odłamki lodu. Zamrugał, odganiając wspomnienia. Wódz odłożył korale i oglądał pozostałe prezenty. Kilka z nich wzięło do ręki i przyjrzał się uważniej. Największy czajnik był w jednym miejscu wyszczerbiony.

Jeden z dzikusów, odważniejszy od pozostałych, porwał nagle kapelusz, włożył go na głowę i wstał. Poza kapeluszem był zupełnie nagi, o lśniacej, miedzianej, prawie nieowłosionej skórze. Dowódca pokiwał poważnie głową i zaklaskał. Dzikus nasunął kapelusz na oczy i zatupał, udając taniec. Rozległo się więcej oklasków. Chłopiec przygryzł wargi. Kapelusz niczym się nie wyróżniał, miał zwykłe rondko obszyte zmatowiałym srebrnym haftem. Na zatłoczonych ulicach i nabrzeżach La Rochelle widziało się setki takich kapeluszy wciśniętych na spuszczone głowy. Taki kapelusz był równie pospolity jak chleb, nie wywoływał żadnego zainteresowania. Jednak tutaj, umieszczony fantazyjnie na czarnych, natłuszczonych włosach dzikusa, który podskakiwał i kręcił się w kółko, wrzeszcząc niezrozumiale w swoim języku, był nie na miejscu.

Po zakończonym tańcu dzicy zawinęli upominki w skóry i zabrali ze sobą. Wódz czekał, siedząc z rękami na udach. Dowódca odezwał się do niego w jego języku. Wódz pochylił głowę, mrużąc oczy. Dowódca pokiwał głową w stronę swoich ludzi, unosząc dłoń. Czterech z nich przyniosło dwie drewniane skrzynie schowane wcześniej w pirodze*, które dowódca nakazał postawić przed wodzem. Spodnie cieśli wysmarowane były na czerwono; w wilgotnym powietrzu żelazne zawiasy skrzyń zdążyły zardze-

* Łódź o płaskim dnie przeznaczona do pływania po płytkiej wodzie.

wieć. Dowódca otworzył pierwszą skrzynię. Wódz patrzył bez mrugnięcia okiem. Mężczyźni powoli wyciągnęli z wnętrza olbrzymi pakunek z żeglarskiego płótna i złożyli go na ziemi. Był obwiązany podwójną liną, jak zwłoki; cieśli zajęło dobrą chwilę odplątanie węzłów. Zdjąwszy linę, ukląkł i rozchylił pakunek. Wewnątrz były cztery francuskie muszkiety o lśniących lufach. Twarz wodza zadrgała, a wargi rozchyliły się, ukazując brązowe zęby; wyglądał jak lis, który zwietrzył kurnik. Mężczyźni wyjęli drugi pakunek z kolejnej skrzyni i rozpostarli go, ukazując sporo ołowiu i prochu. Dowódca złożył ręce jak do modlitwy i skinął głową w stronę wodza, a następnie wskazał broń. Wódz potaknął. Dowódca wezwał gestem jednego z mężczyzn o nazwisku Dore. Chłopiec nie wiedział, czym Dore się trudnił, ale przybył do Luizjany z dowódcą z Nowej Francji i znał się na dziwacznych obyczajach dzikich. Kanadyjczyk wyciągnął zza pasa woreczek, sięgnął po muszkiet i podniósł go lufą do góry. Kucający dzicy podpełźli bliżej z oczami okrągłymi od fascynacji i strachu. Brązowe kolana, na których opierali brody, świeciły jak wypolerowane drewno. Dore zręcznie odmierzył porcję czarnego prochu, wsypał go z woreczka do otworu lufy muszkietu, a następnie z mądrym wyrazem twarzy wepchnął ołowianą kulę. Kiedy przekreślił kurek, głowy dzikich przechyliły się pod dokładnie tym samym kątem; zamrugali gwałtownie, gdy dosypał drobnego prochu do zbiorniczka i zatrasnął wieczko. Odciągnął kurek, uniósł muszkiet do ramienia, zamykając jedno oko, i pociągnął za spust.

Wystrzał spowodował, że kilku dzikich wrzasnęło w przerażeniu. Biali mężczyźni zaśmiewali się, zachęcając Dorego, aby załadował ponownie. Nawet dowódca uśmiechnął się, wrzusił ramionami i zwrócił w stronę wodza otwarte dłonie. Chłopca rozpierała nagła radość, serce waliło mu w piersi; huknął donośnie, patrząc na dzikusów mrugających niepewnie i zerkających

na przedmiot, który spowodował tak głośny wybuch. Dore, szczerząc zęby, wyciągnął dłoń z muszkietem w stronę tubylców. Ci trwożnie wyciągali szyje jak kury, rzucając nieufne spojrzenia na broń, ale nikt nie odważył się jej dotknąć. Dore opuścił muszkiet; dzicy patrzyli w bezruchu, jak ponownie go ładuje i unosi do ramienia. Wystrzelił; przez chwilę echo wisiało w przesyconym wilgocią powietrzu, a potem rozplynęło się w szaleńczych wrzaskach ptaków.

Tego samego wieczoru dowódca wezwał chłopca i cicho poinformował go, że czynione są przygotowania do wyjazdu wcześniej rano następnego dnia. Interesy z plemieniem Ouma zostały zakończone. Oprócz sporych zapasów kukurydzy i warzyw wódz ofiarował dowódcy także trochę ptactwa oraz czterech dzikusów z wioski, aby służyli za przewodników do chwili rozbitcia następnego obozu — jakieś dwadzieścia lig* na północ. Wyjazd nastąpi o świcie. Chłopiec jednak miał zostać. Jak wytłumaczył mu dowódca, była to kwestia dyplomacji. Silne sojusze z tubylcami były podstawowym warunkiem utrzymania przez Francuzów ich pozycji. Kolonia nie dysponowała nawet setką żołnierzy, z czego wielu było osłabionych przez choroby, a jako że w Europie toczyła się wojna, nie było nadziei na przybycie nowych. Anglicy, już dobrze usadowieni na wschodzie, działali z determinacją na rzecz powiększenia swoich terytoriów. Zagrożeni perspektywą angielskiej dominacji zarówno w Europie, jak i w Nowym Świecie Francuzi widzieli swoją szansę w pomocy uzyskanej w hiszpańskich fortach w Pensacoli i Veracruz, jednak pierwszy był słaby, a drugi położony zbyt daleko, zresztą Hiszpania okazała się już sojusznikiem co najmniej niepewnym.

* Liga (ładowa) — niecałe 5 km (4328,032 m), dawniej popularna miara odległości.

Głos dowódcy był cichy i wyrównany. Nie przemawiał do chłopca tak jak inni mężczyźni — jakby był opóźniony w rozwoju albo jakby był dziewczyną. Niedobór ludzi i brak posterunków, które wcięłyby się francuskim klinem pomiędzy twierdze St Lawrence w Acadii a kilka niedużych fortów na południu, tłumaczył, był tak poważnym problemem, że francuskie pozycje były dramatycznie zagrożone. Jedyna nadzieja na zabezpieczenie nowej kolonii przed angielskimi atakami leżała w nawiązaniu trwałych sojuszy z wieloma lokalnymi plemionami żyjącymi wzdłuż brzegów rzeki St Louis. Ofiarując im upominki i przysługi, Francuzi mogli zapewnić sobie ich przychylność i, jeśli trzeba będzie, skłonić do wojny przeciwko wrogom. Taka strategia przyniosła Francuzom sukces na północy. Teraz powinna zadziałać tutaj, aby rozległe ziemie Luizjany zostały pod pieczę Francji, aż nie wzmocnią się na tyle, by bronić się same.

— Licząc wszystkich, na ziemiach, które ciągną się przez pięć tysięcy lig, jest nas mniej niż dwieście dusz, z czego tylko połowa to żołnierze. Jeśli chcemy obronić Luizjanę dla naszego króla, każdy Francuz musi pracować za stu. Ty też.

Dowódca pochylił się w przód, wciskając dłonie między kolana. Pod rozpiętą koszulą żmije wiły się i lizały jego pierś. Chłopiec starał się wytrzymać jego spojrzenie, ale twarz mu płonęła i bał się, że zdradzi go drżenie ust. Wbił wzrok w ziemię, podczas gdy dowódca tym samym spokojnym tonem zdradził mu, że taka dyplomacja nie jest rzeczą łatwą; dzicy są brutalni i nieobliczalni, zwłaszcza niektóre plemiona. Nie dawniej jak rok temu trzech Kanadyjczyków zostało zmasakrowanych we śnie przez dzikich z plemienia Alibamu, którzy mieli angielskie muszkiety i lance. Mimo natychmiastowej akcji odwetowej Anglicy nie zaprzestali podburzania Indian do kontynuowania napaści na Francuzów. Co gorsza, Czikasawowie, jeden z najpotężniejszych ludów w Luizjanie, również sprzymierzyli się z Anglikami. Było niezwykle

istotne, by można naprawdę polegać na plemionach, które obiecały swe poparcie Francuzom. Od lat, ciągnął dowódca, starał się przypodobać ludowi Ouma, gdyż ich tereny — blisko zbiegu rzek St Louis i Red — sprawiały, że byli ważnym strategicznie sojusznikiem. Kilka lat temu dowódca pomógł im rozwiązać spór terytorialny z sąsiadami, plemieniem Bayagoulas, i od tej pory mógł zawsze liczyć na ich przychyłność. Z tego właśnie powodu — tu dowódca odchrząknął i uspokajająco położył dłoń na ramieniu chłopca — chłopiec nie dołączy do grupy kontynuującej marsz na północ, lecz zostanie w wiosce Ouma i będzie żył z dzikimi.

Chłopiec słyszał głos dowódcy, jakby nadal byli na statku. Słowa dźwięczały echem w jego uszach. Miał się nauczyć nie tylko języka używanego przy transakcjach handlowych, ale też lokalnego dialektu dzikich, by móc służyć za tłumacza Francuzom, którzy by tędy przejeżdżali. Koniecznie miał poznać obyczaje plemienia i związki pomiędzy nimi, przyjazne i wrogie, i o wszystkim informować posterunek. Jego obecność w wiosce pozwoliłaby śledzić plany plemienia, ich stosunki z sąsiadami, a w szczególności wszelkie niepokoje czy przygotowania do wojny.

— Będiesz moimi uszami i oczami, młodzieńcze. To prawie tak, jakbym sam tu został. Potrafisz to zrobić?

Narzutki z piór, które nosili, miały oczy. Gdy tańczyli, pióra powiewały na ich ramionach, a oczy poruszały się i mrugały, czasem żartobliwie, ale częściej ku przestrodze. Oczy tancerzy też się poruszały, ukazując białka. Chłopca paliło w gardle, ale skinał głową potakująco.

— Zacny z ciebie chłop. Nie będziemy mieć pewności co do Luizjany, dopóki nie będziemy trzymać serc tych dzikusów w dłoni. Duże masz dłonie, chłopcze? — Dowódca uśmiechnął się kąciakiem ust.

Chłopiec zawahał się, ale pokazał dowódcy rozpostarte dłonie. Mężczyzna poklepał go po ramieniu i wstał.

— Wystarczająco — ocenił beznamiętnie, spoglądając na chłopca. — Jak duże zresztą może być serce dzikusa?

Chłopiec się nie odezwał. Jego twarz była sztywna jak stary żagiel. Dowódca odprawił go, ale zanim chłopiec zdążył ujść trzy kroki, usłyszał swoje imię. Odwrócił się z bijącym mocno sercem, wlepiając wzrok w buty dowódcy.

— Będziesz żył wśród nich, *mon fils** — powiedział dowódca — ale nie wolno ci nigdy zapomnieć, że nie jesteś jednym z nich. Łatwiej zmienić Francuza w dzikusa niż odwrotnie.

— Tak, proszę pana — wyszeptał chłopiec.

Dowódca westchnął.

— Ich kobiety nie wiedzą, czym jest cnota. Wierzą, że nadchodzi czas, kiedy każda musi porzucić życie tutaj i przejść wąskim i niebezpiecznym mostem do Wielkiej Wsi przyszłego życia... i że tylko te, które dawały upust swym żądom, przejdą na drugą stronę bez kłopotu. — Dowódca wciągnął głośno powietrze. — Naucz się ich języka, ale pamiętaj, że jesteś Francuzem. Służ godnie swemu królowi. Gdy czas nadejdzie, wrócę po ciebie.

Ceremonia pożegnalna dobiegła końca, podobnie jak przygotowania do podróży. Wódz udał się do świątyni, by prosić swych bogów o przychyłność i bezpieczeństwo dla podróżujących. Procesja dzikich odprowadziła białych w dół wzgórza do rzeki, tupiąc i bijąc w bębny. Było jeszcze wcześniej, ale nieznośny upał już dawał się we znaki. Nad wodą rosła kępa drzew; nie dawały cienia, ale podobnie jak spoceni ludzie, roztaczały dookoła kwaśny zapach. Chłopiec czekał za trzcinami, przypatrując się, jak mężczyźni ładowali resztę pakunków. Ich twarze były szkarłatne i lśniące od potu, a machanie rękami nie pomagało w odgonieniu chmar kąsających owadów. Pirogi kołysały się leniwie na płytkiej,

* Chłopcze (fr.).

błotnistej wodzie. Były wyładowane po brzegi skórami i klatkami, w których kury gdakały i uderzały skrzydłami o drewniane ściany. Pudła z prochem i ołowiem ułożono troskliwie na płachcie płótna żaglowego, by nie zamokły. Nadszedł czas odjazdu. Dowódca zawołał chłopca, lecz ten nie odpowiedział; obserwował aligatora po drugiej stronie rzeki. Tylko nozdrza i oczy zwierzęcia były widoczne ponad żółtawą powierzchnią wody. Jeden z mężczyzn powiedział chłopcu, że aligatory potrafią udawać głos dziecka, czatując na zdobycz. Chłopiec nie wiedział, co o tym sądzić. Pierwszego dnia na posterunku w Mobile widział, jak grzechotnik ugryzł psa komisarza. Zwierzę skonało po niecałym kwadransie, było tak napuchnięte, że udusiło się własnym językiem, sądząc po okropnych dźwiękach, jakie wydawało. Chłopiec był zaskoczony, jak szybko wszystko nastąpiło, i czuł nie tyle współczucie dla psa, ile jakiś rodzaj mrocznej fascynacji. Teraz jednak, wśród mężczyzn odwiązujących liny i z krzykiem spychających pirogi na wodę, poczuł nagłą litość dla zdechłego stworzenia i zaswędziało go nos. Potarł go wierzchem dłoni.

Dowódca uniósł muszkiet i pożegnał wioskę dwoma strzałami.

Pirogi wolno płynęły pod prąd; po kilku minutach osiągnęły zakręt i zniknęły z oczu. Za plecami chłopca, wysoko na wzgórzu, czarny dym wzniosł się zza palisady, rysując się ostro na tle czystego nieba. Dzicy, nawołując się w swym skomplikowanym języku, wracali do wioski. Chłopiec oparł się o grubą trzcinę, skubiąc nabrzmiałe brzegi łodyg. Czuł się pusty, jak gdyby wszystkie miękkie części jego ciała zostały zapakowane ze skórami i drobiem i płynęły teraz w górę strumienia. Aligator po drugiej stronie zanurzył się i zniknął; powierzchnia wody wygładziła się i strumień płynął dalej, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

A przecież oni odpłynęli.

Został zupełnie sam pomiędzy dzikimi. Nie znał ani słowa

w ich języku, nie znał ich imion — nawet nie wiedział, czy jakieś mają. Nie wiedział, gdzie się znajduje, poza tym, że francuski posterunek był w odległości ośmiu dni podróży przez lasy i bagna rojące się od wszelkich możliwych niebezpieczeństw. Nie miał pojęcia, kiedy znów zobaczy kogoś ze swoich rodaków.

Wyszedł spośród trzciny, stąpając niechętny w mrowisko. Czerwone mrówki rozbiegły się niczym płomień po jego butach i gołych kostkach, kłując dotkliwie. Chłopiec ściągnął buty i poczuł, jak łzy zbierają mu się pod powiekami. Skóra paliła jak żywym ogniem, ale pomyślał o aligatorze i nie odważył się zamoczyć stóp w wodzie. Zamiast tego zerwał pęk trawy i potarł mocno stopy i kostki, aby się pozbyć jeszcze uczepionych tam mrówek. Wtarł ziemię w najbardziej pokąsane miejsca. Wreszcie, zmęczony, ruszył pod górę do wioski, niosąc w ręku swe za małe buty.

Miał dwanaście lat, lecz nie był już chłopcem.

Elisabeth delikatnie złożyła lewą dłoń w prawej, gładząc kciukiem gładką krzywiznę pierścionka. Niewyobrażalny absurd całej sytuacji dławił ją. Objęła się ramionami, zaciskając oczy i walcząc z zawrotami głowy. Przecież to ona zawsze była najbardziej nieufna, jedyna obojętna na podszepty nadziei. To ona była zła na beznadziejną głupotę pozostałych, na ich chętnie zapominanie, na żywotność ich fantazjowania o dostatku i zadowoleniu. Podczas tych ciągnących się dni bez końca, kiedy zdawało się, że świat składa się tylko z wody i opryskliwego księdza La Vente, przemierzającego deski pokładu w poszukiwaniu grzechu, przy życiu trzymała ją tylko pogarda dla pozostałych pasażerek statku. Pogarda i pewność, wobec nawet największych niedogodności podróży, los, który czekał je u celu, będzie z pewnością dużo gorszy.

A jednak! A jednak! Podniosła lewą dłoń i wpatrywała się w pierścionek na palcu, po czym szybko dotknęła go wargami, wdychając słony zapach własnej skóry. Z polecenia Ministerstwa Morskiego dziewczęta oprócz pór posiłków czas miały spędzać w przeznaczanej im kabinie, aby ich cnota nie została nadszarpnięta przez rubasność załogi i obecność młodych żołnierzy. Wspomniała ciemność i zaduch, zapach niemytych włosów, skóry i zleżącego pudru oraz straszliwą, otępiającą monotonię wilgotnych, słonych ścian; pogarda dla tego wszystkiego miała

gorzki smak. Wśród dziewcząt nie było ani jednej, która by czytała, ani jednej wykazującej chęć nauczania się czegokolwiek, ani jednej wykazującej zdrowy rozsądek. Stłoczone w kabinie przypominały stado gdaczących kur*.

W większości znosiły podróż bez słowa protestu, zabijając czas szyciem i rozmowami. Ku rozpaczy Elisabeth nic ich nie wyprowadzało z równowagi. Ich języki poruszały się równie szybko jak ich palce. Igły w ich dłoniach rzucały błyski, a Levasseur, oficer piechoty, stawał się coraz wspanialszy i najodważniejszy z żyjących; René Boyer, rusznikarz oraz budowniczy Alexandre coraz bardziej utalentowani i dobrze sytuowani. Mieli nieciekawe twarze z wystającymi nosami, mocnymi podbródkami, łagodnymi błękitnymi oczami. Ich domy zostały wyposażone we wszelki zbytek, spiżarnie w mięso, wino i egzotyczne owoce. Podczas obiadu kury zbierały się wokół kupca nazwiskiem La Sueur, który spędził poprzednią zimę w Luizjanie, dopraszając się o szczegóły ich przyszłego życia. Kupiec, od dawna żonaty i ojciec pięciorga dzieci, bawił się świetnie, oceniając kolonistów wedle ich fizycznych atrybutów; jego prostackie aluzje sprawiały, że kury gdały jeszcze głośniej i machały skrzydłami. Elisabeth obserwowała to wszystko, czując gniew, a także wstyd za dziewczęta, że słuchają czegoś takiego. Irytowało ją, że La Sueur uważa, iż ona jest taka sama jak pozostałe.

Może jednak nie różniła się od nich tak bardzo? Ta myśl na początku rozgniewała ją, ale wkrótce przerodziła się w radość tak wielką, że chciało jej się śmiać w głoś i kręcić w kółko po wąskim pomieszczeniu. Zamiast tego jednak oplotła mocno swe ciało ramionami, aż koniuszki palców dotknęły kości łopatek. Z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi ustami siedziała nieruchomo. Czy

* W oryginale *chickens* — dosł. „kurczęta, kury”, ale także lekceważąco o młodych dziewczynach, zwłaszcza ładnych i głupich.

była tą samą osobą, która w desperacji rzuciła książkę na ziemię i zapytała dziewczęta, dlaczego, jeśli sytuacja w Luizjanie jest tak wspaniała, a tamtejsi mężczyźni przystojni i bogaci, sam król musi kupować im żony? Odpowiedzią były zdumione i urażone spojrzenia. Później tego dnia podeszła do niej Marie-Françoise de Boisrenaud, dziewczyna trochę starsza od pozostałych, która przejęła rolę przywódczyni. Była córką ziemianina z Chantilly, praktycznie nastawioną jasnowłosą dziewczyną, której głównym celem było znać na bieżąco sytuację wszystkich kawalerów w Luizjanie. Na podstawie listy pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu mężczyzn sporządziła własny spis dwudziestu pięciu najlepszych partii, biorąc pod uwagę zamożność, pozycję społeczną, wiek, stan zdrowia, miłe usposobienie i takąż powierzchowność. Kury z wdzięcznością nazwały ją Guwernantką.

— Jesteśmy tu z woli bożej — zwróciła się surowo do Elisabeth, podnosząc głos, aby inne dziewczęta ją słyszały. — Wydaje ci się, że wiesz lepiej niż Pan, w czym powinniśmy pokładać nadzieje?

— Pan może mówić, co chce — odparła Elisabeth, patrząc na kury, które natychmiast spuściły oczy i zajęły się szyciem. — Wiem tylko, że jedynym sposobem, by nie doznać rozczarowania, jest nie spodziewać się niczego.

Słowa Elisabeth nie wywołały żadnej reakcji poza tym, że Marie-Françoise ściągnęła usta.

Tygodnie przechodziły w miesiące. Kury wymieniały się kandydatami jak kartami w towarzyskiej grze, czasem podkradając ich sobie, czasem po zastanowieniu rezygnując. Wyśmiewały się z Elisabeth, jej książek i ponurych nastrojów i straszyły ją Grapalierem, który był urzędnikiem nadzorującym królewskie składy — starym, bezzębnym i bez prawej ręki, którą zastępował żelazny hak; stracił ją w wypadku z muszkietem. Elisabeth wzruszała ramionami. Nie obchodziło jej, że mają ją za zarozumiałą. Kie-

dy podróż wreszcie się skończy, wszystkie zostaną wyładowane na brzeg jak beczki solonej wieprzowiny i sprzedane temu, kto najwięcej zapłaci. Być może Elisabeth pogodzi się z tym losem, ale na pewno nie będzie mieć złudzeń, że wszystko dobrze się skończy. Wiedziała, że bezsensowne jest żywić złudne nadzieje.

On jednak miał w sobie dość nadziei dla nich obojga, entuzjizm, który graniczył z beztroską — i prostota, z jaką jej to ofiarował, zaparła jej dech w piersiach. Świecił wewnętrznym blaskiem, jakby w jego ciele zawsze płonęła lampka. Oszałamiała ją. Pierwszej nocy, kiedy należeli do siebie, w jedności przed Bogiem, patrzyła, jak spał i zrozumiała, że to jest jej życiowa rola: ochraniać go, ochraniać ten płomień, by zawsze płonął tak radośnie. Jego twarz we śnie była rozluźniona jak u dziecka, ręce rozrzucone na boki. Noc na zewnątrz rozbrzmiewała brzęczeniem owadów, a Elisabeth wydawało się, że słyszy śpiew własnego serca.

Z dwudziestu trzech dziewcząt wybrał ją. Powiedział, że nigdy nie myślał o innej, ale wiedziała, że to nieprawda. Pamiętała, jak przybyły do Mobile; oczekiwało na nie coś w rodzaju komitetu powitalnego, ale nastrój był raczej ponury, choć niektóre udawały entuzjizm. Po wypłynięciu z Hawany pasażerów statku zaatakowała gorączka i około dwudziestu członków załogi „Pelikana” oraz młodych żołnierzy zmarło. Gdy Elisabeth z resztą kur schodziła po trapie — wszystkie były wychudzone, a niektóre jeszcze gorączkujące — zauważyła go stojącego w pewnym oddaleniu. Upalne nie do wytrzymania powietrze oblepiało jak mokra pajęczyna, ale on sprawiał wrażenie, jakby mu to w ogóle nie przeszkadzało. Widziała jego oczy przesuwające się kolejno po dziewczętach. Podniosła głowę wyżej i zachwiała się na nogach odzwyczajonych od chodzenia po stałym lądzie; odwróciła wzrok i podążyła za resztą wymizerowanych dziewcząt do kwatery dowódcy. Próbowała o nim zapomnieć, ale obraz powracał z siłą, od której kręciło jej się w głowie.

Potrząsnęła głową, spuszcżając nogi na gołą podłogę. Było późno, powinna już być ubrana. Pierwszy raz, odkąd przybyła do Luizjany, w powietrzu czuło się chłód. Narzuciła na ramiona koc z łóżka, kryjąc twarz w szorstkim splocie. Pachniał skórą, tytoniem i zwiertżalym winem. Wdychała ten zapach, aż poczuła skurcz żołądka; zacisnęła ręce w pięści, jeszcze bardziej naciągając koc na siebie. Zamknęła oczy i położyła chłodną dłoń na szyi, zatapiając się w tęsknocie za nim.

Wzdrygnęła się na nagłe, energiczne pukanie do drzwi. Zakopała się z powrotem w rozrzuconej pościeli, wciskając nos w poduszkę. Natarczywe pukanie powtórzyło się, a drewniana klamka podskoczyła.

— Elisabeth? Jesteś tam? Elisabeth?

Perrine Roussel, żona cieśli. Elisabeth objęła rękami kolana, chowając twarz w koc i czekając, aż Perrine sobie pójdzie. Kury kontynuowały zwyczaj wzajemnych odwiedzin, nawet jeśli warunki temu nie sprzyjały. Rozglądały się po jej chacie i myślały, że dołączy się do wspólnych narzekań na pożałowania godne warunki, w jakich przyszło im żyć. Skarzyły się na komary, na złe warunki mieszkaniowe, na mężów i, przede wszystkim, na brak białej mąki na chleb. Dzicy nie uprawiali pszenicy. Plantator Rivard dwukrotnie próbował siać ją na swoich ziemiach w Bayou Saint-Jean, ale choć początkowo wydawało się, że roślina się tu przyjęła, w obu przypadkach dojrzałe już zboże zaatakowała rdza żdźbłowa i ziarno zgniło przed zbiorami. Przykład Rivarda zniechęcił innych do dalszych prób. Większość osadników stanowili żołnierze i rzemieślnicy z francuskich miast, którzy niewiele wiedzieli o uprawie i nie interesowało ich, aby się dowiedzieć więcej. Nie po to przejechali pół świata, żeby teraz pracować na polu. Poza tym w osadzie brakowało narzędzi i wołów. Niektórzy zaprowadzali małe ogródki za swoimi chatami, jak we Francji, ale we wszystkim

innym polegali na dzikich, którzy nie hodowali krów ani świń, a swój tłusty żółty chleb piekli z utartych ziaren kukurydzy. Nie było bekonu, świeżej wieprzowiny ani wołowiny, jedynie twarde, żyłaste mięso dziczyzny upolowanej w lesie. Biała mąka, podstawa kuchni w każdym francuskim domu, tu była drogim luksusem, dostępnym jedynie, gdy statki przywoziły ją z za morza. Kury uważały tę sytuację za nie do wytrzymania. Dopiero wczoraj Anne Negrette i kilka innych oznajmiło Elisabeth, że zamierzają pójść ze skargą do komendanta i powiedzieć mu, że przecież tak nie da się żyć. Namawiały, by poszła z nimi; najważniejsze to trzymać się razem. Teraz wysłały żonę cieśli, by upewniła się, że Elisabeth z nimi pójdzie.

— Elisabeth? Elisabeth Savaret, jesteś tam?

Szary cień pojawił się za zasłonką okna, potem czubek nosa przyciśnięty do jasnego płótna. Brak szkła był kolejnym powodem do narzekań. W oknach nie było szyb, jedynie naciągnięte kawałki *platille*, cienkiej lnianej tkaniny, dzięki której wewnątrz wyglądało, jakby znajdowało się pod wodą. Elisabeth bardzo się to podobało. Za białymi oknami, w miękkim, przefiltrowanym świetle, byli sami, doskonale odizolowani od sąsiednich chat. Poza tym *platille*, w przeciwieństwie do szkła, wpuszczało do wnętrza świeże powietrze, chroniąc zarazem przed ostrym słońcem. Czasami, podczas największych upałów, wchodziła do środka domu, gdzie było niemal chłodno.

Elisabeth ześlizgnęła się w dół łóżka, naciągając kołdrę na głowę, chowając się pod jej przyjemnym ciężarem. Ze wszystkich rzeczy, które przywozła ze sobą do Luizjany, ta kołdra w kolorze morskiej wody była jej ulubioną. Nieraz drażnił się z nią, że wzięłby ją za żonę tylko dla tej kołdry; chwycił kołdrę i zaczynał tańczyć po chacie, zataczając zielononiebieskie koła. Elisabeth śmiała się, ale zawsze czuła jakiś niepokój ściskający jej gardło.

Śmiała się też, gdy jej mówił, że jest piękna, ale krzyżowała

palce pod fartuchem, prosząc los, by nigdy nie dostrzegł, że tak nie jest. Naprawdę się starała, ale nie mogła wyzbyć się swoich lęków. Kiedy podpisywała kontrakt małżeński, formalizujący ich zaręczyny, ręka drżała jej tak bardzo, że nacisnęła zbyt mocno i złamała czubek pióra; na papierze wykwitł wielki kleks. Urzędnik westchnął i sięgnął po piasek, ale on tylko się uśmiechnął, wolną dłonią ujął jej poplamioną atramentem dłoń, umoczył pióro w kleksie i podpisał dokument. Jean-Claude Babelon, powtórzyła cicho, delektując się brzmieniem. „Savaret” brzmiało dynamicznie, każda sylaba ulokowana na swoim miejscu. „Babelon” przeciwnie, wymówienie tego wymagało wysiłku całych ust. Wargi robiły się miękkie, rozchyłały się jakby w oczekiwaniu na pocałunek. Elisabeth zawsze gardziła angielskim zwyczajem przyjmowania nazwiska męża przez żonę, teraz zaś stwierdziła, że jest o to zazdrosna. W Anglii za każdym razem, kiedy byłaby komuś przedstawiana, lub podpisując list czy książkę, albo gdy ktoś zawołałby ją na ulicy, byłaby to deklaracja: należę do niego. W Anglii pozbyłaby się swojego starego nazwiska jak poczwarka kokonu i wyleciałaby na świat świeża i nowa. Elisabeth Babelon. Ale to nie był francuski obyczaj. W Luizjanie, tak jak w Paryżu, pozostała Elisabeth Savaret.

Kołdra pachniała nim. Znów ją powąchała i zadrzała. Tęsknota, którą czuła, była czysta i przejrzysta jak światło odbite w szkle. Nagle pomyślała, czy to jest ten sekret, znany pustogłowym kurrom, czy gdzieś w głębi swoich małych serduszek zrozumiały to, o czym ona nie miała pojęcia, mimo wszystkich przeczytanych książek: pewność, że mężczyzna i kobieta mogą stać się jednością, ich dusze i umysły niepodzielne jak dwa rodzaje wina wlane do jednej butelki. Próbowwała sobie przypomnieć, jaka była, zanim go poznała, kiedy całe jej jestestwo było w jej głowie, a ciało stanowiły ręce, nogi i tułów, kiedy jedynym jej pragnieniem był ciepły płaszcz czy ciasto morelowe.

Od przyjazdu tutaj nie otworzyła ani jednej książki. Na półce nad stołem, zwykłej desce opartej na prowizorycznych uchwytach, stało tylko kilka zakurzonych talerzy i leżał nóż ze złamanym uchwytem; było tam miejsce na książki, ale nie chciało się jej ich nawet wypakować. Sięgnęła do skrzyni i lekko dotknęła podniszczonych okładek, jak archeolog mógłby dotykać reliktyw z przeszłości, z nieśmiałym szacunkiem. Zatrzymała się przy oprawionym w szlifowaną skórę Montaigne'u, bardzo wolno wodząc po grzbiecie jednym palcem, pamiętając, jak podczas nieskończonej długich miesięcy w Rochefort do bólu tęskniła za tą książką. Wreszcie zamknęła skrzynię i wsunęła ją pod łóżko.

Nie rozmawiała z nim o poezji, filozofii czy astronomii; rozmawiali o sobie. Czasami, w głębokiej ciemności, mówił jej o swoich marzeniach. Teraz był tylko prostym żołnierzem o najniższej randze wśród oficerów piechoty, ale zamierzał się wzbogacić. Nieraz wspólnie wyobrażali sobie rozkosze, jakie czekały ich w przyszłości, ale częściej leżała z głową na jego piersi, a dłonią na brzuchu, żeby słyszeć jego ciało — rytm jego krwi, drżenie nerwów, szept ust przy jej skórze.

Słowa nadal kłębiły się jej pod czaszką, ich owadzie brzęczenie nigdy nie milkło całkowicie, ale ona już nie zwracała na nie uwagi. Z nim w tym dziwnym kraju, gdzie bagna szeptały, a olbrzymie owoce dojrzewały i gniły, była tylko ciałem. Jej ciężar, kiedyś upchnięty daleko z tyłu głowy, teraz rozpierał się miło na jej żebrach i mrowił w kończynach, skóra nie była tak spięta, a mięśnie miała przyjemnie rozluźnione. Nawet jej kości stały się miększe, co sprawiało, że poruszała się z leniwą gracją pijanego słońcem kota. Tchnął w nią swe gorące życie; kiedy jej dotykał cudownie nieśpieszącymi się palcami i ustami, każdy pieg i każdy włoszek na jej ciele należał do niego, skrząc się jego światłem. Patrzenie na niego było jak patrzenie w słońce; kiedy zamykała oczy, jego obraz zostawał wypalony w szkarłacie pod powiekami.

Trzy dni po ich przybyciu zarządca kolonii, Kanadyjczyk nazwiskiem Jean-Baptiste Le Moyne de Bienville, wydał przyjęcie. Większość kur odzyskała już trochę rezonu i sił. Były różne dania i spora ilość nieco kwaśnego wina. Elisabeth stała na uboczu, obserwując rozczarowanie obu stron. Dziewczeta do tej pory stykały się tylko z mieszkańcami Paryża czy Rouen, mężczyznami o zadbanych dłoniach i pudrowanych włosach, używającymi perfumowanych chusteczek. Mężczyźni z Luizjany byli szorstcy i niezgrabni, o marnych manierach, noszący zniszczone, połatane ubrania. Oni z kolei szukali krzepkich żon o szerokich biodrach i silnych rękach, oczekując, że wnet urodzą dziecko, zbudują dom tego samego popołudnia, a kolacja będzie stała na stole, kiedy wrócą do domu. Jednak większość dziewcząt zgromadzonych w salonie de Bienville'a wyglądała, jakby miały się przewrócić od kichnięcia. Jedynie Marie-Françoise zadarła brodę i z wyszczerzonymi zębami obchodziła zebranych mężczyzn, kalkulując gorączkowo pod wygładzonym czołem.

Po jakimś czasie przyszło więcej mężczyzn. Patrzyła, jak zatrzymał się w progu i stał tam przez dłuższy czas, wsparty jedną ręką o framugę i przyglądał się zgromadzonym gościom. Jego płaszcz był rozpięty, a broń zwisała nisko na biodrze. Elisabeth znów poczuła, że pociąga ją jego obojętność, brak zaangażowania, który odróżniał go od reszty, choć jej zdaniem świadczyło to o dumie i pysze. Nie była zaskoczona, kiedy przekroczywszy wreszcie próg, podszedł od razu do Jeanne Deshays, która nawet wymizerowana po chorobie była najładniejsza ze wszystkich.

Pod koniec przyjęcia zarządca podszedł z nim do Elisabeth. Był wyższy, niż się jej zdawało, i szczuplejszy, o wąskich dłoniach z długimi palcami. Miał bardzo opaloną twarz i kiedy się nie uśmiechał, kurze łapki w kącikach oczu zmieniały się w jasne kreseczki. Mężczyźni rozmawiali przez chwilę — jakieś mało ważne pogawędki o hiszpańskim posterunku w Pensacoli — po czym de Bienville przeprosił i odszedł.

Przyjrzał się Elisabeth w zamyśleniu, hamując uśmiech, a ona w zmieszaniu wyjąkała coś o pogodzie. Podniósł brew; Elisabeth wbiła wzrok w podłogę, marząc, by mogła zniknąć w jednej ze szczelin.

— Elisabeth Savaret — odezwał się, jakby go to bawiło.

Potaknęła, o mało nie wzruszając ramionami, ale nie podniosła oczu. Delikatnie ujął jej podbródek i zbliżył twarz do swojej. Jeszcze teraz, gdy to sobie przypominała, cała drży.

— Elisabeth Savaret — powtórzył, tym razem z uśmiechem.
— Chciałbym cię o coś spytać. Odpowiesz mi?

— Być może — odparła zduszonym głosem.

— Być może?

— To zależy od pytania.

— Rozsądny warunek. — Jego twarz była tak blisko, że widziała złote plamki w jego szarzielonych oczach. — Dobrze więc, oto moje pytanie. Co takiego jest w świecie, co cię tak irytuje?

Następnego dnia zmarła Louise-Françoise Léfevre, on zaś poprosił Elisabeth o rozmowę. Potem mówił, śmiejąc się, że pociągała go jej wybuchowość, że wśród tych spiętych, nieciekawych dziewczyn na sprzedaż ona jedna miała w sobie „proch i ogień”. Pochodził z Quebecu, wyjaśnił, krainy śniegu i lodu, i był zupełnie nieodporny na ogień. Wtedy go pocałowała, nie mówiąc jednak, że ogień był właśnie w nim, że zanim go poznała, wściekłość, którą czuła, była jedynie prochem i kwaśnym dymem rozwianych złudzeń. Wykuł ją w żarze własnych płomieni, roztapiając jej chłodny metal, aż popłynął wrzącą czerwinią.

Teraz pojechał na wyprawę badawczą związaną z minerałami i kopalniami. Podróż była niebezpieczna, gdyż ziemie, na których leżały kopalnie, należały do wrogiego Francuzom plemienia Nassitoches; zapewnił ją jednak, że nic mu nie grozi.

Znał dobrze okolicę — poprzedniej zimy, kiedy nie przypływały statki i zaczęło brakować żywności, co groziło głodem dla stacjonujących na posterunku, porozumiał się z tubylcami, którzy podzielili się z nimi żywnością. Na pokładzie „Pelikana” La Sueur uniósł brew, komentując entuzjazm dzikich w spełnianiu życzeń Francuzów.

— Teraz rozumiesz, dlaczego kolonia cię potrzebuje — stwierdził. — Bo z braku francuskiego wina trzeba gasić pragnienie indiańskim piwem!

„Uprzejmości” kupca zawsze były cięte i obliczone na efekt. Na statku wydawało się jej, że jest na nie odporna, ale teraz, kuląc się pod kołdrą i gniotąc suknię, była zadowolona, że La Sueur zachorował w Hawanie i jeszcze nie dojechał. Próbowała przywołać jego twarz, bladą i spoconą od gorączki, ale zamiast tego wyobraziła sobie ciała dzikusek ze świecącymi piersiami, obfitymi brzuchami i kołyszącymi ruchami gładkich, miedzianych kończyn. Gromadziły się w cieniu trzciny za posterunkiem, zręcznymi palcami plotąc koszyki z suchych liści palmowych. Ich idealnie gładkie ciała były całkowicie wydepilowane za pomocą pasty ze sproszkowanych muszli i gorącej wody.

Dzikuski nie przypominały miotających przekleństwa paryskich dziewczek, wyraz ich twarzy nie przyzywał, nie kusił. Ich nagie ciała po prostu były, prezentowały płęć bez dumy i bez wstydu, jak zwierzęta. Nie wiedziały, czym jest skromność lub opanowanie. Myśl o nim w ramionach jednej z tych kobiet, skóra przy skórze, jego palce wplątane w jej czarne włosy, jego usta przy jej ustach...

Elisabeth zakryła twarz kocem, odganiając te wyobrażenia, by nie przyniosły pecha. Znów odetchnęła jego zapachem i poczuła, jak jej lęk zmienia się w wstyd. Która żona podejrzewałaby męża zupełnie bez powodu? Złożył jej przysięgę wierności przed Bogiem. Uczynił to jasnym i pewnym głosem, z lekkim

uśmiechem na ustach. Należał do niej całkowicie, tak jak ona do niego, prawnie poślubiony małżonek, aby mogła go obejmować, obejmować, obejmować... póki śmierć nas nie rozłączy. Poza tym nie ma co rozmyślać o śmierci i o strachu, nie teraz, kiedy go nie ma. Wkrótce wróci, może nawet dzisiaj, a do tej pory wszystko, co mogła mu ofiarować, to wiara, że jest bezpieczny, ognisty krag oddania, wewnątrz którego mogła go chronić.

Prawie wszystkie dziewczęta były już zamężne. Choroba spowodowała kilka przesunięć, ale i tak przez cały sierpień ceremonie zaślubin odbywały się nieprzerwanie w małej, skromnej kaplicy w Fort Louis. Na statku Marie-Françoise przykazywała wszystkim, by były skromne; trzymając się na dystans, miały zademonstrować najbardziej wartościowym spośród kolonistów, że są warte ich uwagi. Tylko zupełnie nieatrakcyjne dziewczęta miały powód, by się śpieszyć. Kiwały poważnie głowami, ale zupełnie nie korzystały z jej rad; nawet piękna Jeanne Deshays poddała się zalotom konkurenta już po kilku tygodniach. Jej mąż, wysokiej rangi oficer o mięsistej twarzy i niemałych wpływach, był uważany za dobrą partię. Elisabeth, sama zamężna od trzech dni, była na ślubie; Jeanne, jeszcze osłabiona po chorobie, recytowała przysięgę małżeńską jak listę zakupów. Po zakończeniu części formalnej odbyło się wesele w domu Jeana Alexandra, budowniczego. Przyszła większość mężczyzn z garnizonu; on także obiecał Elisabeth, że będzie. Przez ponad dwie godziny wpatrywała się w drzwi, chora z tęsknoty za nim i przygnębiona szalejącą burzą. Kiedy wreszcie się pojawił, przemoczony na wskroś, i natychmiast zagłębił się w rozmowie z kilkoma innymi oficerami, myślała, że serce wyskoczy jej z piersi.

— Ta mała ze skrzywioną twarzą? Słyszałam, że robi najlepsze garnki — zwróciła się do niej Anne Negrette, ale Elisabeth nie odpowiedziała.

Oddychała szybko, a w ustach miała gorzki smak. Nie pod-

szedł do niej. Razem z innymi złożył gratulacje nowożeńcom, klepiąc pana młodego po ramieniu i mówiąc coś, na co ten się roześmiał. Była tak zazdrosna, aż jej dzwoniło w uszach. Przez chwilę nienawidziła wszystkiego — młodej pary, mężczyzn o twarzach ogłupionych alkoholem, jego koszuli, palców, na których wspierał brodę, kropli deszczu lśniących na jego włosach. Odwróciła głowę, bo lęk dławił ją w gardle. Był tak całkowicie oddzielny. Wyglądał zupełnie jak w czasach, zanim się pobrali.

Kiedy wreszcie przekonała go, by wyszli, było już późno. Burza przeszła i widać było biały, zamglony księżyc. Trzymała go za rękę obiema dłońmi, a on ją całował, przyciskając do chropowatych desek chaty. Ciemność, odświeżona deszczem, rozbrzmiewała głosami cykad i rechotem żab. Nie opierała mu się; zarumieniła się na to wspomnienie. Ktoś mógł ich przecież zobaczyć, a w wysokiej trawie mogły kryć się węże, aligatory czy jadowite skorpiony, a ona była boso, porzuciwszy buty gdzieś po ciemku. Gdy skończyli, oparli się o ścianę, głowy obok siebie, palce splecione; słyszeli śmiech jakiegoś mężczyzny i fałszywe tony gawota* wygrywanego na skrzypkach; stali tak, aż wróciło pożądanie i pobiegli do domu, wciąż czując nawzajem swój smak na językach. O świcie następnego dnia wróciła po buty; były całkiem mokre i lśniące od śluzowatych ścieżek ślimaków.

Czasami zastanawiała się, czy inne kobiety odczuwają to co ona. Może mała Renée Gilbert, mająca za męża kanoniera prawie dwukrotnie wyższego od niej; Elisabeth rozpoznała to coś w wyrazie jej ust, gdy spoglądała w górę na swego męża. Chciała nawet z nią porozmawiać, ale w końcu nie zrobiła tego; lepiej, żeby było bezpiecznie ukryte. Poza tym właściwie nie miała okazji być z Renée sam na sam. Kury nadal trzymały się razem, mimo nowych obowiązków związanych z małżeństwem, i nadal pracowały

* Francuski taniec ludowy.

nad tym, by Elisabeth dołączyła do ich towarzystwa. Dziwiło ją i poruszało, dlaczego nie dają się zniechęcić. Przypuszczała, że może to ukryty w niej gniew tak je pociągał, że będą mogły wykorzystać jego ostre brzegi przeciwko własnym frustracjom, których było niemało. Perrine jasno dała jej do zrozumienia, że uważały obojętność Elisabeth za zdradę. Zgadzała się jeść kukurydziany chleb i owsiankę z papki kukurydzianej, a to ułatwiało zarządcy argumentowanie, że one mogą żyć tak samo.

— Ale przeciwko czemu właściwie protestujecie?! — wykrzyknęła Elisabeth. — Tak, chleb dzikich jest inny niż to, do czego przywykłyśmy, ale tu wszystko jest inne!

To sprowokowało Perrine, ale Elisabeth wiedziała, że chleb był tylko pretekstem. Chodziło o przyjemność, jaką czerpała z obcowania z mężem, i o fakt, że tego nie ukrywała. Uważały to za ekstrawagancję zupełnie nieprzystającą do ciężkich warunków, w jakich żyły, oraz za afront wobec pozostałych. Kiedy widziały ich razem, marszczyły brwi i zaczynały szeptać między sobą. Minęło sporo czasu, zanim Elisabeth zrozumiała, że one się jej boją. Ona zaburzała naturalny porządek rzeczy, a wąski skrawek bagna oddzielający je od reszty świata był wystarczająco zdradliwy sam w sobie. Z czasem, rzecz jasna, oswoiły się z sytuacją, bo i cóż miały robić?

Jeszcze tylko dwie dziewczyny były niezamężne. Poprzedniego dnia Elisabeth widziała Marie-Françoise przy posterunku, po chorobie białą jak papier, z bardzo zarysowanymi liniami wokół ust. Jej ciemne włosy, z których zawsze była dumna, oblepiały jej głowę szorstkimi pasmami. Szła niepewnie, jakby obawiając się ziemi, ale żyła. Mężczyzna, z którym się ku swej radości zaręczyła, nie miał tyle szczęścia. Pod koniec września, mniej niż tydzień przed wyznaczoną datą ślubu, zaczął majaczyć i wkrótce zmarł. Dwa dni później Marie-Françoise stała biała i oszołomiona podczas aukcji, na której sprzedano jego gospodarstwo; zysk

został podzielony między jego matkę z Quebecu i brata z Wersalu. Pozostałe dziewczęta odwiedzały ją i próbowały pocieszyć, ale Elisabeth odmówiła pójścia z nimi. Wiedziała, że mają ją za osobę bez serca i przykro jej było z tego powodu, ale mimo to nie poszła. Jej własne szczęście było tak świeże i delikatne, że bała się. Nieszczęście bywa zaraźliwe. Kiedy widziała Marie-Françoise, musiała walczyć z chęcią zakrycia sobie oczu. Nieszczęście otaczało Guwernantkę jak rój much.

Elisabeth westchnęła, przeciągnęła się i usiadła. Było już prawie południe. Jego lepsze buty o startych obcasach stały przy drzwiach, a wiązany kapelusz z plamami potu dookoła rondka wisiał na kołku. Wszyscy tu czekamy, pomyślała, żebyś wrócił i znalazł nam jakieś zajęcie. Może właśnie wychodzi z przechylonej pirogi, ślizgając się na wodorostach i błocie naniesionym do przystani? Pirogi miały przywieźć żywność, więc musiał tam zostać z innymi oficerami, aby dopilnować rozładunku i umieszczenia wszystkiego w magazynie, w przeciwnym razie nieuczciwi ludzie rozkradliby towar. Wyobraziła sobie dwie linie między jego brwiami, które pogłębiały się, gdy załatwiał interesy; tylko wtedy był poważny. Chciała wyciągnąć rękę i wygładzić jego czoło, pocałować je leciutko tak, żeby czuć jego gorący oddech na podbródku, a potem wolno, bardzo wolno, przesunąć ustami wzdłuż jego nosa i po nieogolonej górnej wardze, aż do jego ust. Wtedy przyciągnąłby ją do siebie i czułaby go, mocnego i twardego w jej ramionach, a to, co było w niej bez niego szorstkie, połamane i wstydliwe, stałoby się znowu gładkie, całe i prawdziwe.

Wracaj szybko, szepnęła i usłyszała głos ptaków za zastąpionym oknem, też pełen tęsknoty i oczekiwania.

Dopiero po wielu tygodniach chłopiec był w stanie zejść nad wodę bez odruchowego wypatrywania powracającej ekspedycji. Potem zaś nadeszła zima, a zimą mało kto podróżuje, jak dowiedział się od dzikich. Wielka rzeka zamarała na północy i biali ludzie siedzieli przy ogniskach. Chłopiec nie był głodny. Zbiory były dobre i zgromadzono dużo zapasów na chude miesiące. Zresztą tubylcy byli świetnymi myśliwymi i zawsze przynosili mięso.

Wyrósł. Rysy twarzy wyostrzyły się, a dłonie zwisały mu u ramion jak flagi. Zakładanie butów było męką, którą znosił, jak długo się dało, ale wreszcie porzucił je na rzecz mokasynów, jak nazywali je dzicy, wykonanych z jeleniej skóry i zdobionych kolorowymi koralikami. Były ciepłe i dopasowane, ale koraliki pozrywał czubkiem noża. Co do płaszcza, nosił go nadal, choć zrobił się za wąski w ramionach i drażnił skórę na plecach. Odpruł mankiety, które odsłoniły ślady po szwach, ale i tak rękawy ledwo sięgały mu nadgarstków.

Mieszkał z rodziną jednego z wojowników, którego żona, miła kobieta o okrągłej twarzy, traktowała go z taką samą roztargnioną miłością jak swoje małe dzieci. Szybko nauczył się podstaw języka, ale ponieważ wiele czasu spędzał w samotności, nie miał okazji do mówienia.

Jako chłopiec w La Rochelle mógł godzinami leżeć na brzuchu

podczas deszczu i obserwować owady w swoim pokoju. Zauważył, że pająk nawija swą jedwabistą nić na coś w rodzaju kołowrotka wewnątrz własnego ciała i że mieszka nie na pajęczynie, ale w tuneliku uplecionym obok, gdzie również pożera swoje ofiary. Wiedział, że zimą, po nadejściu mrozów, muchy robią się ospałe i można łątwo je złapać, ale w pobliżu ognia odzyskują wigor. Zerkał na nie przez palce, obserwując duże czerwone oczy, przezroczyste skrzydła i cztery czarne pasy biegnące przez odwłok, a potem zgniatał owady w dłoni.

Teraz w podobny sposób przyglądał się dzikim i stwierdził, że wiele rzeczy, które słyszał na ich temat, jest prawdą. Mężczyźni Ouma nosili bransolety i naszyjniki z kości i piór, jakby byli kobietami, a niektórzy nawet mieli wachlarze. Jedli niechlujnie, rzadko kiedy używając łyżek, czcili ogień, wodę i drzewa, a panicznie bali się sów, ponieważ ich hukanie zwiastowało śmierć dziecka. Odprawiali czary przy użyciu martwej wydry wypchanej słomą i wysłuchiwali swoich snów, gdyż wierzyli, że duchy opiekuńcze udzielają im w ten sposób rad i ostrzeżeń. Zauważył, że nikt z nich, nawet wódz, nie wierzył, iż słowa można schwycić i przenieść na papier; chłopiec nie po raz pierwszy pożałował, że nie umie pisać.

Zauważał to wszystko i rozkoszował się poczuciem wyższości, jednak jego bystre oczy dostrzegały też inne rzeczy, o których nikt mu wcześniej nie wspomniał. Matki opiekowały się dziećmi z wyjątkową troskliwością. Bogatsi dzielili się swym dobytkiem z innymi. Chłopców przykazywano, by nigdy nie bili się ze sobą, a ci, którzy złamali zakaz, byli uznawani za niegodnych życia w społeczności i za karę odsyłani do małej chatki położonej w pewnej odległości od wioski. Najbardziej zdumiewał go fakt, że chata, w której mieszkała rodzina, oraz całe jej wyposażenie należało do kobiety, nie do mężczyzny.

Polecenia i rady uzyskiwał od matki, nie od ojca, a kiedy coś przeskrobał, upominali go jej bracia.

Długo usiłował to pojąć. Analizował zachowanie Issiokheny, jej męża Baiyilaha i członków rodziny, którzy wchodzili i wychodzili z ich domu jak z własnego. Nastawiał uszu, by jak najwięcej usłyszeć i zrozumieć, i stwierdził, że kiedy dziki chłopiec mówił o swoich braciach i siostrach, miał na myśli rodzeństwo cioteczne, a do braci matki zwracał się nie „wuju”, lecz „ojcze”. Po kilku miesiącach dotarło do niego, że życie społeczne dzikich jest postawione na głowie; linia rodowa kontynuowana była po kądzieli, a ojciec był traktowany uprzejmie, lecz cieszył się niewielkim szacunkiem, a żadnym autorytetem. Nocami chłopiec przewracał się z boku na bok na wyścielonym skórami pościeliu i rozmyślał o tym wszystkim.

We Francji, jak wśród cywilizowanych ludzi, ojciec chłopca był władcą i przewodnikiem we wszystkim, na dobre i na złe. Jego ojciec nazywał się August Guichard. Chłopiec nosił to samo imię i nazwisko, ale nikt w wiosce go tak nie nazywał; choć próbowali wiele razy, dzicy nie radzili sobie z dźwiękami francuskiej mowy. W pierwszych miesiącach swego pobytu tutaj otrzymał przydomek Nani, co oznaczało „ryba” — twierdzili, że z powodu bledkości jego skóry, ale chłopiec wiedział, że przydomek było złośliwe — był bardzo słabym pływakiem. Kiedy nazwali go tak pierwszy raz, zacisnął usta i nie zareagował; po jakimś czasie przydomek umarło śmiercią naturalną i kiedy trzeba było zwrócić się do chłopca, dzicy nazywali go po prostu Ullailah, czyli „chłopiec”.

Indiańscy chłopcy przestali wzywać go gestami, by się przyłączył do ich zabaw, zanim był gotowy, by to zrobić. Spod ocienionej palisady przyglądał się, jak rzucali drewnianymi kośćmi lub ciskali oszczepami w toczące się kamienie — chodziło o to, czy oszczep wbije się najbliżej miejsca, w którym kamień się

zatrzyma. Pomyślał o Jeanie; łatwo było wyobrazić go sobie kucającego wśród tych chłopców i wycierającego kolanami dziury w spodniach, podczas gdy uczył ich gier hazardowych. Odkąd Auguste pamiętał, jego kuzyn zawsze był w centrum spraw; było w nim coś takiego, że inni chłopcy Ignęli do niego jak wszy. Kiedy dokądś biegł, nie musiał oglądać się przez ramię, czy biegną za nim. Wiadomo było, że biegną. Auguste obserwował kuzyna i starał się go naśladować, ale nigdy nie odniósł sukcesu. W La Rochelle doszedł jedynie do wniosku, że nawet powietrze otaczające Jeana układa się w odpowiedni kształt, z nim zaś było inaczej. To, co było wewnątrz niego, kłóciło się z tym, co na zewnątrz, i inni chłopcy to wyczuwali. Kiedyś Auguste znalazł gniazdo os pod okapem domku matki. Przyglądał mu się niemal przez całe popołudnie i zobaczył, że większość owadów swobodnie wlatuje i wylatuje, ale jedna, próbująca dostać się do gniazda, została zaatakowana przez pozostałe i pożądłona na śmierć. Kiedy owady zniknęły, Auguste podniósł zdechłą osę i dokładnie ją obejrzał. Nie różniła się niczym od reszty.

Szare wody morza we Francji uderzały o wybrzeża w La Rochelle jak kapryśne dzieci gigantów, w jednej chwili trzymając statek troskliwie w dłoni, w drugiej beztróska łamiąc go na pół. Domagały się nieustannej uwagi i aplauzu, a ich nastroje definiowały nastroje mieszkańców wybrzeża w podobny sposób, jak pozycja słońca definiuje godzinę. Rzeka dzikich, nazywana przez nich *misi sipi*, „wielki strumień”, była zupełnie innym rodzajem potwora. Płynęła niespiesznie przez bagna i lasy jak wielki żółty wąż, powolny i muskularny, z unoszącymi się nad nią wyziewami płodności i rozkładu. W La Rochelle granica między wodą a lądem była ostro zarysowana, oznaczona przecinającymi się klifami i skalnymi ścianami; rzeka dzikich nie znała takich granic. Płynęła sennie, tworząc rozlewiska i zatoczki, podążała do bagien i lasów, gdzie jej ciemny bezruch dawał zwodniczy pozór stałe-

go ładu. Na jej powierzchni wszędzie wykwitało nieokiełznane bogactwo roślinności; nawet zimą jej zakręty niknęły w kępach drzew, krzewów, pnączy, trzcin, mchów, paproci i grzybów. Korzenie i gałęzie krzyżowały się ze sobą, zapętłając się i ściskając w tysiącach grzesznych objęć. Konary przebijały się przez gnijące liście niczym olbrzymie penisy, a pasma hiszpańskiego mchu zwiślały z nich, pokryte przezroczystymi warstwami pajęczych sieci. W ciepłe dni powietrze aż wibrowało bezwstydną płodnością.

August obserwował wszystko, jak mu kazano. Zapamiętywał wizyty innych plemion, zapisując ich liczbę za pomocą różnokolorowych kamyczków. Nie słyszał żadnych słów wrogich Francuzom ani podżegań do wojny. Anglicy nie odwiedzali wioski. Wczesnym latem doszło do krótkiego konfliktu z plemieniem Tunica, sąsiadami Ouma, gdyż ich wojownik porwał dwie kobiety jako niewolnice, co zakończyło się natychmiastowym i gwałtownym odwetem ze strony wojowników Ouma. Poza tym panował spokój.

Przyglądał się i czekał. Czasem nawet zapominał, że czeka. Razem z innymi chłopcami pomagał w pracach polowych, przygotowując ziemię do wiosennych siewów; uczył się biegania i polowania, wyprawiania skór i robienia broni. Dzieci dostawały łuki, strzały i oszczepy do zabawy, gdy tylko nauczyły się chodzić, i wiele z nich było biegłych we władaniu nimi. Nieraz któryś ze starców przytwierdzał do słupa kulę suchej trawy wielkości dwóch pięści; chłopiec, który ją strącił, dostawał nagrodę. Auguste patrzył, jak najwyższy z chłopców, imieniem Tohto, wypuścił osiem strzał jedną po drugiej tak szybko, że gdy pierwsza spadła na ziemię, ostatnia była już wystrzelona. Jego przyjaciele pukahiwali i krzyczeli z radości, ale starzec nawet się nie uśmiechnął.

— Polowanie to nie tylko zręczność, synu — powiedział poważnie. — Aby być dobrym myśliwym, musisz się nauczyć wytrwałości, cierpliwości i pokory. I dokładności — dodał. Jego

oczy błyszczały w pomarszczonej twarzy. — Zobacz, straciłeś osiem strzał, a trawie nawet włos nie spadł z głowy.

Broń przywieziona do wioski przez dowódcę leżała w chacie wodza zawinięta w skóry. August nie był zręczny w posługiwaniu się łukiem i strzałami, ale umiał się bezszelestnie poruszać i był bardzo spostrzegawczy. Bał się lasu, lecz szybko nauczył się jego praw. W lesie cisza nie oznaczała nieobecności. Trudno tu zresztą było o prawdziwą ciszę; zewsząd dobiegało rechotanie żab, szczebiot ptaków, pluskanie i kapanie wody, a pod tymi wszystkimi odgłosami czaiło się poczucie zagrożenia, świadomość tajemnic ukrytych w zdradliwym gruncie. August potrafił naśladować głosy leśnych ptaków, aby zwabiać je w sidła, które dzicy zawieszali na drzewach. Zbierał owady i badał je, obserwując nachylenie skrzydeł i delikatne odnóża. Czasami, gdy natrafił na nieznanne sobie stworzenie, szkicował je patykiem na piasku, aby zapamiętać detale jego budowy. Widział dzbaneczniki wydęte jak rolka zwiniętego papieru i inne rośliny o korzeniach pełnych soku czerwonego jak krew kurczęcia. Zbieranie roślin w celu uzyskania barwników i lekarstw należało do kobiet i nieraz zaśmiewały się, patrząc, jak August klęczy, grzebiąc palcami w czarnej, wilgotnej ziemi. Któregoś dnia jedna podeszła i zaproponowała, że mógłby uprawiać ogródek obok grządek z warzywami. Jej słowa przypawiły go o ból między łopatkami i od tamtej pory zaszywał się głębiej w lesie, żeby kobiety go nie widziały.

Dzicy chłopcy łowili ryby podobnie jak we Francji — na ostrugane kije i malowane pławiki, ale August wolał metodę, którą posługiwali się starsi. Wsuwał jedną dłoń pod wodę i czekał, aż ryba muśnie ją pyszczkiem. Nauczył się koncentrować całą uwagę na tej ręce, obserwując jednocześnie, jak ważki nad wodą, podobne do odłamków kolorowego szkła, tną powietrze.

Przyzwyczał się do samotności, ale pewnego dnia, gdy sie-

dział na brzegu rzeki, przybiegł do niego pies — żółty szczeniak o lisim pysku, który wyglądał, jakby się skradał, a kiedy węszył, podejrzliwie marszczył czoło. Żebra rysowały mu się pod skośną sierścią. We wsi było sporo dzikich psów, niektóre prawie oswojone, i August nie zwracał uwagi na zwierzę, sądząc, że wkrótce sobie pójdzie. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Pies obiegił chłopca trzy razy i usiadł przy nim, wtulając pysk pod tylną łapą. Kiedy August podniósł się, pies zrobił to samo, chowając ogon pod siebie i odwrócił wzrok, kiedy chłopiec na niego spojrzeł, jakby chcąc dać do zrozumienia, że jego obecność tutaj jest zupełnie przypadkowa. Gdy jednak August ruszył w kierunku wioski, pies ruszył za nim. To przypomniało chłopcu o grze, w jaką nieraz bawiły się jego siostry. Kilka razy odwrócił się zniechęcony — pies siedział wówczas spokojnie z wyrazem zupełnego braku zainteresowania na pysku o białych wąsikach. Gdy dotarli na miejsce, August wyprosił u Issiokheny kawałek jeleniego mięsa i wyciągnął do psa rękę z przysmakiem. Pies zmarszczył pysk, lecz nie zbliżył się, August rzucił więc mięso na ziemię przy jego łapach. Pies porwał je i zniknął w cieniu. Chłopiec czekał, ale pies nie wracał.

Tej nocy śnił o Jeanie i o swoich siostrach. Obudził się, czując ciężar na sercu. Leżał, słuchając lekkich oddechów dzieci śpiących na skórkach obok niego, a kiedy nadszedł świt, wstał i wyszedł na zewnątrz. Był prawie przy palisadzie, kiedy wyczuł, że ktoś za nim idzie. Odwrócił się. Pies patrzył w drugą stronę. August zawahał się, ale wsadził ręce do kieszeni i ruszył w stronę lasu, pogwizdując fałszywie. Jego gwizd zlał się z chórem świergotu i okrzyków ptaków zwiastujących nowy dzień.

Sniła o tym, kiedy go nie było. Widziała fragmenty obrazów jak odłamki rozbitego lustra chwytające światło. O jego złoto nakrapianych oczach w okrągłej twarzyczce niemowlęcia. Jego długich paluszkach w piąstkach z dołeczkami. Szczupła, opalona twarz i różowa świeża buzia obok siebie, policzek przy policzku. Jego skryty uśmiech w kąciку wydętych dziecięcych usteczek. Pulchne ramionka, które obejmują ich, tworząc trzygłową całość. Noc po nocy układała te obrazy w samotności, tnąc palce o ich ostre brzegi i czując to tak dojmująco jak wcześniej pożądanie. Kiedy wreszcie wrócił i leżeli razem pod kołdrą koloru morskiej wody, a jego palce muskały krągłości jej piersi i brzucha, nic nie powiedziała, tylko oplotła go ściśle ramionami i nogami. Czasami, kiedy spał, szukała w jego twarzy dziecka, którym kiedyś był, i żałowała wszystkich tych lat, które straciła.

Miesiące mijały i inne kobiety stawały się najpierw niespokojne, a potem histeryczne, wymieniając w zaufaniu przepisy na ziołowe ekstrakty mające pobudzić ich łona, lecz ona witała bóle miesiączkowe z uczuciem ulgi. Ku zdumieniu innych nie przyjęła żadnej tubylczej kobiety do pomocy. Tłumaczyła, że to zbędne, kiedy nie mają dzieci. Modliła się każdej nocy, by nie począć; choć byli małżeństwem od roku, nie potrafiła wyobrazić sobie innej kobiety w ich domu. Miała na tyle rozsądku, by z nim o tym nie rozmawiać; twierdził, że jest silna, nieustraszona i uparta aż

do przesady. Jej odmowa przyjęcia służącej uradowała go — król nie płacił wojsku już od dwóch lat. Nazywał ją swoją tygrysią i aligatorkiem i śmiał się w głos, kiedy użalała się nad głupotą innych żon.

— Nic dziwnego, że ci nie ufają — mówił, obejmując ją w tali. — Te gąski trzymają się razem, jak szczury na tonącej tratwie, i drażni je, że sobie tak dobrze radzisz bez nich.

Tak też było. Doznawała ulgi, że nie musi oglądać ich kwaśnych min oraz słuchać pospolitych plotek i stałych narzekań. Napawały się nawzajem swoimi nieszczęściami, skarżąc się ciągle na brak czegoś. To przesycalo powietrze wokół nich negatywną energią, która dusiła Elisabeth. Licytowały się, która ma bardziej dokuczliwe wrzody i odciski, zniszczone ręce, bolące plecy, nędznych niewolników i jeszcze nędzniejszego męża. Jeśli — bardzo rzadko — któraś zaryzykowała dowcip, śmiały się, lecz bez przekonania, wymuszenie, jakby ktoś musiał ten śmiech wyciskać z nich niczym wodę z prania. We własnej chacie Elisabeth z uśmiechem zamykała oczy i była szczęśliwa. Mimo to jednak ciągłe odrzucanie ich zaproszeń sprawiło, iż czasem czuła się samotna, zwłaszcza że w końcu przestały ją zapraszać. Jean-Claude był często nieobecny. Pomimo małych ogródków uprawianych przez żony, choć z wyraźną niechęcią, osada nie produkowała prawie nic na własne potrzeby i do jego obowiązków należało zadbanie o taką ilość żywności, by wystarczyło na zimowe miesiące. W tym celu odbywał podróże nie tylko do sąsiadujących z nimi plemion, ale czasem nawet do hiszpańskiego fortu w Pensacoli.

Podczas jego nieobecności Elisabeth z początku nie robiła nic. Przechadzała się po osadzie i wzdłuż rzeki albo po prostu leżała na łóżku z rozrzuconymi rękami i nogami, pogrążając się w rozkosznych wspomnieniach. Kiedyś wyjęła ze skrzyni tomik poezji i próbowała czytać, ale jej oczy uciekały na boki, a ciało napawało się własną poezją. Odłożyła książkę i stwierdziła, że

Jean-Claude miał rację — książki stanowiły pocieszenie dla tych, którzy nie mieli własnego życia.

Dni jednak były długie i beczynność zaczęła jej doskwierać. Zrobiła się niespokojna, a od tęsknoty za nim mrowiły ją koniuszki palców. Pewnego popołudnia zasnęła na chwilę; pomiędzy snem a przebudzeniem dopadł ją lęk — zobaczyła go chorego, z bladą twarzą lśniąca od potu, zobaczyła, jak napadają go dzicy, jak jego czerwona krew sączy się do mętnej, żółtej wody rzeki.

Wstała i chociaż była to najgorętsza pora dnia, rozpałała ogień i wetknęła w niego kawał żelaza, by się rozgrzał, a sama pozbierała wszystkie męzowskie koszule i chustki do koszyka. Pachniały powietrzem, liśćmi krzewu, na którym się suszyły, i leciutko nim samym. Położyła na stole deskę, przedtem owinąwszy ją w płótno, sięgnęła po pierwszą koszulę, chwyciła gorące żelazo i z całej siły przesunęła nim po zagniecieniach tkaniny. Włosy przylepiły się jej do głowy, a pod pachami pojawiły się ciemne plamy potu, mimo to biegała niestrudzenie między ogniem a deską, czekając niecierpliwie za każdym razem, aż żelazo znów się nagrzej. Wieczorem, kiedy zmierzch przyniósł lekkie ochłodzenie, położyła dłoń na stosie wyprasowanych ubrań i po raz pierwszy od wielu dni poczuła jego bliskość. Wtedy wiedziała, że niebawem wróci.

Od tego dnia weszło jej w zwyczaj przygotowywanie się do jego powrotu. Codziennie starannie zamiatała chatę i szorowała stół piaskiem, przewracała materace wypełnione suszonym mchem i rozkładała na nich zielononiebieską kołdrę. Zbierała kwiaty rosnące na obrzeżach osady i układała je w glinianym garnku zrobionym przez dzikich, zdobnym w koła i spirale. Wyprosiła, kupiła lub zamieniła na coś innego sadzonki i nasiona do ogrodu, w którym kłęcząc, wrywała chwasty i starannie ugniatała wilgotną ziemię wokół świeżo posadzonych i zasianych roślin. Wczesnie rano, gdy się dopiero rozwidniało, szła na targ, gdzie

za pomocą niezręcznych gestów uczyła się od tubylczych kobiet, jak przechowywać fasolę w glinianych garnkach lub jak piec mięso, by było miękkie. Wymieniła swój koronkowy kołnierzyk na kilka koszyków brzoskwiń, śliwek, dzikich jabłek i brusznic, które uwielbiał, i spędzała czas przy kuchni, robiąc przetwory i zalepiając słoje parafiną.

Robiła też z niej lampki, gotując jagody w gorącej wodzie, aż bładozielony wosk wypływał na powierzchnię, napełniając pomieszczenie słodkim zapachem. Były to nużące prace, ale była w nich i magia: każda butelka, którą napełniała dla niego, każda postawiona na półce lampka stanowiły ogniwo łańcucha łączącego ich, a każde dodatkowe ogniwo wzmacniało ten łańcuch, który miał go przyciągnąć do domu.

Tym razem Jean-Claude przebywał z dala od domu przez wiele tygodni. Kiedy wreszcie wrócił, załomotał pięściami w drzwi i zawołał, a ujrzawszy go, prawie się rozpłakała z radości.

Później zwinęła się w kłębek z dłońmi na jego piersi i z zamkniętymi oczami wdychała głęboko jego zapach, podczas gdy on opowiadał o miejscach, w których był, i dziwacznych obyczajach dzikusów, których był świadkiem. Opowiadał, jak plemię Pasagoula rozsmakowało się w brandy i o wodzu Tunica, który zawsze nosił srebrny medal na błękitnej wstędze i laskę ze złotą główką, przysłaną mu przez samego króla Francji. Lud Tunica, mówił, hoduje mnóstwo ptactwa, ale go nie jedzą, więc kiedy zwrócił się do wodza z prośbą o sprzedanie mu ptaków, musiał udawać, że będą trzymane jako ulubieńcy domowi.

— Może powinienem dotrzymać słowa? — zastanawiał się, z ustami tak blisko jej ust, że ledwo mogła się powstrzymać, by ich nie pocałować. — Przywieźć je tu i trzymać w domu? Wiem, jak lubisz towarzystwo kur.

Elisabeth roześmiała się, obejmując go.

— Och, tak za tobą tęskniłam — wymruczała.

— Ty szachrajko o słodkim języczku! — Pocałował ją w czoło, łaskocząc jednocześnie brodą w nos. — Pewnie nie pomyślałaś o mnie ani razu, odkąd wyjechałem, aż do teraz, kiedy jestem z tobą w łóżku.

— To prawda — przytaknęła Elisabeth. — Całe szczęście, że składzik na drewno jest pusty, bo gdzie bym schowała starego Grapalierea i jego spodnie, kiedy wracasz tak niespodziewanie!

Jean-Claude roześmiał się i wtulił twarz w jej szyję, przysuwając się tak, by poczuła, jak jego ciało pożąda jej. Bardzo go podniecało, kiedy mówiła takie rzeczy. Elisabeth była jednak zadowolona, że nie odpłacał się jej pięknym za nadobne. Lęk wciąż gościł się gdzieś w jej wnętrzu, trzymając się jej uparcie jak cień. Nie mogła się pozbyć tego uczucia i czasem chciała, żeby on też się chwilami bał.

Podniósł głowę, rozchylił językiem jej wargi i pocałował. Zamknęła oczy, zatapiając się w jego ciepłe. Kiedy skończył ją całować, oparł się na łokciu i wpatrywał się w nią, trzymając dłoń na jej brzuchu. Uśmiechnęła się trochę nieprzytomnie, znów zapamiętując złote plamki na jego szarozielonych oczach. Przelotnie musnęła ustami jej czoło, po czym nagle usiadł i spuścił stopy na podłogę. Zimne powietrze owiało jego skórę i gdy sięgnął po spodnie, poczuł pierwszy podmuch zimy. Westchnął i wstał.

— Muszę wyjść — oznajmił.

— Teraz? Przecież dopiero przyjechałeś.

Wzruszył ramionami, wciągając koszulę odwrócony do niej tyłem.

— Mam interesy w tawernie.

— Dziś wieczorem? — spróbowała się zaśmiać. — Chyba nie czekają na ciebie?

— Przeciwnie, powinienem być pójsć tam od razu. Gdzie moje buty?

Dopinając guziki spodni, przechylił się i krótko pocałował ją w usta.

— Nie czekaj z kolacją, zjem w tawernie.

— Ale mam dla ciebie mięso. I brusznice.

— Nic im się nie stanie.

— Nie idź — błagała, nie starając się nawet ukryć żalu. Wyciągnęła ręce, by objąć go za szyję i poczuła, jak zadrgały jego mięśnie, gdy pochylił się po upuszczoną chustkę. — Proszę. Nie dziś.

— Daj spokój — powiedział z krzywym uśmiechem, uwalniając się z jej objęć. Wyprostował się i zaczął wiązać chustkę. — Tygodniami miałś spokój od cuchnącego męża, który płacze się po domu. Myślisz, że uwierzę, iż nie jest ci trochę smutno, że wróciłem?

Oczy Elisabeth się rozszerzyły.

— Jak możesz być tak okrutny? Cały czas tylko czekałam, aż wrócisz. Bez ciebie jestem... jestem niczym!

Jego palce znieruchomiały. Spojrzał na nią, a uśmiech na jego twarzy zmienił się w grymas, od którego poczuła gęsią skórkę.

— Idę tylko do tawerny, Elisabeth — rzekł lodowatym tonem. — Nie wyjeżdżam do Nowej Francji.

— Ja... wybacz mi — spróbowała się uśmiechnąć. — Spędzałam za dużo czasu z innymi żonami i pewnie przez to nauczyłam się zrzędzić.

Jean-Claude potrząsnął głową i przewrócił oczami. Serce Elisabeth ścisnęło się.

— Więc oducz się czym prędzej albo, jak mi Bóg miły, jeszcze dziś popłynę z powrotem w górę St Louis i schronię się u dzikich! — Zaśmiał się cicho, nosowo, dotykając ustami jej czoła. — Wierz mi, mężczyzny nie może spotkać większe nie-szczęście niż żona sekutnica.

Pierwsze dni listopada przyniosły silny wiatr i deszcz. Elisabeth była w pełni szczęśliwa. Zimą rzeka zamarzała w górnym biegu i mężczyźni nie mogli odbywać długich wypraw na północ. Zamiast tego poświęcali zimowe miesiące na naprawy w obejściu, plany i przygotowania na wiosnę. Chata była go pełna, płaszcz i buty rzucone byle gdzie, tłuste ślady na drewnianym talerzu, z którego jadł śniadanie, wgłębienie na wypchanej mchem poduszce, gdzie leżała jego głowa. Zadziwiła ją przyjemność, jaką czerpała z dbania o niego.

Nie tylko Elisabeth cieszyła się z nadejścia zimy. Rzeźkie powietrze poprawiało nastrój, obniżony przez miesiące duszącego upału i wilgoci, a także przegoniło przeklęte komary. Magazyny z żywnością były pełne po brzegi, a las dawał drewno na opał. Osadnicy zgodnie twierdzili, że odrobina francuskiej pogody nie zaszkodzi. Jednak radość trwała krótko.

Owa zima przed nadejściem roku 1709 była najsurowsza od wielu lat. Nawet wyładowane półki w spiżarni Elisabeth opustoszały. W magazynach było coraz mniej żywności, aż wreszcie w lutym skończyła się zupełnie. Zarządca wysłał ekspedycję do pobliskich wiosek, ale dzicy sami mieli mało jedzenia, więc mężczyźni wrócili z mniej niż jedną czwartą spodziewanych produktów. Mięsa prawie nie było; króliki pojawiały się bardzo rzadko, jelenie jeszcze rzadziej. Mężczyźni polowali na wychudzone

wiewiórki i odrywali kawałki mięsa od kości zębami, podczas gdy kobiety wędrowały po pobliskich bagnach i lasach w poszukiwaniu żołądździ i jadalnych korzeni.

Garnizon zamknięto i nieżonaci żołnierze znów musieli przekupywać tubylców. Jedyny, który osiągał jako takie dochody, był Burelle, właściciel tawerny. Kukurydziane piwo warzone przez tubylców nie było tak mocne i aromatyczne jak francuskie wino, ale dawało się nim przynajmniej zagłuszyć kęsający głód. Dębowa skrzynia stojąca przy kominku w skromnym mieszkaniu Burelle'a pełna była pocerowanych pończoch i wypłowiałych jedwabnych wstążek.

W tak małej osadzie trudno było utrzymać cokolwiek w sekrecie. Głód wyostrzał oczy i języki. Marie-Françoise de Boisrenaud oskarżyła Renée Gilbert, że ta weszła do jej spiżarni pod pretekstem zwrotu talerza i ukradła garść orzechów. Perrine Roussel niemal pobiła się z żoną cieśli o szczurzej twarzy o sprawiedliwy podział małej kępkę grzybów, która rosła wśród korzeni orzecha włoskiego na skraju lasu. Jean-Claude kazał Elisabeth nasolić mięso, które przyniósł po ciemku, i włożyć do beczki, którą ukrył za stosem drewna w szopie.

— Jak, na Boga, ci się udało? — spytała z okrągłymi ze zdumienia oczami, gdy pierwszy raz przyniósł ociekający krwią połów dzicyzny — Przecież nie ma jeleni.

— Jelenie zawsze są dla myśliwego, który wie, w którą stronę skierować muszkiet.

— Ale aż tyle! A co z innymi?

— Jeżeli innym brakuje mięsa, niech myślą, jak je zdobyć. Mądry myśliwy poluje sam. Sama widzisz, ty, ja i królewska uczta. Cóż więcej nam potrzeba?

Dotknęła mięsa, myśląc o innych żonach. Niech ich mężowie przynoszą im mięso, pomyślała, jeśli im zależy. Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała. Smakował tytoniem i whisky.

— Mięso — wymamrotała. — Jesteś cudotwórcą.

Gospodarowała oszczędnie, więc wystarczyło na długo. Worki z ziarnem ułożyli za łóżkiem, owijając je skórami dla ochrony przed myszami. Nie pytała, skąd ziarno pochodzi, lecz odmierzała je starannie, po pół kubka, sprawdzając potem, czy coś nie spadło na podłogę. Kiedyś usłyszała kroki na ścieżce przed domem i zamarła na kolanach, zaciskając pięści na złotych ziarenkach, jakby to była kontrabanda. Jedli po ciemku, przy oknie zasłoniętym starym kocem, nabierając gęsty sos łyżkami w dogasającym świetle kominka.

Rzeka była zamarznięta powyżej pomalowanego na czerwono słupa, który oznaczał granicę między terytorium Ouma a ich sąsiadami od północy, plemieniem Bayagoula. Nie dało się podróżować ku północy. Krążyły plotki, że Czikasawowie, podburzeni przez Anglików i w zмовie z kilkoma innymi mniejszymi plemionami, zamierzają zaatakować osłabiony garnizon, jednak nic takiego nie nastąpiło. Osada zamknęła się w sobie, wycieńczona zimnem i głodem, chłostana porywami północnego wiatru i krzykami samotnych morskich ptaków na ołowianoszarym niebie. Worki z ziarnem stawały się coraz chudsze. Elisabeth widziała ściągnięte, szare twarze sąsiadek, które w mroźne poranki, gdy wilgotny chłód przenikał wszystko, męczyły się przy rąbaniu drewna i noszeniu wody. Dwie czy trzy były w zaawansowanej ciąży. Zakryła głowę połataną chustą i unikała ich wzroku, mamrocząc zdawkowe uprzejmości wargami wykrzywionymi ze wstydu, kryjąc wściekłość, którą odczuwała z powodu ich pożałowania godnej kondycji.

Czasem szła z nimi do lasu w poszukiwaniu pożywienia. Mało się odżywały, osłabione głodem i zmęczeniem. Kiedy znalazła garstkę późnych, kwaśnych owoców morwy albo kępkę zwiedłych dzikich cebul, brała tylko kilka, a resztę wręczała pozostałym, protestując przeciwko wyrażanej wdzięczności.

Później, gdy znów była sama w swojej chacie, wyciągała worek ukryty za łóżkiem i przesypywała pozostałe ziarno przez palce, wdychając jego zapach, zanim odłożyła go z powrotem, ciasno owijając skórą, jak gdyby układała niemowlę w łóżeczku.

Pewnej marcowej nocy Jean-Claude przyniósł wino. Wypili je w łóżku prosto z butelki, wycierając wargi wierzchem dłoni. Było to wino hiszpańskie, gęste od słonecznego blasku i ziemistej słodyczy jeżyn. Blask węgielków na palenisku odbijał się w butelce, rzucając klejnoty ciemnoczerwonego światła na zielony jedwab kołdry, a on skarżył się na ograniczenia życia w osadzie i na monotonne zajęcia, którymi parali się tu inni mężczyźni. Stwierdził, że nużą go polityczne posunięcia oficerów garnizonu, ich rywalizacja oraz zabiegi o przywileje i stanowiska.

— Gniją tu ze swoimi pieczęciami i obietnicami, wypatrują na horyzoncie łodzi, które przyniosą im pochwałę od wice-wice-wiceministra tego czy trzeciego podasyntenta komisarza tamtego. Żałośni są ci twoi Francuzi. Kolonia Luizjana obejmuje prawie dwa tysiące mil przepięknej rzeki St Louis, a oni siedzą tu jak dzieci trzymające się matczynej spódnicy i czekające, żeby wyliżać miskę po cieście! Nic dziwnego, że ich żony i dzieci głodują.

— Rzeka jest zamarznięta — zaprotestowała Elisabeth łagodnie. — Nawet najtwardszy śmiałek nie zdoła podróżować w takich warunkach.

— A wiesz, co robią ci twoi rodacy? — Jean-Claude zmarszczył czoło i pociągnął kolejny łyk wina. — Piszą gniewne listy do Ministerstwa Morskiego, oskarżając de Bienville'a, że sprzedał Hiszpanom za złoto pięćdziesiąt baryłek najlepszego prochu. Może tak było, a może nie, ale kolonia żyje, a ten minister w swoim eleganckim domu w Paryżu nie ruszyłby małym palcem, żeby ją ratować. Cała armia Luizjany ma niewiele ponad stu żołnierzy, z czego jedna czwarta nie nadaje się do walki, ale jakoś mimo wszystko zarządcy udaje się utrzymać nasze pozycje. Walczymy

z Hiszpanami w Europie, ale tutaj chroni nas prywatny pokój z Pensacolą. Dzięki niemu jesteśmy bezpieczni. Co mnie obchodzi, że szanowny de Bienville wzbogacił się na sprzedaży prochu, którego na szczęście nie potrzebujemy?

— Nie możesz oczekiwać, żeby komisarz podzielał twój punkt widzenia — uśmiechnęła się Elisabeth. — Podobnie jak ty, podziwiam zarządcę, niemniej proch nie jest jego prywatną własnością.

— No widzisz, jesteś tak samo francuska jak reszta. Wydaje się wam, że możecie tu zaprowadzić paryskie porządki, ale tu nie Paryż. Ci twoi Francuzi piszą wściekłe listy na oficjalnym papierze i tupią nogami, a jak te listy mają dotrzeć do Francji, skoro nie pływają statki?

— Prawda, są idiotami.

— Lepiej by też sprzedali ten papier i atrament. Przynajmniej byłby z tego jakiś zysk.

— Nie przekonują mnie twe cyniczne argumenty. Nie jesteś nawet w połowie takim Diogenesem, jakiego udajesz.

Elisabeth przeciągnęła się leniwie, kładąc ramiona nad głową. Jean-Claude złapał jej nadgarstki jedną ręką, a drugą sięgnął pod spódnicę. Elisabeth westchnęła, przytulając się do niego.

— Wy, paryżanie, jesteście wszyscy tacy sami — zamruczał. — Mógłbym bronić się przed twoimi oskarżeniami, ale najpierw musiałbym wiedzieć, o czym mówisz.

Elisabeth roześmiała się i ujęła jego głowę w dłonie, odwracając twarz w swoją stronę. Uśmiechnął się do niej i szczęście po raz kolejny przepełniło jej serce.

— Kochany — wyszeptła — nigdy nie będziesz musiał bronić się przede mną. Nawet jeśli będziesz żyć sto lat.

Miesiące mijały i nadeszła wiosna, a z nią wrócili rodacy chłopca. Ze swej kryjówki w trzcinach chłopiec i pies przyglądali się, jak wchodzili pod górę w towarzystwie tubylca, jeden wysoki, a drugi niski. Nie znał ich, ale nie byli żołnierzami; wyższy, chudy, nosił biały kołnierz typowy dla ludzi Kościoła, a prawą rękę miał na prymitywnym temblaku. Szedł, utykając i opędzając się od propozycji pomocy składanych przez jego mocno zbudowanego towarzysza o jasnych włosach. Za nimi podążał sługa obwieszony torbami i workami, na głowie dźwigając jeszcze małą drewnianą skrzynkę. Przed palisadą powitali ich starsi wioski z fajką pokoju. August widział, jak jasnowłosy przemawiał do nich gwałtownie, wymachując rękami.

Wyśliznął się bezszelestnie z trzciny, z równie cichym psem u nogi, i pobiegł na skraj lasu, gdzie dzicy ścinali drzewa. Odpiął toporek od pasa, sprawdzając jego ostrość kciukiem. Nie zwracał uwagi na stukanie dzięcioła z czerwoną czapeczką ani na kolorowego kolibra, który przemknął między dzwoneczkowatymi białymi kwiatami. Rąbał drzewo, aż zamglone słońce znalazło się wysoko na niebie, a nerwy jego szyi i pleców zaprotestowały przeciwko wysiłkowi.

Gdy wrócił do wioski, było już ciemno. Zasiadłszy z innymi do posiłku, dowiedział się, że gość był księdzem z misji znajdującej się wiele dni podróży w górę rzeki. Był już kiedyś w wiosce

i opowiadał mieszkańcom o Wielkim Nanboulou białych ludzi, który był bezcielesny i w którego ogniu grzesznicy mieli płonąć przez wiele, wiele księżyków. Twierdził, że został wybrany przez Nanboulou jako jego prawa ręka na ziemi, ale wyglądało na to, że nie potrafił użyć potęgi swego boga, by wypędzić nękające go złe duchy. Chory i słaby przyjechał do Mobile do bladego lekarza, którego umiejętności mogły okazać się przydatne.

Zgodnie ze zwyczajem wódz ugościł księdza i jego towarzysza we własnej chacie. Kiedy ksiądz dowiedział się, że wśród dzikich żyje francuski chłopiec, poprosił, aby przysłano go do niego, żeby mógł zrelacjonować jego postępy dowódcy w Mobile.

Na progu chaty wodza August się zawahał. Tylko starszym wioski wolno było wchodzić do chaty wodza bez wyraźnego wezwania. Ostrożnie zajrzał do wewnątrz. Na środku płonęła trzciniowa pochodnia grubości ciała dziecka, której czarny dym ulatywał do góry. Srebrnowłosey ksiądz siedział sztywno na deskach oparty o swoją drewnianą skrzynkę i z książką na kolanach. Po drugiej stronie jego towarzysz leżał na brzuchu, dłubiąc w zębach zaostrozonym patyczkiem. Przez dziurę w jego pończosze wystawała pokryta odciskami pięta.

Ksiądz podniósł wzrok znad książki.

— Aha — rzekł, kiwając głową. — Wejdz, wejdz.

Po miesiącach słuchania tylko mowy dzikusów francuskie słowa zaskoczyły go. August posłusznie wszedł. Zobaczył, że lewe ucho misjonarza było poszarpane, policzek pokryty ledwo zagojonymi szramami, a tkanina, która obwiązano ramię, była pobrudzona zaschniętą krwią.

— Masz jakieś wieści dla garnizonu, chłopcze? — Ksiądz poruszył ramieniem i po twarzy przebiegł mu grymas bólu. — Cokolwiek, o czym dowódca powinien wiedzieć?

August znów się zawahał.

— W czasie pierwszych żniw wojownicy Tunica porwali dwie kobiety i uwięzili je — powiedział wolno, szukając w myśli odpowiednich francuskich słów. — Ouma najechali ich wioską i rozbili im głowy.

— Czyli zwykłe awantury dzikich. A Anglicy? Widziałeś jakiegoś białego?

— Nie, panie. Wy jesteście pierwsi.

— Tak? — Ksiądz w zamyśleniu zmierzył Auguste'a wzrokiem. — Porozmawiajmy więc przez chwilę. Jestem ojciec Jouveta, może słyszałeś o mojej misji w Nassitoches?

August potrząsnął głową. Ksiądz zacisnął wargi w cienką linię.

— Jak sobie tu radzisz, chłopcze? Dogadujesz się z dzikimi?

August wzruszył ramionami.

— Nie bardzo rozmowny. Ale nauczyłeś się ich języka, prawda?

Ton głosu księdza był uprzejmy, ale chłopiec zauważył, jak zbłądły mu nozdrza, a dłonie zacisnęły się na kolanach. Nie miało sensu irytowanie go.

— Staram się słuchać — rzekł August powoli. — I patrzeć.

— To dobrze, dobrze. Nie da się ucywilizować tych dzikusów, dopóki się ich nie pozna. Trzeba poznać ich język, jeść z nimi...

— Jedzenie jest dobre.

Ksiądz zmarszczył czoło. Nadal trzymał dłonie na kolanach, lekko pocierając palcem wskazującym o kciuk.

— Wiesz, skąd się wzięły moje rany? Młody wojownik z mojej misji chciał, żeby jego wuja pogrzebano w kościele, choć ten za życia ani razu nie przestąpił jego progów. Kiedy odmówiłem, zaatakował mnie z łuku. Jedna strzała trafiła w ucho, druga w ra-

mię. Próbowałem ją wyciągnąć, ale złamała mi się w ręce, a grot utkwiał w mięśniach. Jest tam nadal.

Auguste pomyślał o jeleniu, którego upolował w zeszłym tygodniu. W miejscu, gdzie strzała weszła w bark zwierzęcia, widać było potraskane kości, jak rybie zęby.

— Modlisz się do Boga? — spytał ksiądz.

Chłopiec z wahaniem zaprzeczył.

— Nie, ojcie — odparł. — Tu nie ma kościoła.

— Może jeszcze nie ma — powiedział ksiądz — ale będzie. Wzniesiemy kościoły wszędzie w tym bezbożnym kraju. Ale na razie musisz czcić Boga w świątyni swego serca. W tej dziczy łatwo zejść ze ścieżki cnoty, ale zapamiętaj: biały człowiek, który odwraca się od Boga, jest nie lepszy od tych dzikusów, którzy czczą bożków. Idź drogą Boga, nie naśluduj innych ludzi — ksiądz urwał, a jego ramionami wstrząsnął kaszel. Przyzwał Augustea gestem, próbując się opanować. — Podaj mi wodę, proszę — wychrypiał. — Na ziemi, w butelce.

Szczecina na brodzie księdza lśniła bielą na tle poszarzałej skóry. Auguste ukucnął tak, jak robili to dzicy. Przy siedzisku księdza istotnie stała skórzana, bardzo zniszczona manierka. Obok leżał otwarty skórzany woreczek, w którego ciemnym wnętrzu błyskały kosztowności. Płomień pochodni oświetlił matowy blask cyzelowanego złota zdobiącego grzbiet podniszczonej książki. Trochę głębiej połyskiwało szkło. Auguste'a zaświerbiły koniuszki palców. Kciukami wyciągnął korek z szyjki butelki i podał ją księdzu, który napił się łapczywie, przymykając oczy.

— Nauczyłem się od Ouma wielu rzeczy — powiedział Auguste cicho, wykonując gładki, półokrągły zamach ramieniem jak przy podnoszeniu łuku. — O zwierzętach i ptakach. I o roślinach.

Ksiądz opuścił manierkę i wytarł usta wierzchem dłoni. Ge-

stem poprosił Auguste'a, by odstawił ją na miejsce. Chłopiec niespiesznie wyjął ręce z kieszeni. Butelka była ciepła. August wcisnął korek na miejsce i włożył butelkę do woreczka.

— Plemię Nassitoches czci symbole męskiego członka — odezwał się ksiądz. — Ale Boga nie zasmucają nawet najbardziej dzicy. Dzicy są nieokrzesanymi poganami, ale pozostała w nich resztką czasu stworzenia, kiedy Adam i Ewa nie wstydzili się nagości. Biały człowiek mimo że zna boskie przykazania, łamie je codziennie, pijąc, oddając się hazardowi czy cudzołóstwu. Dlaczego tam kucasz? Wstań, żebym mógł cię zobaczyć.

August wstał, nadal trzymając ręce w kieszeniach.

— To mądre słowa, ojcze — wymamrotał.

— Twój płaszcz jest za mały. Stałeś się mężczyzną.

August znów wzruszył ramionami. Ksiądz opuścił dłoń na kolana.

— Wojownik, który mnie zaatakował, uczynił tak, bo nie mógł znieść myśli, że jego wuj nie zazna rozkoszy błogosławionego królestwa niebieskiego — powiedział cicho. — Taka myśl nie przeszłaby przez głowę żadnemu z tych kanadyjskich awanturników. Czy chcesz, abym wysłuchał twojej spowiedzi?

August rzucił tęskne spojrzenie w kierunku drzwi, gdzie czekał na niego pies, majacząc w półmroku. Wreszcie wyjąwszy ręce z kieszeni, wymruczał coś o obmawianiu innych i picciu brandy. Ksiądz zadał mu pokutę i uniósł dłoń, czyniąc w powietrzu znak krzyża.

— Panie, pobłogosław swego skromnego sługę. Obdarz go żelazną wolą, by wyciął grzech jak wrzód ze swego serca, i daj mu do ręki tarczę cnoty, by mógł być żołnierzem w służbie Twego imienia. Amen.

Po wielu miesiącach do Ouma dotarła wiadomość, że ksiądz zmarł w Mobile. August przyjął to z przelotną przykrością i znacznie większą ulgą. Ouma rozpalali ogień, pocierając ener-

gicznie w dłoniach suchy kijek umieszczony w wydrążonym kawałku drewna, jakby chcieli spenić mleko na napój czekoladowy; bał się, że do misji w Nassitoches mogą dojść słuchy o francuskim chłopcu, który na życzenie przyzywa słoneczny ogień.

Całymi tygodniami po odjeździe księdza martwił się, że ksiądz zauważy brak szkiełka i wróci po nie. Na wszelki wypadek przygotował historyjkę, że znalazł je w błocie i zabrał, by przechować, aż się zgłosi właściciel. Ksiądz jednak nie wrócił. Gdy księżyc zaczął iść ku pełni, chłopiec zwołał dzikich, by pokazać im cud. Ponieważ zwykle starał się nie zwracać na siebie uwagi, zaciekawieni Ouma usiedli dookoła chłopca i jego psa. August umieścił trochę hubki na kawałeczku drewna, po czym z jednej kieszeni wyjął ukradzione szkiełko, a z drugiej niewielki słoik. Uniósł dłoń, prosząc o ciszę. Teatralnym gestem sięgnął do słoika i nasypał szczyptę jego zawartości na szkiełko; koncentrując szkło na drewnienku, wypowiedział słowa przyzywające ogień. Po krótkiej chwili hubka zaczęła się tlić. August lekko dmuchnął i ogień rozpalił się jasnopomarańczowym płomieniem. Dzicy nie kryli zdumienia i oszołomienia; jak dzieci domagali się, by pokazał sztuczkę raz jeszcze. August powtórzył ją czterokrotnie i za każdym razem dzicy wydawali okrzyk, mrugając i gapiąc się to na twarz chłopca, to na płonąący ogień. Kiedy wręczył im szkiełko do obejrzenia, patrzyli nieufnie, jakby bali się, że wyrządzi im krzywdę.

Później tego samego dnia wódz Ouma wezwał Auguste'a i zażądał szkiełka. zaproponował korzystną wymianę, lecz Auguste odmówił. Wódz zaprotestował i nawet zniżył się do prośb. Gdyby August pokazał mu, jak działa ta magia, mógłby ogłosić, że instrument jest bezcenny i nałożyć obowiązek płacenia na każdą rodzinę w wiosce. August zamilkł na chwilę. Potem poważnym głosem oznajmił wodzowi, że to, o co prosi, jest niemożliwe. Szkiełko należało do jego wuja, jedyne go brata jego

matki, który od dawna nie żył. Od lat August próbował użyć go do przyzwania ognia, lecz bezskutecznie, i nawet pomyślał, że przedmiot jest bezużyteczny. Jednak kilka nocy temu wuj pojawił się w jego śnie i zdradził chłopcu sekret używania szkiełka. Potem ujął jego dłoń w ręce i poprosił, by ten przysiągł, że nigdy się z nim nie rozstanie. August nie mógł nie dotrzymać obietnicy, zachowa więc szkiełko, ale dopóki mieszka w wiosce, będzie za jego pomocą przyzywał ogień, kiedy tylko mieszkańcy będą tego chcieli. W zamian nie prosi o nic poza tym, by darzyli go taką życzliwością jak dotychczas.

Magiczne szkiełko na zawsze zmieniło pozycję Auguste'a wśród dzikich. Władający tajemniczymi mocami, nieprzystępny, pełen rezerwy, o skromnych wymaganiach, był niepodobny do żadnego z białych, jakich dzikim zdarzyło się kiedykolwiek spotkać. Z nadejściem drugiej, a potem trzeciej zimy miał już ugruntowaną opinię człowieka, który posiadał mądrość i wiedzę. Urósł, choć jego ciało nadal było wątłe i chude, a chłopięcy głos łamał się i pękał jak skorupka orzecha. Jego reputację wzmacniała niechęć do odzywiania się.

Dowódca nie wrócił. Nadeszła za to odwilż i znów ruszył handel rzeczny. W wiosce pojawił się kanadyjski podporucznik szukający młodego Francuza z żółtym psem, przed którym lud Ouma odczuwał lęk i respekt.

Dziecko urodziło się w maju. Trwała pora deszczowa; niebo wisiało nad Mobile jak mokry materac, domy położone na niższych terenach były zalane. Wilgoć wciskała się między bale chat i rozpuszczała mieszaninę gliny i startych muszli, która je spajała. Nic nie schło. W ogrodzie Elisabeth dynie nabrzmiały od wody, liście tonęły w błocie. Wszędzie niósł się odór zgnilizny. Jean-Claude'a nie było w Mobile już prawie dwa miesiące.

Dopiero zaczęła wychodzić z domu. Choroba trwała długo, a krwawienie wciąż nie ustawało. Miała gorączkę, która spowodowała zatrucie krwi — efekt ciągłego deszczu, przenikliwej wilgoci w gęstym powietrzu. W gorączce miała niespokojne sny, w których ciągle odwijala mięso, otwierała worki ziarna spod łóżka, mieszała potrawkę w garnku nad ogniem, wpychała jedzenie rękami do ust i jadła, jadła, jadła, aż jej brzuch nabrzmiął, a skóra zaczęła pękać. Kiedy się budziła, widziała je, twarze innych żon przyciśnięte do płótna w oknie. Przynosiły jej w garnuszkach groch i papkę z sagowca*, ale odmawiała; odchodziły wtedy urażone, mrużąc o grzechu fałszywej pychy. Elisabeth leżała na wznak, wpatrując się w liście palmowe tworzące dach, aż ich wzór zaczynał powtarzać się nawet pod zamkniętymi powiekami.

* **Drzewo podobne do palmy.**

Często przychodziła położna, chętna, by otrzymać swą roczną zapłatę, którą dowódca miał zamiar zmniejszyć. Energiczna kobieta o czerwonych dłoniach i ostrym podbródku, Guillemette le Bras pojawiła się w osadzie, kiedy poprzednią akuszerkę zmoęła letnia epidemia, ale przez dwa lata urodziło się zaledwie pięcioro dzieci. Nikt nie wiedział, dlaczego aż tyle kobiet wydaje się bezpłodnymi. Niektórzy przypisywali to niezdrawemu klimatowi Luizjany, gdzie psuła się nawet mąka, a wino kwaśniało. Inni twierdzili, że szacowny minister, który przysłał tu dziewczęta, wiedział już w Rochefort, czego im brakuje, i dlatego właśnie się ich pozbył.

Pojawiał się też nowy ksiądz, bezceremonialnie wchodząc i zajmując stołek w nogach łóżka. Rochon był Kanadyjczykiem, który ukończył seminarium jezuickie w Quebecu. Był mężczyzną raczej wielkiej wiary niż postury, o przyjemnym usposobieniu, którego nie złamały jeszcze ciągłe deszcze i otaczający go ludzie o ściągniętych twarzach. Milczenie Elisabeth też go nie zniechęcało. Zaplótł dłonie na okrągłym brzuchu i przyglądał się jej w zamyśleniu.

— Więc jesteś wykształcona — odezwał się.

Elisabeth z wysiłkiem podniosła głowę i spojrzała na księdza, gdyż w jego głosie nie było szyderstwa.

— A ja jestem nieznośnym słuchaczem seminarium — ciągnął.

Elisabeth zamrugała i wcisnęła łokcie w swój pusty brzuch. Ksiądz nie kpił z niej, a jego francuska wymowa, płaska i pełna końcówek, przypominała sposób mówienia jej męża.

— Chyba już nie — wymamrotała.

— Łatki, które nam przypinają, trzymają się długo.

Oboje zamilkli pogrążeni we własnych myślach.

— Nie jesteś podobna do innych kobiet tutaj — odezwał się wreszcie zakonnik.

— Nie lubią mnie. — Przełknęła ślinę. — Wcale ich za to nie winię.

Jezuita wzruszył radośnie ramionami.

— Żołnierze na posterunku też mnie nie lubią. Ale może z czasem ludzie przekonają się do nas. — Uśmiechnął się, rozglądając po chacie. — A gdzie książki?

Elisabeth z wahaniem potrząsnęła głową.

— Sądzę, że pewnego dnia będziemy mieli książki w Mobile. Szpital, kościół, przyzwoitą piekarnię. Choć niełatwo to sobie wyobrazić.

Jego życzliwość była nie do zniesienia. Patrzyła w sufit z palmowych liści, podczas gdy zakonnik obserwował ją, przebierając grubymi palcami po wargach.

— To zresztą nie czyni różnicy — odezwał się łagodnie. — No, może piekarnia, ale nie kościół. Sekrety boskich planów nie są łatwiejsze do zrozumienia w rzeźbionych ławkach. A co do książek, nawet najbardziej uczeni spośród nas widzą tylko mgłę. Kościoły i książki nie zastąpią wiary. Musimy pogodzić się z Jego wolą.

— A jeśli nie umiemy?

— Nie pozostaje nam nic innego, jak wypić kieliszek dobrego wina.

W czerwcu Elisabeth była już silniejsza. Wody zalewające ziemię cofnęły się i zmniejszyła się też ciemność w jej duszy. Osada znów miała żywność i nikt nie chciał pamiętać zimy. Wyszorowała całą chatę, wymieniając deski, które zgniły podczas deszczów. W osadzie kupiła wapno z tartych muszli, aby wybielić ściany, i świeże płótno z pokrzyw do okien. Wymyła ozdobny garnek i wstawiła do niego kwitnące trawy. Pracowała też w ogrodzie, kłęcząc w schnącym błocie. Zakonserwowała w butelkach pierwszy, słodko pachnący groszek.

Rochon odwiedzał ją często, czemu była bardzo rada. W ciepłe, błękitne letnie dni, wolna od gorączki, wreszcie mogła spać bez koszmarów. Wiele kobiet w Luizjanie traciło dzieci. Położna wyjaśniła jej, że to wina niezdrowego powietrza, wyziewów z bagna. Elisabeth wiedziała, że to prawda. Tylko jakiś bóg dzikusów mógłby zabić dziecko za karę.

W ogrodzie pracowała ciężko cały czas. Rozchyliwszy liście fasoli, dostrzegła skupione w cieniu dojrzewające strączki. Pochylała się, by sprawdzić, jak rośnie melon o liściach szerszych od jej dłoni. Coś wewnątrz niej szarpało się niecierpliwie. Czekąca, by Jean-Claude wrócił, by mogła pokazać mu, ile zrobiła. Nie chwaliła się księdzu, ale zawsze, gdy nadchodził, wstawiała z kolan, wycierała ręce w fartuch i towarzyszyła mu, gdy posilał się podaną przez nią strawą. Nie ugaszczała tak nikogo innego w Mobile. Rochon był niepodobny do księży, których spotkała wcześniej. Nie prawił kazań, a kiedy chciał powołać się na mądrość innych, cytował raczej poetów niż świętego Pawła. Jego religia była życzliwa, wybacząca błędy innym, choć skrupulatnie spowiadał się ze swoich, śmiejąc się zaraźliwym śmiechem, który zaczynał się dudnieniem w głębi jego baryłkowego brzucha, by wreszcie dotrzeć na usta. Mobile przygnębiało go. Chciał prowadzić misję wśród dzikich, ale de Bienville wciąż odmawiał, tłumacząc, że jezuita jest potrzebny na miejscu. Zmuszony do pobytu w osadzie zakonnik nie czuł się dobrze, przygnieciony z jednej strony błahymi grzeszkami mieszkańców, z drugiej grzmiącą religijnością swego przełożonego. Jediną satysfakcją sprawiała mu szkółka dla dzieci niewolników, gdzie przez godzinę dziennie, po zakończeniu swych obowiązków, uczyły się francuskiego; zakonnikowi udało się przekonać dowódcę, że znając język, będą bardziej przydatni i cenienni jako służba.

— Tu przynajmniej jest ojciec bezpieczny — stwierdziła Elisabeth.

— Statek w porcie też jest bezpieczny, ale nie budujemy statków po to, by stary w porcie.

— Jest ojciec szczęśliwy, znając swój cel w życiu.

— Wiem tylko, że muszę stąd wyjechać, inaczej zacznę gnić od korzeni.

Elisabeth nic nie powiedziała.

— Znasz opis Rabelaisgo *Opactwo Thelemy*? — spytał cicho Rochon. — Główną zasadą Thelemy było: Czyń wedle swej woli. To głęboka prawda. Rabelais był przekonany, że wolny człowiek ma naturalny instynkt czynienia dobra, a odwraca się od zła. Dopiero gdy spętały go nienaturalne statuty i przepisy, zmienił tę szlachetną opinię, gdyż w naturze człowieka leży pożądać tego, czego mieć nie może.

— Dlatego chce ojciec otworzyć tę misję? Bo ojcu zabraniają?

— Nie całkiem, ale owszem, coś w tym jest.

— A kiedy misja powstanie, co wtedy?

— Będę miał wolną rękę, by tego żałować — uśmiechnął się Rochon.

— A dzieci tubylców?

— Nie zostawię ich samym sobie. Znalazłem następcę.

— Czy to la Vente? Biedne dzieci.

— Nie, to ty.

— Ja? Ale...

— Czekanie nie służy żadnemu z nas.

Elisabeth zaczęła więc uczyć dzieci dzikusów podstaw francuskiego, późnymi popołudniami trzy razy w tygodniu. Lekcje prowadziła w chacie przy ulicy d'Iberville. Dzieci posłusznie kucały w dwóch rzędach, dziewczynki po lewej stronie izby, chłopcy po prawej. Nie pytała o ich imiona, ale zapamiętywała twarze. Jeden z chłopców pocierał uchem o ramię, kiedy myślał; najmniejsza z dziewczynek chciała zawsze odezwać się głośniejszym i wcześniej niż reszta. Elisabeth przynosiła swoje oraz pożyczone od sąsiadów

utensylia kuchenne, wskazywała po kolei i podawała francuską nazwę. Dzieci uczyły się chętnie, niektóre były bardzo zdolne. Nauczyły się już mówić „tak”, „nie”, „dziękuję”, „przepraszam”. Nauczyły się też liczyć. Nocami czasem śniła o nich, twarzyczkach w dwóch rzędach, jak młode kapustki, powtarzających słowa po niej czystymi, wysokimi głosikami.

Zasami po lekcji częstowała dzieci cydrem jabłkowym i kawałkami chleba kukurydzianego. Z przyjemnością przyglądała się, jak jedzą z apetytem, szepcząc do siebie i rozglądając się, kiedy myślały, że nie widzi, ale była też zadowolona, gdy sobie szły. Siadała wtedy pochylona do przodu i patrzyła na cienie obejmujące wysokie drzewa, podczas gdy cisza w domu przeciągała się na ubitej ziemi, jakby czekając na powrót kochanka.

Wrócił, kiedy ziemia była już całkiem wyschnięta, a Elisabeth zupełnie zdrowa. Był w dobrym humorze; złapał ją i okręcił, a słońce wlewało się przez otwarte drzwi na ubitą ziemię w chacie. Śmiała się z nim, obejmowała za szyję, prawie płakała ze szczęścia, gdy mocno przytulał ją do siebie. Kiedy dzieci przyszły na lekcję, odeśłała je. Dopiero później, kiedy leżeli ciasno spleceni pod zielononiebieską kołdrą, powiedziała mu o dziecku.

— Ale nie martw się — wymruczała z ustami przy jego ustach. — Mamy czas, a ja jestem już zdrowa, jak widzisz.

— Jak czuję! — Ich języki się zetknęły. Przesunął dłonią po wypukłości jej brzucha. — Miejmy nadzieję, że nie zajdziesz znowu w ciążę zbyt szybko. Robienie dzieci jest znacznie przyjemniejsze niż ich wychowywanie.

Następną ciężę nosiła dłużej. Cały czas była zmęczona i wymiotowała. Jej piersi stwardniały i nabrzmiały, plecy bolały bez przerwy. Nocami czuła, jak dziecko porusza się w niej, dotykając nerwów jak rybka wodorostów w drżącej wodzie. Kładła dłonie na brzuchu i czuła drobne falki opływające napięte ciało. Od jej pępka do włosów łonowych biegła ciemniejąca linia, dzieląca brzuch na pół.

Znów była zima i Jean-Claude spędzał czas w osadzie. Zmęczona wykonywała codzienne obowiązki, skracając lekcje z dziećmi, by mieć czas przygotować mu kolację. Pogoda była dość łagodna, więc żywności nie brakowało jak w poprzednich latach; mimo to jedli jak dawniej, przy zgaszonej lampie i oknie zasłoniętym kocem, w tajemnicy. Ale nie było już tak samo. Jak by się nie starała, nie było tak samo. Jej zmęczenie rozlewało się na całą chatę, godziny ciągnęły się w nieskończoność i kiedy siedzieli obok siebie, robił się niespokojny. Chciała zaproponować, że poczyta coś na głos, ale bała się, by jej nie wyśmiał albo, co gorsza, odezwał się z pogardą. Kiedy kończyli kolację, brał kapelusz i wychodził. Twierdził, że spacer pomaga mu w trawieniu.

Pomiędzy nimi pojawiło się jakieś napięcie. Zdarzało się, że zaczynali mówić jednocześnie i milkli, zachęcając się nawzajem gestami do kontynuowania, co kończyło się ciszą. Patrzyła, jak

chodził po chacie, wzruszając ramionami i marszcząc czoło, jakby przeszkadzał mu ciężar jej spojrzenia. Nie patrzył już, jak się rozbiera, zrzucając znoszone halki, jak to miał dawniej w zwyczaju; sam zdejmował buty i choć czasem jeszcze kochali się, robił to z widocznym wysiłkiem, szybko, z zamkniętymi oczami i twarzą daleką, jakby jej tam w ogóle nie było. Elisabeth trudno było przyznać się do tego nawet przed sobą, ale już go nie chciała. Piżmowy zapach jego potu, skóry i oddechu wzbudzał w niej odrazę. Kiedy jej dotykał, jej ciało było niechętne, uparcie zamknięte. Wkładał język w jej usta, palce między jej uda, wchodził w nią, a ona pozostawała obojętna, niezaangażowana. Pożądanie, głód jego ciała, który przedtem trawił jej krew, zniknęło. Zamykała oczy i czekała, aż wreszcie skończy. Chciała go błagać, by obiecał, że będzie tak jak przedtem, że po narodzinach dziecka wszystko wróci do normy, ale nie odważyła się. Mówienie o tym na głos było przerażające, bo niczego już wtedy nie dałoby się cofnąć. Jej lęk prowokował go; łatwo wpadał w gniew, nudził się życiem w osadzie i niecierpliwie czekał na wiosnę, ale nie był brutalny ani oziębły. Kiedy obejmowała go i przytulała, walczył ze łzami zbyt łatwo napływającymi do oczu, poklepywał ją po plecach i muskał ustami czubek głowy. Był dobrym mężem. Ale czasami, gdy przyglądała mu się, kiedy był tego nieświadomy, widziała, że jego oczy prześlizgują się po niej bez jakiegokolwiek zainteresowania, jak tamtego pierwszego dnia na przystani, kiedy wpatrywał się w inne kobiety. Widziała to i coś wewnątrz niej pękało. Nocami, gdy świecący księżyc rzucał ostre cienie na ziemię w chacie, leżała bezsennie, czując ruchy dziecka, i patrzyła na śpiącego obok. Wyglądał jak zawsze, na zadowolonego, opanowanego, szczęśliwego. Nie mogła sypiać w jego objęciach, jak to mieli w zwyczaju, nie pozwalał na to jej rosnący brzuch.

*

Dziecko urodziło się w marcu, później niż pierwsze, lecz też zbyt wcześnie. Położna natarła je niedźwiedzim sadłem i wpuściła kilka kropel brandy między wargi, ale oddychało za słabo i nie przeżyło nocy.

Gdy świt rozjaśnił niebo, pokropiła dziecko wodą i ochrzciła imieniem Joseph, które nosił jej ojciec. Później wezwała księdza, by odprawił niezbędne sakramenty. Nikt z rodziców chłopca nie był obecny na krótkiej ceremonii; Elisabeth była zbyt słaba, by wstać z łóżka. Łóżysko rozerwało się i położna musiała wyскоbrobywać je po kawałku narzędziem przypominającym zagięte uszko igły, co spowodowało ból i silne krwawienie. Elisabeth leżała z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej, z oczami utkwionymi w ścianę i bólem targającym jej wnętrzności, jakby nadal rodziła. Jean-Claude'a zaś obowiązki wezwały do pilnego wyjazdu.

Mniej niż dwanaście godzin od śmierci dziecka musiał pożegnać żonę. Nie płakała; czarna noc w jej wnętrzu nie pozostawiała miejsca na nic innego. Stał przy jej łóżku z rękami bezwładnie zwieszonymi bo bokach i wydawał się szczuplejszy niż zwykle, jakby mniej rzeczywisty.

— Przepraszam, najdroższy — wyszeptała. — Dziecko... nie powinnam była... to moja wina.

Potrząsnął głową, ściskając nos palcami.

— Nie mów tak — jego głos był zduszony od gniewu. — Nie mów... jesteś silna. Do diabła z dzieckiem, słyszysz?! Do diabła z dzieckiem!

Głos załamał mu się, gdy uklęknął przy łóżku i uderzył pięścią w materac. Kiedy jednak przytuliła go do swego poranionego, delikatnego ciała, nie zaprotestował. Nawet w swym otępieniu wyczuła, że jest od niej zależny i stanowiło to jakieś pocieszenie.

Nie była sama. Nadal odwiedzał ją Rochon. Kobiety, poruszone jej nieszczęściem, też przychodziły, lecz nie wystarczało im siedzieć z nią w milczeniu. Wszystkie były święcie przekonane, że liczne, plotkujące towarzystwo było głównym warunkiem powrotu do zdrowia. Zjawiały się parami, przynosząc smaczne kaski miejscowych nowości, którymi dzieliły się z rekonwalescentką, zamiatając i sprząając. Powietrze gęstniało od opowieści o cenach tłuszczu z niedźwiedzia, o ładnej córeczce Jeanne Deshays i o nagłej śmierci siedmioletniego niewolnika Gabriellea Borreta na skutek gorączki. Rozmawiały o tym, że mleczna krowa Angélique Brouyn przestała dawać mleko, że tubylcy opłacani przez Anglików zaatakowali hiszpański fort w Pensacoli, i jak najlepiej przyrządzać bawole mięso. Jednakże najciekawszym tematem był skandal u kupca Pierre'a Charly'ego, którego gospodyni, dzikuska, właśnie urodziła mu syna. Dzieci z takich związków nie były niczym niezwykłym, ale ten przypadek wywołał wzburzenie. Poprzedniej niedzieli La Vente nawoływał w kościele, by biały mężczyzna i dzikuska wzięli ślub, twierdząc, że w przeciwnym razie nie będzie końca rozpuście i wstydu, jaki przynosi dziecko z nieprawego łoża. Jego mowa rozwścieczyła dowódcę i choć kobiety nie wybaczyły mu jeszcze braku białej mąki, w tej kwestii stanęły twardo po jego stronie. La Vente nie był lubiany. Miał grubiański sposób bycia i tyranizował ludzi swoją skłonnością do histerycznych wybuchów wiary. Co gorsza, był właścicielem najdroższego sklepu w całym Mobile, sprzedając mąkę dziesięciokrotnie drożej, niż wynosiła zwykła cena, a baryłka wina kosztowała u niego szokującą sumę dwustu pięćdziesięciu francuskich liwrów. Perrine Roussel stwierdziła, że mimo swoich płomiennych przemówień w kościele La Vente zachowuje się bardziej jak żyd niż jak katolik.

Kury gdały do siebie, a Elisabeth wpatrywała się bez słowa w łuszczące się na ścianach wapno. W piersi cały czas czuła

duszający ucisk. Bolały ją oczy i gardło. Jadła, kiedy ktoś postawił przed nią talerz, ale prawie nie zdawała sobie z tego sprawy. Czasami, mrugając, stwierdzała z zaskoczeniem, że usłyszała jakiś hałas albo że w chacie zrobiło się ciemno; talerz z wystygłą, zimną strawą stał przed nią, a łyżka poniewierała się gdzieś na łóżku. Cały czas bolał ją dół brzucha, czuła mocne skurcze. Bolała ją też pustka, która tężała, kalecząc jej duszę. O utraconym dziecku myślała z ciężkim sercem, jednak cały jej smutek koncentrował się na mężu.

Któregoś dnia położna Guillemette przyprowadziła ze sobą Marie-Françoise de Boisrenaud, która, nadal będąc niezamężna, zajmowała się edukacją dzieci i nadzorowaniem ich matek.

— Nadal krwawisz? — spytała Guillemette.

Kiedy Elisabeth potaknęła, Guillemette kazała jej się położyć. Elisabeth niechętnie rozsunęła kolana. Położna wyjęła kawał płótna pomiędzy jej ud i wrzuciła do wiadra.

— Nie sądziłam, że to potrwa tak długo — powiedziała Guillemette. — Łóżysko nie wyszło w całości. Możliwe, że resztki zostały w środku. Ale poza tym jesteś zdrowa.

— Słyszałaś, Elisabeth? — powtórzyła Marie-Françoise. — Poza tym zdrowa. Powinnaś się cieszyć.

— Dam ci tynkturę z belladony— oznajmiła położna, umieszczając świeży kawał materiału między udami Elisabeth. — To nieprzyjemna kuracja, będziesz mocno krwawić i ból też będzie silny, ale musisz wytrzymać. Krwawienie wyczyści twoje łono i wyleczy je. Odwagi, będziesz jeszcze miała dzieci.

Silny skurcz ścisnął podbrzusze Elisabeth, aż jęknęła. Guillemette przyglądała się jej nieporuszona, z sękatymi rękami na biodrach.

— Belladona to oczywiście trucizna — dodała spokojnie. — Nadmiar może zabić. Ale przyjmowana w odpowiednich daw-

kach nie czyni szkody, lecz sprawia, że ciało zaczyna się samo leczyć.

— Tylko tyle? — mruknęła Marie-Françoise, przewracając oczami. — Powodzenia. Elisabeth nie jest znana z zamiłowania do umiarkowania.

— Nie jest też głupia — odparła twardo Guillemette. — Zrobi, jak trzeba. Z jej kruchą budową, niebezpieczeństwo, jakie niesie nieumiarkowanie, jest bardzo duże.

— Nieumiarkowanie to grzech pychy, Guillemette — odrzekła Marie-Françoise. — Zawsze niesie niebezpieczeństwo. Dobrze by było, żeby Elisabeth o tym pamiętała. Nasze smutki tu, na ziemi, jak i nasze radości, są w rękach opatrności. Jak rolnik w przypowieści: zbieramy, co zasialiśmy.

Furia Elisabeth przełamała jej wyczerpanie.

— Odkąd to zasuszona stara panna wie cokolwiek o życiu? — zasyczała.

Twarz Marie-Françoise ściągnęła się nieprzyjemnie.

— Nie pierwsza w kolonii poniosłaś stratę, Elisabeth — wypłuła przez zaciśnięte zęby — i nie ostatnia. Możesz się uważać za lepszą od reszty, ale wierz mi, mylisz się. Przydałoby ci się trochę pokory.

Następnego dnia Elisabeth wypija łyk mikstury położnej, odmierzając starannie porcję i położyła się na łóżku. Po kilku minutach brzuch zaczął ją potwornie boleć, a na usta wystąpiła piana; język Elisabeth zeszywniał, a całe ciało drżało i pociło się, wstrząsane gorączkowymi dreszczami. Potem polała się ciemna, pełna skrzepów krew, przesiąkając przez płótno i rozlewając się wielką plamą na materacu.

Po trzech dniach kuracji Elisabeth była w stanie podnieść się z łóżka i Guillemette stwierdziła, że jest zadowolona. Przyznała, że pierwszy raz zastosowała tę kurację, przeczytawszy o niej w książce, którą pewien kapitan statku przywiózł z Francji. Ory-

ginalny przepis zawierał rtęć, ale nie będąc w stanie jej zdobyć, użyła belladony, która rosła obficie w lasach otaczających osadę. Zastąpienie jednej trucizny inną było kwestią zdrowego rozsądku. Jeśli to prawda, stwierdziła połoźna, że nigdy nie można przewidzieć z góry efektów leczenia, jest w tym mniej magii i tajemnicy, jaką lubią roztaczać wokół siebie medycy.

Kiedy Jean-Claude wrócił, nie rozmawiali o dziecku. Nie pytał o zdrowie żony, ale zauważył z zadowoleniem, że odzyskała figurę. Przywiózł dla niej nową halkę i suknię z jedwabiu gołębioszarej barwy, obszytą aksamitną wstążką. W sukni było jej bardzo do twarzy; nie pytała, skąd ją wziął. Zawsze miał swoje sposoby. Nocą, po ciemku, dotknął jej, odczarowując czas. Później, gdy zasnął, leżała, układając jego ramiona na swoich jak pelerynę.

Pewnego mglistego, dusznego dnia w kwietniu Marie-Françoise de Boisrenaud przyszła do nich z paczką, którą rzuciła bezceremonialnie na stół.

— Zdaje się, że nawet nasi starzy wrogowie, Hiszpanie, ulitowali się nad nami. Dowódca wrócił i przywiózł rzeczy ofiarowane mu przez dobroczynne panie z Hawany. Nakazano mi rozdzielić je sprawiedliwie.

Elisabeth podniosła paczkę, obracając ją w dłoniach.

— Słyszałaś, że Rochon, ten jezuita, otwiera misję wśród dzikusów nad rzeką Red? Ich bezbożne życie bez wątpienia przypadnie mu do gustu — skrzywiła się Marie-Françoise. — La Vente oczywiście nie żałuje jego wyjazdu, ale ty pewnie tak? Zawsze dotrzymywał ci towarzystwa pod nieobecność męża. No, dalejże, otwórz!

Z zaciśniętymi zębami Elisabeth zaczęła rozplątywać węzły. Oczywiście wiedziała o misji, Rochon sam jej powiedział. Śmiała się z jej obaw, nie umiejąc ukryć ekscytacji.

— Nic mi nie będzie — zapewnił ją.

— A jeżeli...?

— Wtedy wykorzystam testament Rabelaisgo: nie mam nic poza mnóstwem długów, a resztę zostawiam ubogim.

Jej niezgrabne palce nie radziły sobie z ciasnymi supłami. Kiedy wreszcie ustąpiły, starannie owinęła sznurek dookoła dłoni, ciągnąc mocno, aż zbiełały jej koniuszki palców.

— Kiedy to zobaczyłyśmy, od razu pomyślałyśmy o tobie — głos Marie-Françoise ociekał dumą. — Modlimy się, by ci się wkrótce przydało.

Elisabeth odwinęła papier. Wewnątrz znajdowało się dziecinnie ubranko z białej koronki, lekko znoszone. Pod jednym rękawkiem widać było starannie zacerowany szew. Elisabeth patrzyła, zaciskając szczęki.

— To dla mnie? — odezwała się wreszcie. — Jakże miło z twojej strony. Jesteś pewna, że nie przyda się tobie?

Kiedy Marie-Françoise poszła, Elisabeth wyciągnęła skrzynię spod łóżka. Jej rogi zostawiały jasne ślady na ubitej ziemi. Uchylając wieko, wrzuciła ubranko do środka i z powrotem wsunęła skrzynię pod łóżko. Potem poszła na posterunek zapytać o jezuity. Ubranko leżało w skrzyni zapomniane przez pięć lat, aż koronka zetlała i zbrązowieła na brzegach. Dopiero długo, długo potem, podczas długich, ciemnych i bezsensownych dni, wyjęła je i płakała nad nim i wszystkim, co stracili.

Od momentu, gdy go zobaczył, August wiedział, że ten Kanadyjczyk nie był taki jak inni.

Większość białych, którzy od czasu do czasu zjawiali się w wiosce, była awanturnikami, szorstkimi handlarzami futer z północy, którzy chcieli zaspokoić tylko swoją niewyszukaną potrzebę posiadania pieniędzy i kobiet. Przypominali Auguste'owi chłopców w La Rochelle. Poszukiwacze przygód o niewybrednych manierach i nieogolonych podbródkach szczylicili się swym nieokrziesaniem i brakiem poszanowania dla prawa czy jakichkolwiek zasad. Demonstracyjnie odrzucali wszelkie ograniczenia nakładane na nich przez urzędników i księży w miastach, a wodzów i misjonarzy w wioskach. Pili na umór i wszystko, co mieli, wydawali na hazard. Dzicy byli wobec nich ostrożni, bo posiadali broń i wiadomo było, że najeżdżają wioski, by porwać w niewolę kobiety. Bali się ich jednak mniej niż wrogów pochodzących z innych plemion. Biali awanturnicy nie mieli ich wyrażenia ani przerażającej brutalności. Ich fortele były równie prymitywne co ich odczucia.

Ten kanadyjski podporucznik był inny. Też podróżował sam, w towarzystwie jedynie trzech mobiliańskich wojowników, którzy byli jego przewodnikami; też witał dzikich życzliwie, rozdając im prezenty, ale wyczuwało się w nim pewną rezerwę, ostrożność, którą August ocenił jako kalkulację. Miał delikatne zadbane dłonie i czyste paznokcie. Mężczyźni Ouma byli wysocy, ale on

był jeszcze wyższy, ponad sześć stóp*, z długimi nogami i o leniwym sposobie bycia osoby przyzwyczajonej do tego, że jest podziwiana. August ledwo sięgał czubkiem głowy jego podbródka. Podporucznik poklepał go po ramieniu i chłopiec zeszytniał. Nie chciał być traktowany jak dziecko. Prawdę mówiąc, uwaga, jaką oficer mu poświęcał, sprawiła, że czuł się nieswojo. Zwykli awanturnicy nie zwracali na niego uwagi. Zauważali go, rzecz jasna — biały chłopiec żyjący wśród dzikich nie był czymś zwyczajnym i czasem po kolacji siadali z nim, pouczając go głosami niewyraźnymi od brandy o lenistwie tubylców, rozwiązłości ich kobiet i słabości obu płci do mocnych trunków. Czasem któryś, grając na uczuciach solidarności białych, chciał wyciągnąć od niego jakieś informacje na temat plemienia, których posiadanie mogłoby się okazać pomocne przy negocjacjach, ale były to rzadkie przypadki. Na pewno żaden nigdy nie szukał celowo jego towarzystwa, by porozmawiać, jak to czynił wysoki Kanadyjczyk. Pierwszy raz usiadł z długimi nogami rozstawionymi po obu stronach tułowia, jak świerszcz; August oskrobywał nożem kawałek drewna. Blade strużyny spadały na sierść żółtego psa, śpiącego u jego stóp.

— Co robisz? — spytał obojętnie, owijając jedną ze strużyn dookoła palca.

— Nic takiego — August wzruszył ramionami.

Zapadła cisza. Podporucznik palił fajkę. August pochylił się nad swą pracą. Mężczyzna wstał, zerwał kilka liści z dachu i zręcznie skręcił je w dłoni.

— Proszę — odezwał się, wyciągając rękę do Auguste'a. Na jego dłoni widniała figurka pieska z podniesionymi uszami i ogonem i jęczyzkiem z liścia trzciniowego wystającym z pyszczka.

— Weź, proszę. To dla ciebie.

* Stopa = 30,48 cm.

— Nie trzeba. — August pokręcił głową zgarbiony nad swoim nożem.

— Ależ proszę. To jedyna sztuczka, jaką znam, więc będę bardzo rozczarowany, jeśli jej nie docenisz. Dziki, który mnie tego nauczył, był w rozpacz. Szło mi tak kiepsko, że podczas sześciotygodniowej ekspedycji nauczyłem się robić tylko takiego psa.

August się zawahał. Wreszcie ujął pieska w rękę, gładząc go lekko jednym palcem.

— Czy twój pies ma jakieś imię? — spytał oficer.

— Nie.

— Nawet w twojej głowie? To znaczy, musisz go jakoś nazywać, kiedy o nim myślisz, prawda? Choćby „Pies” albo „On”.

August zmierzył go podejrzliwym wzrokiem, ale mężczyzna się nie uśmiechał. Patrzył na chłopca ze zmarszczonym czołem, jakby pytanie stanowiło zagadkę także dla niego. August milczał, wpatrując się w palmowego pieska na swojej dłoni.

— Nie — odezwał się w końcu. — Nie słowami. Obrazem.

— Obrazem?

— Tak.

— Jakimś szczególnym?

August wyobraził sobie żółtego psa, jak siedział, z pyskiem uniesionym niedbale do góry, jakby chciał zagwizdać.

— Tak.

— Ale bez imienia.

— Bez imienia.

Podporucznik zaśmiał się cicho i pokręcił głową.

— Znasz francuski, mobiliański, choctaw i nadal myślisz obrazami? Niezwykły z ciebie jegomość, panie, jakkolwiek się nazywasz. Niezwykle interesujący.

Oficer nazywał się Babelon. Został w osadzie kilka dni. Auguste powoli przyzwyczajał się do jego dziwnych pytań i tego, jak przekrzywiał głowę, słuchając odpowiedzi, jakby słowa były

płynem, który musi wlać sobie do ucha, nie uroniwszy ani kropelki. Ku swemu własnemu zdumieniu opowiedział mu o życiu w La Rochelle, o rzeczach i ludziach, których — jak mu się zda- wało — już nie pamiętał; o kamiennym domu przy przystani, szeroko uśmiechniętych siostrach biegnących wielkimi susami, o syrenich przypływach i odpływach szarego morza. Podczas opowiadania rysował wszystko z pamięci patykiem w piasku i obrazy tłoczyły się jak rynek w dzień targowy. Dominujący, jak zawsze, był Jean.

— Twój kuzyn musiał być podobny do mojego brata — rzekł Babelon z przebiegłym uśmieszkiem. — Mój brat był wielki, o wiele wyższy ode mnie i potężny jak mur. Zawsze robiliśmy to, co on chciał. Jak złośliwy by nie był, chodziliśmy za nim ni- by stado owiec. Moja matka mówiła, że chyba jesteśmy z nim połączeni jakimiś niewidzialnymi nićmi, bo nie rozumie tego żałosnego przywiązania.

August pomyślał o swojej matce, jej zgarbionych plecach i wykrzywionych ustach, gdy o świecie kuliła się przy stole, jakby już zmęczona rozpoczynającym się dniem. Zrobiło mu się nie- swojo. Wstał i strzelił palcami na psa.

— Późno już — mruknął.

— Ach, nie tak bardzo. Zlituj się nade mną, proszę. Miłe to- warzystwo to rzadka i cenna rzecz w Luizjanie — uśmiechnął się.

August odpowiedział niezręcznym uśmiechem, przełknął ślinę i zapatrzył się w ziemię. Pies westchnął i wsadził nos pod tylną łapę. W ciepłe i intensywne spojrzenia podporucznika było coś, co zawężyło świat do przestrzeni między nimi dwoma. August nie był przyzwyczajony, by ktoś tak na niego patrzył.

— Chcesz kobietę, panie? — wyrzucił z siebie. — Mogę, wiesz... załatwić. Jeśli chcesz.

— Sam to mogę załatwić. Życie nauczyło mnie, że znacznie łatwiej znaleźć pocieszenie dla ciała niż dla duszy.

Wśród mężczyzn Ouma byli tacy, którzy spali z innymi męż-

czyznami. Oczywiście byli też tacy na statku do Luizjany, ale tam wyglądało to inaczej: pośpieszne i brudne źródło drwin i chichotów dla chłopców. Wśród dzikich mężczyźni praktykowali swe zboczenia otwarcie i nosili kobiece fartuchy, by się wyróżnić. August zerknął na podporucznika. Babelon uśmiechnął się kącikiem ust, a August zaczerwienił się po szyję. Był pewien, że mężczyzna czyta w jego myślach. Wyciągnął rękę i pogłaskał psa, czując pod dłonią kojącą szorstkość jego sierści. Pies poruszył się, ale nie obudził.

— Mam żonę w Mobile — powiedział żołnierz. Jego usta drgały. — Której, wbrew przestrogom matki, jestem bardzo oddany.

August zaczerwienił się jeszcze bardziej.

— Masz dzieci, panie? — bąknął.

— Prawdopodobnie. Ale nic mi o tym nie wiadomo.

August odwrócił głowę i prychnął przez nos.

— Dziewczeta Ouma są ładne — zauważył Kanadyjczyk.

— Tak, panie.

— Chyba możemy sobie darować tego „pana” tak daleko od garnizonu. Masz dziewczynę?

August pokręcił przecząco głową i zaraz tego pożałował. Zwykle kłamał, że ma.

— Wolisz mieć wolne pole działania?

— Coś w tym guście.

— Mądrze. Wiesz, nigdy nie sądziłem, że się ożenię. Napatrzyłem się na mężczyzn przygniecionych tymi ciągłymi żądaniami i skargami. Elizabeth taka nie jest, dzięki Bogu. Jest silna i samodzielna. Niektórzy by powiedzieli, że wojownicza — uśmiechnął się Babelon. — Mojej matce by się to podobało. Była waleczna jak tygryś i dwa razy bardziej nieulekła. Myślę, że zabiłaby każdego, kto chciałby nas tknąć.

— Jest w Quebecu? Twoja matka?

— Umarła, kiedy miałem osiem lat. A twoja?
— Żyje. Tak sędzę. Ale nie jest waleczna. Nic a nic.
— Więc będziesz musiał postąpić jak ja i znaleźć sobie waleczną żonę. — Wyszczrzył zęby. — Nie daj się ogłupić, August. Może i my, mężczyźni, mamy mocniejsze mięśnie, ale jesteśmy słabszą płcią. Każdy mężczyzna potrzebuje nieustraszonej kobiety, by toczyła za niego walki.

Od lat już August nie śnił o Jeanie, ale tej nocy kuzyn powrócił. Stał na nabrzeżu w La Rochelle z rękami na biodrach. August musiał odchylić głowę w tył, by go zobaczyć. Słońce raziło go w oczy.

— Chodź! — wołał Jean. — Chodź tutaj!

— Idę! — odkrzyknął August, ale się bał.

Kiedy zaczął wspinać się na mur, ten był gładki i śliski, i mimo ciągle od nowa podejmowanych prób za każdym razem August spadał, a mur stawał się coraz wyższy i bardziej śliski. August już nie widział słońca.

— No, chodź! — wołał Jean niecierpliwie, głosem dochodzącym jakby z daleka. — Chodź!

We śnie August poczuł na policzkach gorące łzy, a w żołądku skurcz upokorzenia.

— Nie mogę! — pisał. — Nie mogę!

Ale Jeana już nie było.

Następnego dnia Babelon odjechał na północ. August nie pożegnał się z nim. Ze swej kryjówki w trzcinach patrzył, jak odjeżdża. Całe popołudnie, obdzierając jelenie ze skóry i zeskrobując sierść, by przygotować skóry do namaczania, myślał o Jeanie. Kiedy zamknął oczy, słyszał znów głos kuzyna, przenikliwy i niestroniący od wulgaryzmów, ale choć aż wykrzywił twarz z wysiłku, nie mógł przywołać jego twarzy.

Podporucznik Babelon był jeszcze trzykrotnie w wiosce przed nadejściem zimy, za każdym razem zostając jeszcze kilka dni po zakończeniu interesów. Wódz zawsze witał go serdecznie, a Auguste wiedział dlaczego; oprócz tego, że kupował kukurydzę dla kolonii i przywoził upominki dla podtrzymania przyjaźni, Kanadyjczyk zawsze miał ze sobą francuskie towary do sprzedaży prywatnie, takie jak muszkiety, proch, a często brandy. Transakcje były przeprowadzane dyskretnie, ku zadowoleniu obu stron.

— Mądry człowiek nie próbuje zdominować czerwonoskórych czy ich ucivilizować — powiedział Babelon Auguste'owi. To była ostatnia ekspedycja przed nadejściem lodu i oficer śpieszył się, by wrócić na południe. — Mądry człowiek obserwuje ich zwyczaje i stara się wykorzystać je dla siebie. Jeśli biały mężczyzna porwie kobietę z wioski, dzicy podążą za nim i rozwalą mu głowę, o czym przekonało się wielu niefortunnych łowców przygód. Ale jeśli przyjdzie do wodza z przyjaźnią, wódz sam zaofiaruje mu kobiety tak, jak ofiaruje mięso.

August milczał.

— Przyzwyczajenie odbiera ludziom rozum. Kupujemy niewolników od handlarzy na rynku, a jednocześnie płacimy Czoktawom strzelbą za każdy skalp, który nam dostarczą z Alabamy, bo tak zawsze było. To czysty idiotyzm. Jaki zysk ze skalpu zdartego z dzikusy?

August chciał zapytać, dlaczego Babelon mówi mu to wszystko, ale w końcu nie zrobił tego. Żołnierz, tak jak on sam, był w służbie dowódcy. Byli po tej samej stronie. Obserwował go jednak bacznie, nieufnie i bardzo się pilnował, by podporucznik nie znalazł w nim czegoś, co mógłby „wykorzystać dla siebie”. Nie mógł pozbyć się przekonania, że każdy, kto próbuje się z nim zaprzyjaźnić, chce go wykorzystać w jakimś celu. Jednak późną nocą, gdy Babelon mówił do niego przy dogasającym ogniu, coś rozluźniało się w nim i przestawał się opierać. Nigdy przedtem

nikt tak z nim nie rozmawiał. Jean nie miał na to czasu — rozmowa nie stanowiła dla niego przyjemności, jedynie służyła planowaniu: o zachodzie słońca, przy dokach, szybciej, wyżej, tego psa tym kamieniem. Rozmowa z Babelonem była grą. August nauczył się od niego układania historii w jasne wzory, poznał przyjemność igrania ze słowami, przyciągania uwagi, wywołania uśmiechu. Przestał rysować na piasku podczas opowiadania i skupił się na słowach. Kiedy Babelon klasnął w dłonie, usłyszawszy historię o szkiełku misjonarza, August myślał, że pęknie z dumy.

Kanadyjczyk nie zamierzał być żołnierzem do końca życia. Mądrzy ludzie chcą się wzbogacić, powiedział Auguste'owi, bo bogaci rządzą światem. August zaprzeczył, sam się dziwiąc mocy swojej opinii. Świat białych ludzi — ryzyko i zyski — był jak żelazo, stwierdził, twardy i zimny. Potrzebny był naprawdę potężny ogień, by nim rządzić. Wolał sposób życia dzikich, gdzie nadwyżka czegokolwiek rozdzielana była sprawiedliwie między wszystkich. Nie trzeba było być bogatym, jeśli świat był lepszy i łatwiejszy do zmiany. Babelon zmarszczył czoło w zamyśleniu, przesuając butem tłącą się kłodę tak, że deszcz jasnoczerwonych iskier strzelił w górę w kłębach dymu. Auguste patrzył, jak opadały, zmieniając się w szary popiół. Nie było mu spieszno usłyszeć odpowiedzi. Zapadła cisza, w której zacieśniała się nić wiążącego ich porozumienia.

— Mylisz się — powiedział wreszcie Babelon. — Dzicy niczego nie chcą, bo nic nie mają. Tak nie będzie wiecznie. Oswajamy ich za pomocą prezentów, których nie mogą upolować, wyhodować czy zrobić z gliny. Tak to jest. Oni uczą nas stu przepisów na dania z kukurydzy, a my ich, jak pożądać dóbr sąsiada.

Babelon nigdy nie rozmawiał z Auguste'em na temat kobiet dzikich. To była kolejna z cech odróżniających go od innych mężczyzn. Ale czwartej czy piątej nocy, kiedy podporucznik pożegnał

się i bezceremonialnie poszedł do chaty, która nie należała do niego, August zrobił to samo. Spotkanie z kobietą było krótkie i dziwaczne. Po wszystkim nie odezwała się, a August też nie wiedział, co powinien powiedzieć, więc wstał szybko, unikając oczu lśniących w ciemności i wyszedł.

Księżyc wysoko na niebie zalewał wioskę srebrzystym światłem. Cień Auguste'a był wyrysowany atramentowoczarnym kształtem na ziemi. Przed chatą, do której wszedł Babelon, zobaczył kucającą dziewczynę, która błyszczącym strumieniem oddawała mocz. Warkocz spadł jej na ramię, a na szyi miała kilka ciemnych siniaków. Później, leżąc na legowisku, przyglądał się swemu nagiemu ciału, rzadkim włosom dookoła genitaliów i niezgrabnym chłopięcym kończynom i nagle zatęsknił za Jeanem, który nauczyłby go, jak być mężczyzną. Jednak zanim wreszcie zasnął, jego myśl powędrowała nie do ciotecznego brata ani do dziewczyny, której zapach jeszcze czuł na swojej skórze, ale do Babelona, który wejrzał w jego serce, a mimo to go lubił.

Kobiety stały wokół stołu, siekając i mieszając z zapałem, podczas gdy Perrine Roussel lamentowała nad ich trudnym życiem. Elisabeth, nieco z boku, przechyliła głowę, by sprawiać wrażenie, że słucha z zainteresowaniem, lecz wpatrywała się w obierzynę jabłka spływającą spod jej noża. Był niezwykle ciepły dzień jak na grudzień i biały miąższ owocu zaczynał już brązowieć. Jabłka były jej prezentem na chrzciny, pierwsze owoce z jej własnego drzewa. Kiedy włożyła je do koszyka, słodki aromat napełnił ją dumą.

— Bekon, wino, baryłki z mąką, wszystko zabrane z „Aigle” prosto do jego sklepu! — lamentowała Perrine, podnosząc oblepione ciastem ręce. — Słyszałam, że zarządca wyrwa sobie włosy z głowy, ale dowódca przekupił oficerów na statku i nic nie można zrobić.

Jean-Claude rozmawiał z wdową Freval, stojąc w otwartych drzwiach. Wdowa wydawała się nie zwracać uwagi na inne kobiety zebrane w kuchni, aby pomóc w przygotowaniu poczęstunku na chrzciny.

— Dwa lata czekamy na statek, dwa lata, moje panie! A potem kradną nam jedzenie sprzed nosa!

Kiedy do Mobile dotarła wiadomość, że „Aigle” dopływa, niektóre kobiety płakały z radości. Statki były małe, ale dobrze zaopatrzone. Przywoziły nie tylko żywność, ale luksusy

tak dawno niewidziane, że prawie się od nich odzwyczyliły: bele tkanin i wstążek, przybory kuchenne, papier i atrament, nawet świece, choć te bywały połamane albo stopione, a także materiały budowlane, jak liny, noże, gwoździe. Statek przywiózł też garstkę osadników, wśród których była wdowa Freval. Kobieta z dwiema małymi córeczkami zamieszkała u nauczycielki i zarabiała na życie szyciem; wszystkie zgadzały się, że ma do tego wyjątkowy talent.

Elisabeth położyła obrane jabłko na stół i wzięła kolejne, nacinając skórkę nożem. Pani Freval była ładną kobietą o miękkich, białych ramionach i twarzy w kształcie serca, którą teraz zwracała w stronę Jean-Claude'a, rozchylając usta w uśmiechu. Jej suknia, choć skromna, uwydatniała obfite kształty, a ciemne obszycie podkreślało kremowy kolor jej skóry. Brązowe włosy nosiła splecione w luźny węzeł na karku, a mówiąc, nawijała ich pasemko na palec.

— Więc pytam was, jak mamy skorzystać z tego rzadkiego dostatku? My, które głodujemy tu, bo nie mamy porządnej mąki?! — wołała Perrine dramatycznie, z furią zagniatając ciasto. — Płacimy mu potrójną cenę, ot co! A kogo tu na to stać? Nie nas, to pewne! Wielce szanowny dowódca od trzech lat płaci tylko sobie!

Elisabeth zobaczyła, jak Jean-Claude pochylił głowę w kierunku wdowy i cicho powiedział coś, na co tamta się roześmiała. To był radosny dzień; wczoraj w nocy, kilka godzin przed świtem, Marie-Catherine Christophe po długim porodzie urodziła zdrowego syna. Rano, na ceremonii dla rodziny i kilkorga sąsiadów, chłopca ochrzczono imieniem Francois-Xavier, na cześć ojca chrzestnego Francois-Xaviera Lemaya, wytwórcy prochu. Elisabeth była przy porodzie. Trzymała dłoń rodzącej kobiety, gdy ta walczyła z bólem, i wycierała pot z jej czoła. Gdy nadszedł czas, przytrzymała kolana Marie-Catherine, podczas

gdy Guillemette przyjmowała na świat dziecko. Narodziło się przy odgłosie rozdzieranego ciała; Guillemette odcięła pępownię i wlała we wrzeszczące usteczka łyżeczkę rozwodnionego kleiku, a potem skinęła na Elisabeth, by pomogła jej przy usuwaniu łożyska. Upредиła, że matka może potrzebować belladony, gdyż była bardzo pokaleczona i wycieńczona, ale Marie-Catherine tylko jęknęła, a następnie zwijając się z bólu, wydalila krwawą masę w całości. Potem wzięła swe płaczące dziecko w ramiona i się rozpłakała. Elisabeth też płakała, ale cichutko, osuszając łyżę zakrwawionym rękawem. To był pierwszy poród, przy którym asystowała. Guillemette zawołała ją potem do siebie.

— Dobrze sobie radziłaś — pochwaliła.

Elisabeth potrząsnęła głową. Jej obowiązki nie były skomplikowane: grzanie wody, darcie płótna, przygotowanie wina z cukrem i korzeniami, by trochę podnieść na duchu rodzącą. Jednak gdy szła do domu w narastającym świetle dnia, gdy niebo różowiało, a ptaki rozpoczęły swe słodkie śpiewy, ogarnęło ją nagłe uczucie, że oto właśnie świat został stworzony na nowo i że ona, Elisabeth Savaret, miała w tym swój udział.

— Nie wiem, jak może — prychnęła Perrine — oskarżać nas o lenistwo, bo nie chcemy harować w polu jak chłopci, podczas gdy on obżera się jak król naszymi zapasami!

Wciąż była trochę rozdrażniona i w głowie kręciło się jej od niewyspania. Kiedy wróciła rano do chaty, Jean-Claude właśnie się obudził; rozpałała ogień, ugotowała owsiankę i kawę i zanosła mu do łóżka. Padała ze zmęczenia, a jednocześnie rozpierała ją jakaś niewytłumaczalna energia, która i tak nie dałaby jej zasnąć. Umyła twarz i przebrała się, wkładając zakrwawione ubrania do kubła z ługiem, chwyciła miotłę i zabrała się do zamiatania. Kurz wirował wokół niej, a ona przypominała sobie, jak nowo narodzone dziecko otworzyło niebieskie oczy, wpatru-

jąc się w nią z zaskoczeniem, oraz spojrzenie, jakie wymieniły z Guillemette. Kurz dostał się jej do gardła, a oczy zaczęły łzawić.

Dwie córeczki wdowy wbiegły do kuchni, nurkując pod uciążliwymi ramionami Anne Conaud, żony kowala, która z zaczerwienioną twarzą podnosiła właśnie żelazny czajnik z ognia. Złaziła je z irytacją, ale one już wyśliznęły się z powrotem na dwór, przylegając do nóg matki, owijając się jej spódnicami i domagając uwagi. Wdowa lekko pogładziła ich rozczochrane głowy, ale nawet nie spojrzała na nie; jej twarz nadal była zwrócona do Jean-Claude'a. Elisabeth była zdziwiona, że wdowa zjawiła się na chrczinach. Mieszkała po drugiej stronie osady, za d'Armes, i nie była z nikim stąd spokrewniona.

— Elisabeth Savaret, na litość boską! — upomniała ją Perrine.
— Uważaj, ile skórki odchodzi, kiedy obierasz jabłko!

Wdowa pochyliła się i wzięła dziewczynki na ręce, całując ich czółka. Jean-Claude przyglądał się w milczeniu z rękami głęboko w kieszeniach spodni. Elisabeth chciała, żeby podniósł wzrok i zauważył ją, ale tego nie zrobił. Wdowa postawiła dziewczynki, które wzięwszy się za ręce, znów wybiegły przez otwarte drzwi. Ich matka i Jean-Claude się uśmiechnęli. Ujął ją pod ramię i razem wyszli na zewnątrz. Nieobrane jabłko wolno stoczyło się ze stosu i ze stukiem upadło na ziemię.

— Elisabeth Savaret! Dokąd idziesz?

Ale jej już nie było.

Elisabeth słyszała krzyki dziewczynek wołających matkę przebijające się przez głosy ptaków. Popołudnie było pogodne, z jaskrawym słońcem za lekkimi chmurami. Zmrużyła oczy, zbiegając po schodkach. Zatrzymała się przy morwie, nagle uświadamiając sobie, że cały czas trzyma w ręku nóż do obierania jabłek. Stali razem w południowym końcu ogrodu, plecami do niej. Wdowa zawołała do starszej z dziewczynek, by uważała, a Jean-Claude wzięł młodszą na ręce. Dziewczynka wykrzywiła

twarz, koncentrując się na czymś, co jej pokazywał, wskazując w górę. Nagle na tle białego nieba przemknął ptak, błyskając zieleńią i szkarłatem.

— Tak! — wrzasnęła dziewczynka uszczęśliwiona. — Widzę go, widzę!

Jean-Claude się odwrócił. Elisabeth pośpiesznie zebrała spodnice i lekko pochylona zamarła w bezruchu za rozłożystymi palmowymi liśćmi. Słyszała skrzypienie desek, stłumione głosy, charakterystyczny, chrapliwy śmiech Renée Boyer. Przestraszyła się, że jej obecność zostanie odkryta; pośliznęła się i upadła, upuszczając nóż i obcierając rękę o kamień.

Kiedy wróciła do kuchni, Perrine przyjrzała się jej bacznie.

— Co ci się stało? — spytała z niezadowoleniem w głosie. — Jesteś biała jak mleko.

Elisabeth pochyliła głowę, wbijając ostrze noża w jabłko.

— No, co z tobą? Jesteś chora?

— Nie. Może. Nie wiem.

Perrine potrząsnęła głową, wybuchając szyderczym śmiechem.

— Och, Elisabeth Savaret, jeszcze jeden poród i prawie zostaniesz lekarzem!

Po uroczystym obiedzie Jean-Claude został wezwany do garnizonu, więc Elisabeth wróciła do domu sama. Gorączkowa energia, która rozpierała ją przez cały dzień, zmieniła się w wyczerpane rozkojarzenie. Zmęczenie zasnuwało jej umysł i powodowało niezgrabność. Przy podgrzewaniu mięsa poparzyła się żelaznym prętem. Polizała spaloną skórę, czując formujący się pęcherz. Znów pomyślała o noworodku przy piersi matki i o nierozzerwalnych więzach, jakie połączyły ją z Marie-Catherine i jej dzieckiem, czy o tym wiedzieli, czy nie. Kiedy Guillemette le Bras pierwszy raz

spytała, czy Elisabeth nie chciałaby asystować jej przy porodach, zawahała się.

— Nie wiem — wyznała wreszcie. — To nie byłby chyba dobry wybór...

Guillemette tylko zmarszczyła czoło, przyglądając się Elisabeth z czerwonymi dłońmi jak zwykle opartymi na biodrach.

— Jesteś zręczna i rozważna, a to dużo ważniejsze dla rodzącej kobiety niż zabawianie jej durnym trajkotaniem. Z pewnością chcesz być użyteczna?

Elisabeth opuściła łyżkę i zwiesiła głowę. Zamknęła oczy i pomyślała o ojcu Rochonie, który wybrał życie wśród dzikich, by nie gnuśnieć w bezpiecznej przystani; o wdowie i jej córkach, twarzy w kształcie serca zwróconej w górę i uśmiechu w kąciку ust; o szmatach, które prała co miesiąc...

Wrócił późno. Kolacja czekała na stole. Trąc oczy, Elisabeth podniosła talerz; sos pokrywała woskowata warstwa.

— Chyba jest już niedobre.

Jean-Claude wzruszył ramionami, sięgając po widelec. Był w dobrym humorze.

— Jak tam dowódca? — spytała.

— Zadziwiająco dobrze.

Elisabeth przyniosła dzban wody. Gdy stawiała go na stole, trochę wody wylało się, tworząc małą kałużę.

— Zwykle nie sprawia ci przyjemności oglądanie go — zauważyła, wyciągając szmatkę z kieszeni fartucha.

— Bo zwykle nie bywa tak miły.

— Na pewno byłeś u dowódcy?

Jean-Claude zaśmiał się niewyraźnie z pełnymi ustami.

— Rozmawialiśmy o interesach — powiedział. — Był nader ciekaw wszystkiego, co mu mam do zaproponowania.

— To dobrze.

— Pewnie! Trochę kombinacji i powinno się to okazać niezmiernie korzystne.

— Dla kogo?

— Dla nas wszystkich. Chcę, żebyśmy się wzbogacili, Elisabeth.

— Wzbogacili? Tutaj?

— Bogactwo jest wszędzie, dla tych, którzy wiedzą, jak je zdobyć. — Jean-Claude przełknął ostatni kęs i odsunął talerz, wyciągając ramiona nad głową. — Obiecuję, że nie będziemy gnili w tej śmierdzącej dziurze do końca naszych dni.

Elisabeth zabrała talerz i postawiła go na drugim końcu stołu.

— Chciałbyś szarlotki? Zostało z chrzcin.

Potaknął, więc postawiła przed nim duży kawał ciasta. Na drewnianym blacie stołu widniał ślad po gorącym czajniku, który kilka miesięcy temu nieuważnie tam postawiła. Elisabeth wodziła po nim palcem.

— Dobrze dziś poszło, prawda?

— Tak myślisz? No, dziecko z pewnością ma silne płuca.

— Chyba poszło dobrze. Budowniczy był zadowolony.

— A kiedy nie jest zadowolony? Śmieje się na widok deski.

Uśmiechnęła się, przygryzając wargi i znów podniosła dzban z wodą.

— Daj mi go. Wolę być suchy.

Elisabeth oddała mu naczynie.

— Zaskoczyło mnie, że przyszła ta krawcowa — odezwała się, patrząc, jak nalewa wody do kubka. — Nie jest naszą sąsiadką.

— To mała miścina — wzruszył ramionami.

— Chyba... wydaje mi się, że z nią rozmawiałeś. Czy jest miła?

— Dość przyjazna.

— Ładne ma córeczki. Ciekawe, ile mają lat.

Jean-Claude przyjrzał się jej, trzymając uniesioną łyżkę. Do brody przykleił się mu kawałek ciasta.

— Dlaczego nagle zainteresowała cię krawcowa?

Elisabeth zaczerwieniła się.

— Ja... ona jest tu nowa. Byłam po prostu ciekawa. Masz okruszek...

— Tak?

— O, tutaj.

Elisabeth odsunęła krzesło i wstała, zabierając pusty talerz. Zniosła go razem z innymi na zewnątrz do pozmywania. Kiedy wróciła do chaty, drzwi zatrzasnęły się za nią, aż zadrżał płomień lampy. Jean-Claude odwrócił się z uniesioną brwią i ramionami nadal nad głową. Wsparł się na łokciach i pochylił w jej stronę z błyszczącymi oczami.

— Zazdrość ci służy — rzekł.

— Zazdrość? Dlaczego, na Boga, myślisz, że...

— Młode wdowy. Nieważne, że mogą być szpetne i że ciągnie się za nimi tłum dzieciaków jak smród za wojskiem. Zawsze powodują szybsze bicie serca u żon.

Elisabeth skrzywiła się, a on wybuchnął śmiechem.

— Nie zrozum mnie źle. Lubię, kiedy ci serce szybciej bije.

— Nic z tego.

— Masz czarujące oczy, kiedy tak błyskają. Ty wilczyco!

— Przestań.

Znów się roześmiał.

— Daj spokój, Elisabeth. Tylko się trochę z tobą przekomarzam. Ta krawcowa jest prostą kobietą i ma dwójkę piszczących dzieciaków, nie wspomnę o jej figurze. Może czasem bywam nudziarzem, ale nie jestem ślepy. Chodź do mnie.

Zawahała się.

— Chodź — powtórzył nieco ostrzejszym tonem. — I ciesz

się, że nie ma tu żadnych dzieci, które by nam przeszkadzały w przyjemnościach.

Elisabeth powoli obeszła stół i stanęła przed nim.

— Myślisz, że jestem niemądra — wymamrotała.

— Niemądra i cudowna.

Ujął jej głowę w dłonie i ucałował, przyciskając łokcie do jej zeber, a niecierpliwymi palcami buszując we włosach. Nie całował jej tak od miesiący Zamknęła oczy, ale oczami duszy wciąż widziała miękkie ramiona wdowy, jej kremową skórę i twarz w kształcie serca zapraszająco uniesioną do góry. Była zła, zła na wdowę i na swoją bujną wyobraźnię. Złość rosła w niej ostra jak pożądanie.

Podniosła spódnice i przycisnęła usta do jego ust.

W tym miesiącu nie krwawiła. Dziesięć dni czekała na skurcze, wkładając kawałek płótna między uda, ale nie nadeszły. Przepłukała czyste płótno, złożyła je i schowała z powrotem do skrzyni pod łóżkiem. Kiedy zaczęły ją swędzić piersi, ścisnęła mocniej sznurówki gorsetu, robiąc duży węzeł w talii. Nic nie powiedziała Jean-Claude'owi, ale pewnego wieczoru, kiedy przygotowywała kolację, nagle zrobiło się jej tak niedobrze, że ledwo zdążyła wybiec na ganek. Wyszedł za nią. Stała przewieszona przez poręcz, zgięta wpół i wymiotująca bez opamiętania.

— Dobrze się czujesz?

— Już... już lepiej — mruknęła. — Idź do domu, zaraz przyjdę. Odwrócił się, by wejść do domu, ale się zatrzymał.

— Więc znów oczekujesz dziecka.

Było jej zimno i trzęsła się na nogach. Przycisnęła dłoń do pokrytego zimnym potem czoła, odgarniając kosmyki włosów, i spojrzała na niego. Nagle poczuła, że jej głowa jest zbyt ciężka.

Patrzył na nią, skrzyżowawszy ramiona na piersi. Nie uśmiechał się.

— Nie wiem — odezwała się. — Może.

— Spóźnia się?

Potaknęła z wahaniem.

— Ile?

— Trzy tygodnie, może miesiąc.

Jean-Claude patrzył na ogród, ściskając szczękę dłonią. Słyszała, jak przebiera palcami po nieogolonym podbródku.

— Więc znowu się zaczyna.

Elisabeth oparła się o poręcz, czekając, aż przeminie zawrót głowy.

— No, co? — spytał wyzywająco. — Chcesz, żebym tańczył z radości?

— Ja... może tym razem...

— Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

Elisabeth milczała. Chwasty za nią lśniły od srebrnych ścieżek ślimaków.

— Już chyba dość przeszliśmy — odezwał się. — Nie chcę więcej tego przeżywać i nie wierzę, że ty chcesz.

W całym ciele poczuła stukot jego butów i ciepłą dłoń na swoim ramieniu. Nie spojrzała na niego.

— Idź do łóżka — powiedział łagodniejszym tonem. — Mogę zjeść w mieście.

Pozwoliła zaprowadzić się do łóżka. Kiedy wyszedł, leżała w zasznurowanym gorsecie. Nadal było jej niedobrze, czuła oleisty niesmak w gardle i tępy ból brzucha. Zamknęła oczy i pokój zawirował wokół niej. Nie mogła pozbyć się widoku jego twarzy ze zmarszczonymi brwiami i łękiem w oczach.

O zmierzchu płótno w oknie zaróżowiło się jak wewnątrz muszli. Potem róż przeszedł w szarość i w czerń. W ciemnym ogrodzie rozbrzmiewał nocny chór żab. Elisabeth czuła się, jakby ją ktoś

połykał, i płakała, leżąc na wznak, a łzy spływały jej do uszu. Wreszcie wstała i niepewnie poszła do drugiego pokoju.

Cały czas chciało się jej wymiotować, ale powstrzymała się, oddychając i przełykając powoli. Ogień zgasł; Elisabeth odepchnęła poczerńiałe kłody, wznecając chmurę popiołu, i dmuchnęła na przygasające węgielki. Malutki płomyk wystarczył do zapalenia kaganka. Ściany zapełniły się skaczącymi cieniami. W kącie przy stole stał koszyk, w którym leżały przybory niezbędne, według Guillemette, każdej położnej: czyste płótno, niedźwiedzie sadło do nawilżania i łagodzenia bólu, buteleczki z syropem, który podawano noworodkowi, a na spódzie gliniane naczynko z tynkturą z belladony na oczyszczenie łona i usunięcie łożyska.

Elisabeth postawiła kaganek na stole i sięgnęła na półkę po kubek. Później ukucnęła przy koszyku. Słabość i cienie przeslizgiwały się po niej i musiała podeprzeć się ręką o ziemię. Kaganek zasyczał. Elisabeth sięgnęła do koszyka i wolno wyjęła naczynko, ujmując je w obie dłonie. Było wykonane przez dzikich, zatkane kawałkiem miękkiego drewna. Kiedy podniosła je do światła, zobaczyła wgłębienia od palców i przyłożyła do nich własne palce. Przypomniała sobie historię, którą opowiedział jej Jean-Claude, o ludzie Taensas, w których świątynię uderzył piorun i spalił wszystkie posążki bogów na popiół. Straszliwie wrzeszcząc i cały czas wzywając Wielkiego Ducha, by zstąpił i ugasił płomień, dzieci chwyтали swoje dzieci, dusili je i wrzucali do ognia. Uśmiercili w ten sposób dziesięcioro, zanim Jean-Claude i reszta ekspedycji zdołali ich powstrzymać. Wódz był wściekły.

— A jeśli dziesięcioro nie wystarczy?! — krzyczał. — Czy ochronicie nas wtedy przed gniewem Wielkiego Ducha?!

Płyn był czarny i pachniał ziołami. Ręka Elisabeth drżała, gdy nalewała starannie odmierzoną porcję do kubka i chowała

naczynko z powrotem w koszyku. Gdzieś w ciemności za domem zaszczekał pies. Było późno; Jean-Claude niedługo wróci. Wśliznę się do łóżka obok niej, śmierdząc mięsem, tytoniem i tanią brandy, zaśnie i w pokoju nie będzie słyhać nic prócz ich oddechów. Zacisnęła dłoń na kubku, trzymając go sztywnymi palcami, i przełknęła ślinę, starając się pozbyć dławiącej kuli w gardle i ignorując płynące łzy. Potem szybkim ruchem uniosła kubek do ust i wypła jego zawartość.

Pies zdechł zimą, gdy ptaki zamilkły, a mgliste powietrze chłodnymi pasmami spowijało trzciny. Zdechł nocą, nieoczekiwanie. Rano August znalazł zwierzę w jego zwykłej pozie, z nosem pod tylną łapą, ale było zimne i sztywne. Pochował psa w lesie nad zarośniętą zatoczką, gdzie ziemia była miękka, a robaki wiły się między jej grudami jak posiniaczone palce. Nie oznaczył miejsca w żaden sposób. Kiedy Issiokhena dała mu trochę jeleniego mięsa, potrząsnął głową i powiedział jej, że pies uciekł. Nie odezwała się, ale współczucie na jej twarzy wywoływało w nim agresję.

Z końcem zimy, gdy nadeszła odwilż, Babelon pojawił się znów w wiosce Ouma. Kiedy August wrócił z pola, zobaczył go opartego o palisadę, z fajką między zębami. Uśmiechnął się, a August odpowiedział mu uśmiechem. Ciężar gniotący mu pierś trochę zelżał. Babelon spojrzał w kierunku stóp chłopca.

— Nie ma psa?

August potrząsnął głową.

— Przykro mi — powiedział Babelon łagodnie i położył dłoń na ramieniu chłopca.

— Tak — bąknął August i stał bez ruchu.

Dotyk dłoni podporucznika palił go przez koszulę.

Wieczorem Babelon pokazał mu list od dowódcy. Pisał w nim,

że August ma towarzyszyć mu w wyprawie w górę rzeki, do wiosek innych plemion na północ od Ouma, w charakterze tłumacza.

— Wiem, że to wstyd, ale choć od dzieciństwa żyję wśród dzikich, nigdy nie opanowałem ich języków.

— Znasz trochę mobiliański.

— Ech, tyle można bez trudu przekazać gestami. Dziwne. Przywiązałem się do tego psa.

August wzruszył ramionami, trąc swędzący nos wierzchem przedramienia. Nie zaskakiwał go brak znajomości języków u Kanadyjczyka. Przyzwyczajony do przerzucania się słowami jak kartami, czułby się poniżony w sytuacji, która zmuszałaby go do milczenia zdradzającego ignorancję. Poza tym był zbyt silną osobowością, brakowało mu elastyczności niezbędnej do przyswojenia sobie zasad i osobliwości obcego języka. Uważał, że językowe zdolności Auguste'a są wyjątkowe. August był wilgotną gliną, Babelon zaś garnkiem, wypalonym, ozdobionym i skończonym. Nie mógł nagiąć się do nowego języka, tak jak garnka nie dałoby się złożyć na dwoje.

Najważniejszym celem ekspedycji były negocjacje z dzikimi co do dostawy kukurydzy i innego pożywienia, a gdzie to możliwe, zdobycie niewolników, których można by z zyskiem sprzedać osadnikom w Mobile. August miał także pomagać przy handlu prywatnymi towarami dowódcy, które podporucznik przywiózł ze sobą. To były oddzielne transakcje, a skóry otrzymane jako zapłata składowano w osobnej pirodze.

August nie zadawał żadnych pytań. Jego zadaniem było tłumaczenie słów, nie ich tworzenie. To nie była jego sprawa. Jednak kiedy Babelon wrócił na południe i chłopiec znów był sam wśród ludzi Ouma, nie mógł się pozbyć podejrzeń, które brzęczały mu dokuczliwie nad uchem jak komar. Nie martwiło go postępowanie dowódcy; August nie znał się na prawie i nic go to nie obchodziło. Dowódca mógł robić, co chciał. Obawiał się jednak dwulicowości Babelona, tego, że bezkrytyczna

współpraca, jakiej chłopiec się podjął, była dokładnie tym, o co chodziło podporucznikowi. Gryzło go, że Babelon mógł poznać jego słabości i wykorzystać je, a on ufał, iż podporucznik jest być może naprawdę jego przyjacielem.

Kiedy do wioski przyszli następni awanturnicy, wypytał ich o dowódcę i handel, jaki prowadził z dzikimi. Ich odpowiedzi różniły się paroma szczegółami, ale trzon historii był zawsze taki sam: od chwili założenia kolonii były oskarżenia o korupcję. Plotkowano, że dowódca sprzedaje królewskie dobra, zgarniając zysk do własnej kieszeni. Kilka lat temu przeprowadzono drobiazgowe dochodzenie, wielu osadników musiało składać zeznania. Dowódca był sądzony przez nowego zarządcę, specjalnie w tym celu przysłanego z Francji, lecz został całkowicie oczyszczony z zarzutów.

Generalnie zgadzano się, że było to sprawiedliwe zakończenie dość żałosnej sprawy. Nawet ci, którzy nadal byli przekonani, że de Bienville zgarnia dla siebie najtłustszą śmietankę, przyznawali niechętnie, iż prawdopodobnie inny dowódca nie byłby lepszy. Dysponując niecałą setką ludzi, bronił swojego terytorium przed podwójnym niebezpieczeństwem — ze strony dzikich i Anglików. Być może coś sobie skubnął na boku — któż by tego nie zrobił? — ale jego oddanie luizjańskiej kolonii było bez zarzutu. Babelon z kolei uważany był za porządnego człowieka. Miał tęgą głowę i nie był nudziarzem ani zrzędą, jak niektórzy starsi rangą oficerowie. Nikt właściwie nie wiedział o nim nic więcej. Nie lubił mówić o sobie, twierdzili. Potem, znudzeni tematem, powrócili do swych zwykłych opowieści, podczas gdy August pił z podsuniętej mu flaszki i próbował nie łudzić się nadzieją.

Babelon zawitał ponownie do wioski, gdy poczerniałe liście chrzęściły już pod stopami. Był koniec sezonu handlowego. Stał przy pirodze i z uśmiechem przypatrywał się Auguste'owi.

— Doszło do mnie, że prowadziłeś małe dochodzenie.

— Nie wiem, o czym mówisz.
— Naprawdę?
— Musiałem się upewnić — wymamrotał August, kopiąc ziemię.

— I upewniłeś się?
— Tak.
— Tak, panie.
— Tak, panie.

Uśmiech zniknął z ust Babelona, ale zostawił na jego twarzy wesołe zmarszczki.

— Przenajświętsza Panienko! August, nie sądziłem, że taki z ciebie podejrzliwy sukinsyn! Dobrze cię znów widzieć, przyjacielu.

August przytaknął, choć uszy paliły go żywym ogniem.

— Chodź, pomożesz mi. Ostrożnie z tą paką, jest w niej coś dla ciebie.

Chłopiec zmarszczył brwi.

— Nie jestem dzikusem, żebyś musiał kupować moją przychylność — odezwał się ostro. — Powiedziałem „tak”, prawda?

Babelon zerknął na niego, unosząc brew.

— Na litość boską, August, nie próbuję kupować twej przychylności — powiedział. — Wierzę, że jako przyjaciel obdarzasz mnie nią bezinteresownie. No, dalej, otwórz.

Pokrywka koszyka obwiązana była skórzanym paskiem. Chłopiec zawahał się, ale ukląkł i rozwiązał supeł. W środku leżała zwinięta kulka szarobiałego futra.

— Możesz dotknąć, jest oswojony.

August ostrożnie wyciągnął palec. Zwierzątko podniosło ostry pyszczek, węsząc, i przeciągnęło się. Dwie drobne różowe łapki chwyciły brzeg koszyka.

— Dla mnie?

- Dla ciebie.
- Przywiozłeś mi szczurka.
- Wy, Francuzi, nazywacie je chyba szczurami leśnymi.
- Wolę nazwę Ouma.
- Wiem, że interesują cię zwierzęta. Możesz go obserwo-
wać, zaprzyjaźnić się z nim albo go zjeść, jak chcesz.

August przełknął ślinę, ale nadal czuł dławienie w gardle.

- Nie mogę go przyjąć — rzekł wreszcie.
- Oczywiście, że możesz. Po co mi szczur? Prawdę mówiąc, wszedłem w jego posiadanie bez własnej woli. Nie zapłaciłem ani sou*.

Babelon został cztery dni. Ostatniej nocy siedzieli na swoich zwykłych miejscach przy ogniu, szczur rozciągnął swoje ciepłe ciało na kolanach Auguste'a. Był bardzo swawolnym stworzeniem, uwielbianym przez dzieci dzikich. Byłyby niepokieszone, gdyby go oddał.

— Będzie ci trudno stąd odjeżdżać? — spytał Babelon, gdy ogień dogasał.

— Odjeżdżać?

— Nie możesz tu zostać na wieki. Jesteś zbyt użyteczny dla dowódcy.

August wyobraził sobie las o świcie, kiedy wstające słońce lśniło na pajęczynach, a motyle zawiślały w powietrzu jak barwne myśli. Objął się mocno ramionami. „Urodziłem się nad tymi wodami — powiedział mu kiedyś wódz Ouma. — Drzewa tego lasu są moimi kośćmi, strumienie i potoki niosą moją krew i krew mojego ludu”. To było dawno temu, kiedy August był jeszcze dzieckiem.

— Nie — odparł. — To nie moje miejsce.

— Dobrze byłoby mieć cię w Mobile — stwierdził Babelon.

* Dawna moneta francuska o małej wartości.

— Zimy tam są długie, a miłe towarzystwo rzadsze niż woskowe świece.

— Masz przecież żonę.

— Tak. Mam żonę.

Obaj milczeli, patrząc w ogień.

— Chciałbym ją poznać. Jeśli nie masz nic przeciwko.

— Dlaczegoż, na Boga, miałbym mieć? Polubicie się.

Znowu zapadła cisza. Nagle Babelon wybuchnął śmiechem.

— Co cię śmieszy?

Babelon tylko potrząsnął głową, nie mogąc opanować wesołości.

— Twoja twarz. Jakże mogłem tego nie dostrzec wcześniej? Dwoje ludzi na świecie, na których mi najbardziej zależy, i oboje patrzycie na mnie dokładnie w ten sam sposób. Och, August, żebyś mógł się teraz zobaczyć!

— W jaki sposób?

— Oboje mi do końca nie ufacie. — Babelon roześmiał się jeszcze głośniejszym, trzymając się za brzuch. — O tak, ty i Elisabeth na pewno przypadniecie sobie do gustu.

Elisabeth garbiła się przy ogniu, dmuchając na wilgotne drewnienka. Zajął się wreszcie i płomień liznął osmalony kociołek, ale pozostała przy kuchni, oplatając łydki rękami. W tej pozycji bóle brzucha trochę słabły.

Jean-Claude opierał się o futrynę drzwi, z głową wysuniętą do przodu i ramionami skrzyżowanymi na piersi. Wygląda na mężczyznę dziesięć lat młodszego, pomyślała Elisabeth, obserwując go kątem oka. Większość jego towarzyszy traciła już młodzieńczą jędrność, brzuchy wylewały się nad paskami, kolejne podbródki narastały nad węzłami chust na szyjach. Twarze, zniszczone mocnym słońcem i jeszcze mocniejszym alkoholem, mieniły się czerwonymi plamami. Elisabeth była w szoku, gdy ujrzała niestrudzonego niegdyś Jeana Alexandra, jak kuśtykał ulicą d'Iberville sztywnym krokiem starca, albo męża Jeanne Deshays, który zawsze uśmiechał się do niej tak, jakby ten wysiłek mógł go zabić, spoglądając mętnym, żółtawymi, napuchniętymi oczami. Z jeszcze większym niedowierzaniem przyglądała się córeczce Jeanne, która była ładną, spokojną, już prawie sześćioletnią dziewczynką. Kiedy zaś patrzyła na Jean-Claude'a, mogłaby przysiąc, że czas stoi w miejscu.

Może to i dobrze, że nie mają lustra. Elisabeth zdawała sobie sprawę, że nie jest już tą gładkolicą dziewczyną, która przybyła do Luizjany. Wprawdzie nie straciła figury jak inne kobiety, ale

w jej włosach pojawiły się już siwe pasma, a delikatna skóra wokół oczu była zmęczona i pełna zmarszczek. Nie była też już tak wytrzymała, jak kiedyś. Druga „kuracja” belladoną poważnie ją osłabiła i jeszcze teraz, po wielu miesiącach, nękały ją silne bóle. Minęła kolejna długa zima, nie tyle mroźna, ile dokuczliwie wilgotna — nisko wiszące chmury nieustannie zlewały ziemię. Kilka razy dręczyła ją gorączka i problemy żołądkowe. Chłopiec imieniem August ze skrępowaniem nie patrząc na nią, zaoferował leki, których używali dzicy. Podziękowała mu, ale kiedy się oddalił, wylała wszystko. Dość miała lekarstw.

Nie pomagała już Guillemette le Bras. Powiedziała jej, że mąż się nie zgadza. Guillemette tylko pokiwała głową, drapiąc się po brodzie. Nie starała się nakłonić Elisabeth do zmiany zdania. Jakiś czas później Elisabeth dowiedziała się, że położna poprosiła Marie Nevette, by zajęła jej miejsce. Nie było to zaskoczeniem, ale zaboląło. Żona rusznikarza była lubiana przez kobiety w osadzie, a poza tym miała własne dziecko.

Elisabeth zamieszała papkę z sagowca, by nie przywarła do dna kociołka i nie przypaliła się. Za stołem widziała swoją skrzynię z zardzewiałym zamkiem i miejsce, w którym kiedyś stał koszyk Guillemette. Zwróciła go położnej wraz ze wszystkim, co mogło się przydać przy porożu — prócz tynktury z belladony. Kiedy wreszcie była w stanie wstać z łóżka bez pomocy, zwinęła słoiczek w szmatkę i zabrała go na zewnątrz. Nie mogła znieść myśli, że leży w koszyku. Chciała go cisnąć między drzewa. Wyobrażała sobie, jak to robi, pługając ptaki, które podrywają się ze wściekłym skrzeczeniem i trzepotaniem skrzydeł. Potem, stojąc na werandzie, oczami duszy zobaczyła, jak pojemnik roztrząskuje się na ziemi, a trochę płynu spływa jej po rękach; trujące opary unoszą się spiralnie jak dym, wciskają do ust, nosa, oczu, przesiakają przez popękana skórę rąk. Zrobiło jej się niedobrze.

Zgięta z wysiłku przeszła przez podwórze do drewnutni i wrzuciła naczynie do beczki stojącej za stosem drewna, w której kiedyś chowali mięso. Zatrzasnęła wieko i narzuciła na wierzch drewno, aż beczka stała się całkowicie niedostępna. Elisabeth wróciła do kuchni i znów mocno zamieszała gęstniejącą papkę. Zwykle była to jej ulubiona pora dnia — przed śniadaniem, kiedy światło w chacie było szare i miękkie, jakby przefiltrowane przez kurz, a wszędzie unosiła się jeszcze leniwa atmosfera snu.

Gdy owsianka się ugotowała, Elisabeth zdjęła kociołek z ognia i zaniósła do stołu. Starła się nie myśleć o skurczach. Kiedy wreszcie przestała krwawić, wiele miesięcy temu, wyobrażała sobie, że straciła całą krew, która w niej płynęła. Teraz jej miesiączki były tak bolesne i obfite, że przerażało ją to.

Mąż podał jej talerz.

— Nadal nie wiem, co go lepiej opisuje, „błady czerwono-skóry” czy „czerwonoskóry biały” — stwierdził Jean-Claude, podejmując rozmowę, gdy Elisabeth nałożyła parującą porcję. — Ma chyba za dużo cech obu ras, żeby czuć się swobodnie w jednej skórze.

— Z tobą czuje się swobodnie.

— Nie. Jest mi oddany. To co innego.

— Czy on naprawdę musi dzisiaj przychodzić? Od pojutra nie zbraknie ci jego towarzystwa.

— Już go zaprosiłem. Nie będzie przeszkadzał.

Elisabeth westchnęła i odłożyła łyżkę. Skurcze się nasilały. Chciała, żeby mąż wyszedł i żeby mogła się skulić pod zielononiebieską kołdrą.

— Przyznaj, że go lubisz — powiedział.

— Oczywiście, że go lubię.

— A on się w tobie zadurzył. Chodzi nieprzytomny, zakochany młodzieniec.

— Boże, co za głupstwa wygadujesz! — Elisabeth wstała, zwilżając wargi końcem języka, i ostrożnie odetchnęła.

— Właśnie tak — upierał się Jean-Claude. — Nie widzisz, jak na ciebie patrzy? — Zatrzepotał rękami.

Elisabeth uśmiechnęła się wbrew woli, kręcąc głową.

— Przecież to jeszcze chłopiec.

Odwróciła się, ale chwycił ją w tali i pocałował w kark. Przytuliła się do niego, przyciskając talerze do bolącego brzucha. Byli małżeństwem już tyle lat, że rzadko kiedy całował ją przy śniadaniu. Mimo jej rozdrażnienia, była w tym pewna pociecha.

— Oczywiście boi się też ciebie — mruzczał Jean-Claude w jej włosy. — Nie jest głupi. Ale cię wielbi. Chciałby ci to robić. I to też.

— Nie...

— Ależ tak. Ma ile? Piętnaście, szesnaście lat? Tylko o tym rozmyśla. A co do tego — ręce Jean-Claude'a stały się bardziej natarczywe — oddałby chętnie życie za jedną szansę...

Elisabeth znów poczuła silny skurcz podbrzusza. Zgięła się, niemal upuszczając talerze. Wkrótce zacznie się krwawienie. Zmusiła się do uśmiechu, wyslizgując się z jego ramion i postawiła talerze na stole.

— Powinieneś już iść — wyrzekła z wysiłkiem. — Niedobrze, żeby dowódca na ciebie czekał.

Jakby jej nie słyszał, Jean-Claude uniósł ją w ramionach i przycisnął wargi do jej ust. Czoło i kark Elisabeth były pokryte zimnym potem, a pod zamkniętymi powiekami widziała małe robaczki; bała się, że zemdleje. Położył ją na kołdrze i podciągnął spódnicę jedną ręką, drugą rozpinając guziki spodni. Położył się na niej; pisnęła, bo zabołał ją brzuch.

— Co do tego — zamruczał, owiewając gorącym oddechem

jej szyję — jeśli kiedykolwiek przyłapię go na takich marzeniach, rozwalę mu łeb.

Z nadejściem wieczoru Elisabeth zaczęła krwawić. Poruszała się powoli, nie dowierzając swoim kończynom, a kiedy zamieszała w garnku, woń potrawy sprawiła, że zebrało się jej na wymioty. Czoło miała gorące, jakby rosła gorączka. Nalała wody do trzech kubków i postawiła na stole trzy drewniane talerze.

Tej zimy Jean-Claude nabrał zwyczaju przyprowadzania Auguste'a na kolację cztery albo pięć razy w tygodniu. Na początku Elisabeth próbowała protestować przeciwko takiej częstotliwości, ale bez skutku. August został ulokowany u ślusarza nazwiskiem Le Caen, którego żona zmarła na żółtą febrę przed dwoma laty i gospodarstwem musiała się zająć jego dziewięcioletnia córka, która z kolei gapiła się na Auguste'a, gdy jadł swoje samotne posiłki, i cały czas skubała wargi aż do krwi. Nie można było go tak zostawić, jak twierdził Jean-Claude, i chcąc go zadowolić, Elisabeth przystała na wizyty chłopca.

Ku własnemu zaskoczeniu nie tylko przyzwyczaiła się do Auguste'a, ale wręcz go polubiła, nie jedynie dlatego, że był tak otwarcie oddany jej mężowi i nie z powodu jego śmiesznego, małego szczura o imieniu Ponola, w języku dzikich oznaczającego kłaczek bawełny, którego czasem przynosił dla rozrywki. Otaczała go aura cichego spokoju. Przypominał jej kobiety dzikuski, które przychodziły w dni targowe do osady handlować z Francuzkami. Tak jak one słuchał nie tylko uszami, ale całym ciałem, jak one był spokojny i opanowany. Nie wypełniał sobą całego miejsca i nie domagał się jak inni mężczyźni, aby cała uwaga Elisabeth skupiała się na jego błahych problemach i zajęciach. Rozmawiał, ważąc słowa oszczędnie i starannie. Przed Auguste'em nie musieli odgrywać ról małżeńskich, jakich się po nich spodziewano.

Elisabeth była ciekawa, czy ma matkę wśród dzikich. Nie, odparł. Jego ojciec zmarł, gdy był jeszcze niemowlęciem, a matka wyszła drugi raz za mąż za tragarza portowego. Był szorstkim, porywczym mężczyzną i bała się go. Nie była waleczna jak Elisabeth, powiedział kiedyś i Elisabeth roześmiała się zaskoczona tą uwagą. Szkoda, że nie była, dodał niezręcznie. Może gdyby była, byliby szczęśliwi. Tak jak Elisabeth i Jean-Claude.

Podziękowała mu i odwróciła się, kryjąc twarz w dłoniach. Jeśli byli szczęśliwi, to najszczęśliwsi czuli się, gdy był z nimi August. Był jak lustro, w którym mogli się podziwiać. W obecności chłopaka Jean-Claude przechodził sam siebie w uroku i uczuciowości, na przemian drocząc się z nią i wychwalając, ona zaś odpowiadała ostro i trafnie, jak lubił, przewracając z niedowierzaniem oczami w stronę Auguste'a, jakby litowała się nad samą sobą. Po kolacji siadywali przy ogniu, Elisabeth z jakąś robótką na kolanach; czasami rozmawiali, czasami zapadała przyjemna cisza, a August obserwował ukradkiem ze swego miejsca przy drzwiach, jak Jean-Claude kładzie dłoń na jej dłoni.

Sprawy nie zawsze miały się tak, kiedy byli sami. Trzaskający ogień i cisza wyjaławiały wtedy przestrzeń między nimi, aż Jean-Claude wyciągał niespokojne nogi, wstawał i zaczynał chodzić po chacie, a ona z całych sił skupiała się na pracy, żeby nie pytać, co go tak dręczy. Pytanie powodowało tylko, że stawał się jeszcze bardziej rozdrażniony. A przecież szcęk klamki i jego przytłumiony głos za drzwiami nadal ją poruszały. Mimo wszystko wciąż było w nich pożądanie, choć pomieszane z lękiem, ale i nadzieją, że jeszcze wszystko się ułoży. W wieczory takie jak ten, gdy była chora i słaba i potrzebowała go bardziej, niż byłaby skłonna przyznać, powitanie go z uśmiechem i radością, co tak w niej lubił, wymagało nie lada wysiłku.

- Jakie wieści? — zapytała swobodnie, gdy weszli do chaty.
— Kto oskarża kogo i o co?

Zakręciło jej się w głowie. Nachyliła się nad kociołkiem, ściskając łyżkę tak mocno, aż zbielały jej kostki palców. Jean-Claude zrzucił buty, podszedł do niej w pocerowanych pończochach i objął w talii. August odwrócił wzrok.

- Dobrze wygląda — zamruczał.

Był w dobrym humorze. Z wysiłkiem przymknęła oczy i oparła się o niego.

- Kolacja czy żona?

- Jedno i drugie... świeże mięsko.

— Gdybyś spróbował przyrządzić kolację z mięska w moim wieku, przeżuwałbyś ją do rana.

- Nie skarzę się.

Elisabeth zaśmiała się z trudem i odepchnęła go.

— August, wybaczone, proszę, głupstwa, które gada mój mąż. Cieszę się, że mogłeś przyjść.

- Chyba za często przychodzę, pani.

Elisabeth przestała go namawiać, by zwracał się do niej po imieniu. Nalegania były krępujące i niczego nie zmieniły.

— Wasz ostatni przyzwoity posiłek przez parę tygodni — rzekła zamiast tego, nakładając duszone mięso i kaszkę sagową. Od zapachu jedzenia znów zrobiło się jej niedobrze. — Proszę, jedzcie.

August wziął talerz, który mu podała. Niechęć dotknął palcami jej ręki i gwałtownie cofnął, rozlewając trochę sosu.

- Prze... przepraszam. Niezdara ze mnie.

— Wszyscy stajemy się niezdarami przy Elisabeth — oznajmił Jean-Claude.

Przewracając oczami do Auguste'a, Elisabeth wręczyła mężowi pełen talerz i nałożyła łyżkę stawy na swoim.

- Nie słuchaj go — powiedziała. — Jedzmy.

Usiedli przy stole, Jean-Claude u szczytu, Elisabeth i August po jego dwóch stronach, jak zwykle. Elisabeth patrzyła na męża, jak z apetytem jadł, siedząc ze skrzyżowanymi nogami i oczami skupionymi na talerzu. Od jutra znów go nie będzie.

— Nie jesteś głodna, pani? — spytał August. — Błado wyglądasz.

— Trochę za dużo próbowałam przy gotowaniu — skłamała Elisabeth. — Nie mam apetytu.

Wypiła łyk wody, aby uspokoić żołądek. Ścisnęła kubek w dłoniach. Wzrok Auguste'a palił ją w twarz.

— No więc? — odezwała się ponownie. — Co nowego w mieście?

— Myślałem, że to żona opowie mężowi, co usłyszała w zaufaniu od innych — odparł Jean-Claude z pełnymi ustami.

— Zapominasz, że nikt mi niczego nie mówi.

— To prawda. A ty zapominasz, że nigdy nie interesowało cię w najmniejszym stopniu, co chcą ci powiedzieć.

August się uśmiechnął. Zaczekał, aż Jean-Claude znów zabierze się do posiłku i rzekł:

— Ja mam wieści. Kupiłem chatę.

— Ależ to cudownie, August! — wykrzyknęła Elisabeth, lekko dotykając językiem ust. Cały czas zdawało się jej, że za chwilę zemdleje. — Gdzie?

— W New Mobile, przy ulicy Conde Dugne, na rogu Pontchartrain. Nie jest duża, ale ma ładny ogród. Podobałyby ci się, pani.

— Na pewno.

— Dopóki nie nasadzisz tam tych swoich dziwactw — zauważył Jean-Claude, cały czas jedząc. — Mam szczęście, że Elisabeth woli jadalne warzywa. Może twoja żona też taka będzie. Mężczyzna, który ma dom, musi znaleźć sobie żonę.

— Dziękuję, ale wystarczy mi gospodyni — uśmiechnął się August.

— Ach, czyli wolisz *le mariage naturel**, jak nasz przyjaciel kupiec? Ani się obejrzy, jak będzie prowadzić dom małym mestifom.

„Mestif” było słowem, którego osadnicy używali na określenie dzieci mieszanej krwi. Elisabeth pokręciła głową, patrząc na męża.

— Daj spokój chłopakowi — powiedziała cicho. — Zawstydzasz go.

— Nonsens. August jest światowym człowiekiem. Mądrze robi, nie chcąc brać za żonę jednej z tych Francuzeczek, które są bez wyjątku głupie i brzydkie. Nie rób min, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Elisabeth zamknęła oczy i wsparła się o stół, walcząc z kolejną falą mdłości.

— Pani? — Usłyszała głos Auguste'a dochodzący jakby z daleka.

— Dąsa się, bo wie, że mam rację. Jeśli skończyłeś, August, chodźmy. Czekają na nas.

— Może powinieneś zostać z żoną — wymamrotał August.
— Jest biała jak kreda.

— Za dużo czasu spędzasz z dzikusami. Francuzki wszystkie są tego koloru.

August się nie roześmiał. Czekał z dłońmi opartymi na poręczy krzesła. Pod stołem Elisabeth widziała jego duży palec u nogi wystający przez dziurę w pończosze. Przemogła ogarniającą ją słabość i lekko podniosła głowę, znów wywołując zamęt w żołądku.

— Idźcie — ponagliła. — Proszę. Jestem tylko trochę zmęczona, to wszystko.

August zawahał się, ale wreszcie odszedł. Słyszała skrzypie-

* **Związek nieformalny.**

nie skóry, gdy wciągał buty, i poczuła powiew ostrego, nocnego powietrza, kiedy otworzyli drzwi, wyszli i trzasnęli nimi za sobą. Zmusiła się, by wstać, i przycisnęła twarz do płótna w oknie. Chłód trochę ją orzeźwił. Usłyszała ich głosy niesione wieczornym wietrzykiem.

— To prawda. Ale patrzę na Alexandria z synem. Jak dwie krople wody, silny, żywotny... oczywiście, że mu zazdroszczę. Któż nie zazdrościłby? Bez synów, którzy go przeżyją, życie męzczyzny jest takie... kruche. Przemijające.

— Nie jest za późno. Może tym razem...?

— Nie. Nawet jeśli jest w ciąży, poroni. Zawsze tak się kończy.

August mruknął coś w odpowiedzi, ale jego słowa umknęły jej, połknięte przez przepastną, bezgwiezdną noc. Elisabeth miała gęsią skórkę na całym ciele. Objęła się ramionami, czując w ustach kwaśny smak strachu. Nogi się pod nią ugięły i znów zrobiło się jej niedobrze. Odwróciła się i zwymiotowała gwałtownie w grządkę z sagowcami.

Wróciwszy do chaty, przykryła garnek i obmyła twarz wodą. Później usiadła przy ogniu, złożywszy ręce na kolanach. Nadal tam siedziała, gdy wrócił. Kaganek i ogień w palenisku zgasły, tliły się tylko czerwone węgielki pod warstwą popiołu. Był pijany i, sądząc po sile, z jaką otworzył drzwi, w złym humorze. Zaklął, mocując się z butami, i z hałasem rzucił je na ziemię, idąc w stronę łóżka. Prawie na nią wszedł, zanim spostrzegł białą jak płótno twarz w mroku i aż się potknął zaskoczony.

— Do licha! — krzyknął wściekły. — Co się z tobą dzieje?! Czemu skradasz się po ciemku, jak złodziej?!

Nawet nie drgnęła, tylko uniosła twarz w jego stronę, smutek i szok nagle eksplodowały w niej niepowstrzymaną furia.

— Ze mną? Co się ze mną dzieje?!

— O co, do diabła...

— To ty mi powiedziałaś, że nie chcesz dzieci. Ty tak powiedziałaś. Powiedziałaś, że my... że chcesz tylko mnie.

Zerwała się na nogi, zaciskając pięści, jej oczy płonęły. Zamrugał i oparł się o krzesło.

— To się znowu stało, tak?

— Zawsze się tak dzieje.

— Och, wiem przecież.

— Dzieje się tak, bo tego chcesz! — krzyknęła. — Bo tak zdecydowałaś!

— Ja zdecydowałem? Na litość boską, Elisabeth, co ja mam z tym wspólnego?!

— Wszystko! Tego chciałeś! Ja nie chciałam... nigdy nie chciałam... ja...

Nagle ogień w jej wnętrzu wypalił się i Elisabeth ugięła się pod ciężarem własnego ciała.

— Dla ciebie — wyszeptwała. — Zrobiłam to dla ciebie.

Jean-Claude patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Przesunął dłońmi po twarzy.

— Idź do łóżka, Elisabeth.

— Zrobiłam to dla ciebie.

— Boże, Elisabeth...

— Kiedy byłam w ciąży, powiedziałaś, że... że nie chcesz tego dziecka. Że żadne z nas tego nie zniesie.

Wciąż na nią patrzył, a mięsień drgał na jego policzku. W mroku usta Elisabeth miały siny kolor.

— Uważasz, że to moja wina? Moja wina, że nie możesz donosić dziecka w swoim łonie?

Elisabeth przełknęła ślinę. Czuła się pusta i otepiała, właściwie nie czuła nic. Zacisnęła mocniej pięści. Wydawało się jej, że spada.

— Tego chciałeś — powtórzyła załamującym się głosem.

— Dość, na litość boską! Oszalałaś!

Nigdy go nie widziała tak wściekłego. Gdy zatrzaskała za sobą drzwi, nie poruszyła się. Wiedziała, że jeśli się poruszy, to się obudzi i zacznie czuć. Nie chciało się jej płakać, a jednak łzy spływały jej po twarzy. Stała bez ruchu, a pustka wewnątrz niej roztaczała się coraz bardziej.

Dużo później wrócił i położył się, rozsiewając woń brandy i potu. W nocy sięgnął po nią, dotykając gorącymi dłońmi i owiewając ciepłym oddechem. Jego pożądanie było intensywne i szybko je zaspokoił.

— No, tak lepiej — zamruczał, a Elisabeth zacisnęła oczy, żeby się znów nie rozpłakać.

Wkrótce zaczął chrapać. Leżała, nie zmrużywszy oka, aż płótno w oknie poszarzało, a szczebiot ptaków przynaglił słońce, by wstało. Wtedy zasnęła; gdy się obudziła, promienie słońca świeciły prosto w okno, a Jean-Claude'a nie było.

Auguste czuł się w Mobile jak w niebie. Nie żałował, że opuszcza lud Ouma, podobnie jak nie żałował, gdy opuszczał matkę w La Rochelle. Nie należała do żadnego z tych miejsc. Zarówno w wiosce dzikusów, jak i w jego rodzinnym portowym mieście odbijał się od ustalonych struktur i hierarchii, do których kazano mu się dopasowywać, i nigdy nie był w stanie poczuć odprężenia czy braku lęku niezbędnych do tego, by się z kimkolwiek zaprzyjaźnić. Cały czas czuł, że coś jest nie tak, i leżało mu to ciężarem na sercu. Nie wiedział, jak to się dzieje, ale musiało być wyczuwalne w jego głosie, zachowaniu czy jakiejś innej części niego, owa inność. Nie wiedział, ale pogodził się z tym. Była to tak samo jego cecha jak kolor oczu czy blizna na ramieniu.

Z Babelonem i Elisabeth było inaczej. Przy nich mógł być sobą, nie wymagali, by dopasowywał się do jakichś ram. Oddychał i jego oddech zgodnie mieszał się z ich oddechami. Było to tak naturalne, że na początku czuł nieufność i wahanie, zbity z tropu ich bliskością i zawstydzony, że oni się nie wstydzili. Krępowała go częsta obecność w ich domu. Kiedy jedli razem, zawsze wymyślał jakiś pretekst i wychodził wcześniej, by mogli spędzać czas tak, jak powinni, to znaczy we dwoje.

Niemniej niepostrzeżenie stał się ich częścią, a oni częścią jego, zanim nadeszła wiosna. Ludzie zauważyli to i niektórzy sko-

mentowali sytuację. Nawet małomówny ślusarz Le Caen żartował o żonie dwóch mężów, mieszając w ustach słowa z domowego wyrobu alkoholem Burelle'a. Jego córka pochylała się nad szczurkiem, poruszając spierzchniętymi wargami i marszcząc brwi nad ogniście czarnymi oczami.

Ostatniego wieczoru, który spędzali razem przed wyruszeniem na pierwszą w tym roku ekspedycję, August patrzył na białą twarz Elisabeth i poczuł nagle silny lęk, że więzy, które ich połączyły tej zimy, nie dadzą się odtworzyć, jeśli zostaną zerwane. Nie wyobrażał sobie, jak porozumie się z Jean-Claude'em bez jej obecności, więc z ciężkim sercem wyruszał na tę wyprawę, obojętny na refleksy światła na wodzie i rozbuchaną świeżą zieleń przebudzonego lasu. O dziwo, tęsknił też za szczurkiem, którego zostawił pod opieką córki ślusarza. Koc, którym owijał nocą nogi, był zimny. Babelon też rozpoczynał ekspedycję w podłym humorze. Niewiele mówił, ale było jasne, że pokłócił się z de Bienville'em. W wiosce Little Tomeh, która była ich pierwszym przystankiem, poprosił przewodnika-dzikusa o pilnowanie pirogi z prywatnymi towarami dowódcy, a nie, jak to zwykle robił, o rozładowanie jej.

— Zwrócimy mu ją dokładnie w takim stanie — oznajmił z ponurym uśmiechem. — Zobaczymy, jak mu się to spodoba.

Później, kiedy August pozwolił sobie na jakąś niemądrą uwagę o dowódcy, twarz Kanadyjczyka pociemniała.

— Ten żałosny sukinsyn myśli, że cała Luizjana należy do niego. No, ja na ten przykład nie jestem durnym niewolnikiem.

Babelon jednak nie był upartym człowiekiem i nie był długi zły. Rzeka Mobile toczyła swe wody, a on nie krył radości spowodowanej uwolnieniem się od ograniczeń życia w osadzie. Auguste'owi wydawało się, że w miarę jak się zbliżają do ziem ludu Talimali, Babelon robi się wyższy, a promienny nastrój uwydatnia jeszcze jego mięśnie i brodę.

Talimali byli zbiegami z ziem Apaczów, katolikami, którzy opuścili swe wioski na hiszpańskim wschodzie, by uciec przed atakami Apalaków opłacanych przez Anglików. Mówili dziwnym językiem, w którym hiszpański mieszał się z ich narzeczem, a który był tak inny od mowy ich sąsiadów, że August musiał spędzić dużo czasu z kobietami i dziećmi w wiosce, ofiarując drobne upominki, by je zachęcić do rozmów z nim i pomocy w nauce. Nie miały oporów; de Bienville przyznał im tereny nad rzeką Mobile, by mieli się gdzie osiedlić, za co czuli wdzięczność.

Kilka dni później w wiosce Mouvill, gdzie mówiono językiem podobnym do chickasaw, August zrobił to samo. Potem już wszędzie przykucał w miejscu, gdzie mógł rysować patykiem na ziemi podczas mówienia, i natychmiast zjawiała się grupka dzieci, pokazując sobie jego rysunki i chichocząc radośnie z błędów. Nie trwało to jednak długo; sztywny język Auguste'a stawał się giętki, opuszczał ramiona, jakby nowa mowa mościła się wewnątrz jego ciała, a dzieci powracały do swych zabaw i zajęć, z rzadka tylko przypominając sobie o obcym wśród nich.

— Jak ty to wszystko pamiętasz? — spytał go Babelon pewnej nocy. Ogień dogasał, więc kopnął go, by płomień znów się uniósł. August wzruszył ramionami.

— Jakim cudem możesz pomieścić te wszystkie słowa w głowie?

August rozważał pytanie w ciszy.

— To chyba jest tak jak z miejscami — rzekł wreszcie. — Pokój mojej matki w La Rochelle, na przykład, albo chata Ouma. Albo twój dom. Kiedy cię tam nie ma, to pamiętasz: aha, dębowa skrzynia stoi tu, stół tu. Zastanawiasz się, czy to w prawym oknie płótno odchodzi w rogu czy w lewym? Ale kiedy tam jesteś, nie musisz się zastanawiać. Wiesz bez myślenia. Rzecz jasna, że w prawym oknie brakuje gwoźdźcia, masz je przed sobą.

— Brakuje gwoźdźcia? — powtórzył Babelon sucho. — Chyba nie znasz mojej żony.

August się uśmiechnął. Tylko że właśnie myślę o twoim domu. Brakuje gwoźdźcia, a płótno ma w rogu małą pomarańczową plamkę od rdzy. Dębowa skrzynia ma na wieku wgłębienie w kształcie pestki dyni, a spłowiały błękitny obrus na stole, obsyty na brzegach jaśniejszym jedwabiem, ma ten sam kolor co jej oczy. Na stole stoi koszyk upleciony z liści palmowych, do którego czasem wkłada owoce. Najbardziej lubi śliwki, zwłaszcza te ciemnofioletowe o złotym miąższu. Błat stołu poznaczony jest śladami od noża, a w rogu najbliższej paleniska widnieje czarny półksiężyc, gdzie drewno przypaliło się od czajnika. Czasem kładzie rękę na tym półksiężycu, kiedy się nad czymś zastanawia, i rozpościera palce. Na wierzchu prawej dłoni ma kilka piegów, które wyglądają jak piątka na kostce do gry.

Ogień zasyczał i zgasł, pozostawiając tylko lekki popiół.

— Musiało ci być trudno ją zostawić — wymamrotał Auguste.

— Przyzwyczaiałem się do tego.

— Ale kiedy jest chora...?

— Do tego też się przyzwyczaiałem.

— Klimat tu nie jest zbyt zdrowy.

— Kiedyś jej to nie przeszkadzało.

Dwaj mężczyźni siedzieli w ciszy, patrząc na resztki ogniska.

— Czas nie jest łaskawy dla kobiet — stwierdził wreszcie Babelon. — Wydaje się, że tracą odwagę i temperament wraz z jędrną skórą. Kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, nie bała się niczego. Była taka silna, taka... odważna.

— Waleczna.

— Tak, waleczna — uśmiechnął się Babelon. — Powinieneś widzieć, jak ją wściekało to czy tamto. — Uśmiech zniknął z jego twarzy. — Ale już taka nie jest.

— Chorowała?

— Nieustannie.

August przypomniał sobie trupioblada twarz Elisabeth, fioletowe cienie pod oczami, zaciśnięte kąciki jej zmysłowych ust i palce, kiedy walczyła z bólem. Zawsze walczyła — tak, walczyła z bólem.

— To musi ją męczyć — mruknął.

Babelon westchnął i znów kopnął dogasający ogień obcasem, aż iskry skoczyły czerwonym łukiem na tle nocnego nieba.

— Wierz mi — powiedział — to męczy nas oboje.

Spędzali w każdej wiosce po kilka dni, cały czas podróżując na północ, w kierunku ziem wielkiego ludu Czoktawów. Całe połacie ziemi były tu jeszcze niezamieszkane i nietknięte ludzką ręką. Rzeka płynęła, nieobecność Elisabeth nie doskwierała już tak bardzo. August przyzwyczał się do podróżniczego życia, plusku wiosł, bulgotu wody, krzyków dochodzących z lasu, ostrego, mocnego zapachu mężczyzn w bliskości wymuszonej ciasnotą łodzi i niewielkich namiotów z sitowia krytego płótnem, które Francuzi nazywali *baires*. Płynęli z dolnej delty rzeki przez równiny w kierunku gór górnej Luizjany. Auguste'a fascynowało bogactwo gatunków roślin i owadów. Wielu nie znał. Zbierał te, które przyciągnęły jego uwagę, zwłaszcza sadzonki i nasiona do swego ogrodu przy ulicy Conde. Wieczorami, po rozbiciu obozu, pochylał się nad nimi, analizując ich cechy i szkicując w piasku, by je lepiej zapamiętać.

— Na litość boską! — zaprotestował Babelon któregoś wieczoru. — Można by pomyśleć, że w życiu nie widziałeś liścia.

— To nie jest zwykły liść — odparł August, podnosząc roślinę. — Zobacz. Widzisz, jak tu się wybrzusza ku górze? Kiedy owad wejdzie do środka, roślina zamyka tę klapkę, żeby nie mógł uciec.

— A po co jej owady?

— Żywi się nimi.
— Drapieżna roślina?
— Tak. Ouma uważają, że to silny środek przeciwgorączkowy. I miłośny.

— Intrygujące. — Babelon przyjrzał się bliżej roślinie. Później zaczął szukać czegoś w swoich pakunkach, aż wyciągnął małą książeczkę przewiązaną skórzanym paskiem, za który był zatknięty kawałek ołówka.

— Masz — rzekł, podając ją Auguste'owi. — Powinieneś prowadzić porządne notatki.

August niezgrabnie potrząsnął głową. Papier był rzadkością, a on zresztą i tak nie umiał posługiwać się ołówkiem.

— Tylko to zniszczę.

— Lepiej ty niż ja — stwierdził Babelon i wcisnął notatnik młodszemu mężczyźnie do kieszeni.

August nosił go tam całymi dniami, czując, jak uwiera go w udo, kiedy przykucał nad swoimi szkicami w piasku. Ale kiedy w końcu otworzył notatnik i ujął ołówek w rękę, okazało się, że doskonale mu idzie posługiwanie się nim.

— Dobrze — zauważył Babelon kilka dni później, kartkując książeczkę.

— Zużyłem za dużo stron. Proszę, weź go z powrotem.

Ale Babelon nie chciał.

Gdy wreszcie dotarli do pierwszej wioski Czoktawów, czekały na nich niepokojące wieści. Kilka tygodni wcześniej dwóch Anglików, wysłańców gubernatora Karoliny*, dotarło do wioski Czikasawów zaledwie kilka lig od ich granicy z Czoktawami. Mieli ze sobą osiem jucznych koni obładowanych towarami i bawili w wiosce osiem dni. Przez ten czas ciągle powtarzali wodzom, że przyjaźń z Anglikami jest podstawą dobrobytu ich ludu, a na

* Chodzi oczywiście o jeden ze stanów amerykańskich.

dowód tej przyjaźni dawali im nie tylko upominki, lecz także proponowali korzystne warunki handlu.

August pozwolił rozmówcom chwilę pomilczeć, po czym bardzo cicho spytał wodza, skąd o tym wie.

— Czikasawowie od dawna są naszymi wrogami — odparł wódz. — Mądry wojownik zna interesy swego wroga co najmniej tak dobrze jak własne.

— A jaką odpowiedź dali Anglikom?

Wódz pokręcił głową. Nie wiedział. Wiedział tylko, że angielscy wysłannicy przywieźli Czikasawom broń i proch, a wodzowie nie odmówili. Anglicy prosili też o pozwolenie na ponowny przyjazd i również je uzyskali.

August kiwnął głową. Potem odwrócił się do Babelona i przetłumaczył słowa wodza.

— To sukinsyny. — Babelon zmarszczył brwi, przebieając palcami po udzie. — Pokrętne, dzikie sukinsyny.

— My też złożyliśmy Czikasawom wiele obietnic, których nie dotrzyaliśmy — mruknął August. — Więcej prezentów, handel na korzystnych warunkach, fort w ich prowincji. Na razie niczego z tego nie dostali.

— Ale wypalili z nami kalumet, czyż nie? Przyjęli prezenty? Zadeklarowali więc lojalność wobec korony francuskiej.

— A kiedy my palimy calumet z Czoktawami, deklarujemy im lojalność, a sąsiedzi są ich odwiecznymi i najpotężniejszymi wrogami. Nic dziwnego, że Czikasawowie współpracują z Karoliną. Ich wschodnia granica jest narażona na angielskie ataki.

— A więc nas zdradzili.

— Jeszcze nie, ale niewykluczone, że to zrobią.

Wódz Czoktawów, który do tej pory milczał, przemówił. Jego twarz była poważna.

— Co on mówi? — dopytywał się Babelon niecierpliwie.

— Uważa, że powinniśmy pojechać bezpośrednio do Czi-

kasawów i złożyć im deklarację przyjaźni. Jest zdania, że nadal chcą nam sprzyjać, ale musimy ich sobie trochę mocniej zjednać i przekonać, że jesteśmy niewzruszeni.

Babelon potrząsała głową.

— To niemożliwe. Czekają na nas w Mobile. Mam tam sprawy, które nie cierpią zwłoki.

— Dowódca z pewnością...

— Co, do diabła, ma z tym wspólnego dowódca?

August się zawahał.

— Nie przetłumaczyłem dokładnie — odezwał się w końcu.

— Wódz jest nieugięty. Jeśli tam nie pojedziemy, ryzykujemy utratę dobrych stosunków z jednymi i drugimi.

— No to będziemy musieli zaryzykować — prychnął Babelon. — Czikasawowie to nie jedyni nasi sprzymierzeńcy na tym odludziu.

Rzucił wściekłe spojrzenie na Auguste'a, który skurczył się, unikając jego wzroku. Wódz Czoktawów przyglądał się im w milczeniu. Babelon westchnął.

— Nie wydaje ci się dziwne, skąd szanowny wódz wie tyle o sprawach swoich wrogów? — odezwał się łagodniej. — Jeśli Anglicy dotarli do Czikasawów, bez wątpienia byli również tutaj. Skąd wiesz, że to nie zasadzka?

— Wódz jest człowiekiem honoru.

— Honoru? August, to dzikus. Jak u wszystkich dzikusów, kupiliśmy jego przychylność prezentami i bronią. Może Anglicy zaoferowali lepsze warunki. Nie, powiedz wodzowi, że pojedziemy do Czikasawów, ale najpierw musimy ostrzec dowódcę. De Bienville zna się na ich gierkach. Jeśli coś tu śmierdzi, on to wyczuje.

August z wahaniem przetłumaczył, starannie dobierając słowa. Wódz zmarszczył czoło, ale pokiwał głową.

— Jesteś całkiem pewien — spytał August, gdy zapadła

ciemność i rozpoczęły się tańce — że powinniśmy wracać do Mobile?

— A stamtąd do Missisipi. Naczezi* mnie oczekują.

— Ale...

— August, nie bądź naiwny. Nie widzisz, że właśnie tego chcą Anglicy? Odciągnąć nas od handlu, żebyśmy nie mieli żywności dla osady i stali się zbyt słabi, by odpierać ich ataki.

Twarz Babelona lśniła, a w jego oczach August dostrzegł tylko odbicie skaczących żółtych płomieni trzciniowych pochodni.

— Czoktawowie by nas nie zdradzili — powiedział August cicho. — Przysięgli lojalność z całą powagą.

— Ich powaga mało się liczy. Czy Czoktawowie biorą pieniądze od Anglików, czy są tylko ich marionetkami, na jedno wychodzi. Wysyłają nas do Czikasawów, prawdopodobnie, byśmy wpadli w pułapkę. Ostrożność nie zaszkodzi.

August milczał.

— Rzeka jest wezbrana, dotarcie do Mobile nie powinno zająć nam więcej niż kilka dni. Później, cóż, to sprawa dowódcy. Niech on decyduje.

Bystry prąd, zgodnie z przewidywaniami Babelona, pozwolił im wrócić do Mobile przed upływem tygodnia. Od razu po dopłynięciu poszli zobaczyć się z dowódcą. August zrelacjonował de Bienville'owi, co wiedział, a potem jak go pouczone, czekał na zewnątrz, podczas gdy dowódca konferował z Babelonem. Gdy dwaj mężczyźni pojawili się wreszcie, poinformowali Auguste'a, że ma wrócić do wioski Czoktawów z przewodnikiem i oznajmić wodzowi, że dowódca chce go widzieć w Mobile. Babelon miał

* Plemię żyjące na terenach południowej Missisipi w czasach kolonizacji Luizjany przez Francuzów.

pojechać bezpośrednio do Missisipi, żeby nie ucierpiały interesy osady. August przyjął rozkazy dowódcy. Gdy pozwolono im odejść, ruszyli powoli w stronę przystani. Padał drobny deszczyk, który osiadał im na płaszczach.

— Napijemy się u Burelle'a? — zaproponował Babelon, ale August potrząsnął głową.

— Na pewno niecierpliwisz się, żeby zobaczyć żonę.

— Jak się napiję, to będzie jeszcze lepiej wyglądać. I tak samo ten twój szczur, jeśli już o tym mowa.

Na wspomnienie szczura August poczuł leciutki, przyjemny dreszcz. Na rogu Conde zatrzymał się i pożegnał z przyjacielem.

— Z Bogiem — rzekł. — Idź bezpiecznie.

— I ty, panie. I ty.

August odwrócił się, by odejść.

— Jeszcze jedno! — zawołał za nim Babelon. — Mógłbyś mi oddać ten notatnik? Pewnie będę musiał zapisywać różne rzeczy, sam wiesz.

August poczuł pod palcami znany kształt książeczki. Kieszeń nabrała wyraźnie rogatego kształtu od noszenia w niej notatnika.

— Oczywiście — powiedział i niechętnie oddał go Babelonowi, który wsunął książeczkę do własnej kieszeni. — Te rysunki... Przepraszam, jeśli zużyłem za dużo kartek.

— Przeciwnie! — zaprotestował Babelon. — Może nawet rachunki biznesowe będą bardziej znośne ozdobione twoimi ładnymi obrazkami.

Po odejściu Babelona August stał jeszcze chwilę, gryząc paznokcie kciuka. Wreszcie odwrócił się i wolno ruszył w kierunku ulicy Tonti. Próbował skoncentrować się na oczekiwaniu, gdy szczurek wdrapie się na jego ramię i delikatnie skubnie za ucho. Pragnął też zobaczyć tulipanowiec w ogrodzie, który właśnie powinien rozkwiąć. Zamiast tego myślał o dowódcy, który

nalał wina do trzech kieliszków i wznosił toast, zanim odprawił Auguste'a.

— Za sukces w szpiegowaniu! — powiedział, wypijając zawartość kieliszka.

Nie nosił chustki na szyi, a jego koszula była rozpięta, ukazując skręcone kłębowisko żmij na piersi. Wino było kwaśne. Po opróżnieniu butelki de Bienville pokręcił głową.

— Z pewnością wódz Czikasawów nie jest tak głupi, jak Czoktawowie chcieliby nam wmówić. Wie przecież, że podstępni Anglicy załatwiają ich jak dzikie indyki! I za co, za kilka muszkietów? Lepsze warunki handlu? Nie zrozumcie mnie źle, znam zasady robienia interesów aż za dobrze, ale z Anglikami? Anglicy czczą zysk tak, jak dziki czci słońce, nie dlatego, że ogrzewa mu plecy, ale dlatego, że bez niego nie byłoby dnia. Zdradę mają we krwi. Przysięgam, nie ma takiej rzeczy, rodaka, ojczyzny, królestwa czy samego Boga, której Anglik nie sprzedałby za odpowiednią cenę.

Każdy miesiąc tej strasznej zimy zaczynał się leciutkim, świeżym powiewem nadziei, a kończył skurczami i skrzepami krwi. Potem znów nadeszła wiosna i Jean-Claude wyruszył na północ. Z nadejściem deszczów rzeka wystąpiła z brzegów i po raz kolejny zalała niżej położone domy. Mieszkańcy musieli poruszać się pirogami. Elisabeth przygarnęła rodzinę Renée Gilbert, której domostwo znalazło się kilka stóp pod wodą. Stłoczone w ciasnej chacie dzieci były rozdrażnione, a między kobietami też panowało napięcie. Elisabeth gorzko żałowała utraty swej samotności. Renée ją irytowała, a niegrzeczne dzieci doprowadzały do szału. Kiedy najmłodszy przewrócił dzbanek z mlekiem, dała mu klapsa; obrażona Renée nie odzywała się potem do niej całymi dniami.

Deszcz nie ustawał. Fort zbudowany w mulistej dolinie gnił od fundamentów, a drewniane wieżyczki przechylały się pod ciężarem armat. De Bienville'owi udało się osiągnąć kruche porozumienie między Czoktawami a Czikasawami, w którym złożyli deklaracje lojalności wobec Francji; wodzowie obu plemion spędzili część zimy w Mobile. Anglicy jednak nadal stanowili zagrożenie. Gdyby udało im się sprowokować Czikasawów do ataku, miasto miałoby niewielkie szanse, by się obronić.

Szalejąca przez trzy dni burza zalała na pół wybudowany kościół, niszcząc ołtarz i prowizoryczne ławki. Zniszczyła także je-

dyne poletko kukurydzy uprawiane przez osadników za namową dowódcy. Co gorsza, uszkodziła magazyn żywności. Po „Aigle” nie przypłynął już żaden statek z Francji, a wszak jeszcze przed deszczami stale brakowało różnych dóbr. Gdy burza wreszcie odeszła, okazało się, że nie zostało prawie nic. Mieszkańcy miasta, wystraszeni i pozbawieni podstawowych towarów, głośno się skarżyli. Ślusarz Le Caën wraz z kilkoma innymi rzemieślnikami wybrali się z delegacją do dowódcy, chcąc przekonać go, by przenieść miasto bliżej ujścia rzeki. Nie było gorszego miejsca do życia, argumentowali gniewnie, niż to bagno w środku lasu. De Bienville wysłuchał ich złorzeczeń i odesłał delegację bez słowa.

Nadal padało, gdy ekspedycja Jean-Claude'a powróciła z żywnością i z niewolnikami. Jednego i drugiego wciąż było za mało. Zostali trzy dni, podczas gdy towary były spisywane i składane w prowizorycznych szałasach wzniesionych w wyższej części posterunku. Niewolników pośpiesznie sprzedano osadnikom, którzy mogli sobie na to pozwolić.

Później Jean-Claude i przewodnicy znów ruszyli na północ. Deszcze nadal zalewały osadę, a wraz z podnoszeniem się poziomu wody wzrastała także niecierpliwość i frustracja mieszkańców. Renée oznajmiła gorzko, iż dowódca jest świnia, zbyt głupią i upartą, by przyznać, że popełnił błąd, zakładając osadę w środku bagna. Inni posuwali się jeszcze dalej. Niektórzy twierdzili nawet, że de Bienville utrzymywał osadę w Mobile tylko dlatego, że znajdowała się w dogodnej odległości od przystani w Massacre Island i jego niejasne interesy związane z transportem towarów między tymi dwoma miejscami mogły być łatwiej tuszowane; inni, że wymyślił zagrożenie ze strony Anglików, by odciągnąć uwagę ludzi od własnej niekompetencji. Padały pogrożki, że napiszą do Ministerstwa Morskiego, a nawet formalną skargę do króla. Nic takiego jednak nie nastąpiło: statki nie przypływały, więc nie było nawet papieru. Zalane tereny Luizjany mogłyby

spływać z powierzchni ziemi, a ojczysty kraj osadników nawet by tego nie zauważył.

Był czerwiec, gdy niebo się wreszcie przejaśniło, a woda cofnęła na zwykłe miejsce na obrzeżach osady. Renée z rodziną wróciła do własnego domu, gdzie starali się naprawić, co się dało. Podczas upalnego lata dwudziestu Apaczów o lśniącej skórze pracowało w pocie czoła pod rozpalonym niebem, rąbiąc i okorowując kłody drewna na nowe ogrodzenie i odbudowując wieżyczki, na których stały armaty. Sześciu żołnierzy zmarło na gorączkę i garnizon liczył teraz mniej niż sześćdziesięciu ludzi — na całą Luizjanę.

Przez większość tego czasu Jean-Claude'a nie było w Mobile. W chacie przy ulicy d'Iberville dzieci dzikusów w dwóch rzędach powtarzały melodyjnie francuskie słowa. Któregoś dnia po zakończonej lekcji Elisabeth wyciągnęła spod łożka swoją skrzynię. Skóra, którą była obita, zapleśniała od wilgoci, a zamek zardzewiał. Przesunęła po nim palcami i wsunęła skrzynię z powrotem. Dowódca nie pochwałał uczenia dzieci dzikich czytania i pisanie, uważając to nie tylko za zbędne, ale wręcz ryzykowne. Kiedy więc przyszły na lekcję dwa dni później, poczekała, aż wygłoszą chóralne powitanie i uniosła rękę.

— Dzisiaj będzie inna lekcja — oznajmiła.

Patrzyły na nią wyczekująco. Elisabeth odetchnęła głęboko i zaczęła snuć opowieść o Odysei. Opowiedziała o Telemachu, którego ojciec zaginał, i o jego matce, Penelopie, otoczonej młodymi mężczyznami, którzy przekonywali ją, by pogodziła się z odejściem męża i poślubiła jednego z nich. Na początku mówiła nieskładnie, zapomniała wiele szczegółów, ale w miarę rozwoju opowieści tekst Homera brzmiał coraz lepiej w jej ustach, słowa i zdania były coraz bardziej znajome. Dzieci wpatrywały się w nią z wytrzeszczonymi oczami. Wiedziały, że jej nie rozumieją. Kiedy zamilkła, one też siedziały cicho, a potem zaczęły się wy-

mykać z chaty, pojedynczo, jakby ze wstydem. Elisabeth siedziała długo, aż zapadł zmrok, a słowa wciąż brzęczały jej w głowie jak rój pszczoł.

Następnym razem uczyła ich słówek przydatnych w polu: motyka, pług, maczeta.

Kiedy Jean-Claude wrócił, spalony słońcem i z gęstą brodą, był już prawie sierpień. Pobieгла przywitać go i dopiero wtedy zauważyła niewolnicę. Dziewczyna czekała w alejce, z oczami wstydliwie wbitymi w ziemię i czarnymi włosami spadającymi prawie do kolan. Miała na sobie długą, białą suknię z płótna, która podkreślała jej biodra i wysoko osadzone, krągłe piersi. Gładka skóra na twarzy i ramionach lśniła miedzianym brązem. Dziewczyna była bardzo młoda. Elisabeth poczuła skurcz w żołądku.

— Wróciłeś — wyrzekła.

— Nie przywitasz mnie czulej po tylu tygodniach?

Elisabeth wspięła się na palce i oplatając szyję męża ramionami, pocałowała go w usta. Jednocześnie otworzyła oczy i zerknęła przez jego ramię. Dzikuska patrzyła na nią bez mrugnięcia. Miała czarne oczy i wysokie, silne czoło.

— Witaj w domu — mruknęła Elisabeth i pociągnęła go za rękę do domu. Jeśli trzasnę mocno drzwiami, pomyślała, może nie będzie tu tej dzikuski, gdy je ponownie otworzę. — Udana wyprawa?

— Dla szanownego de Bienville'a z pewnością. — Rzucił się na krzesło i odchylił do tyłu. — Po raz kolejny. Trzydziestu silnych niewolników i wszystko, co wypracują, idzie do jego kufrów, co do sou.

— Jego kufrów?

— Cóż to, nie znasz pana de Bienville'a?

Drzwi otwarły się i pojawiła się w nich dziewczyna wyglądająca jak zjawa w swojej białej sukni, jak abażur okrywającej ciemny zarys ciała.

— Jean-Claude? — Elisabeth przełknęła ślinę.

Zmarszczył brwi i się obejrzał.

— Ach! — strzelił palcami na dziewczynę, by weszła do środka.

Zatrzymała się przed Elisabeth; pachniała piżmowym, zmysłowym aromatem sadła niedźwiedziego i rozgrzanej skóry. Elisabeth natychmiast zakryła twarz rękami, wdychając znajomy zapach własnego ciała.

— Powiedziałem „trzydziestu”? — upewnił się beznamiętnie. — Miałem na myśli „trzydziestu i jedną”.

— Kupiłeś niewolnicę? Myślałam...

— Kto mówi o kupowaniu? Dostałem ją... w prezencie.

— W prezencie?

— Drobnym wyraz uznania za moje wysiłki.

— Ale przecież zgodziliśmy się...

— Nie. Ty się zgodziłaś. To absurd, Elisabeth, te twoje kaprysy. Wszyscy w mieście, poza zupełnymi biedakami, mają jakichś niewolników.

— I co z tego? Odkąd to obchodzi cię, co mają wszyscy?

— Obchodzi mnie twoja afektacja. To jest afektacja, ten twój bezsensowny upór. Będzie wykonywała ciężkie prace. Woda, drewno, sprzątanie. Będiesz miała czas, żeby uczyć te twoje dzikie dzieci, czegokolwiek je tam uczysz, i na inne rzeczy też.

— Spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem, marszcząc czoło. — Dlaczegoż miałabyś jej nie chcieć?

Dziewczyna miała na imię Okatomih. Nosiła strój Naczewów, ale pochodziła z plemienia Yasoux, których Naczewi najechali kilka miesięcy wcześniej. Poza tym Elisabeth nic o niej nie wiedziała. Ani Okatomih nie znała francuskiego, ani Elisabeth języków, którymi mówili dzicy na północy, tylko kilka słów w języku Pascagoula, używanym przez dzikuski handlujące na targu, i w Alibamon, najpowszechniej używanym przez niewolników.

Dziewczyna w odpowiedzi na jej próby komunikacji z obojętną twarzą tylko wzruszała ramionami. Elisabeth musiała wydawać jej polecenia gestami, wykonując to, co dziewczyna ma zrobić. Niewolnica obserwowała jej wysiłki nieruchomymi, czarnymi oczami, w całkowitym milczeniu. To doprowadzało Elisabeth do furii. Chciała, żeby dziewczyna zademonstrowała nieposłuszeństwo, nie wykonała polecenia, by mogła ją ukarać. Nie mogła się zdecydować, co o niej myśleć.

Niewolnica splatała włosy w ciasny warkocz, jak Elisabeth jej przykazała, a wyraz jej twarzy był nie tyle wyzywający, ile wyzywająco pusty. Utrzymywała znośny porządek w kuchni i dbała o siebie. Zawsze wstawała wcześniej, zwijając skórę, na której spała, i kładła ją na półce obok miski z solą. Tarła kukurydzę, myła naczynia, robiła pranie, zamiatała. W kuchennym pojemniku zawsze była mąka, a w składziku nie brakowało drewna. W przeciwieństwie do Elisabeth doskonale gotowała i nawet warzyła lokalną nalewkę o delikatnym zapachu przypominającym francuskie piwo. Elisabeth musiała jedynie podać posiłek, a potem wystawić brudne naczynia za drzwi. Po powrocie pana do domu niewolnica miała zakaz wstępu do chaty. Co do tego Elisabeth była nieugięta.

Jean-Claude wydawał się zadowolony z takiego układu. Nie wykazywał żadnego zainteresowania dziewczyną poza jedną okazją, kiedy skomentował aromat którejś z potraw. Za to inne kobiety w osadzie bardzo interesowały się pracowitością dziewczyny i kilka tygodni po przybyciu Okatomih odwiedziły Elisabeth, by dokonać inspekcji i udzielić jej wskazówek dotyczących postępowania z niewolnikami. Większość z nich pochodziła z plemienia Chetimacha, od dawna wrogiego Francuzom, więc jasne było, że się nie starają i robią na złość. Kobiety przyglądały się dziewczynie zmrużonymi oczami, nie chcąc przyznać, że Elisabeth lepiej na tym wyszła.

— No, przynajmniej wygląda na silną — skomentowała

Renée Gilbert. — Ci słabi nagle umierają i człowiek ma tylko kłopot.

— A silni nagle uciekają — ostrzegła Perrine Roussel, grożąc palcem. — Musisz być czujna. Nie bij jej za często, ale obserwuj jak jastrząb!

Tej rady Elisabeth z pewnością posłuchała. Mimo postanowień, że nie będzie zwracała uwagi na niewolnicę, wysokie, gładkie czoło, lekko skośne oczy, ściągnięte w tył włosy jak czarny jedwab, hipnotyzujący ruch miotły tam i z powrotem po ziemi, młode, dojrzałe ciało pod płócienną suknią, wszystko to przyciągało jej wzrok.

Przez wszystkie lata małżeństwa nigdy nie czuła obecności Jean-Claude'a tak bardzo jak teraz. Kiedy brązowe palce dziewczyny podnosiły garnek, kiedy zwilżała wargi koniuszkiem języka, kiedy jej czoło lśniło kropelkami potu, był tam; był garnkiem, wargami, czołem, miotłą poruszającą się żywo w jej rękach. Dziewczyna chodziła po chacie, a on chodził z nią, intensyfikując jej cień, powiększając jej włosy, perfumując jej oddech swoim ulubionym tytoniem. Kiedy pochylała się i ciężki warkocz spadał przez ramię, cień jego rąk odrzucał go z powrotem, cień jego ust wpijał się chciwie w odsłonięty kawałek szyi. Kiedy podnosiła łyżkę do ust, próbując potrawę, smakowała jego ciało, ocierała z brody jego soki.

Wyrazistość tych wyobrażeń męczyła Elisabeth nie mniej niż ich niedorzeczność. Zrobiła się surowa dla małych dzikusów, łajając ich ostro, gdy pomyliły rodzaj albo źle wymówiły słowo. Zaczęły się jej bać. Któregoś dnia w rzędzie chłopców było puste miejsce, jak dziura po wyrwanym zębie — jeden ze starszych chłopców nie przyszedł. Gdy spytała, dlaczego go nie ma, dzieci nie odpowiedziały. Najmłodsza dziewczynka otworzyła usta, ale sąsiadka szybko szturchnęła ją łokciem, więc miała zamrugała tylko i zacisnęła wargi. Lekcja ciągnęła się, a kiedy wreszcie do-

biegła końca, żadne z dzieci nie zostało; pośpiesznie i w ciszy wybiegły z chaty. Dopiero gdy były już na końcu ulicy, Elisabeth usłyszała ich wysokie, jasne głosiki wyśpiewujące dziwną melodię własnego języka.

Siedziała na ganku, przypatrując się chmarom komarów na ciemniejącym niebie. Dawniej praca była jej ucieczką przed szaloną wyobraźnią. Pracowała do upadłego, znajdując ulgę w zmęczeniu, w pęcherzach na rękach i w bolących mięśniach. Teraz pracą zajmowała się niewolnica. Elisabeth pozostały tylko lżejsze zajęcia — wyrabiała mydło, szyła, robiła przetwory. Nic z tego nie wymagało koncentracji, która odrywała ją od męczących fantazji i którą przyjmowała z wdzięcznością, nie powodowało szarpającego bólu mięśni pleców i potu spływającego do oczu pozwalających zapomnieć o głosach i obrazach, które przesuwwały się jej przez głowę jak kolorowe kartki w książce.

Książki. Pocieszenie dla tych, którzy nie mają własnego życia.

Następnego ranka, gdy ledwo się rozwidniło, Elisabeth uklękła przy łóżku i znów wyciągnęła spod niego skrzynię. Klucz nie chciał się przekręcić w zamku, więc musiała rozbić zamek siekierą, którą trzymali w składziku na drewno. Kiedy podniosła wieko, zapach wilgotnego papieru i skóry wywołał w niej uczucie tak głębokiej nostalgii, że na chwilę zamknęła oczy, przytłoczona wspomnieniami, o których myślała, że dawno odeszły. Okno z wygiętą żelazną zasuwką grzechoczącą przy podmuchach wiatru. Mrowie dachów i kominów obrosłych mchem i upstrzonych ptasimi odchodami na tle paryskiego nieba w różowym zmierzchu. Podniszczone biureczko o chwiejnych nogach zarzucone książkami, rozprawkami, katalogami i gazetami. Żółty płomień świecy na zadrukowanych stronach. Zdania wdzierające się w jej duszę, zamykające ją coraz mocniej w uścisku, aż świat stawał się basenem wypełnionym światłem, w którym pływała między słowami jak w ławicy ryb.

Sięgnęła do skrzyni i zaczęła wyjmować książki i rozkładać przed sobą. *Odyseja* Homera. Racine. *Opowieści z tysiąca i jednej nocy*. *Próby*, część druga, autorstwa Michela de Montaigne'a. Przesuwała palcami po okładkach. Skóra była chłodna i lekko lepka. Bardzo ostrożnie otworzyła jedną książkę. Na stronie tytułowej pleśń rozkwitła szarymi płatkami w czarne plamki. Przecięgnęła palcem po literach. Nigdy nie napisała do Paryża, że szczęśliwie dotarła do Luizjany. Z Paryża też nic do niej nie przyszło. Nie spodziewała się listów. Przez te wszystkie lata prawie nie myślała o sklepie w Saint-Denis z wypolerowaną drewnianą ladą, ciężkimi belami jedwabiu, lnu i wełny, szufladami, w których grzechotały guziki, zwojami wstążek, tasiemek i nici. Pani Deseluse w jaskrawej sukni cmokała nad muślinem rozpostartym na ladzie przez lękliwą, przymilną ciotkę. We wspomnieniach Elisabeth wszystko było tak, jak w dniu jej wyjazdu. Teraz po raz pierwszy zaciekało ją, czy sklep jeszcze istnieje.

Później, kiedy dziewczyna przyszła z kuchni, Elisabeth zatrzasnęła wieko i wsunęła skrzynię pod łóżko. Niewolnica przyglądała się w milczeniu z miotłą w rękę, jak Elisabeth podnosi siekiere. Kilka płatków rdzy spadło na ziemię.

— Do roboty! — warknęła Elisabeth, wykonując łokciem ruch w stronę miotły.

Chwyciła nóż z półki nad stołem i powędrowała przez rozświetnione podwórko do składziku. Drzwi były otwarte tak, jak je zostawiła. Odłożyła siekiere na miejsce, stawiając ostrzem do góry, by metal nie stykał się z wilgotną ziemią. Kłody drewna przygotowanego na zimę sięgały pod dach, powietrze wypełniał słodki zapach żywicy. Przez chwilę Elisabeth stała nieruchomo, patrząc na kurz wirujący w słońcu na tle otwartych drzwi. Pomyślała o beczce ukrytej za stosem drewna i o owiniętym w płótno naczynku w jej wnętrzu. Po tylu latach tynktura na pewno zgęst-

niała i wyschła, a gliniane naczynie rozpadło się na kawałki wewnątrz spowijającego go płótna, jak zwłoki w całunie, pomyślała. Ta odrażająca wizja pocieszyła ją, jakby zniknęła kula dławiąca ją w gardle od długiego czasu.

Kłody ułożone były schodkowo jedna na drugiej, tworząc rodzaj ławki czy siedziska. Elisabeth zawahała się, trzymając w ręku ciężki tom Montaigne'a. Wyrzała na podwórko. Panowała cisza, po niebie płynęły niskie chmury. Niewolnicy nie było widać. Nie było powodu, by się skradać, jednak Elisabeth przymknęła ostrożnie drzwi, unosząc je, by nie zaskrzypiały ciągnięte po ziemi i zostawiając uchylone tylko tyle, by pasmo światła kładło się na jej kolanach. Pogłaskała zniszczoną zieloną okładkę i coś w niej drgnęło, tęsknota nie tyle za samą książką, ile za swoim „ja” z młodych lat, które — jak sądziła — dawno odeszło. Siedziała jakiś czas z książką na kolanach. Wreszcie bardzo uważnie wsunęła nóż i rozcięła kartki.

Wstała dopiero, gdy światło znikło i rozbolały ją oczy od wytężonego wpatrywania się w rozmazany druk. Było już zupełnie ciemno i deszcz bębnił o dach składowiska. Dotarło do niej, że pada już od jakiegoś czasu. Bolały ją plecy i szyja, a ramiona miała napięte jak zaciśnięte pięści, jednak wypełniała ją zaskakująca lekkość. Zamknęła oczy, by zatrzymać to miłe uczucie, ale zniknęło, wyparte przez powracające myśli o zmartwieniach.

Elisabeth westchnęła i pokręciła głową, by pozbyć się sztywności w ramionach. W rozmytym świetle czarne litery tańczyły pod jej palcami: „Nigdzie w świecie nie spotkałem większego cudu ni potwora niż ja sam”. Pomyślała o jezuitce Rochonie, którego miłe usposobienie i poczucie humoru miały tak niewiele wspólnego z Kościołem katolickim. Pomyślała o Renée, o dzieciach, które przychodziły do niej na lekcje, o mężu kochającym jej waleczność, którą sam jej dał, i niebojącym się niczego na

świecie prócz jej słabości. Pomyślała o książkach, które przemyciła z Francji, a które gniły teraz w skrzyni pod łóżkiem. Pomyślała o Okatomih, która najpierw była więźniem, a teraz niewolnicą.

Nagły biały rozbłysk obrysował kłody drewna ostrymi czarnymi liniami, po czym przyszedł długi, gwałtowny grzmot. Deszcz dudnił w dach. Elisabeth stała, przyciskając mocno książkę do piersi. Jeszcze jedno ostrze błyskawicy, jeszcze jeden rozdierający uszy odgłos grzmotu. Zawahała się przez chwilę. Wreszcie zdjęła fartuch, obwiązała nim książkę i położyła ją wysoko na stosie drewna, gdzie pozostawała niewidoczna. Potem otworzyła drzwi. Wiatr natychmiast szarpnął nimi, otwierając szeroko. Elisabeth z trudem zatrzasnęła je z powrotem.

Deszcz siekł ją po twarzy, a dęby rosnące na skraju chwiały się jak statki na wzburzonym morzu. Chroniąc głowę ramionami, Elisabeth pobiegła do chaty. Brzeg jej sukni ciągnął się po błocie, zgarniając drewniane strużyny do kałuż, na których unosiły się jak blade piórka; wiatr rozwiewał jej włosy i uderzał bezlitośnie w cyprysowe dachówki. Dzikość burzy napełniała Elisabeth radością; odrzuciła głowę w tył i wzniosła okrzyk w szalejące niebo, nie przestając biec. Następną błyskawica oświetliła ją niczym lampa.

Na ganku zawahała się, patrząc na szalony taniec deszczu po podwórku i przepełniająca ją ekstaza zniknęła. Było jej zimno, pora była późna, a obowiązki domowe czekały. Zadrzała, wyżyłając wodę ze spódnic i włosów. Weszła do chaty. Dopiero gdy uklękła przed kratą paleniska w przemoczonej sukni, grzebiąc w nim, by się rozpaliło, znów poczuła w sobie moc błyskawicy, jasność i lekkie uderzenie elektryczności, mrowienie we włosach i w stopach.

Kiedy obudziła się następnego ranka, szarego i wciąż mżącego posępny deszczykiem, nie poszła zobaczyć, jakie szkody

wyrządziła burza, lecz owinęła się kocem i wyszła na podwórko, zmierzając do drewnutni. Ominęła połamane gałęzie leżące na jej drodze i usiadła na kłodach na tyle wygodnie, na ile było to możliwe. Słaby deszcz wciąż stukał w dach; Elisabeth odwinęła Montaigne'a i zabrała się do lektury.

ak Babelon powiedział Auguste'owi, była to łaska opatrności. Gdyby huraganowy wiatr nie uszkodził pirog kupca i nie rzucił ich wbrew jego woli w dół rzeki, nie natknąłby się na niego na zakręcie z dala od jakichkolwiek tubylczych osad i nie usiedliby razem przy ogniu, by coś zjeść. Nie dowiedziałby się, że są kupcy handlujący nie futrami i skórami, lecz osobliwościami Nowego Świata, naturalnymi i stworzonymi przez człowieka.

Kupiec ów sprzedał raz pewnemu szlachcicowi trzy smocze jaja i pióro Feniksa, ostatnio jednak wolał się zająć obiektami częściej spotykanymi w przyrodzie. W Europie, jak wyznał Babelonowi, coraz modniejsze stawały się wielkie ogrody, w których nie chciało uprawiać zwykłych kwiatów i roślin strefy umiarkowanej. Wybredna szlachta chciała, by ich ogrody wzbudzały podziw i niedowierzanie, więc byli skłonni dużo zapłacić za niezwykle gatunki. Kupiec nie był znawcą roślin, ale na próżności i zyskach znał się doskonale. Podróżował w towarzystwie dwóch przewodników, docierając do osad dzikusów i oferując im świecidełka w zamian za takie rośliny jak hebanowce czy dzbaneczniki. Zajęcie bywało żmudne i ryzykowne, ale oto po kilku miesiącach jego dwie pirogi były wyładowane setkami starannie zapakowanych roślin.

Babelon pokazał kupcowi notatnik ze szkicami Auguste'a. Ten z zapałem zaczął go kartkować; niektóre rysunki przedstawia-

ły gatunki cieszące się dużym popytem, na inne nigdy się nie natknął. Kiedy Babelon poinformował go, że August uprawia w swym ogrodzie mnóstwo roślin typowych dla flory luizjańskiej, a co więcej, Babelon osobiście dopilnowałby ich bezpiecznego dostarczenia na kupieckie statki, mężczyzna zamknął notatnik i skrzyżował na nim dłonie. Negocjacje trwały kilka dni, ale targowali się o cenę, nie o usługę. Przed opuszczeniem przez mężczyznę wioski umowa została zawarta.

Babelona rozsierdziło jednak niezdecydowanie Auguste'a. Stwierdził, że chłopak zachowuje się nierozsądnie i dziecinnie. W umowie nie było nic w najmniejszym stopniu nielegalnego. Rośliny należały do Auguste'a i mógł z nimi robić, co mu się żywnie podoba. Prywatny handel w Luizjanie był nie tylko dopuszczalny, ale wręcz popierany, jeśli nie stał w sprzeczności z interesami kolonii. Francja toczyła wojnę i nie dysponowała wolnymi statkami, wypłaty były wstrzymane od trzech lat i dowódca wręcz zalecał „zaradność”. Nie da się wyżyć z pieniędzy, których ci nie płacą. W umowie nie było nic, do czego August mógłby mieć zastrzeżenia.

Chłopak zgadzał się z tym wszystkim, ale czuł się nieswojo. Nie dowierzał Babelonowi, drażniła go jego niecierpliwość, bez troska, entuzjazm przechodzący niekiedy w złość. Nie podobały mu się szyderstwa i kpiny z jego niepewności i braku doświadczenia, choć były to cechy, których sam u siebie nie lubił. Nie odpowiadał mu sposób, w jaki jego przyjaciel, do niedawna zupełnie niezainteresowany ogrodem, teraz przyklękał i wsuwał palce między liście roślin, jakby to były stopy monet. W najmniejszym zaś stopniu nie zamierzał przyjąć do wiadomości, że jego los miał zależeć od łaski opatrności. August nigdy nie ufał opatrności. Lubiła wbić człowieka na haczyk i patrzeć, jak się wije.

August przywykł już do swojego ogrodu i uwielbiał w nim pracować. Nigdy nie miał dosyć selekcyjonowania nasion, umieszcza-

nia sadzonek w wilgotnej ziemi, zasuszania kwiatów w zielniku. Kupiec przestrzegł Babelona, by żadnej rośliny nie odrzucał jako zbyt pospolitej, gdyż każdy gatunek rosnący w Luizjanie różnił się od europejskiej odmiany. August zbierał więc, co popadnie, dokądkolwiek się udał. Aby jeszcze lepiej poznać rośliny, na miejsce każdej oddanej kupcowi sadił nową i obserwował jej wzrost.

Obserwował też obyczaje córki Le Caena oraz szczura, którego dziewczynka często przynosiła do jego chaty. Za pierwszym razem podała mu zwierzątko i szybko odeszła. August wtulił twarz w miękkie futerko i odetchnął piżmowym zapachem, przy następnej okazji jednak potrząsnął głową.

— Widzisz? — Wskazał na wrywające się stworzenie. — Woli być u ciebie.

Dziewczynka przygryzła wargę.

— Nie — zaprzeczyła, ale wyciągnęła rękę i pogłaskała szczurka.

— Jest teraz bardziej twój niż mój. Chciałbym, żeby u ciebie został.

Dziecko nie odezwało się, ale jego twarz rozświetliło szczęście. Następnym razem dziewczynka przysłała z rośliną.

— Dla ciebie — powiedziała nieśmiało.

Był to wprawdzie zwykły kosaciec, jakich pełno rośnie wszędzie, niemniej podziękował jej z powagą i posadził kwiat w takim miejscu, by dziewczynka widziała go, wchodząc do ogrodu. Często kucała na długich nogach, by przyjrzeć się roślinom. Prawie się nie odzywała, ale kiedy podawał jej nazwy, kiwała głową ze zmarszczonym czołem i ogniem w ciemnych oczach.

Babelon też przychodził do jego chaty i przynosił pieniądze, hiszpańskie piastry. Żartował, że któregoś dnia w Mobile pojawi się coś, na co będzie można je wydać. Były to pierwsze pieniądze, jakie August widział od lat, i chował je w torbie za belkami

dachu. Na grządkach w ogrodzie zaczynało brakować miejsca. Na początku zajmował się nim jeden alibamoński chłopiec, teraz było ich już trzech. Wreszcie August musiał wykopać trochę pospolitszych gatunków, by zrobić miejsce dla nowych. Do pudeł, w których Babelon woził rośliny kupcowi, dodawał staranne szkice, a z czasem odważył się nawet sugerować, co Babelon powinien przy nich napisać. Babelon posłusznie zabazgrzywał marginesy.

Kupiec był zadowolony i zaczął wręczać Babelonowi spisy roślin, które August miał dla niego wyszukać. Kiedy Kanadyjczyk rozpościerał pomięte kartki, by przeczytać, August rozpoznawał kanciaste pismo przyjaciela i cieszyło go to; czuł się w jakiś sposób bliżej nieznanego kupca, kiedy widział, że on też jest niewykształconym człowiekiem. Opisy były niejasne, a często niezrozumiałe — prosił, na przykład, o „roślinę o lancetowatych liściach i karmazynowych kwiatach” albo „niewysokie drzewo, którego białe kwiaty przypominają wiciokrzew” — ale August, znający las jak tubylcy, okazał się dobrym detektywem. Instynktownie wiedział, jakie rośliny mogą zachwycić Francuza, jakkolwiek pospolite byłyby tu w Luizjanie.

Lato chyliło się ku jesieni, a on zbierał nasiona morwy, czarnej jagody, wawrzynu, orzecha włoskiego, orzesznika, wielu odmian okazałych kwiatów o cudnych barwach, zwanych przez osadników lwią paszczą, od których latem równiny zamieszkiwane przez Naczezów stawały się różowe. Zbierał wilcze łyko, rumianek, jadowity bluszcz, paprocie, aralię oraz wszelkie zioła lecznicze znane dzikim i dyktował Babelonowi instrukcje ich przetwarzania.

Fascynacja tym, co robi, była silniejsza i bardziej przekonująca niż niepewność, czy postępuje słusznie. Wyobrażał sobie, jak nasiona tu zebrane kiełkują we francuskiej ziemi, jak starannie przygotowane przez niego sadzonki wyciągają swe zielone

ramiona ku francuskiemu słońcu. Król Francji miał w swoim pałacu lustrzaną salę i ogród pełen roślin tylko z Nowego Świata. Kiedyś na rynku w La Rochelle wyrosnie tulipanowiec i chłopcy, którzy są już mężczyznami, będą podziwiać jego ciężkie, różowe kiście i patrzeć tęsknie na morze, a ich nudne, ograniczone życie zacznie ich uwierać.

Wreszcie nadeszła zima. Wyprawy przestały wyruszać z osady, a rośliny w ogrodzie poczerniały lub poschły. Auguste udał się do Marie-Françoise, nauczycielki, i spytał ze skrepowaniem, czy mogłaby go nauczyć czytać i pisać. Gdy przyszła wiosna, umiał napisać swoje imię i kilka prostych słów. Czuł się starszy, a świeża zieleń przebijająca się przez błotnistą ziemię napawała go nadzieją.

Tego roku deszcze były łagodniejsze. Miesiące mijały, torba z piasrami pod dachem stawała się coraz cięższa, a Auguste sam już trochę śmiał się z niedoświadczonego, nieufnego chłopca, jakim jeszcze niedawno był. Idąc na kolację do Babelona, zrywał w ogrodzie owoce dla Elisabeth, która układała je w palmowym koszyku na środku stołu. Brzegi koszyka zaczęły się już strzępić i wystawały z nich ostre żdźbła. Elisabeth też nie była taka sama. Czas i zmartwienia odebrały jej spokój i opanowanie; wydawała się cały czas spięta. Jak koliber, pomyślał Auguste. Wodziła oczami za mężem, rejestrując każdy jego ruch. Bardzo schudła.

Zimą, gdy Babelon pojechał do pobliskiej wioski Bayagoula-sów po kukurydzę, przyszła do jego domu. Było późno i ciemny chłód napierał na okna. Otworzył drzwi, a ona stała tam ze spuszczoną głową. Na jej widok serce mu mocniej zabiło i aż się cofnął. Weszła, a on nie wiedział, co powiedzieć, bo miał jej do powiedzenia tysiąc rzeczy, wszystkie niepotrzebne, ale ona odezwała się pierwsza. Wyrzucając z siebie słowa, jakby je wcześniej przećwiczyła w domu, poprosiła, by zabrał ją do wioski dzikich, żeby mogła poprosić o radę szamana. Słyszała, że oni potrafią coś

zrobić dla takich kobiet jak ona. Pomóc im. Ponownie zwiesiła głowę.

— Pomóż mi — wyszeptwała. — Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Nigdy przedtem nie byli razem sami. Kiwnął głową na znak zgody, a ona wyciągnęła rękę i bardzo lekko musnęła koniuszkami palców wierzch jego dłoni. Miała lodowate palce. Dziękuję, powiedziała, otworzyła drzwi, rozejrzała się szybko, czy nikt jej nie widzi i wyszła.

Następnego dnia wyjął pieniądze z torby pod dachem i poszedł do Burelle'a, który, jak wieść niosła, trzymał trochę prochu dla klientów płacących gotówką, a dwa dni później wyruszył do niedaleko położonej wioski Pasagoulasów, gdzie rozmawiał z szamanem. Dostał odpowiednią miksturę i zaniósł ją Elisabeth wraz z warzywami w koszyku.

Kiedy zapukał do drzwi domu przy ulicy d'Iberville, nie było odpowiedzi, więc po chwili wahania odwrócił się, by odejść, ale stara żona Burelle'a siedziała na krześle w słońcu po drugiej stronie ulicy i zawołała go. Jeden pled spowijał jej ramiona, a drugi kolana. August ukłonił się, ściskając mocno koszyk.

— Zostaw go u mnie — zaskrzeczała staruszka. — Oddam im.

— Dziękuję, ale... — zaczął August, obejmując koszyk jeszcze mocniej.

— Co, myślisz, że zjem im te nadgnięte warzywa?

Drzwi za Auguste'em otwały się ze skrzypieniem.

— Pani — odezwał się z ulgą, odwracając się, ale to nie Elisabeth stała w drzwiach, lecz indiańska niewolnica. August był zaskoczony. Nigdy nie widział jej w domu, jedynie nieraz w ogrodzie albo przynoszącą talerze z jedzeniem pod drzwi chaty. Była młoda i bardzo piękna. Wyciągnęła ręce po koszyk, ale przycisnął go bardzo mocno do piersi. Pani Burelle po drugiej stronie ulicy wyciągnęła pomarszczoną szyję z owijającego ją pledu.

— Gdzie twoja pani? — zapytał.

Niewolnica nie odpowiedziała. Nad wystającymi kośćmi policzkowymi jej oczy wpatrywały się w niego, ale nie widział w nich chłodu, złości czy ukrytego smutku — nie widział w nich niczego. Nagle odwróciła się i zostawiając drzwi otwarte, weszła z powrotem do chaty. Podążył za nią, stawiając koszyk z warzywami na stole. Nie odwróciła się. Jej suknia opięta się bardzo na pośladkach, a warkocz podskakiwał, gdy szła, ukazując dwa ciemne sińce na szyi. Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi na podwórko, wskazując ruchem głowy na drewnię. W bładym słońcu jej ciało rysowało się ciemno pod śnieżnobiałą tkaniną, gdy szła powoli w stronę kuchni. August wpatrywał się w drewnię. Drzwi były lekko uchylone. Zawahał się i odszedł szybkim krokiem, odprowadzany czujnym wzrokiem starej kobiety.

Kilka dni później Babelon wrócił od Bayagoulasów. Prawie natiychmiast zostali wezwani do dowódcy. Nadchodziły alarmujące wieści z hiszpańskiego fortu w Pensacoli: dzicy na terenach otaczających fort zostali uzbrojeni przez Anglików zdecydowanych zmusić Hiszpanów do poddania fortu. Od prawie miesiąca dzicy stali przy bramach, a żołnierze byli właściwie uwięzieni w środku. Kto podchodził zbyt blisko wyjścia, był brutalnie atakowany. Nikogo wprawdzie nie zabito, ale kilku odniosło poważne rany. Nikt nie mógł przewidzieć, jak długo fort będzie w stanie się bronić.

De Bienville był zawsze zdania, że fort w Mobile był lepiej chroniony, otoczony nielicznymi plemionami przyjaznymi Francuzom, ale nie było to już takie pewne. Martwiła go nie tylko bliskość Pensacoli. Doszły go też słuchy, że plemię Alabama, z którym — jak sądził — byli w pokojowych stosunkach, zastawiło zasadzkę na pobliskich Mobilian, najbliższych sojuszników Francji. Zaatakowali nieoczekiwanie nocą, zabijając czterestu wojowników i porwijąc kobiety i dzieci.

— Znów to samo — zakończył dowódca ponuro. — Angielskie strzelby. Angielski proch. Jeśli mamy utrzymać nasze sojusze z dzikimi, musimy natychmiast wziąć odwet.

Do wieczora zebrano grupę francuskich żołnierzy i mobiliańskich wojowników. Następnego dnia mieli wyruszyć na Alabamów. W tym samym czasie de Bienville zwołał nadzwyczajne zebranie wodzów sąsiednich plemion, by powtórzyli przysięgę sprzyjania Francji i brania udziału w obronie jej ziem przeciwko wrogim atakom. Później sam miał się udać na północ, do wielkich ludów Czoktawów i Czikasawów. Jeśli zamiarem Anglików były dalsze ataki, Francuzi potrzebowali przychylności obu.

Tej nocy August nie jadł kolacji na ulicy d'Iberville. Siedział na własnym ganku, gryząc kawałek kukurydzianego chleba i odganiając komary w gęstniejącej ciemności, w której nikły znajome zarysy ogrodu. Nie będzie go przez wiele tygodni, wróci dopiero latem. Nie zobaczy, jak kwitnie tulipanowiec. Poczł melancholię graniczącą ze smutkiem.

Później pojawił się Babelon. August się podniósł.

— Jakie wieści? Coś się wydarzyło? — spytał.

Babelon pokręcił głową.

— Jestem niespokojny, musiałem się przejść. — Sięgnął do kieszeni i wyciągnął butelkę. — Przejść i napić.

Usiadł koło Auguste'a i wyciągnął korek zębami. Pociągnął łyk i podał Auguste'owi. Brandy była dobrej jakości, mocna, ale łagodna, bez zwykłego palącego posmaku.

— Dobre, co? — odezwał się Babelon. — Możesz trzymać człowieka w rynsztoku, ale nie możesz mu kazać pić szczyń!

Był pijany. Zabrał się niezdarnie do nabijania fajki, a August pomyślał o Elisabeth, samotnej w domu. Wyobraził sobie, jak siedzi przy stole oświetlonym tylko jednym kagankiem, z jedną dłonią rozpostartą na wypalonym na blacie półkolu, podczas gdy palce drugiej wodzą po palmowym koszyku z owocami, a jej ciemny cień podskakuje nieustannie na ścianie za jej plecami.

— Twoja niewolnica — odezwał się nagle, sam zaskoczony.

Babelon wyciągnął rękę i zabrał butelkę z rąk Auguste'a. Od-rzuciwszy głowę w tył, pociągnął solidny łyk.

— Boże, ależ to dobre! — westchnął z zadowoleniem, ocie-rając wargi wierzchem dłoni. — Moja niewolnica? Jest czysta, spokojna, ciężko pracuje. W sumie jestem zadowolony.

— Właśnie widzę.

— Właśnie widzę! — powtórzył Babelon szyderczo. — Aha, widzę, że próbujesz grać na dwie strony. Bardzo sprytnie!

August nie odpowiedział.

— Zadowolony, rozumiem. Sugerujesz... Co właściwie su-gerujesz, August?

August nadal się nie odzywał.

— Czy być może uważasz, że moje prywatne sprawy dotyczą także ciebie? Może chciałbyś mi udzielić paru lekcji, jak powi-nieniem zarządzać moimi finansami? Albo pieprzyć moją żonę? Chciałbyś, co? Pieprzyć moją żonę?

August wbił wzrok w swoje kolana, a odgłosy cykad kłuły go w plecy jak nóż. Nigdy w życiu nie czuł się taki młody i taki głupi.

— Nie?! — Babelon wykrzywił twarz w parodii zdumienia.

— Kobieta, za którą łązisz jak pies z wywieszonym językiem? Nie mów mi, że masz tak szlachetne zasady. Ależ oczywiście, że masz. Wychowałeś się wśród dzikusów.

— Idź do domu, Babelon — odezwał się August półgłosem.

— Nie martw się, już idę. Pozwól tylko, że coś ci powiem, bo widzę, że nikt nie nauczył cię ani krzty cywilizowanych manier. Tu, wśród białych, są pewne zasady, a pierwszą z nich jest: nie wtykaj swojego pieprzonego nosa w cudze sprawy.

August nie wiedział, jak długo siedział jeszcze na ganku po odejściu Babelona. Wiedział tylko, że tęsknił za miękkim, ciepłym ciężarem szcurka na kolanach i że słyszał dwie sowy pohukujące ostrzegawczo w bezksiężycowej ciemności.

*C*zyż człowiek nie jest żalosną istotą? Z powodu swych naturalnych przymiotów nie jest niemal w stanie rozkoszować się czymkolwiek czystym i pełnym; nie jest wystarczająco żalosny, póki nie wzmoże swego żalosego losu sztuką i wytrwałością.

Nie wiedziała, co dokładnie poruszają w niej słowa Montaigne'a. Pisał o wojnie i religii, o małżeństwie i przyjaźni, o strachu i sile wyobraźni, o pijaństwie i kłamstwach, o tym, jak błogo człowiekowi, gdy podrapie swędzące miejsce, i o przyjemności zabaw z kotem. Ta książka nie miała żadnej formy i nie kończyła się żadną konkluzją. Często tok myślenia odchodził od tematu, sięgając obłoków, po czym wracał po zatoczeniu koła do punktu wyjścia i urywał się nagle bez słowa wyjaśnienia.

Była to nie tyle książka, ile dyskurs; przerywający sam siebie, łajający się i śmiejący z własnych żartów. Pożerała ją jednak, jak chłopiec pożera słodycze, dobierając się do kolejnych akapitów, by dokładnie poznać ich smak. Czasami słowa aż przesywały ją na wylot celnością spostrzeżeń i tym, jak autor świetnie rozumiał rzeczy; wtedy jakby stała przed nim naga, a jego współczucie było balsamem leczącym świeże i stare blizny. Kiedy indziej, sprowokowana jego ponurymi założeniami, protestowała głośno i gestykulowała w stronę kartki, by udowodnić, że się myli, jakby tam był i mógł ją zobaczyć. Zawsze coś w niej budził, coś,

O czym zapomniała albo o czym nie wiedziała. Słowa dotykały, prowokowały albo powodowały, że się śmiała. Kapała się w nich jak nasiona w promieniach słońca, gotowe, by znów wzrosnąć po długiej zimie.

Bawiło ją i zarazem niepokoiło, że można znać kogoś tak dokładnie, jak ona znała tego człowieka. Znała ciało swego męża lepiej niż własne, krajobraz węgłębien i pagórków, ale nigdy nie oddał się jej tak bezgranicznie, jak to zrobił Montaigne, powścią-gając erudycję absolutną uczciwością i otwartym sercem. Czy Jean-Claude przyznałby, że ma słabą pamięć, że nie radził sobie nawet z podstawami matematyki, że nigdy nie nauczył się grać w szachy i że do niedawna nie wiedział, iż drożdży używa się do pieczenia ciasta? Czy wyznałby, że czasami smak pocałunku utrzymywał się cały dzień na jego wąsach, sprawiając mu niewymowną przyjemność? Może kiedyś, na samym początku. Czy poddałby się tak dokładnej samoanalizie jak Montaigne, jasnej, szczerzej, niebojącej się prawdy?

Montaigne uważał, że przyjaźń jest cenniejsza niż atrakcyjność seksualna. Przyznawał, że płomień żądy lśnią jaśniej, ale twierdził, że są kapryśne i nietrwałe, podatne na zranienie. Żądza należała do ciała, nie do duszy, argumentował; można ją było nasycić. Elisabeth sprawiało przyjemność litowanie się nad nim. W kwestii miłości, rzekła mu, pukając palcem w drzeworyt na stronie tytułowej, po prostu się mylił.

Jean-Claude tylko raz przyłapał ją pochyloną nad książką.

— Co to? — spytał bez zainteresowania, a ona się zarumieniła, ku własnemu zaskoczeniu.

— Nic — mruknęła i próbowała schować książkę za siebie.

Jej niezgrabność wzbudziła ciekawość Jean-Claude'a; schylił się i wyjął książkę z jej rąk, otwierając na przypadkowej stronie.

— „Żądze mogą być naturalne i niezbędne, jak jedzenie i picie; naturalne, lecz niekonieczne jak stosunek z kobietą; lub

też ani naturalne, ani konieczne jak właściwie wszystkie ludzkie zachcianki, które są w całości wymyślone i sztuczne". Co to za głupoty?

— To tylko książka. Mój ojciec chrzestny dał mi ją przed wyjazdem z Paryża.

— Poco?

— Uważał, że mi się spodoba.

— Nie mógł pomyśleć o czymś bardziej użytecznym?

— Dał mi też kołdrę. — Uśmiechnęła się do niego z nadzieją, ale wyglądał, jakby jej nie usłyszał.

— Posłuchaj tego — kontynuował. — „Pawiany zakochujące się do szaleństwa w kobietach są zjawiskiem powszechnym”. — Obrócił książkę. — Kim jest ten wariat?

— Nie jest wariatem. To Francuz, z Bordeaux. Nie daj się zwieść pawianom, on pisze o wszystkim.

— Nie wyłączając pawianów? Chociaż, gdy myślę o naszym garnizonie, muszę przyznać, że ma trochę racji.

Zamknął książkę i oddał ją Elisabeth. Poczuła jej ciężar; wyciągnęła rękę z książką z powrotem do Jean-Claude'a.

— Może ją weźmiesz ze sobą? — zaproponowała. — Spodoba ci się, na pewno. Kiedy wrócisz, możemy o niej porozmawiać — dodała z wahaniem.

— Próbujesz mnie uczyć, tak?

— To książka dla zwykłych ludzi, nie dla uczonych. Nie jest napisana tak, żebyś czytając ją, czuł się niemądry, jak w przypadku wielu innych książek, ale żeby zrozumieć różne rzeczy. Ważne rzeczy.

— Jakież to rzeczy? Oświeć mnie, proszę.

— Poznać samych siebie. Całkowicie i szczerze, nie unikając niczego.

Jean-Claude prychnął pogardliwie, wrywając jej książkę z rąk.

— Elisabeth, na litość boską! Miasto może w każdej chwili być zaatakowane przez Anglików, a ty tu siedzisz i czytasz książki, zamiast gromadzić żywność! Odkąd to ważny problem poznania siebie samego uchronił kogokolwiek przed głodowaniem?

— Nie jest jeszcze tak źle — wymamrotała Elisabeth.

Ale on był już w połowie drogi do domu. Poszła za nim. Książka z pogniecionymi stronicami leżała na stole. Zawinęła ją starannie i schowała na najwyższej półce za pustymi kaczanami kukurydzy i nadtłuczonymi talerzami. Nie chciała już jej trzymać w drewni. Od ostatniego powrotu Jean-Claude zaczął przynosić do domu jakieś zawiniątka i chować je za stosem drewna. Nie mówił jej, co zawierają, a ona wiedziała, że nie ma sensu pytać.

— Zarygluj składzik — przykazał jej. — W tym mieście nikomu nie można ufać.

Montaigne uczył ją, jak się nie bać, jak odróżnić potrzebę od pożądania, przekonanie od zapału, wiedzę od zdrowego rozsądku. Radził, by rozejrzała się wokół, nie przyjmowała sądów innych, nawet bardzo szanowanych osób, lecz wydawała własne sądy. Zawsze zaglądała w głąb swej niedoskonałej duszy i opisywał, co tam ujrzął, niczego nie zatajając.

„Rzadkie to życie, uporządkowane do głębi. Każdy może grać w farsie i udawać uczciwego człowieka, ale być prawym w głębi własnej duszy, gdzie wszystko jest dozwolone, bo ukryte — to jest ważne”.

Poszła do Guillemette le Bras z przeprosinami.

— Chciałabym znów ci pomagać — wyznała. — Jeślibyś mnie kiedykolwiek potrzebowała...

Położna spoglądała na nią beznamiętnie, opierając ostrą brodę na czerwonych pięściach.

— Marie-Nevette jest teraz moją pomocnicą — odparła. — Zarządca zapłaci tylko jednej.

— Ja... to nieważne. Nie chodzi mi o pieniądze.

— Tak? — Guillemette uniosła brew.

Elisabeth się zawahała.

— Tej nocy, kiedy urodził się François-Xavier... — powiedziała cicho. — Nigdy jej nie zapomnę.

— To był łatwy poród.

— Wiem. I wiem, że nie wszystkie takie są. Ale chciałabym ci pomagać. To miejsce, deszcze, upały, komary, głód — jakby chciało nas złamać, uczynić z nas złodziei i żebraków, wciągnąć w to swoje... bezbożne błoto. Nie zmienię Luizjany, ale mogę być w zgodzie ze swoim sumieniem. Mogę próbować być dobra.

— Pomocnicy położnej nie czekają zaszczyty. Tylko krew na rękach i nieprzespane noce.

— Godzę się na to.

— Bez zapłaty?

— Na razie... Jeśli będę ci przydatna, może dowódca zmieni zdanie.

— Podziwiam twój optymizm. Zastanowię się.

Po kilku dniach Guillemette przyszła do niej. Było popołudnie i Elisabeth czekała na ganku, aż dzieci dzikusów wyjdą po lekcji. Guillemette wzięła z ziemi koszyk przykryty płótnem i wręczyła go Elisabeth.

— Masz. Marie-Nevette będzie ci wydawać polecenia.

— Oczywiście — potwierdziła Elisabeth i przycisnęła koszyk do piersi.

— Sprawdź, czy jest wszystko, co trzeba. Anne Negrette oczekuje dziecka, ale dopiero za kilka miesięcy. Miejmy nadzieję, że będzie ich więcej.

— Tak. I dziękuję.

Guillemette przechyliła głowę i lekki uśmiech złagodził jej ostre rysy.

— Nie wiem, kto albo co sprawiło, że zmieniłaś zdanie, ale się cieszę.

Przyszła wiosna i Jean-Claude pojechał na północ. Codziennie po pracy Elisabeth spotykała się ze słowem z Montaigne'a. W miarę upływu tygodni nabrała zwyczaju otwierania książki w jakimś miejscu, żeby wejść w jego myśli, jakby weszła do pokoju i przeszkodziła mu w czymś. Czasem nie czytała, tylko patrzyła na portret na stronie tytułowej z mądrą i zmęczoną twarzą autora, dotykając palcami linii złojących tę twarz. Znała jego zdanie na temat snu, imion, uczuć żywionych przez ojców do dzieci. Słowa cały czas oddziaływały na nią, łagodnie rozluźniając krępującą ją więzy. Badał ją tak, jak badał siebie, bezlitośnie, lecz czule, i też ją znał.

Przestała miesiączkować, a jej piersi znów zaczęły mrowić i się powiększać. Dla Elisabeth dziecko w jej łonie było tym razem częścią tego przebudzenia, istotą powołaną do życia nie tylko przez prosty akt płciowy, ale także przez ożywienie dotychczas nieczułych części jej ciała. Nie było jej niedobrze, jak przy poprzednich ciążach — przeciwnie, promieniała wigorem. Tak długo była chora, że zapomniała o czystej przyjemności płynącej z siły i chęci działania. Codziennie mówiła sobie, że się myli, że zaraz pojawią się bóle i krwawienie, ale codziennie czuła się silniejsza i nie wierzyła własnym słowom. Nie tym razem. Wypełniała ją nowa pewność, w świetle której wszystko było wyraźne jakby obrysowane czarnym atramentem. Bała się, ale radość była większa. Pulsowała w gardle Elisabeth małymi falami.

Tym razem było inaczej. Od samego początku czuła, jak silnie dziecko trzyma się jej ciała, jakby wyzywając ją na pojedynek. Radość macił tylko lekki żal za poprzednimi. Odczucia były tak silne, że gdyby nie wiedziała, iż dziecko jest w jej łonie, miałyby

wrażenie, że porusza się wszędzie wewnątrz jej ciała, pływa we krwi, przesuwa się wzdłuż nerwów. Żadna część jej ciała nie pozostała nieporuszona.

Jego syn. To był chłopiec, była tego pewna. Syn, ciało z jej ciała, z wąskimi palcami Jean-Claude'a i jego półuśmieszkiem. Ta myśl przesywała ją na wskroś, sprawiała przyjemność graniczącą z pożądaniem. Sama w chacie, była blisko swego męża, trzymając ręce na brzuchu i zaciskając oczy. Nigdy chyba nie kochała go tak jak teraz.

Zawdzięczała to miksturze dzikich. Rozluźniła jej zaciśnięte łono, które otwarło się znów, gładkie i gotowe. Wyobrażała sobie minę Auguste'a, gdy mu powie, radość na jego twarzy. Zaróżowią mu się koniuszki uszu. Wiele się nauczył od dzikich, ale zaskoczyło ją, gdy Jean-Claude powiedział, że August jest dobrym negocjatorem. Uważała, że jeszcze nie umie ukrywać swych uczuć. Poproszą go na ojca chrzestnego, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powtórzyła pośpiesznie i ścisnęła kciuki we wnętrzu dłoni. Pewność prowokowała opatrność do odwetu. Z tego właśnie powodu nikomu nie powiedziała. Im dłużej słowa pozostawały niewypowiedziane, tym silniejszy był czar sprawiający, że się spełnią.

Drzewa ugięły się pod ciężarem owoców, a dynie pęczniały na polach dzikusów. Nadeszły żniwa. Osada czekała, ale Anglicy nie zaatakowali. Elisabeth razem z innymi kobietami zbierała żywność. Na targu od dzikich kupiła gliniane pojemniki i wezwała Okatomih, by pomogła jej w robieniu przetworów. Gorące słońce i ogień w palenisku pokrywały czoło niewolnicy potem, gdy wygotowywała naczynia, by przechowywana w nich żywność się nie zepsuła. Kiedy skończyły, Elisabeth zaniósła je do składziku na drewno.

Wewnątrz było gorąco, pachniało słodko cyprysem i cierp-

ko metalem. Zawiniątka za stosem drewna leżały rozrzucone, owinięte brudnym płótnem żaglowym. Elisabeth skończyła ustawiać garnuszki pod ścianą i się zawahała. Dotknęła jednego zawiniątka, czując pod palcami jego szorstką fakturę. Materiał był zatłuszczony i gruby, nie włóknisty jak tkaniny dzikich. Ktokolwiek zabezpieczał te pakunki, zrobił to starannie. Rogi każdego były podwinięte, tworząc ostre trójkąty. Każdy był przewiązany płóciennym pasem. Elisabeth przesunęła dłońmi po pakunku leżącym na wierzchu, oczekując sypkiego ziarna, ale zamiast tego wyczuła twarde kształt o wyraźnie odgraniczonych brzegach. Pod palcami czuła wgłębienie, jakby otwór rurki. Niepewnie zmarszczyła czoło i zakryła usta dłońmi; cały czas czuła kwaśny, metaliczny smak. Zabrała garnuszki z powrotem do domu i postawiła je pod stołem. Siadając do stołu, opierała bosc stopy o ich chłodne ścianki i myślała o dorodnych owocach w ich wnętrzu, z miąższem nabrzmiewającym od słodkiego syropu.

Mobile było w stanie niepewnego spokoju. Elisabeth spędzała dnie w połamanym trzciniowym bujanym fotelu w cieniu frontowej werandy wychodzącej na ulicę, ukołysana upałem i monotonnym skrzypieniem bującego się fotela. Płótno w oknach przybrudziło się, a między deskami podłogi wyrosły chwasty. Przechodzące kobiety, szepcząc do siebie, mijały Elisabeth rozciągniętą w fotelu ze zmarszczonymi brwiami. Raz przykuśtykała z drugiej strony ulicy żona Burelle'a i stała długi czas, wpatrując się w Elisabeth małymi, zaczerwienionymi oczkami; wreszcie wzruszyła ramionami i pokuśtykała z powrotem.

Elisabeth najbardziej lubiła wieczory, gdy słońce słało swe promienie nisko nad ziemią, a komary tańczyły na tle lawendowego nieba. Łatwiej było marzyć o zmierzchu, kiedy powietrze było łagodne i ciepłe, a kontury stawały się rozmyte i niewyraźne. Wyobrażała go sobie wtedy, swojego synka o tłustych

nózkach, zaciekawionego czymś, co zobaczył w błocie, albo już dorosłego, wołającego do niej z rogu ulicy. Oczywiście będzie wysoki, o szczupłych palcach i szerokim czole, wykapany ojciec. Ale kiedy spojrzała na niego i ujęła go za ręce, nie zobaczyła przystojnej twarzy Jean-Claude'a, ale okrągłą głowę Montaigne'a z rozwichrzoną brodą i głęboko osadzonymi oczami, mądrym, nieugiętym spojrzeniem i spokojnymi słowami spływającymi z jego palców na obojętny papier.

„Widzicie zatem, jak wybrać skarby, których nic nie zniszczy, i ukryć je w miejscu niedostępnym dla nikogo prócz nas. Powinniśmy mieć żony, dzieci, majątek i zdrowie, jeśli to możliwe, ale nie powinniśmy się do nich tak przywiązywać, by od nich zależało nasze szczęście”.

Objęła się za brzuch, czując, jak rogi książki wciskają się w ciało, i choć rozumiała mądrość Montaigne'a, wyrafinowany błysk nauki i rozsądku, było jej go szkoda. Pomyślała, że nigdy nikogo naprawdę nie kochał, i z całą siłą smutku i tęsknoty skupiła się na bezpiecznych narodzinach swojego dziecka i bezpiecznym powrocie do domu męża.

Kiedy dowódca upewnił się wreszcie, że angielscy żołnierze nie nadchodzą, wysłał pięciu mężczyzn do wioski Alabamów, którzy zaproponowali sprzedaż kukurydzy francuskim osadnikom. Wróciła tylko jedna piroga. O jeden dzień podróży od pierwszej wioski francuska ekspedycja wpadła w zasadzkę zastawioną przez dzikich, którzy zabili trzech ludzi, a resztę zostawili na pastwę losu. Byli uzbrojeni w angielskie muszkiety i lance. Rannych mężczyzn zabrano do domu de Bienville'a, gdzie opatrzono im rany. Zebrano grupę dwudziestu żołnierzy z posterunku i prawie stu wojowników z sąsiednich plemion w celu dokonania akcji odwetowej. Powrócili z jeńcami, których prowadzili przez miasto spętanych razem sznurem, jak było. Pojmani kroczyli bezszelestnie po pylistej ziemi, z wysoko uniesionymi głowami i pustym wyrazem na twarzach. Był wśród nich wojownik, który chwalił się, że to on zabił dwóch białych. Na oczach współplemieńców został pobity na śmierć, oskałpowany, a ciało wrzucono do rzeki. Dzicy wierzyli w sprawiedliwość — krew za krew. Pozostałych więźniów sprzedano osadnikom jako niewolników.

Natychmiastowa i brutalna reakcja de Bienville'a przywróciła chwiejny pokój w okolicy, ale wkrótce wysłannicy Czoktawów znów przynieśli niepokojące wieści. Anglicy ponownie próbowali zapewnić sobie przychylność ich bliskich sąsiadów i wrogów, ple-

mienia Czikasawów, obsypując ich bronią i obietnicami życzliwości. Czikasawowie, pomimo że osłabieni ostatnią epidemią, byli narodem dumnym i gwałtownym, którego instynktów wojennych nie przyćmiewały chwilowe niepowodzenia. Czoktawowie się bali. Przyszli prosić Francuzów o kule i proch, aby mogli się bronić.

Dowódca ani przez chwilę nie wątpił, że sytuacja jest poważna. Natychmiast postanowił, że pojedzie z wysłannikami i ofiaruje wodzowi największej osady dwie baryłki prochu, i odnowi przyrzeczenie sojuszu. Babelon i August mieli wypalić kalumet z wodzami w mniejszych wioskach, a de Bienville w tym czasie pojedzie zobaczyć się z *minko*, najwyższym wodzem Czikasawów.

— Nadejdą lepsze czasy — pożegnał Auguste'a, wsiadając do wyładowanej pirogi. — Będziemy mieli pokój.

Po kilku tygodniach rozkazy dowódcy dotarły do Babelona i Auguste'a, rezydujących w Grey Rock, wiosce Czoktawów. Mieli niezwłocznie udać się do Czikasawów; Babelon miał tam pozostać tylko tak długo, jak wymagały obyczaje dzikich, i wracać do Mobile, August zaś zostanie tak długo, jak będzie trzeba, ucząc się języka i zdając de Bienville'owi raporty o wszelkich działaniach dzikich w sferze polityki czy handlu.

— A więc raz jeszcze zostałeś szpiegiem — mruknął Babelon.

— Nie — odparł August ponuro. — Zostałem zakładnikiem.

Podróż trwała kilka dni. Gdy dotarli do ziem granicznych między plemionami Czoktawów i Czikasawów, ich przewodnicy odmówili dalszej podróży, więc August i Jean-Claude ruszyli dalej sami. Nie rozmawiali o Anglikach ani o zagrożeniu ze strony dzikich. August najchętniej w ogóle by się nie odzywał, ale musiał wysłuchiwać coraz bardziej fantastycznych handlowo-biznesowych projektów Babelona. Będą uprawiać rośliny

w wielkich ogrodach dla europejskiej szlachty i trzymać mnóstwo niewolników do pracy w Nowym Świecie. Kiedy August zauważył ostro, że miał Babelona za żołnierza, ten odpowiedział, że zamierza zrezygnować ze służby. Czyż dowódca już nie kazał mu stać się kupcem i handlować z dzikimi, by nabyć żywność? A handel niewolnikami uczynił go już sławnym wśród przybywających tu awanturników.

— Trudność, jeśli chodzi o niewolników, polega, rzecz jasna, na tym, że to niepewny towar — mówił. — Dzikie niewolnik albo ucieka, albo umiera, a to nie przysparza zysków.

— To chyba nie jest ich głównym zmartwieniem.

— Ale jest moim! I dlatego tak szybko, jak tylko będę mógł, zamierzam zająć się wymianą. Wymieniać ich na niewolników z Gwinei. To świetny plan, rozumiesz? Dzikus nie ucieknie do swojej wioski, bo jego wioska jest setki lig za morzami. A jeśli woli umrzeć, niech umrze w podróży. Wtedy kłopot i wydatki spadają na nabywcę.

— A twój Murzyn? — spytał August. — Co, jeśli on umrze w podróży?

— Nie umrze. Murzyni są dużo lepszymi niewolnikami. Dlatego zaproponuję trzech tutejszych za dwóch Murzynów. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni.

— Nie będziesz potrzebował pozwolenia dowódcy?

— Może i tak, ale już robiłem interesy z dowódcą ku obopólnemu zadowoleniu. Zawsze miałem go za rozsądnego człowieka.

Interesy. To słowo brzęczało dookoła Babelona jak muchy nad łajnem. Przesiąkało wszystko, czego dotknął i co powiedział. Auguste'owi wydawało się, że nie może położyć kawałka chleba na talerzu, żeby Babelon nie zaczął szacować, za ile można by go odsprzedać.

— Na szczęście zesłał cię tu tylko na zimę — powtarzał Babelon. — Nie przepadnie nam cały sezon roślinny.

Później, gdy byli już blisko Czikasawów, odwrócił się do Auguste'a od niechcenia.

— Może porozmawiam z twoimi chłopcami o ogrodzie. Zobaczymy, co się da uratować przed końcem sezonu.

August wyobraził sobie Babelona w swoim ogrodzie, zgniatającego liście chciwymi palcami i wyrwijającego korzenie z ziemi.

— Nie — odparł.

— Dlaczego nie, na litość boską? Zanim rzeka zamarznie, możemy wysłać jeszcze jeden ładunek.

— Nie. Ja... to koniec. Z tymi interesami. Mam tego dosyć.

Babelon zmarszczył brwi, ale zaraz się roześmiał.

— Daj spokój. Nie mówisz poważnie.

— Owszem — powiedział August. — Mówię poważnie.

— Ale dlaczego?

Z twojego powodu, chciał powiedzieć August. Bo nie podoba mi się, kim się stałeś. Bo nie znoszę sposobu, w jaki na mnie patrzysz, jak do mnie mówisz, jakbym ja też był na sprzedaż. Bo już ci nie ufam. Zamiast tego wrzucił tylko ramionami.

— Zmęczyło mnie to.

— Zmęczyło cię? Sukces? Zarabianie pieniędzy?

— Czy to takie niezwykle?

— Niezwykłe? To jakieś szaleństwo!

August chciał zaprotestować, ale Babelon powstrzymał go uniesioną dłonią.

— Proszę — rzekł. — Nie jestem w nastroju, by wysłuchiwać twoich kazań. Rób, jak chcesz. Nie ty jeden w Luizjanie umiesz zrywać kwiatki.

Nie rozmawiali o tym więcej. Przez resztę podróży udawali, że nic się nie zmieniło i nadal są przyjaciółmi. Czasem nawet im

się udawało, ale nie było tak jak przedtem. Uczucia nie odeszły; w dystansie, jaki oddzielił ich od siebie, August czuł ostre ukłucia miłości silniej niż kiedykolwiek. Więzy łączące ich nie osłabły; August nie rozumiał tego, czuł jednak, że się splątały i napięły i że już nie umie poruszać się wśród nich z łatwością.

Nocami, gdy wspominał wieczory spędzane razem przy ulicy d'Iberville, dusiło go w gardle. Wiedział, że to jego wina, że to on się zmienił. Babelon był dokładnie taki jak zawsze. Po kolacji siadał obok Auguste'a przy ogniu, wiążąc słowa jak sznury barwnych paciorków, a potem wstawał i szedł do nieswojej chaty. Jak zawsze. Jego zamiłowanie do handlu wzrosło, to prawda; głównym celem jego życia stało się robienie interesów i czerpanie z nich zysków, jednak nie stał się przez to inny. Przeciwnie, podkreśliło to jeszcze cechy jego natury; był bardziej sobą niż kiedykolwiek przedtem. August zaś przestał być sobą. Stał się niecierpliwy i porywczy, wszczynał sprzeczki z Babelonem o sprawy, na temat których nigdy nie miał ugruntowanej opinii. Zaczął pić. Nie rozumiał, co się dzieje, wyczuwał jednak niejasno, że cokolwiek wiązało jego duszę z ciałem, zostało zerwane. Czasami nagle uświadamiał sobie, że porusza rękami, nie zdając sobie z tego sprawy. Było to bardzo niepokojące znajdować się wewnątrz siebie, a jednocześnie zupełnie poza własnymi odczuciami i reakcjami. Obserwował zmienność swoich nastrojów oraz fizyczną wściekłość i wszystko to go irytowało.

Po siedemnastu dniach podróży dotarli do Czikasawów. Wódz powitał ich zwyczajowymi demonstracjami przyjaźni, a oni odpowiedzieli zgodnie z tradycją, Auguste'a nie opuszczało jednak uczucie niepokoju.

Gdy nadszedł czas powrotu Babelona do Mobile, mężczyźni uściskali się; August zamknął oczy, kładąc ramię na plecach przyjaciela i serce ścisnęło mu się z nostalgii.

— Załóż sobie ogród! — zawołał Babelon, wchodząc do pirogi i dając znak przewodnikowi, by odpływał. — Jeśli już musisz tu siedzieć, przynajmniej miej z tego jakąś korzyść.

August wołał nie odpowiadać. Gdy piroga wpłynęła na szybki nurt w środku rzeki, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył pod górę. Babelon wołał coś jeszcze o byciu ostrożnym, ale Auguste nie zwolnił kroku ani się nie odwrócił. Dopiero w wiosce otworzył dłonie zaciśnięte w pięści i pozwolił, by resztki strachu, który czuł, spłynęły po palcach jak piasek.

Na początku obecność Auguste'a wzbudzała w Czikasawach podejrzliwość i wrogość. Kiedy szedł przez wioskę, odprowadzały go stłumione szept, cisza lub urwane rozmowy. *Minko* zakwaterował go u starszego imieniem Chulahuma. Czasem, gdy zbudził się w nocy, widział jego oczy błyszczące w mroku. August był jednak dobrym zakładnikiem i dobrym szpiegiem. Naturalnie był ostrożny, miał dar wtapiania się w tłum. Nie pożądał ani towarzystwa dzikich, ani respektu, jakiego zwykle spodziewali się biali, wpasował się bez trudu w rytm życia, do jakiego był od dawna przyzwyczajony, i to go uspokajało. Nie polował z mężczyznami, bo mu tego nie proponowali, ale łowił ryby, wytwarzał narzędzia i szkicował na szorstkim papierze, który przywiózł z *Mobile*.

Niezwykła wolność od obowiązków i odpowiedzialności była pocieszająca. Podobało mu się też jego odosobnienie. Czikasawowie nie byli jak *Ouma*, nie stwarzali pozorów, że jest dla niego miejsce wśród nich. Był dla nich bladą twarzą, nierozumiejącą i nierozumianą, odgradzoną nieprzekraczalną przepaścią koloru, cywilizacji i Kościoła katolickiego. Auguste'owi to odpowiadało, choć z religią nie miał wiele wspólnego poza uczuciami niejasnego lęku i silnego strachu przed śmiercią. Kiedy wrócił od *Ouma*, poszedł raz z ciekawości na mszę w *Mobile*. W kościele w *La Rochelle* były kolorowe witraże i mężczyźni

w wysokich nakryciach głowy, którzy przeganiali chłopców takich jak on i Jean, gdy wkradli się do wnętrza, by się zagrzać, ale kaplica w Mobile była zwykłą chatą z prymitywnie wykonanym krzyżem na ścianie. August nie wiedział, czy powinno go to cieszyć, czy rozczarować.

Pod koniec lata August posługiwał się już biegle językiem chickasaw. Niewiele miał do roboty. Anglicy nie pojawiali się, czasem jedynie zawitał kanadyjski kupiec w poszukiwaniu skór jelenich. Męczył go nadmiar wolnego czasu i właściwie z nudów zaczął znów zbierać owady i rośliny, które przyciągnęły jego uwagę. Szkicował chrząszcze, z których Czikasawowie wyrabiali barwnik, i owoce kolczastej jabłoni, służące za narkotyk, który po spożyciu wywoływał stan głębokiego snu na jawie. Potajemnie szkicował też handlarzy. Stał się biegły w nakreślaniu twarzy kilkoma kreskami; jego portrety były podobne do oryginału i ani trochę nie poprawiały go. Kiedy Chulahuma zobaczył je, wybuchnął śmiechem i wyjął węgielek z ręki Auguste'a, by też móc robić znaki na papierze.

I tak spędzał czas wśród dzikich — spokojnie, bez szumu czy podchodów. Rzadko kiedy odzywał się niepytany i nigdy nie zadawał pytań ani nie wygłaszał opinii. Było to zresztą zbędne. Wioska Czikasawów, jak większość wiosek, przypominała wór wypełniony wodą; generalnie woda zostawała w nim, ale zawsze znalazło się jakieś miejsce, które przeciekało, ujawniając zawartość.

August wiele się nauczył. Dowiedział się, że Czikasawowie są biegli w dyplomacji, pozostają w dobrych stosunkach zarówno z Anglikami, jak i Francuzami i dbają o to, by każda ze stron myślała, że jest w lepszej sytuacji, żeby nie znaleźć się w nic niedającym sojuszu z którąkolwiek. Niezmiernie pociągał ich handel, a alkoholowi nie mogli się oprzeć, gdyż wprowadzał ich w ro-

dziej sennego transu, w którym rozmawiali z duchami przodków. Niektórzy wojownicy upijali się regularnie; August czasem pił z nimi, lecz nie, by wywołać głosy w swej głowie, przeciwnie — by je uciszyć.

Przez mijających wioskę kupców posyłał wiadomości, że wszystko toczy się bez zmian. Nocą, na swoim legowisku przykrytym jelenimi skórami, powtarzał w myśli słowa języka chickasaw. Przyszło mu do głowy, że gdyby mógł śnić w tym języku, znalazłby ukojenie. Co noc przychodziła do niego w snach. Zawsze w tych snach oczekiwała dziecka i była tak gruba, że nie mogła się objąć ramionami; i zawsze była przy niej niewolnica, z rozpostartymi ciemnymi dłońmi na nabrzmiałym brzuchu swej pani. Były jakby zrosnięte, jak dziwaczna para bliźniąt pokazujących na jarmarkach.

Pewnego dnia do wioski przybyła grupa starszych z odległej wioski na zachodzie. August był nad rzeką. Gdy wrócił o zmierzchu, natknął się na myśliwych niosących dwa upolowane jelenie wiszące na drągach. Głowy zwierząt kiwały się, brzuchy i podgardla odbijały się jasno w ciemniejącym świetle, a z ciał kapały na ubitą ścieżkę krople krwi. Kiedy dochodzili do wioski, zobaczyli grupę mężczyzn idącą szybko w ich stronę z posępnym wyrazem twarzy. Jeden powiedział coś do przywódcy myśliwych, ale tak cicho, że August nie dosłyszał. Mężczyzna kiwnął potakująco głową i nagle wszyscy otoczyli Auguste'a. Jeden odebrał mu wędkę i koszyk, a dwóch innych wzięło go pod ręce i popchnęło do przodu.

— Co robicie? — zaprotestował. — Dokąd mnie prowadzicie?

Nie odpowiedzieli. Stawił opór, ale wzmocnili tylko uścisk, niemal unosząc go z ziemi. Zawołał do pozostałych myśliwych, prosząc o pomoc, ale ani drgnęli. Wojownicy zawlekli go do szałasza bez okien zbudowanego z palmowych liści utwardzo-

nych wyschniętym błotem. W słabym świetle zobaczył zniszczoną skórę rzuconą na gołą ziemię oraz garnek wody i trochę zeschniętej pokruszonej papki kukurydzianej. Poza tym szałas był pusty. Niebo przecięła błyskawica, zamieniając mężczyznę w białe posągi.

— Dlaczego?! — krzyknął. — Co uczyniłem?!

Wejście zostało zaryglowane skórzanym rzemieniem. Sekundę trwała cisza, a potem grzmot przetoczył się przez niebo jak wystrzał z armaty.

Siedział w szałasie dwa dni. Padało nieprzerwanie, deszcz bębnił o gliniany dach. Nikt się nie pojawiał. Wkrótce skończyła się woda. Czas dłużył się w przedziwny sposób. Chwilami bardzo się bał i tracił kontrolę nad swoją wyobraźnią, a także zwieraczami. Wilgoć przenikała go na wskroś, był przeraźliwie zmarznięty. Dopiero pod koniec trzeciego dnia przyszli po niego.

Kiedy go wyciągnęli na zewnątrz, potknął się, czując zawroty głowy i chłód czystego powietrza. Przestało padać, ale nawet tego nie zauważył. Łykał powietrze jak wodę. Mężczyźni powlekli go do chaty *minko*. Dym unosił się w niej niczym mąka. August rozpoznał dwóch myśliwych i znów pomyślał o jeleniach przywiązanych za kopyta do dragów, z oczami wywróconymi do góry i wiszącymi językami. Biegły łowca umiał oskórować i wypatroszyć jelenia czterema cięciami

W chacie było około dwunastu mężczyzn usadowionych w półkolu wokół stosu drewna pod palmowym daszkiem. Drewno było mokre, więc ogień syczał, ledwo oświetlając miedziane twarze. Strażnicy Auguste'a nacisnęli mocno jego ramiona, zmuszając go, by ukucnął. Posłuchał, mrugając i rozglądając się po zgromadzonych. *Minko* przyglądał mu się beznamiętnie ze swego miejsca w centralnym punkcie. Potem skinął głową. Ramiona Auguste'a zostały brutalnie szarpnięte i związane ciasno za plecami rzemieniem. Kiedy go puścili, upadł, uderzając nosem o kamień

w ziemi. Przeszył go tępy ból i poczuł w ustach metaliczny smak ciepłej krwi pomieszanej z błotem. Z wysiłkiem uniósł głowę.

— Podnieście go — zakomenderował mówca *minko*; wedle zwyczaju sam wódz nie odzywał się podczas narad.

Czyjeś ramię ujęło go brutalnie i postawiło na nogi, a czyjeś palce, wplecione we włosy, odchyliły głowę w tył. W wyobraźni zobaczył ostrze noża umiejętnie odcinające skalp od czaszki, ciepły strumień moczu spłynął mu po udach.

— Oto niewierny zdrajca. Zemsta będzie nasza!

Minko podniósł prawą dłoń. Wojownik z rzemiennym biczem stanął przed Auguste'em. Nastąpiła cisza, napięta jak struna skrzypiec, a potem piekący ból rozlał się po jego ciele. Bicz zostawił szkarłatny ślad na szyi i ramieniu.

— Przysięga wierności jest święta i wiąże ludy w obliczu przodków — zaintonował mówca. — Nie ma większej zbrodni pod słońcem niż zdrada.

Bicz znowu świsnął w powietrzu. August krzyknął.

— Wojownik, który skrzywdzi tych, którym poprzysiągł wierność, musi spłonąć na popiół, a jego duch będzie błąkał się samotnie w wielkim bólu. Co rzekniesz?

Wojownik powoli uniósł bicz.

— Jeśli zdradzono wasz lud — wyszeptał August — zdradzono i mnie. Nic nie wiem o żadnej zdradzie, przysięgam.

Bicz uderzył. Resztki myśli uleciały z głowy Auguste'a jak spłoszone ćmy. Liczył się tylko ból.

— Zbierasz dzikie jabłka, by uspić nasze zmysły. Wykradasz podobizny wszystkich białoskórych obcych przechodzących przez naszą wioskę. I nic nie wiesz. Uważasz, że jesteśmy ślepi i głupi?

August przełknął ślinę. Język zesztyniał mu w zaciśniętych ustach.

— Czcigodny *minko*, rośliny, obrazki to tylko rozrywka. Niczego nie oznaczają.

Bicz uderzył ponownie, tym razem mocniej. Twarze w półkolu się zamazały.

— Spójrz na ogień, który płonie dla ciebie, zdrajco. Nie sądzisz, że nadchodzi czas, by wyznać swe winy?

August zamknął oczy. Czyjaś ręka szarpnęła jego głowę do tyłu, aż w ramieniu znów się odezwał ból.

— Co mam wyznać? — jęknął błagalnie. — Niczego nie wiem!

— A więc ciężar twej zdrady będzie po wieczne czasy przyniatał twego ducha do ziemi i nieustannie powtarzał cierpienie śmierci. Wojownicy, przygotujcie ogień.

August zadrżał, lecz uniósł głowę.

— Zabijcie mnie — wyszeptał — a ściągniecie na swój lud słuszny gniew i zemstę mojego, za krew przelaną okrutnie i bez powodu.

Nogi ugięły się pod nim, gdy bicz zaświstał w powietrzu.

— To wy bójcie się naszej zemsty, niewinnego ludu skuszonego zdradą i fałszywymi obietnicami, wprowadzonego w zasadzkę i pewną śmierć z rąk odwiecznego wroga! — krzyknął mówca. — Naprawdę myśleliście, że nas tak łatwo oszukacie? Że na wasze żądanie posłusznie wejdziemy w krwawą pułapkę Czoktawów i nie poczujemy smrodu zdrady?

August zamrugał z niedowierzaniem, wpatrując się w mężczyznę, jego zmysły nagle wyostrzyły się wskutek szoku.

— Widzicie oto, jak milczenie białego człowieka przemawia głośniej niż jego zaprzeczania.

— Mylisz się. Wasze zarzuty są bezpodstawne. Chcemy, byście byli naszymi sojusznikami.

Tym razem bicz uderzył dwa razy. Czerwone brzegi rany wywinęły się na zewnątrz, ukazując biały błysk kości.

— Twierdzisz, że nasi ludzie są kłamcami, białoskóry?

— Nie kłamcami, panie — odparł August z wysiłkiem. —
Twierdze, że się mylą.

— Mylą się? Co do angielskiego kupca, który nie jest Anglikiem, lecz twoim bratem opłacanym przez twojego wodza? Mylą się co do angielskiego muszkietu, który nam obiecuje za każdego jeńca Czoktawów, którego mu przyprowadzimy? Co do fałszywego brata, który spożywa nasze mięso i prowadzi nas na rzeź?

August poczuł okrutne zimno. Wiedział, że umrze. Zebrał jednak resztki sił i znów podniósł głowę.

— Mylą się co do wszystkiego — powtórzył.

Mężczyzna w narzucie z piór stanął przed Augustem. Był to Chulahuma. Nad głową trzymał kij grubości męskiego nadgarstka, który połyskiwał w świetle ognia.

— Dlaczego się upierasz przy swych zwodniczych słowach?!

— zawołał mówca. — Twe kalumnie przynoszą ci tylko większy wstyd!

Gdzieś w oddali rozległy się podniesione głosy i szcęk muszkietu. Młodzieniec trzymający pochodnię wbiegł w krąg mężczyzn. August zobaczył jeszcze, jak napinają się ścięgna na szyi Chulahumy, zanim z całej siły uderzył. Coś w ramieniu Auguste'a eksplodowało; poczuł straszną słabość i wiedział, że zaraz zemdleje.

— Nie rozumiecie? — wyszeptał, osuwając się na kolana.

— Nie zostało mi nic prócz honoru.

Znadejściem zimy Jean-Claude wrócił do Mobile. Nie dało się już ukryć stanu Elisabeth. Gdy otworzył drzwi i spojrzął na nią, uśmiechnęła się, chcąc, by odpowiedział jej uśmiechem.

— No, popatrzcie tylko! — powiedział, otwierając szeroko oczy. Potrząsnął głową i uniósł kąciki ust ku górze; prawie się uśmiechał, gdy ujęła jego twarz w dłonie.

— Wróciłeś — powiedziała cicho.

Zamrugała, ale łzy i tak stoczyły się po jej policzkach.

— Z pewnością nie jest aż tak źle — odparł żartobliwie.

Roześmiała się zdławionym śmiechem, głaszcząc jego szorstką brodę, której dotyk stał się już jej obcy.

— Tak długo cię nie było. Ja... Bogu dzięki, wróciłeś bezpiecznie.

Potaknął, odsuwając się.

— A ty? — spytał, nie patrząc na nią.

— Jak widzisz.

— Ile już czasu?

— Pięć miesięcy, może sześć — uśmiechnęła się wbrew sobie. — Widzisz, jak dobrze wszystko idzie?

— Rzeczywiście dobrze wyglądasz.

— To chłopiec, jestem pewna. Kopie jak kawalerzysta.

— Tak?

— Syn — szepnęła cichutko. — Och, kochany, wyobraź sobie. Nasz syn.

Jean-Claude westchnął i się odwrócił.

— Nie zapominaj, jak to się zawsze kończyło — powiedział.
— Oszczędź nam tego.

Kilka nocy później nie było go w łóżku, gdy się obudziła. Wstała, odrzucając okrycia. Dziecko w jej łonie poruszało się sennie. Położyła dłonie na brzuchu, czując, jak jego kolanka napierają od środka.

— Śpij — szepnęła.

Na podwórku panowała cisza. Nad ciemnymi koronami drzew świecił księżyc zbliżający się do pełni, przecięty szarymi smugami jak ślady brudnych palców. Rzucał ostre cienie na ubitą ziemię i osrebrał dachówki na dachu kuchni. Elisabeth oparła się o najeżoną drzazgami futrynę, pocierając ramiona, by się rozgrzać. Gdzieś zahuczała sowa.

Odkąd wrócił, był niespokojny. Spodziewała się tego. Każdej zimy rosła jego frustracja spowodowana konwencjami, rutyną, nudą i bezczynnością. Śmieszne hierarchie i głupawe zajęcia mieszkańców miasta przyprawiały go o rozpacz. Nawet towarzystwo Auguste'a niewiele pomagało w tych ponurych zimowych miesiącach, a teraz, bez niego, poczucie uwięzienia stało się nie do zniesienia. Jednak gwałtowność powstrzymanego wigoru, intensywne roztargnienie, jakie prezentował, zaskoczyło ją. Powietrze wokół niego aż iskrzyło, płonął jak lampa, nie uspokajał się ani na chwilę. Robił ósemki dookoła chaty, aż myślała, że oszaleje. Nawet kiedy uprosiła go, żeby usiadł, jego stopy podrygiwały, a palce bębniły mocno po stole. Nie był jednak w złym humorze. Czasami, gdy pracowała, podkradał się od tyłu i chwycił w talii, śmiejąc się i okręcając ją w przyprawiającym o zawrót głowy gawocie. Gdy wrywała się, też

się śmiejąc, przyciskał usta do jej ust, nagle i gwałtownie tak jej pożądając, jak na początku małżeństwa.

Elisabeth była wdzięczna, że nie zniechęca go jej rosnący brzuch, ale bała się o dziecko i kiedy w nią wchodził, była pewna, że zrobi mu krzywdę. Prosiła, by był delikatny, ale jego trawiła gorączka i nie zwracał uwagi na jej słowa; a potem, gdy wyciągała ramiona, by ukoić ich oboje, on wysuwał się z jej objęć i natychmiast nakładał spodnie. Nie mógł usiedzieć spokojnie, ale nie szukał towarzystwa. Nie chodził do tawerny, tylko popijał brandy, siedząc na schodkach i wpatrując się w zarośnięty ogród. Cały czas wystukiwał butami nieustanny rytm na skrzypiących deskach. Alkohol łagodził niepokój i pomagał mu zasnąć.

Powiew wiatru poruszył drzewami i lekko uniósł halkę Elisabeth. Zadrżała i weszła z powrotem do domu. Następnego ranka, gdy rozpałała ogień, pojawił się w drzwiach z triumfującą miną.

— Śniadanie gotowe? — spytał. — Umieram z głodu.

— Zaraz. — Elisabeth postawiła garnek z kaszką sago na ogniu i nie spojrzała na niego.

Podszedł i objął ją. Pachniał brandy i morską solą, czuła energię emanującą od niego jak ciepło. Pociągnął za wiązania jej gorsetu i wepchnął dłoń do środka, obejmując pierś. Mruknięła protestując i się odsunęła. Chwycił ją ponownie, mocniej, bardziej natrętnymi palcami, przyciskając usta do jej karku. Czuła jego twardość na pośladkach.

Dziecko kopnęło.

— Nie teraz — zamamrotała, znów wywijając się z jego uścisku.

Przycisnął ją mocniej, łaskocząc językiem w ucho.

— Proszę, sago się przypali.

Jego palce zacisnęły się na jej szczęce jak imadło. Odwrócił jej twarz w swoją stronę i znów przycisnął wargi do jej ust i języka, gryząc. Ledwo oddychała.

Dziecko poruszyło się gwałtownie.

— Proszę! — jęknęła.

Puścił jej szczękę i odsunął się nieznacznie. Chciała podnieść ręce do twarzy, ale nadal ją trzymał, unieruchamiając jej ramiona wzdłuż ciała. Wolną ręką szarpnął spodnie i podniósł jej halkę. Wciąż ściskając jej klatkę piersiową, wbił się w nią jednym, drugim, trzecim uderzeniem. Potem ją puścił. Zrobiła niezgrabny krok do przodu, kurczowo ściskając halkę na swym wydętym brzuchu.

— No i widzisz — stwierdził — sago nawet nie jest jeszcze gorące.

Tej nocy i następnej położyła się wcześniej, chroniąc brzuch podciągniętymi w górę kolanami. Drugiej nocy znów go nie było, gdy się obudziła. Wstała i podeszła do drzwi. Nie wiedziała dlaczego, ale chciała zobaczyć nieporuszony spokój nocy, cichą kuchnię.

Nie przysięgłaby, że to on. Było ciemno, młody księżyc wyglądał jak bąbelek ledwo otoczony srebrnym rąbkiem. Wszak było więcej mężczyzn jego wzrostu i budowy ciała, to mógł być ktoś inny. Chciała wracać do łóżka, ale nie mogła. Za kuchnią poruszały się razem dwie postacie. Potem przestały. Noc była ciemna, rozedrgana od wielotonowych głosów cykad i żab jak chór grecki. Figury rozłączyły się i zniknęły.

Elisabeth stała tam przez długi czas, wpatrując się w ciemne podwórko. Kiedy wreszcie odetchnęła, zrobiła to prawie spokojnie, ale pustki wewnątrz niej nie wypełniał żaden oddech, jakby część jej wycięto, pozbawiono ją umysłu i serca. Nie czuła bólu, tylko tę pustkę. Wiedziała, że ból przyjdzie później. Na razie mogła tylko patrzeć w ciemność, nie mając pojęcia co dalej.

Czas płynął. Jean-Claude nie wracał. W świetle księżyca, zamglonej kuli matowego srebra, kuchnia majaczyła jak groźny, czarny kształt. Coś w piersi Elisabeth zabolalo, jak nieuważnie

dotknięty siniak. Wyprostowała się, wzięła do ręki trzciniową pochodnię i zapaliła ją. Jej dłonie były spokojne; osłoniła płomyk, by nie zdmuchnął go wiatr i ruszyła w stronę kuchni.

Drzwi się zacięły. Elisabeth musiała mocno kopnąć, by je otworzyć. Ciężkie, żółte światło ukazało Okatomih powstającą na nogi, owiniętą skórą, z twarzą obrzmiałą od snu. Elisabeth pochyliła się, żeby oświetlić ukryty w cieniu kąt za miejscem do gotowania. Garnki stały jak zawsze, przykryte obciążoną skórą chroniącą przed węzami i jadowitymi pajakami. Nie było tam dość miejsca, by ktoś mógł się schować.

Odwróciła się. Dziewczyna patrzyła na nią bez słowa. Elisabeth podeszła bliżej, podnosząc pochodnię do jej twarzy, aż zamrugała od dymu, ale się nie poruszyła. W przebłysku szaleństwa Elisabeth wyobraziła sobie, jak wylewa miskę płonącego oleju na tę nieporuszoną twarz, paląc włosy nad wysokim czołem, wypełniając powietrze swądem ciała oddzielającego się od kości policzkowych. Podniosła pochodnię wyżej. Dziewczyna znów zamrugała, ale stała nieruchomo. Elisabeth wpatrzyła się w płomień; z postrzępionego końca wznosiła się smużka czarnego dymu. Odetchnęła zapachem roztopionego tłuszczu, czując gorąco na skórze. Potem zdmuchnęła płomień i jak w malignie zacisnęła dłoń na gardle dziewczyny. Niewolnica nie wyrwała się, choć jej puls trzepotał jak ptak. Elisabeth zacisnęła palce, obserwując grymas na twarzy dziewczyny i jej wychodzące na wierzch oczy. Jakaś odległą częścią umysłu zastanawiała się, czy właśnie oszalała.

— Jeśli jeszcze raz choć spojrzysz na mojego męża, zabiję cię — powiedziała. — Rozumiesz?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Elisabeth odepchnęła ją, ale palce nadal ją świerzbiały. Przygryzła wargi i znów ścisnęła poddające się ciało; w podbrzuszu czuła poruszenia, które były niemal rozkoszą. Pasek księżycowego światła padł na twarz nie-

wolnicy. W jej szeroko otwartych oczach nie było strachu, tylko tępa rezygnacja. Były to oczy kogoś, kto już nie żyje.

— Co ja robię?! — wykrzyknęła Elisabeth, wybuchając ostrym, przejmującym śmiechem. — Przecież ty nic nie rozumiesz, prawda, suko?! Ani jednego pieprzonego słowa!

Pełna niesmaku, silnym ruchem popchnęła dziewczynę. Niewolnica zachwiała się, uderzając mocno głową o ścianę. Elisabeth złapała garnek, trzymając go przed sobą jak tarczę, ale niewolnica nie zaatakowała. Skulona pod ścianą, czekała z zamkniętymi oczami, jedną brązową dłonią na posiniaczonej szyi, a drugą na wypukłości brzucha.

Kiedy wreszcie wrócił, Elisabeth udawała, że śpi. Był pijany i poruszał się niezgrabnie, rzucając buty na ziemię i potykając się o nie. Zwalił się na łóżko obok niej, rozsiewając woń alkoholu i tytoniu. Zasnął ciężkim snem, leżąc na wznak z otwartymi ustami i odrzuconym w bok ramieniem.

Elisabeth nie spała.

Później, w tym niesamowitym czasie między nocą a dniem, wyciągnęła lewą rękę i położyła mu na szyi. Jego skóra była mniej napięta niż u dziewczyny i porośnięta szorstkim zarostem. Zamknęła dłoń, zaciskając palce po obu stronach jego szyi. Nie poruszył się. Znow zacieśniła ucisk, czując ruchy i przemieszczanie się ścięgien. Wreszcie puściła.

Nadchodził świt, powoli zmieniając ciemność w szarość. Zamruczał coś przez sen i odwrócił się do niej. Na policzku odgniotły mu się ślady po pościeli. Wyglądał jednocześnie bardzo staro i bardzo młodo, jak żółw wyciągnięty ze skorupy. Łzy zadrapały ją w gardle. Ułożyła głowę tak, by czubki ich nosów stykały się, a palcami lekko dotknęła porysowanego liniami policzka. Nie mogła znieść myśli o tym, że się obudzi. Mogła to zrobić. Trochę silniejszy nacisk, tylko trochę i miałyby wszystko

pod kontrolą. Mogła cofnąć wskazówki czasu. Mogła wszystko naprawić tak, by zegar zawsze wskazywał ten dzień w listopadzie tuż przed świtem, kiedy ona była jego, a on jej i należeli do siebie na całą wieczność.

Nikt nie wierzył, że August przeżyje podróż. Gorączkował, rany ropiały, kość była złamana. Krzyknął, kiedy go podnieśli i ułożyli na wystanym skórami i mchem dnie pirogi. Podczas podróży na południe do Mobile jezuita, który poznał co nieco medycyny tubylców w czasie swego pobytu wśród Nasitoczesów, przykładał mu do ramienia okład z korzenia bawełny i podawał do wypicia małe porcje gorącego naparu z kolcorośli, żeby chłopak zaczął się pocić.

Rochon musiał użyć całej swej przebiegłości i daru perswazji, aby przekonać *minko* do oddania mu rannego pod opiekę. Kilka razy zmuszony był przypomnieć mu o brutalnych atakach odwetowych po zabójstwie francuskiego misjonarza Saint-Cosmé przez plemię Czitimacha dziesięć lat wcześniej i o stanie permanentnej wojny, która od tamtej pory nękała ten niegdyś wielki lud. Co do zasadzki, przysiągł przed Bogiem, że francuski dowódca nie spocznie, póki nie zdemaskuje agitatorów i przekaże ich Czikasawom, by ci wymierzili karę. Tak pogodzą się dwa narody, odnawiając sojusz krwią wspólnego wroga.

Zakonnicy w seminarium w Quebecu, którzy jakieś piętnaście lat temu bezskutecznie starali się ukrocić wybryki chłopca, byliby z pewnością zdumieni, widząc, jakim spokojnym autorytetem wykazał się przed starszymi plemienia Czikasawów; człowiek jednak może odnaleźć w sobie niezmierzone pokłady

rozwagi, gdy w jego rękach jest czyjeś życie. *Minko*, nieufny wobec jezuity, ale jeszcze bardziej obawiający się wznowienia krwawego konfliktu z Francją i wszystkimi jej tubylczymi poplecznikami, niechętnie przyzwolił na wydanie Auguste'a, zapowiedział jednak bezlitosną zemstę, gdyby biały człowiek go zawiódł.

Droga do osady była prosta, gdyż górny bieg rzeki *Mobile* prowadził bezpośrednio na wybrzeże. Nie było jednak bezpiecznie. Mokra zima spowodowała wezbranie wód i nagłe szybkie prądy, które niosły ze sobą próchniejące pnie drzew. Nie mogli też być pewni, czy *Czikasawowie* nie prowadzą podwójnej gry. Nie odważali się polować, rozpalać ognisk czy nawet obozować na otwartej przestrzeni nad rzeką. Nie uważali też za roztropne szukać schronienia u *Czoktawów*. Płynęli więc nocami, wybierając zdradliwy w ciemności nurt rzeki, gdyż nie chcieli zostać odkryci, a z nastaniem dnia zaszywali się w głębokim lesie, zawsze wystawiając jednego wartownika.

Dnie mijały, a August wciąż majaczył w gorączce. Sny to unośliły go, to ciskały w czarną wodę lub ogień. Śnił o ciałach martwych i umierających, o czaszkach głucho stukających o pirogę, o paznokciach drapiących korę, z której była zrobiona. Widział blade palce wychylające się z głębiny, aby go pochwycić, i budził się z wrzaskiem, a opiekujący się nim chłopiec kładł mu dłoń na ustach i syczał, by zamilkł.

Po trzynastu nocach dotarli do granic osady. Gorączka Auguste'a spadła i leżał teraz spokojnie, oddychając słabo, ale regularnie. Rochon przy najbliższej okazji wysłał wiadomość do dowódcy, ale dowiedział się, że ten został wezwany do hiszpańskiego fortu w Pensacoli w pilnych sprawach i wróci dopiero za kilka dni. Jezuita opuścił miasto przed kilkoma laty, ale nie zapomniał, jak bujnie kwitła w nim intryga oraz skłonność do popadania w panikę. Poinformował więc komisarza jedy-

nie o powrocie według planu i przetransportował swego pacjenta pod osłoną nocy do własnego domu przy ulicy Conde; niewolnicy obiecał sowitą nagrodę za utrzymanie tego faktu w tajemnicy.

August, wreszcie umieszczony w dobrych warunkach, powoli dochodził do siebie, choć strzaskane ramię bolało go dotkliwie. Niewolnica nacierała mu rany olejkami z sasafrzanu i poila go naparem z kory białej wierzbki, by uśmierzyć cierpienie, ale świeży naskórek na ranie wciąż nie był grubszy niż skórka na mleku i każdy ruch powodował ostry ból. Podczas pierwszych nocy, gdy wyczerpanie pełzło wzdłuż kręgosłupa i opinało ciasno całą głowę, próbował zasnąć, ale dzikie, wypełnione strachem koszmary nie dawały odpocząć; budził się przerażony i krzyczał z bólu spowodowanego gwałtownym ruchem. Dryfował przez niekończące się ciemne godziny we mgle zmęczenia i bólu; każda minuta wydawała się godziną, a potem północ nagle stawała się świtem i ukośne promienie słońca rozjaśniały płótno w oknie.

Kiedy zobaczył białą smugę w ciemności, pomyślał, że to księżyc, który nagle doszedł do pełni, albo niespodziewany wschód słońca, i zerknął w stronę okna, ale płótno było ciemne. Zamknął oczy, by nie widzieć tego, czego tam nie było. Drażniło go, że zaczął się bać własnego cienia i już miał zawołać niewolnicę, by przyniosła mu napar z kory wierzbowej, kaganek i pokrzepiającą świadomość, że ktoś jest z nim w pokoju, ale nagle poczuł łapki stąpające po jego nogach, pazurki przebijające się przez koce i dotyk miękkiego futerka na przedramieniu.

— Ponola? — szepnął i mimo rozdzierającego bólu w ramieniu posadził sobie szczurka na piersiach i przycisnął do siebie drobne ciało.

Zwierzątko wierciło się, wyciągając pyszczek w stronę jego

twarzy i szturchając podbródek wilgotnym pyszczkiem. Wtedy zobaczył dziewczynę. Stała u stóp łóżka, z ciemnymi włosami ocieniającymi jej twarz i oczami lśniącymi w mroku.

— Dobrze się nim opiekowałam — wymamrotała. — Tak jak obiecałam.

— Dziękuję ci.

Nie odpowiedziała, tylko kiwnęła głową, wciąż intensywnie się w niego wpatrując.

O świcie niewolnica zastała ją zwiniętą na podłodze, z ramionami złożonymi pod głową. Szczur podniósł głowę z gniazdka, które sobie wymościł w pościeli, i zaczął węszyć. Niewolnica wniosła napar i miskę wodnistego kleiku i postawiła je na stołku przy łóżku. Kiedy August otworzył oczy, pomogła mu usiąść.

— Ona przychodzi każdy dzień — szepnęła mu cicho do ucha, wkładając mu do ust łyżkę gorącego płynu. — Kiedy ty nie tu. Pilnuje dom. Pilnuje chłopcy w ogród. Każdy dzień to samo.

August wypił napar, czekając, aż ból w ramieniu się zmniejszy. Dziewczyna leżała bez ruchu, ale uchyliła powieki, jak dziecko bawiące się w chowanego, i przyglądała się, jak niewolnica karmi Auguste'a i zmienia opatrunek.

— Mogę to robić — zaproponowała, kiedy niewolnica zabrała talerze oraz brudne bandaże i wyszła. — Umiem się opiekować.

— Powinnaś iść do domu — powiedział łagodnie. — Ojciec na ciebie czeka.

Dziewczyna tylko potrząsnęła głową i zaczęła skubać drzazgę wystającą z wezgłowia. August zamknął oczy. Ból nieco ustąpił i zachciało mu się spać.

— Powinnaś iść — powtórzył. — Niedobrze, że wiesz, że tu jestem.

— Jeśli pójdę, to przestanę wiedzieć?

Zanurzyła łyżkę w dzbanku z wodą stojącym na stołku i przyłożyła mu do ust. Płyn ściekł mu po brodzie, ale August nic nie powiedział. Upór dziewczyny był niemal namacalny jak wirujące pyłki kurzu. Przez cały dzień to przysypiał, to budził się, a kiedy ból w ramieniu powrócił, nadal tu była, a szczur wciąż mościł się na jego nogach. Kiedy znów zasnął, śnił dziwne, pourywane sny, ale tym razem nie było w nich krwi. Obudził się o zmierzchu. Niewolnica kręciła się bezszelestnie po pokoju, zapalając kaganek, który postawiła obok łóżka przy misce ze świeżą porcją kleiku. August podniósł się chwiejnie, macając rękami po poscieli w poszukiwaniu szczurka, ale zwierzątko nie było.

— Dziewczyna? — spytał, gdy uklękła przy nim, podnosząc łyżkę do jego ust.

Bez słowa wykonała gest głową w kierunku drzwi. August pozwolił głowie opaść na poduszkę, aż łyżka zagrzechotała o jego zęby, a gorący kleik spłynął po brodzie. Nagle drzwi otworzyły się i August zobaczył dziewczynę wchodzącą do środka niepewnym krokiem, niosącą cieknący dzbanek. Cały przód jej sukienki był przemoczony.

— Potrzebujemy nowego dzbanka — oznajmiła zdyszana.
— Ten przecieka.

Ósmego dnia, w sobotę, rozległy się dwa ostre stuknięcia do drzwi. Było późno i światła w osadzie już zgasły. August usłyszał dziewczynę i niewyraźny męski głos na ganku. Żołądek ścisnął mu się jak pięść, ale kiedy dziewczyna wróciła, była sama. Zatrzasnęła drzwi, obejmując klatkę piersiową szczupłymi ramionami.

— Dowódca — oznajmiła.

August odetchnął z ulgą.

— Więc go wpuść.

— Masz dość na dziś — skrzywiła się niechętnie.

— Czuję się dobrze. Idź, przyprowadź go.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała i podeszła wolno do drzwi. August oparł pięść zdrowej ręki w materac i spróbował usiąść.

De Bienville spędził z Auguste'em prawie godzinę. Dziewczyna przykucnęła na ganku, skąd słyszała jego niski głos, czasem przechodzący w złowrogi pomruk, jak grzmot zapowiadający burzę. Auguste'a nie było słychać. Dowódca wyszedł tak, jak przyszedł, tylnym wyjściem i wąską alejką prowadzącą do ulicy Pontchartrain. Noc była ciemna, księżyc w nowiu wyglądał jak kawałek nadgryzionego opłatka. Odprowadziła go wzrokiem, tuląc w ramionach szurka, a gdy była pewna, że się oddalił, wstała i cicho otworzyła drzwi do chaty.

August siedział na brzegu łóżka ze spuszczoneymi nogami, podpierając się zdrową ręką o wezgłowie i próbując wstać. Twarz miał białą jak kreda i zlany był obficie potem.

— Szybko — powiedział.

Podbiegła, wyplątując jego nogi z okryć i sięgając pod łóżko po nocnik.

— Nie — mruknął z wysiłkiem. — Nie to.

— Więc co?

— Idź do tawerny na Saint-Francois i powiedz wysłannikowi Babelonowi, że twój ojciec chce go widzieć. Chodzi o interesy. Powiedz mu, że można zarobić.

— Ale...

— Powiedz, że mają się spotkać przy chacie starego Daraquea za miastem. Za godzinę.

Dziewczyna kopnęła nocnik i pokręciła głową.

— Nie mogę.

— Nie odmawiaj. Muszę się dziś zobaczyć z wysłannikiem.

— Nie mogę — powtórzyła, patrząc w ziemię.

— Na litość boską, dziecko, czy jesteś moim strażnikiem?

— Nie.

— Więc o co chodzi?

Podniosła głowę i wpatrzyła się w niego czarnymi oczami, gryząc wargi i wyłamując sobie palce.

— Mój ojciec nie żyje.

Zapadła cisza. August chrząknął.

— Kiedy?

— Kilka miesięcy temu. W lecie.

— Na zarazę?

Potaknęła.

— Przykro... przykro mi. Nie wiedziałem.

Dziewczyna wrzuszyła ramionami, szurając bosą stopą po ziemi. August opadł na poduszkę nagle ogarnięty zmęczeniem i bólem. Pomyślał o ślusarzu z zaczerwienionymi oczami mętными od kolejnej szklanicy tubylczej nalewki i o rozpadającej się chacie, co wiosną zalewanej przez rzekę, ze śliskim błotem ściekającym po ścianach jak wodorosty, i nagle perspektywa wstania z łóżka wydała mu się zbyt wielkim wysiłkiem.

— Moquin — odezwała się. — Czasami przekazuję mu wiadomości.

— Moquin.

— Rusznikarz. Jest moim sąsiadem. Mam powiedzieć wyśłannikowi, że przynoszę wieści od niego?

— Rusznikarz.

— Tak. Mogę pójść.

Jej nieoczekiwany entuzjazm był nie do zniesienia. August pokręcił głową, znów urażając się w ramię, i zamknął oczy. Ogarniała go nieodparta senność, blokująca słowa i język.

— Więc może jutro?

Nie odpowiedział, więc przytaknęła sama sobie.

— Lepiej jutro. Będziesz silniejszy.

Stała przy jego łóżku, promieniując chęcią walki. Próbował przejąć trochę energii dziewczyny, ale potrzeba snu była silniejsza.

Nagle znów pojawił się dowódca. Twarz miał ściągniętą gniewem.

— Zasadzka, zastawiona przez nas. Tak Anglicy powiedzieli starszym Czikasawów. Jak inaczej wytłumaczyć obecność w wiosce francuskiego kupca oferującego broń w zamian za jeńców Czoktawów kilka tygodni po tym, jak ci odnowili pakt o sprzyjaniu Francji? Na miłe śmierdzi zdradą! Łatwo było wtedy przekonać Czikasawów, że zostali wyprowadzeni w pole; gdyby posłuchali rady Francuzów i najechali Czoktawów, by wziąć jeńców, sami by wpadli w pułapkę. Dlatego cię uwięzili.

August zmienił pozycję, wywołując tym przesywający ból w boku. Palcami zdrowej ręki mocno nacisnął oczy, ale nie mógł się pozbyć widoku wyrazu twarzy dowódcy.

— Dwulicowe angielskie sukinsyny! Nie wiem, jak mogłem nie przewidzieć czegoś tak oczywistego. Wiedzieli, że udaliśmy się do Czikasawów, i bali się trwałego sojuszu, więc postanowili go zniszczyć. Wybrali wioskę z dala od *minko*, gdzie wojownicy są niespokojni i niezdyscyplinowani i za pieniądze łatwo ich podburzyć do przelewu krwi. Wioskę rzadko odwiedzaną przez białych. Wiedzieli, że wojownicy nie będą zadawać pytań, że jeśli ich człowiek będzie posługiwał się mobiliańskim, jak Francuzi, Czikasawowie uznają go za naszego. Potem trzeba już tylko było, żeby angielski wspólnik zaalarmował *minko* o zdradzie sojuszników. Wódz powiedział jezuitcie, że ten niby-Francuz płacił Czikasawom angielskimi muszkietami i prochem. Doprawdy, nie byłoby to bardziej oczywiste, gdyby nieśli na przodzie angielską flagę!

August miał wrażenie, że kości w jego ramieniu zmieniły się w rozżarzone węgle palące jego udręczone ciało. Zawołał na

niewolnicę, a gdy rozespana dziewczyna pojawiła się, poprosił ją szeptem o napar z wierzby. Wypił chciwie gorący płyn parzący w język, ale ból nie ustąpił. Leżał w ciemności z szeroko otwartymi oczami, a słowa dowódcy maszerowały w jego głowie do wtóru pulsu uderzającego w bolącym ramieniu.

— Złapiemy sukinsyna, który ci to zrobił, masz moje słowo. Krew za krew, August, krew za krew. Prawo dzikich musi zwyciężyć. Czy my go znajdziemy pierwsi, czy Czikasawowie, ten angielski skurwysyn pożałuje, że się urodził.

Auguste nie musiał posyłać dziewczyny po Babelona, gdyż ten zjawił się sam następnego dnia z samego rana, gdy wschodzące słońce wyciągało swe ramiona nad drzewami. Niewolnica na zewnątrz rozpałała ogień. Nie zapukał, tylko pchnął drzwi z całej siły. Dziewczyna podniosła głowę.

— Leżysz tu od tygodnia bliski śmierci i nie pisniesz ani słowa? Na litość boską, człowieku!

August patrzył na przyjaciela, jakby go nie poznawał. Oczy miał szkliste z niewyspania, ramię pulsowało rwącym bólem, a w żołądku czaiła się tępa pustka.

— Dlaczego, do diabła, nie przysłałeś wiadomości? Nawet nie wiedziałem, że wróciłeś.

Babelon przeszedł przez pokój. Schudł, odkąd August widział go po raz ostatni. Jego przystojna twarz była ściągnięta, oczy spuchnięte i rozbiegane, z pożółkłymi, przekrwionymi białkami. Zmarszczył brwi, powodując drganie mięśnia na policzku.

— Na Boga, August, co te sukinsyny ci zrobiły? Wyglądasz strasznie.

August przygryzł wargi.

— To znaczy... jak oni mogli?! Ci... ci przekłęci barbarzyńcy! Jak mogli?!

— Myśleli, że chcę ich zabić.

Babelon pokręcił głową z niedowierzaniem. Chciał coś powie-

dzieć, ale się rozmyślił. Zaczął znów przemierzać pokój, podnosząc rzeczy i odkładając je na miejsce. Kiedy weszła niewolnica z gorącym naparem, zatrzymał się, by ją przepuścić, ale nie stał spokojnie; podrygiwał, tupał nogami, a palcami wystukiwał jakiś rytm. Auguste'owi przyszło na myśl, że całe jego ciało pracowało jak gniazdo os, każda część nieustannie przemieszczająca się i zmieniająca pozycję.

— De Bienville mówi, że zdradził nas jakiś Anglik — odezwał się Babelon, gdy niewolnica wyszła. — Podobno to pewne, nie ma najmniejszych wątpliwości. Mam pojechać do Czikasawów i rozejrzeć się za nim.

— Ty?

— Tak, ja. Nie patrz tak na mnie, dowódca osobiście wydał mi rozkaz. O świcie, co znamienne. Do tej pory szanowny de Bienville uważał, że świt jest dla ptaszków i niewolników. Prawie nie mówię w ich języku, ale obiecał, że dostanę tłumacza. Oczywiście poprosiłem o ciebie. — Podporucznik wykrzywił usta w grymasie, który miał być uśmiechem, znikł jednak błyskawicznie.

August się nie odzywał. Obłoczek pary unosił się z nietkniętego kubka z naparem.

— Ja... Boże, August. Co, u diabła, oni ci zrobili?

— Nic, co nie spotkałoby każdego zdrajcy.

Babelon mocno potarł twarz i wznowił nerwowy spacer po pokoju.

— De Bienville powiedział, że to ten jezuita Rochon odnalazł cię i przekonał Czikasawów, by cię puścili. Boże, co za szczęście. Ten zakonnik to drzazga w rzyci, rzecz jasna, ale Jezusie, gdyby akurat tamtędy nie przejeżdżał...

— Wolę się nad tym nie zastanawiać.

Babelon prychnął.

— Swoją drogą, może należałaby mu się nauczka. Jezuita czy nie, przysiągłbym, że ten filisterski księżulo ogląda się za swoją żoną.

Gniew nieoczekiwanie zadławił Auguste'a, podnosząc się w gardle jak fala wymiotów.

— Po co tu przyszedłeś? — spytał ostrym tonem. — Czego ode mnie chcesz?

Babelon zamrugał.

— Myślisz, że będziesz tu przychodził, opowiadał swoje żarciki i że będzie tak jak przedtem? Daj spokój, myślałeś, że nie wiem? Że się nie domyśle?

— August, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Nie kłam, sukinsynu. Nie teraz. Nie po tym, co zrobiłeś.

Babelon poruszył ustami. Jego twarz zadrgała, a ręce wykonały szaleńczy taniec.

— August, masz gorączkę. Nie myślisz przecież...

— Do diabła, Babelon! Masz mnie za głupca? Anglik, który udaje francuskiego Kanadyjczyka? Doskonały pomysł, zwłaszcza kiedy masz pod ręką prawdziwego francuskiego Kanadyjczyka, gotowego sprzedać swój kraj za udział w zyskach. Francuskiego Kanadyjczyka z angielskimi muszkietami na handel.

— Naprawdę nie wiem...

— Czego nie wiesz? Jak to się stało? Jak Anglicy namówili cię, byś zdradził swój kraj? Albo jak chciwy się stałeś i wszystko inne przestało się liczyć?

— August...

— Oszczędź sobie. — August opadł na poduszki i zamknął oczy. Zawołał dziewczynę.

— Sprowadź dowódcę. Szybko. Powiedz mu, że sprawa nie może czekać.

— Na litość boską, August! — Babelon zwiesił ramiona i zamilkł, przyciskając pięści do ust. — Proszę.

August się zawahał. Uniósł dłoń, zatrzymując dziewczynę.

— Nie rozumiesz? — zasyczał Babelon. — To nie było... nigdy nie miałem takiego zamiaru. Ten sukinsyn mnie zdradził.

Mówił, że to będzie proste. Że będzie brał niewolników razem z roślinami. Żeby ich sprzedać w Indiach. Zapewniał, że nikt się nie dowie. Że...

— Ary?

— Nigdy nie chciałem... To był układ handlowy, nic więcej. Do głowy mi nie przyszło, że cię pochwycą.

— Układ handlowy? Podjudzanie naszych wrogów, by brutalnie zaatakowali naszych sprzymierzeńców?

Babelon poderwał głowę. Oczy mu płonęły gorączkowo, a twarz wykrzywiła się w grymasie lęku i pogardy.

— Sprzymierzeńców? Cholera, August, jeśli uważasz, że te krwiożercze dzikusy rozumieją znaczenie słowa „przymierze”, jesteś tak samo głupi jak de Bienville. Na litość boską, zobacz, co z tobą zrobili! Oni nie znają pojęcia lojalności, nie można kupić ich przychylności. Oni chronią swoje interesy, bez oglądania się na cokolwiek, jak dzikie zwierzęta.

— Jak ty.

— Bo widzę, że to jedyny sposób, żeby na tym zapadłym bagnie do czegoś dojść. Tu panują ich prawa, nie nasze. Nasz rząd, nasze żałosne sojusze, nasza armia złożona z chłopców i pół-idiotów, dzicy śmieją się z tego wszystkiego. Nasi rodacy są na tej ziemi od dekady. Po co? Każdej wiosny woda zalewa nasze domy, każdego lata chorujemy na gorączkę, każdej zimy głodujemy. Do tego nas doprowadziło życie na francuski sposób.

— Więc teraz sprzedajesz nas wszystkich, by zarobić?

— Powiedziałem ci, ten Anglik mnie zdradził. Wystawił mnie. Nie miałem zamiaru... handlowałem z sukinsynem roślinami od trzech lat, myślałem, że mogę mu ufać. Twierdził, że wyśle niewolników tak, że nikt się nie połapie. Nie wiedziałem, co ci się stanie. Jezusie, August, przecież gdybym wiedział...

— To co?

— To oczywiście nigdy bym się na to nie zgodził! Wiesz przecież.

August odwrócił twarz.

— Słuchaj — poprosił Babelon. — Posłuchaj mnie. Broń... dałem Czikasawom tylko pierwszą zapłatę jako gwarancję. Mam więcej. Możemy pojechać na północ, daleko na północ, gdzie nikt nas nie zna, i tam handlować. Podzielimy się zyskiem sześćdziesiąt do czterdziestu. Co ty na to?

August wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

— No dobrze, nie będę się kłócił. Pół na pół. Tam można zrobić majątek, jeśli się wie jak. August, uczynię cię bogatym człowiekiem, przyrzekam.

August nadal milczał.

— No, August, co ty na to?

— To znaczy chcesz mnie spłacić?

— Bardzo przyzwóicie. Nazwijmy to rekompensatą.

— A jeśli odmówię?

— To nie byłoby rozsądne.

— A to dlaczego?

— Bo nie pozostawiłbyś mi innego wyboru, jak poinformować dowódcę, że brałeś w tym udział.

— Nie uwierzyłby.

— Myślę, że uwierzyłby. — Babelon potrząsnął smutno głową. — Czyż nie handlowałeś latami z tym Anglikiem, rośliny za piastry? Pieniądze mogłeś schować, ale mam szkice, które robiłeś, i jego notatki. To mogło trwać nadal, ale chciałeś więcej. Obaj chcieliśmy. I kiedy nadeszła odpowiednia chwila, Anglik zdradził, a Czikasawowie wzięli odwet.

— Zrobiłbyś to?

— Z największą niechęcią. Wiesz, że cię kocham jak brata.

August nie odpowiedział. Babelon ukląkł przy łóżku i ścisnął w dłoniach jego zdrową rękę.

— August, posłuchaj. Dość już tych zdrad i cierpienia. Czy nawzajem też musimy się zdradzać, rozlewać własną krew? Jesteś moim bratem, a ja twoim. Uratujmy się nawzajem.

August długo milczał. Wreszcie przemówił, akceptując warunki przyjaciela. Skrzywił się z bólu, gdy Babelon uściskał go, trącając w ramię.

Plan był prosty; August był zbyt słaby, by podróżować, i potrzebował czasu, by kości się zrosły i by odzyskał siły. Babelon wypełni więc rozkaz dowódcy i za dwa dni uda się na północ do Czikasawów. Gdy jednak dotrze do Czoktawów, uda, że jest chory i poprosi o schronienie, ponieważ ci nie mieli powodu, by go podejrzewać. Gdy minie wystarczająco dużo czasu, opuści ich i wróci do Mobile, przywożąc pozdrowienia od Czikasawów i dokładny opis angielskiego agenta handlującego z ich wojownikami, a także angielskiego handlarza roślinami. Dostarczy dowódcy szczegółowe informacje oraz wzajemnie się wykluczające doniesienia o miejscu ich pobytu i sojuszach, jakie zawarli z tubylcami. De Bienville niczego nie będzie podejrzewał i gdy tylko August wydobrzeje, wyśle ich znowu do dzikich po żywność. I tym razem nie wrócą.

Dużo później, gdy zapadła noc i osada pogrążona była we śnie, August posłał dziewczynę po dowódcę. Przyszedł ukradkiem, jak poprzednio, i spędził z Auguste'em prawie godzinę. Siedzieli po ciemku. Kiedy dowódca wyszedł, August leżał wyczerpany, lecz nie mógł zasnąć. Marzył o odpoczynku, ale jego umysł wciąż wracał do starych wspomnień, wyciskając je jak nuty z katarynki. Przypominał sobie długie wieczory przy ulicy d'Iberville, kiedy Babelon tańczył z Elisabeth, okręcając ją dookoła, aż oboje zatrzymywali się przed nim, zdyszani i roześmiani, a dla niego było

to tak, jakby ktoś mu wręczył prezent. Babelon szczyrzył zęby i kłaniał się, ale Elisabeth odwracała twarz, częściowo kryjąc ją rękawem męża, i August wiedział dlaczego, choć też się śmiał, zakrywając twarz tak, by mógł patrzeć przez rozstawione palce. Oboje chcieli się skryć nie przed Babelonem, lecz przed rażącą niesprawiedliwością i straszliwą bezradnością szczęścia, które czuli.

Myślał o Babelonie w wioskach tubylców, wstającym od ogniska i idącym do nieswojej chaty. Nigdy o tym nie rozmawiali, mężczyźni tego nie robili. Ale August odprowadzał go wzrokiem i zawsze wtedy przychodziła mu na myśl Elisabeth z zachwyconą twarzą wtuloną w rękaw męża, by jej nie widział, i serce mu się ścisnęło. Mówił sobie, że mu jej żal. Ogień miłości między mężczyzną a kobietą płonie dziko, domagając się cielesnego zaspokojenia, lecz z czasem zmienia się w popiół; natomiast uczucie wiążące mężczyzn umacnia się, latami wzrasta braterstwo umysłów i ducha, niezagrożone nudą dnia powszedniego ani żąłosnymi apetytami ciała.

— Wiesz oczywiście, że jego żona spodziewa się dziecka?

Te słowa były dla August a jak cios między oczy.

— Nie — powiedział i potrząsnął głową, i jeszcze raz, i jeszcze. Choć każdy ruch powodował ból, nie mógł przestać. — Nie. Nie. Ona... ona nie może... ona nie donosi.

— Przeciwnie, mówią, że już bliżej niż dalej — westchnął de Bienville. — Trzeba to będzie jakoś rozwiązać.

Również potrząsnął głową, nie dostrzegając, że August nagle zamilkł z zastygłą twarzą; czy też może właśnie zauważył, bo gdy cisza trwała zbyt długo, dowódca zaśmiał się smętnie, prychając przez nos.

— Chyba że szukasz żony dla siebie, Guichard — powiedział. Jego oczy były dwoma świecącymi punkcikami w ciemności, jak-

by ktoś oświetlił wnętrze jego czaszki. — Jako reparacji wojennych.

August nie odpowiedział. Myślał o Elisabeth trzymającej dziecko, dziecko jej męża. Tyle ich straciła. Powtarzało się to tak regularnie, że w końcu stało się charakterystyczną cechą ich związku: ich dwoje i nienarodzone, fragmenty śliskiej tkanki, które wychodziły z jej ciała z krwią i skurczami. Siadywał wtedy cicho w pustce, jaką pozostawiały po sobie, ofiarowując jej swoje milczenie jak opatrunek, tarczę przeciwko rozczarowaniu i zniecierpliwieniu Babelona. Wydawało mu się, że zawsze już tak będzie, bo zawsze tak było, bo na takiej podstawie zbudowana była ich relacja. Mąż nie pożył jej już tak jak kiedyś. Prawdziwy i trwały sentyment może wiązać tylko mężczyzn. Uczucia do cudzej żony ścisnęły jego serce jak linka rybacka.

Dał jej ukradkiem miksturę dzikich nie dlatego, iż sądził, że pomoże, ale dlatego, że przyszła do niego z prośbą, a on nie mógł jej odmówić. Teraz nosiła dziecko Babelona, a ten nic nie powiedział. Cały jego plan w ogóle nie uwzględniał Elisabeth, co cieszyło August a. Teraz widział oczami duszy jej kochaną, jasną twarz, oczy, którymi wodziła po chacie za Babelonem, jakby on był latawcem, a ona jego wijącym się ogonem, i zabołało go to wspomnienie. Nosiła dziecko mężczyzny, którego kochała i którego on, August, też kochał. Żal narastał gdzieś w jego trzewiach i wędrował aż pod czaszkę. Siłą powstrzymywał płacz, a oczy miał suche, jakby ktoś mu w nie sypnął piaskiem.

Kiedy nocą zawołał, dziewczyna przyszła i stała przy łóżku, tuląc szurka w ramionach. Poprosił, by zapaliła lampę i postawiła przy nim. Położyła zwierzątko na jego kolanach, trąc zaspane oczy i poprawiła pościel. Patrzył, jak smużka dymu unosi się znad jasnego płomyka, zostawiając ślad sadzy na ścianie pokrytej plamami mokrego wapna, które w kilku miejscach odpadło.

Ściany chaty trzymały się niepewnie podmokłego gruntu. Wkrótce prawdopodobnie się zawala, jak wszystkie domy w tej części miasta. Rozlewisko rzeki było niedaleko, a jego brzegi były zbyt niskie. Tak było od początku.

Dziewczyna łagodnie ułożyła jego ramię, muskając je splątanymi włosami. Potem podniosła dzbanek z wodą do ust Auguste'a. Wypił, nie zważając na wodę ściekającą mu po szyi. Wiedział, że Babelon ma rację, iż w Luizjanie gniją i rozpadają się nie tylko domy i statki, lecz także ludzie.

O świcie poprosił dziewczynę, by przyniosła mu ołówek i notatnik.

— Wyrwij jedną kartkę.

— Tę?

Strona była pusta, poza niewielkim szkicem w prawym górnym rogu, przedstawiającym ziele o słodkim, duszącym zapachu, które Czikasawowie zwali kolczastą głową, a nasion używali w kuchni. August nagle miał wizję samego siebie kucającego w paśmie wieczornego światła, w doskonałym trójkącie oczu, rośliny i ołówka; rysował, a aromat duszonego mięsa sprawił, że ślinka napłynęła mu do ust. Prosta symetria dokładności i apetytu.

Przytaknął i poprosił, by przyniosła mu ze spiżarni garść batatów, czyli słodkich ziemniaków, i włożyła je do koszyka. Miała wybrać najbardziej obite, na których pojawiały się pierwsze białe ślady pleśni. Kiedy odeszła, zaczął pisać. Decyzja została podjęta, pułapka zastawiona. Mocno przyciskał tępy ołówek do papieru, aż mu zbiełały palce. Jeśli go kochasz. Kiedy skończył, trzykrotnie złożył papier i włożył pod ziemniaki do koszyka przyniesionego przez dziewczynę.

— Zanieś to żonie podporucznika — powiedział. — Powiedz, że koniecznie musi je ugotować dzisiaj, inaczej gniją.

Dziewczyna nie odezwała się, wodząc dużym palcem po ziemi i marszcząc czarne brwi nad ciemnymi oczami.

— Dzisiaj, słyszysz? I powiedz jej...

Dziewczyna czekała. Odwróciła twarz w jego stronę, więc August z kolei spojrzał na ścianę, by nie zobaczyła łez w jego oczach.

— Sól — dodał. — W koszyku jest sól. Powiedz jej, żeby poszukała.

Nie umiałaby powiedzieć dokładnie, kiedy się zorientowała, że niewolnica jest w ciąży. Kiedy jednak stało się to jasne, miała wrażenie, jakby wiedziała o tym od samego początku.

Dzień był przyjemny, wystarczająco ciepły, by siedzieć na zewnątrz. Była zmęczona, gdyż nie sypiała dobrze. Wyniosła koc na bujany fotel na frontowym ganku i próbowała czytać, ale słowa rozbiegały się jak mrówki i nie mogła ich ułożyć w sensowne zdania. Odłożyła więc książkę, zamknęła oczy i zaczęła bujać się w fotelu, aby ukołysać siebie i dziecko rytmicznym skrzypieniem. Gdy cień padł na jej twarz, otworzyła oczy i zobaczyła jezuیتę z rękami splecionymi na swym wydatnym brzuchu i szerokim uśmiechem na okrągłej jak melon twarzy.

— Patrzcie, państwo! — zawołał.

Wstała i uściskała go, bo też się ucieszyła z jego widoku. Śmiali się, gdyż wystające brzuchy nie pozwoliły im się objąć. Nalegał, by usiadła, ale lekceważąco machnęła ręką i zawołała, by Okatomih przyniosła trochę piwa, własnoręcznie warzonego w kuchennej przybudówce. Wtedy zobaczyła, że Rochon zorientował się również, lecz bez wątpliwości jak ona, ale i z pewnością, i nagle ta świadomość pojawiła się między nimi, z krwi i kości, jak dziecko w jej brzuchu. Niewolnica szła ku nim, balansując pełnym dzbankiem, i oboje, Elisabeth i zakonnik, zobaczyli nie-

omylnie, jak uwypukla się powietrze pod naciskiem pękatego dzbanka, a pod nim tak samo pękatego brzucha, zgrabnego i niezaprzeczalnie okrągłego, jakby też był wymodelowany w glinie. Nie odzywali się, gdy dziewczyna schyliła się, stawiając dzbanek i kubki na podłodze; gestem spytała, czy nalać, ale jezuita pokręcił głową i odprawił ją. Sam nalał pianistego płynu do dwóch kubków i wzięwszy jeden, a drugi podawszy Elisabeth, odchylił głowę do tyłu i pociągnął długi łyk.

— Dobrze to — ocenił, ocierając usta wierzchem dłoni.

Elisabeth nie odpowiedziała. Jezuita podniósł książkę leżącą obok fotela i spojrzął na grzbiet.

— Montaigne, co? — rzekł. — Wielki postrach zakłamanych i udawaczy. To twoja?

Elisabeth zamrugała i powoli przeniosła spojrzenie na książkę w rękę Rochona.

— Moja? Tak. Tak, moja.

— Oczywiście imię Michel pochodzi od hebrajskiego „mika-el”, co oznacza „któż jak Bóg”. Ironiczny wybór dla człowieka, którego maksymą było „Cóż wiem?”. — Rochon obrócił książkę w dłoniach. — Niezwykłego człowieka. Wiesz, że jako dziecko Montaigne nie mówił po gaskońsku ani po francusku, tylko po łacinie? Jego ojciec zadbał, by przez pierwsze lata życia słyszał tylko ten język i by stał się on jego językiem ojczystym.

— Tak? — spytała Elisabeth słabo.

— W greckim nigdy nie osiągnął podobnej biegłości, choć rzecz jasna, to szkoła ateńska wywarła na niego największy wpływ. Sokrates, oczywiście, ale także Platon i Arystoteles. To od Arystotelesa przejął pogląd, że choć dusze ludzkie mogą być różnej jakości, ich podstawowa natura pozostaje taka sama. Możemy osądzać innych, a nawet samych siebie, ale nie istnieje cnota ani grzech, którego byśmy nie byli w stanie pojąć.

Elisabeth zamknęła oczy i zachwiała się lekko, kołysząc kubkiem.

— „Jakiż to cud — mruknęła. — Kropla nasienia, z której powstajemy, nosi w sobie obraz nie tylko ciała, ale także myśli i skłonności naszych ojców!”. Rzeczywiście, cud.

— Usiądź — nakazał jezuita, biorąc ją pod ramię. Posłuchała, bo kolana się pod nią uginały i prawie upadła na fotel. — Dziękuj Bogu, że wkrótce oczekujesz dziecka. Żadna... sytuacja tego nie zmieni.

Siedział z nią, aż słońce zeszło nisko i schowało się za drzewami, a powietrze się ochłodziło. Od kilku dni był w mieście, ale nie wyjaśnił przyczyn powrotu, poza tym że dowódca wezwał go w sprawie Czikasawów, którzy chcieli mieć u siebie misję. Za to mówił dużo o Montaigne i wielkim janseniście* Pascalu, o czasie, jaki spędził w seminarium jezuickim, które było dla niego zarówno więzieniem, jak i oknem na świat. Elisabeth była mu wdzięczna. Chwila obecna plątała się niepokojąco dookoła jej nóg i nie śmiała spojrzeć w dół. Kołysała się w przód i w tył z dłońmi splecionymi ciasno na brzuchu i rozmyślała o swoim nieżyjącym ojcu, o książkach, które czytała w Paryżu, i z tych myśli budowała mur w głowie utrzymujący ją w równowadze i odpędzający rozpacz.

Wreszcie Rochon pożegnał ją z żalem, obiecawszy, że jeszcze przyjdzie. Gdy poszedł, Elisabeth posiedziała jeszcze trochę, ale bolały ją plecy, trzęsły się nogi i nie mogła się uspokoić. Chodziła po chacie, podnosząc rzeczy i odkładając je na miejsce. Kilka razy ruszała w stronę drzwi, lecz po kilku krokach zawracała.

Kiedy Jean-Claude wrócił na kolację, z trudem powstrzymy-

* **Jansenizm** — ruch reformatorski w Kościele katolickim zapoczątkowany we Francji w XVII wieku. Jego główną tezą było przekonanie o wrodzonej grzeszności człowieka, stąd głosił religijność opartą na rygorystycznym obyczajowym.

wała drżenie rąk. Podała mu posiłek w milczeniu, patrząc w ziemię. Nie mogła spojrzeć mu w oczy; bała się, że zobaczy innego, obcego człowieka albo, co gorsza, tego samego. Jej zdenerwowanie napełniało chatę jakby ładunkiem elektrycznym. Widziała to w napiętych mięśniach na jego plecach, niespokojnych rękach i nogach podrygujących pod stołem.

— Muszę znówjechać na północ — odezwał się, gdy skończył jeść. Wstał i podszedł do niej. — Jutro przyszykujemy wyprawę, a pojutrze o świcie wyruszamy.

Elisabeth skinęła głową, pochylona nad naczyniami.

— A, i niewolnica — dodał od niechcienia. — Zamierzam ją sprzedać. Wiem, że to trochę niewygodne teraz, kiedy ją przyczyłaś do pracy, ale przyznaj, że nigdy jej tu nie chciałaś.

Przelotnie pocałował ją w czubek głowy i sięgnął po kapelusz wiszący na kołku przy drzwiach.

— Nie bądź taka przerażona. Wymienię ją na młodszą i silniejszą, nie będziesz miała kłopotu.

Elisabeth nie wiedziała, jak długo już siedzi przy drzwiach. Kiedy rozległo się łomotanie, było już zupełnie ciemno. Do środka wbiegł chłopiec z latarnią, która rzuciła światło na zastygnięte resztki sosu na talerzach.

— Szybko! — zawołał, wymachując latarnią. Cienie na ścianach podskoczyły dziko. — Pani, musisz szybko przyjść!

Elisabeth przycisnęła palce do czoła. Chłopiec wyglądał znajomo, ale nie wiedziała, kim jest.

— Pani Conaud rodzi. Musimy się pośpieszyć.

— Pani le Bras z pewnością...

— Położna już tam jest, ale są jakieś kłopoty. Prosiła, żeby pani przyszała. Błagam, pani, chodź ze mną. — Twarz chłopca skurczyła się w świetle latarni.

Elisabeth przyjrzała mu się i stwierdziła, że to syn Anne Co-

naud. Jego ojciec zmarł ubiegłego lata z powodu czarnych wymiotów. Wstała, sięgnęła po szal i narzuciła go sobie na ramiona.

— Chodźmy więc — powiedziała.

Dopiero późnym popołudniem następnego dnia Anne Conaud wreszcie urodziła córeczkę. Była bardzo słaba, bo dziecko trzeba było wyciągnąć z niej siłą, więc straciła mnóstwo krwi, ale życiu jej i dziewczynki nie zagrażało niebezpieczeństwo.

— Idź do domu — nakazała Elisabeth Guillemette le Bras. — Popatrz tylko na siebie. Jesteś biała ze zmęczenia.

Elisabeth wyobraziła sobie dom pełen brudnych talerzy na stole i zamknięte drzwi do kuchni i pokręciła głową.

— Ty idź — odparła. — Ja zostanę i przypilnuję, żeby nie zasnęła.

Guillemette zaprotestowała, ale słabo; ze zmęczenia kręciło jej się w głowie, a Elisabeth była nieugięta.

— Przynajmniej się umyj i przebierz — nalegała Guillemette. — Poczekam, aż wrócisz.

Elisabeth spojrzała na swój poplamiony krwią fartuch i spódnice mokre od płynów połogowych i kiwnęła głową. Kiedy otworzyła drzwi chaty, uderzył ją porządek panujący we wnętrzu. Podłoga była zamieciona, stół wytarty, talerze umyte i ułożone schludnie na półce. Gdyby nie koszyk ziemniaków na stole, można by pomyśleć, że dom jest niezamieszany.

Ziemniaki były ciemne, z plamkami; widać było, że długo nie wytrzymają. Podniosła jeden, czując w dłoni jego chłodny ciężar, miękkie miejsce pod kciukiem, gdzie skórka pękła, odsłaniając wilgotny miąższ. Odłożyła ziemniak, wytarła rękę o fartuch i wtedy zobaczyła błądy róg złożonej kartki papieru na dnie koszyka.

Kiedy skończyła czytać, złożyła go i umieściła z powrotem w koszyku, a na wierzchu ułożyła ziemniaki. Umyła twarz i ręce, przebrała się i rażno pomaszerowała z powrotem do domu Anne Conaud, gdzie czekała na nią Guillemette le Bras.

Dziewczyna wróciła zadyszana.
— Koszyk — powiedziała. — Czy...?
Potaknęła.

— Pamiętałaś o soli?

Dziewczyna zamrugła. Kiedy to robiła, cała jej twarz ściągała się, jakby ktoś pociągał za sznurek. Znow potaknęła i przykucnęła przy łóżku, by zebrać brudne talerze. Nie padło ani jedno słowo, ale tak już jakoś było z niewolnicą w kuchni i dziewczyną w chacie.

Pytania rosły w nim jak ciasto i chciał złapać ją za ramię, dowiedzieć się dokładnie, co zostało powiedziane, a co przemilczane: gdy mówiła, jaki miała wyraz twarzy, i jak przechylała głowę, czy włosy wysuwały się jej zza spinek? Jednak zamiast tego położył ręce na kołdrze. Kości zostały rzucone. Nie było już nic więcej do zrobienia.

Przez cały niekończący się dzień i noc, która nadeszła po nim, August leżał w skotłowanej pościeli, mierząc upływający czas uderzeniami pulsu w złamanym ramieniu. Gnijące ściany chaty napierały na niego, wysysały powietrze z płuc. Pod koniec dnia poprosił dziewczynę, by zostawiła drzwi otwarte, żeby mógł patrzeć na podwórko. Rośliny leżały pokotem jak potraskane kości, śliskie od błota i zgniłych czarnych liści, a nad nimi niebo odwracało się od niego, obojętne na desperackie szepty w chacie

przy ulicy d'Iberville, na banalnie zmarnowane życia. August zdawał sobie sprawę z małości swojego żalu, choć ten gryzł go do głębi, okrutny cykl zdrady i odwetu, którym było ludzkie życie. Jednak ta świadomość nie przynosiła ukojenia, lecz jedynie kolejny smutek. Czy teraz właśnie otwierała list? A może teraz? A może w tej chwili wzięła do ręki nóż o żłobionym ostrzu i indiańskich wzorach wypalonych na ręczce, by obrać pierwszy z ziemniaków? Na wierzchu dłoni miała piegi ułożone we wzór piątki na kostce do gry.

Poprosił o świeży napar z wierzby, choć nie koił on ani bólu, ani wyobraźni. Kiedy już nie mógł znieść jednego i drugiego, poprosił, by dziewczyna przyniosła mu jego notatnik i ołówek i usiadła na chwilę; chciał ją naszkicować. Pracował z ponurą zawziętością, ale portret był marny. Dziewczyna miała na nim jakąś posepną płaskość w czarnych oczach i wyglądała na wzburzoną. Poprosiła o obrazek, ale podarł go na strzępy, pozbywając się nieudanego szkicu.

Godziny z mozołem pełzły przez nocne przestrzenie. August nie zgasił kaganka, by nie zatracić w ciemności własnego kształtu. Przed świtem spadł deszcz; woda stukała w dach i pluskała w błocie pokrywającym ulicę. Pomyślał o kupcu w namiocie z przeciekającym płótna. Deszcz był przekleństwem podróżnika. Zawilgacał proch, powodował psucie się mięsa i pleśnienie odzieży, gasił ogień, usztywniał buty. August czekał na nadejście dnia i wspominał poranki, kiedy sam wstawał przed świtem w lodowatym półmroku, deszcz szemrał mu przy kołnierzu, a dzicy naciągali skóry na ładunek w pirodze, by nie zamókł. Był zaskoczony, gdy obudził się już późnym rankiem. Ekspedycja wyruszyła o świcie, gdy spał. Już nie padało; słyszał ptaki, szczekanie psa, równe uderzenia siekiery, którą niewolnik

rąbał drewno, czyjeś wołanie gdzieś daleko. Budził się zwykły dzień.

Nie wiedział, jak długo leżał, zanim dziewczyna weszła do pokoju. Gdy zobaczyła, że nie śpi, zmarszczyła czoło.

— Czekałam — powiedziała. — Powinieneś być mnie zawołać.

Niewolnica przyniosła napar z wierzy, kaszkę sago, po czym opatrzyła rany. Dziewczyna umyła Auguste'owi twarz i poprawiła pościel. Żadne się nie odzywało. Jak każdego zwykłego dnia.

Kilkakrotnie pomyślał, by wysłać dziewczynę na ulicę d'Iberville. Wprawdzie nie przychodził mu do głowy żaden pretekst, ale tak pragnął dowiedzieć się o szczegółach, że spalało go to jak ogień, osłabiając rozsądek. Zawołał ją, ale się nie zjawiła, a wtedy jego rozdrażnienie przeszło w gniew. Krzyknął ponownie, urażając ramię i przez moment aż nie mógł oddychać z bólu. Zamiast dziewczyny zjawiła się niewolnica. Nie ma jej, powiedziała. Auguste podziękował, odesłał ją i został sam ze swoim beznadziejnym czekaniem, które puchło w nim, rosnąc kulą w gardle.

Tuż przed południem pojawił się jezuita. August usłyszał go rozmawiającego z dziewczyną na ganku. Zawołał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Usłyszał za to niski śmiech zakonnika, a wkrótce drzwi się otworzyły.

— Dobrego masz tu strażnika — powiedział Rochon, szczerząc zęby w uśmiechu. — Mówi, że kiepsko ci przeszła noc.

— Nie najgorzej.

— Dużo lepiej wyglądasz. Wątpię, czy ten Anglik tak się wyliże, jeśli go znajdą. Mogę usiąść? — Rochon przyciągnął stołek i usiadł przy łóżku, niezgrabnie umieszczając na nim swoje obfite ciało. — Wiesz, o mało z nimi nie pojechałem. Ostatnio, ku swej konsternacji, stwierdziłem, że więcej we mnie dzikusa, niż

chciałbym przyznać. Tylko jeszcze nie wiem, czy to wina czasu spędzonego z Nasitoczesami, czy Starego Testamentu.

— Ekspedycja...

— Zdaje się, że wyjechali dziś rano, choć moim zdaniem to za późno. De Bienville jest dobrej myśli, ale cóż, na jego stanowisku to podstawowy warunek. Czy mógłbym dostać coś do picia?

August słuchał bez zainteresowania, jak jezuita rozprawia o polityce miasta i trudnym konflikcie między katolickimi księżmi a jezuitami o to, kto ma prawo tworzyć misje na terenach dolnej Luizjany. Pytania cisnęły mu się na usta, ale nie miał odwagi, by je zadać.

— Gdybyśmy tylko mogli otworzyć szkołę, dzicy sami by się ucywilizowali. Elisabeth Savaret robi, co może w tej jej chacie, ale chciałbym, żeby pracowała w szkole z prawdziwego zdarzenia. Chciałem jej to zaproponować dziś rano, ale wyglądała na tak zmęczoną, że postanowiłem się wstrzymać.

— Nie jest chora, mam nadzieję? — spytał August, starając się panować nad emocjami.

— Nie, nie. Chociaż na pewno się rozchoruje, jeśli nadal będzie postępować w ten sposób. Pani Conaud rodziła od niedzieli; Bogu dzięki, dziś rano urodziła córeczkę. Kiedy spotkałem Elisabeth, idąc tutaj, była biała jak mleko i prawie nie mogła mówić ze zmęczenia. Biedactwo, od dwóch dni nie była w domu.

August poczuł skurcz w żołądku.

— Od dwóch dni?

— Nie wydaje się długo, a jednak zawsze mnie zadziwia, jak szybko brak snu odbija się na ciele i duszy. Król Macedonii, Perseusz, zmarł na skutek braku snu. Elisabeth nie miała aż takiego pecha, bądź spokojny, ale była jak otepiała. Musiałem nalegać, by pozwoliła się odprowadzić do domu. Po drodze cztery razy prosiła, bym powiedział jej mężowi, że już idzie i cztery razy

musiałem jej powtarzać, że już wyjechał, bo co chwile prosiła o to samo, jakby nie słyszała. — Potrząsnął głową. — Dobrze jednak, że sen przywraca jasność umysłu równie szybko, jak brak snu go pozbawia. Dojdzie do siebie.

August się nie odezwał.

— Czyjej mąż, Babelon, to dobry człowiek? — spytał Rochon po chwili. — Lekceważy duchownych, co równie dobrze może być spowodowane prymitywną ignorancją, jak i nieświadomym poczuciem zdrowego rozsądku.

— On... Ja... — August urwał, uciskając oczy palcami. Pytania wciąż pełzły po jego skórze, kłując dotkliwie. — Ziemniaki. Dostała ziemniaki?

— Ziemniaki? — nie zrozumiał Rochon.

— Posłałem jej ziemniaki. Dostała je?

— Teraz, kiedy o tym wspomniłeś... chyba był koszyk ziemniaków na stole. A może jabłek? Słodko pachniały. Posłałeś je? Więc już się nie ukrywasz?

— Ja... nie. Już nie. — August zamilkł i zamknął oczy. — Czy mógłby ojciec przyjść innym razem? Jestem trochę zmęczony.

— Nie chciałbym, żeby spotkał cię los Perseusza, króla Macedonii, przyjacielu — odrzekł Rochon z uśmiechem. — Wyśpij się. Przyjdę jutro.

Gdy tylko jezuita zniknął, August zawołał na niewolnicę, by przyniosła mu napar, a kiedy przyszła, rozkazał szeptem, aby pomogła mu się ubrać. Nie zniósłby intensywnego spojrzenia dziewczyny. Kiedy wreszcie włożył spodnie, pot wystąpił mu na czoło, a przed oczami pływały srebrne plamy.

— Chodź ze mną — nakazał niewolnicy.

W straszliwie wolnym tempie przebrnęli przez błotniste podwórko i wyszli na ulicę Pontchartrain. Postawienie każdego kroku wymagało całej jego siły, każde zetknięcie stopy z ziemią wywoływało ostre fale bólu w jego rannym ciele. Ulice uciekały

przed nim, przechylały się i kołysały tak, że nie wiedział, dokąd idzie; tylko silne ręce niewolnicy na zdrowym ramieniu powstrzymywały go przed upadkiem. Na ulicy d'Iberville kilkoro przechodniów zatrzymało się, pozdrawiając go ze zdumieniem, ale prawie ich nie słyszał. Skoncentrował wzrok na czubkach swoich butów i uparcie kuśtykał naprzód. Kiedy wreszcie dotarli do domu Babelona, twarz Auguste'a była śmiertelnie szara, a oddech urywany i ciężki. Oparłszy się o ścianę, z uginającymi się nogami, uderzył pięścią w drzwi. Otworzyła niewolnica Okatomih.

— Ona śpi — powiedziała po mobiliańsku.

— Ziemiaki — zacharczał August w jej języku. — Przynies mi ziemiaki.

Wyraz twarzy Okatomih nie uległ zmianie. Odwróciła się i weszła do domu. August zamknął oczy i przylgnął mocniej do usianej drzazgami ściany. Nogi nie chciały go słuchać. Było mu zimno i czuł się pusty, huczało mu w uszach.

— Panie?

August otworzył oczy. Niewolnica podała mu gliniany garnek, w którym tuliły się do siebie obrane ziemiaki, jak pisklęta w gnieździe.

— Nie! — krzyknął i potrząsnął garnkiem, aż ziemiaki się zatrzęsły. — Koszyk, gdzie jest koszyk...?

Niewolnica bez słowa sięgnęła za drzwi. Koszyk był pusty, poza paroma grudkami błota.

— A list? — spytał niecierpliwie. — Tu, w koszyku, był list. Co z nim zrobiłaś?

— Nie było list. — Niewolnica wzruszyła ramionami.

— Złożony papier. Tu, w koszyku...

Znów wzruszyła ramionami.

— Może pani wzięli?

August zamknął oczy. Huk w uszach wzmagał się, jak szum pędzącej wody. Było mu śmiertelnie zimno. Wpadł w ciemność, która z grzmiącym łoskotem zamknęła się nad nim.

Kilka tygodni później kanadyjski awanturник nazwiskiem Francois Maurichon znalazł ciało francuskiego żołnierza. Unosiło się na wodach Missisipi, zaplątane w przybrzeżne trzciny, z szeroko rozstawionymi palcami znaczącymi kółka w żółtej wodzie. Maurichon obawiał się aligatorów i kłął pod nosem, wyciągając zwłoki z głębokiej po pas wody. Nie było łatwo przeciągnąć je przez zarośla. Jeszcze przed wyjściem na brzeg Maurichon dostrzegł, że ciało było zmasakrowane. Na plecach i ramionach widniały głębokie cięcia, a nad kołnierzem blado lśniła oskalpowana czaszka. Dzicy przecinali skórę wokół uszu martwych wrogów i ściągali ją, trzymając za włosy. Maurichon wyciągnął ciało na brzeg i przewrócił na plecy. Głowa trupa opadła do tyłu, odsłaniając podcięte gardło. Mężczyzna zadrżał. Odłamawszy kilka gałęzi z pobliskiego krzaka, pośpiesznie przykrył ciało i wycofał się na urwisko powyżej. Tam zapalił i zaczął rozważać różne możliwości. Trochę później przeszukał trzciny, w których znalazł przywiązaną do niskiego drzewa porzuconą pirogę i opróżniony pakunek. Maurichon nie bał się; miał ze sobą naoliwiony i załadowany muszkiet, a zresztą dzikich już od dawna nie było w okolicy. Zastanowił się nad wzdętym ciałem, z oczami wyżartymi przez ryby. Z pewnością leżało w wodzie od wielu dni, co do tego nie było wątpliwości. W Luizjanie nie znalazłoby się człowieka, który by nie znał podporucznika Jean-Claude'a Babelona.

1719

Później

Królestwo Luizjany jest większe od całej Francji. Klimat ma łagodny i umiarkowany. Mieszkańcy oddychają czystym powietrzem i cieszą się wieczną wiosną, co przydaje urodzajności ziem w tym obfitującym we wszelkie dobra kraju. W górnym biegu Missisipi wznoszą się góry zasobne w złoto, srebro, miedź, ołów i rtęć, co zachęca do handlu. Dzicy są obłaskawieni przez francuskich osadników i utrzymują z nimi życzliwe stosunki. Obie strony nie mają powodu do lęku. Złoto i srebro występują powszechnie, a dzicy nie zdają sobie sprawy z ich wartości; płacą kawałkami tych szlachetnych metali za takie europejskie wytwory, jak stalowy nóż czy siekiera, małe lustro, a nieraz i za łyk brandy czy inne rzeczy, w których gustują.

Są plany założenia nowego miasta, które stanie się stolicą Luizjany. Nazywają je Nowy Orlean. Przyszła stolica liczy już około sześciuset wygodnych domów. Jest tam wspaniały port, tak olbrzymi, że z łatwością pomieści statki przyplływające z całego świata.

Dzięki nieustającym wysiłkom misjonarzy religia katolicka rozwija się bez przeszkód. Wskazówki dawane katechetom i do-

bry przykład świeżo nawróconych przyciągają czczących bożki Indian i wszelkich niedowiarków ku radościom obcowania z Jezusem Chrystusem. Wielu z nich poprosiło już o chrzest. Wiele uwagi poświęca się także edukacji dzieci. Wszędzie panuje porządek dzięki troskliwości i staraniom oficerów dowodzących Kompanią.

Fragment broszury rozprowadzanej wśród inwestorów w Paryżu około roku 1719.

Statek, jak zwykle, zawinął najpierw na wyspę Dauphin. Gdy wpływał powoli do małej przystani, słońce stało już nisko, rażąc w oczy. Na ciemnozielonym morzu wyspa była jedynie zgarbioną czarną skałą na tle ciemniejącego nieba. Zanim rzucono kotwicę i zwinięto żagle, zapadła noc. Nie zeszli na brzeg. W minionych miesiącach, gdy strużka kolonistów zmieniła się w rwący potok, Dauphin stała się slumsem, bezładnie wypełnionym prowizorycznymi chatami czekającymi na nowo przybyłych. Niektórzy czekali miesiącami na łodzie mające ich zabrać w nowe miejsce. Zdecydowali, że będą bezpieczniejsi na pokładzie „Baleine”, a rano mały jednożaglowy statek miał ich przetransportować do Mobile.

Tej nocy, jak każdej poprzedniej, Vincente le Vannes leżąca na swej wąskiej koi sięgnęła za gorset i wyjęła złożony kawałek papieru. Rozłożyła go starannie. Był cienki jak muślin, a obrazek popękał w kilku miejscach, lecz delikatna akwarela wciąż połyskiwała jak klejnot w płomieniu świecy.

Morze na ilustracji przybrało barwę żywej akwamaryny, a pod bladym niebem purpurowe szczyty gór były obramowane różowym złotem. Nad wieżami i wieżyczkami eleganckiego miasta rześka bryza poruszała żaglami trzymasztowca i szumiała w pierzastych gałęziach egzotycznego drzewa. Dziwaczna istota o długim kocim ciele zakończonym twarzą pomarszczonego, starego

człowieka wdrapywała się po jego pniu. Bliżej kupcy i żeglarze w jaskrawoniebieskich jedwabnych strojach przepychali się wśród potężnych dzikusów, nagich prócz przepaski na biodrach i ozdób z barwnych piór we włosach.

Luizjana. Vincente smakowała to słowo, wodząc palcem po znajomym jedwabnym wizerunku oceanu i tarasów ufortyfikowanego miasta. Na wiele miesięcy przedtem, zanim opuściła Paryż, wszyscy mówili o Luizjanie, gdzie poławiano perły w wielkiej obfitości, a dno strumieni usiane było złotem, gdzie dzicy czcili białych jak bogów, a srebro było tak pospolite, że brukowano nim drogi. Olbrzymie połacie tej czarownej krajiny zostały sprzedane najbogatszym ludziom w królestwie, a codziennie inni nękali pracowników giełdy przy ulicy Quincampoix o przynajmniej jedną akcję Kompanii Missisipi, która uczyniłaby z nich szlachciców. Niektórzy byli tak zamożni, że ukuto nowe słowo na określenie ich: milionerzy

Obrazek został jej wciśnięty do ręki przez mężczyznę sprzedającego «Nouveau Mercure" na straganie przy wejściu do klasztoru. Nie chciał pieniędzy, co odebrała jako znak, choć nie umiałaby powiedzieć znak czego. Po lewej stronie obrazka widać było misjonarza w stroju duchownego, siedzącego przy stole i trzymającego krzyż w wyciągniętej dłoni. Przed nim dzikus wznosił w ekstazie oczy do nieba, krzyżując ramiona na piersi. Krył się w cieniu, a jego blada twarz poznaczona była grubymi, czarnymi liniami, jakby mały krzyż był zbyt wielkim ciężarem.

Twarcz matki przełożonej była za to łagodna i jakby posypana mąką, jak bułka. Kilka razy późnym popołudniem, gdy do klasztoru wpadało słabe światło zmierzchu, a nowicjuszki udawały się na nieszpory, położyła dłonie na głowie Vincente, błogosławiąc ją.

— Idź już do domu, dziecko — mówiła ciepłym, uprzejmym głosem.

To wspomnienie spowodowało, że Vincente zapiekło pod powiekami.

— Wielu będzie wezwanych — wymruczała — ale nieliczni tylko wybrani będą.

Przesunęła kciukiem po pobrużdżonej twarzy misjonarza, najpierw lekko, a potem z całej siły, aż papier się pogniół.

Statek kołysał się lekko, powodując drżenie płomienia świecy. Vincente odłożyła obrazek, sięgnęła pod poduszkę i wyjęła Biblię, otwierając ją na Księdze Przypowieści. I choć chciała się skupić na jej przykazaniach, nie znajdowała zwykłego pocieszenia w wyliczanych prawdach. Wzięła znów sztych do ręki, rozprostowując go na otwartych stronach Księgi. Nieuważnie wodziła palcem po purpurowych górach i załomach eleganckich budynków przy przystani. Ciekawa była, kto w nich mieszka i czy jej mąż będzie właścicielem domu w mieście. Pomyślała o ciasnej klitce na poddaszu w Paryżu, z małutkimi okienkami i sufitem opadającym ukośnie nad zbyt dużymi do tego wnętrza meblami. Kominki były małe, dające tylko słabe światło, a zimą niewystarczające, by ogrzać mieszkanie, za to latem słońce nagrzewało niebieskie dachówki, aż upał wewnątrz stawał się nie do zniesienia. Mogliby znaleźć w mieście wygodniejsze lokum, ale ojciec był niewzruszony. Twierdził, że co by się nie wydarzyło, muszą pozostać przy rue Royale. Jak im wyjaśnił, taki adres świadczył o towarzystwie, w jakim człowiek się obraca i wpływa na jego los. Na rue Royale wcześniej czy później każdy musiał stać się bogaty.

A potem ją sprzedał. Ojciec znał różnych ludzi i zdawał sobie sprawę z wartości swych nielicznych atutów. Kiedy pewien szlachcic, kuzyn kogoś wysoko postawionego w Ministerstwie Morskim, przysłał wiadomość z Luizjany, że szuka cnotliwej, przedsiębiorczej żony, pan le Vannes przystał skwapliwie —

pod pewnymi warunkami. Matka Vincente poinformowała ją o ustaleniach. Dziewczyna wpatrywała się w upudrowaną twarz matki i przypominała sobie ukradkowe szeptu jej siostry Blandine, która trącała ją łokciem i opowiadała Vincente o okropnościach, jakich mężczyzna może domagać się od żony za zaciągniętymi zasłonami łoża, a Vincente słuchała z oczami okrągłymi z przerażenia.

— Ile ojciec za mnie wziął? — spytała. — Trzydzieści srebrników?

— Niestety, dziecko — odparła lekko pani le Vannes, uśmiechając się — nie jesteś warta nawet połowy tej sumy.

Ale sprzedała ją i tak. Córka w zamian za udziały w Kompanii Missisipi i dwieście liwrow na zakup wyprawy. Zanim Vincente się dowiedziała, papiery były podpisane, a szczegóły potwierdzone. Tego wieczoru przy kolacji ojciec poklepał ją po ramieniu i oznajmił, że to duży sukces, rzadszy niż zęby u kury. Matka przyglądała się jej z irytacją.

— Jeśli upierasz się, że małżeństwo z mężczyzną, którego włości leżą na złożach złota, jest nieszczęściem, to bardziej się nadajesz do domu dla obłąkanych niż tego przekłętego zakonu — stwierdziła.

Potem Vincente podsłuchiwała jeszcze rozmowę rodziców w saloniku.

— Powinniśmy chyba się cieszyć, że Luizjana jest tak daleko — powiedziała matka. — Przynajmniej hrabia nie zmienia zdania co do towaru, zanim nie zapłaci.

Śmiech ojca był dla Vincente najdotkliwszą zdradą.

Płomień zaskwierczał, dymiąc coraz mocniej — świeca już się prawie wypaliła. Vincente potarła oczy i nagle poczuła wewnątrz siebie pustkę napierającą na sznurówki gorsetu. Przeknęła ślinę, ale nie pomogło, jakby wielka dziura pochłaniała jej ramiona i szyję. Z wahaniem wyjęła z kieszeni spódnicy

kawałek chleba z serem, który ukradkiem wyniosła z jadalni zawinięty w serwetkę. Miała zamiar zjeść go dopiero rano.

— Święta Mario, Matko Boża — szeptała, gorączkowo szarpiąc węzeł na zawiniątku. — Módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej.

Szarpiąc zawiniątko, rwała rękami kawałki jedzenia i wpychała do ust, krzywiąc się, gdy kęsy nieprzeżutego chleba utykały jej za mostkiem. Gdy zjadła wszystko i jej dłonie skubały już tylko zatłuszczoną serwetkę, położyła się z kolanami podciągniętymi pod brodę, walącym sercem i łzami spływającymi spod zamkniętych powiek.

Stateczek odpłynął od burt „Baleine” bladym świtem i wolno ciął mroczne wody, kierując się ku Mobile. Mgła jeszcze nie opadła i Vincente, stojąc na pokładzie, wyteżała wzrok, by dostrzec pierwsze zarysy lądu w niewyraźnym świetle. Wreszcie słońce weszło na białym niebie. Dookoła niej rozbrzmiewały odgłosy ciągnięcia lin, zwijania żagli i okrzyki marynarzy, a ona z niedowierzaniem wpatrywała się w wyłaniającą się przystań.

Widok rozpościerający się przed nią nie przypominał paryskiego obrazka bardziej niż samego brudnego Paryża. Pod ciastowatym niebem miasto Mobile rosło w oczach jak smętna próba przeciwstawienia się chaosowi otaczających je bagien. Woda, błotnista i żółta, była po horyzont zarośnięta kępami trzciny, a drewniane chaty i magazyny otaczające przystań nie wyglądały lepiej od obór. Nie było tu palm ani eleganckich wieżyczek, za to z wody wystawały olbrzymie drzewa z trędowną korą, gnijącą i odpadającą z pni całymi kawałkami. Za nimi, nieco wyżej, przycupnął pokraczny drewniany fort, z czterema wieżyczkami i masztem, z którego melancholijnie zwiśla spłowiała flaga — przypominała pranie rozwieszone przez biedaka.

Kiedy pasażerom pozwolono zejść na ląd, nie powitali ich rozpromienieni dzicy ani ludzie w pięknych jedwabnych strojach. Tłum był odziany biednie, niektórzy żołnierze nawet nie mieli butów. Kilku niedożywionych Murzynów ładowało bagaż na lichą płaskodenną łódź, podobną do tych, jakimi chłopci przewozili warzywa po Sekwanie.

Od wyjazdu z Paryża Vincente przekonywała samą siebie, że jedzie tu z chęcią. Uznała, że mierzi ją paryski brud i chciwość, opętanie pieniędzem i zaszczytami, monotonia życia, smród w alejkach i ochrypłe krzyki starych wiedźm sprzedających herbatki ziołowe i niemodne kapelusze. Przez całą długą, niewygodną podróż pocieszała się myślą, jak bardzo Paryż musi zazdrościć Nowemu Światu, krainie niewiele starszej niż sama Vincente, pięknej świeżości młodości, o ciepłych powiewach wiatru jak pocałunek na policzku kochanka. Przy rozkwicie Luizjany Paryż nie był niczym więcej jak bezzębną staruszką, u której nawet gruba warstwa pudru nie jest w stanie ukryć zniszczonego ciała ze śladami po ospie oraz brutalnego cynizmu. Teraz, gdy zeszła po trapie w upiornym upale, ogarnęła ją rozpacz. Jestem na miejscu, pomyślała. Dopłynęłam do ziemi obiecanej. Paryż aż huczał od spekulacyjnej gorączki, wszystkie rozmowy dotyczyły Kompanii Missisipi i magicznej krainy zwanej Luizjaną. Każdy paryżanin chciał w niej mieć udziały. Na ulicy Quincampoix, gdzie je sprzedawano, biskupi, księża i urzędnicy mieszały się z prostytutkami, arystokraci ze służącymi, a jej ojciec — z kim popadło. Wybuchały bójki, jednego mężczyznę stratowano na śmierć. Dla tego miejsca tutaj.

— Panno le Vannes, jestem pani de Boisrenaud. Bardzo mi przykro, że spotykamy się w takich okolicznościach. Dotarły do panienki wieści w Hawanie, nieprawdaż? Mam nadzieję, że nie będę tą, która je dopiero panience przekaże. Wie panienka, że pan de Chesse, z którym była panienka zaręczona, nie żyje?

Vincente kręciło się w głowie od zaduchu i hałasu i tylko zamrugała, patrząc z otwartymi ustami na kobietę o ściągniętej twarzy, która stała przed nią. Jej wyraz twarzy był współczujący, a skóra obwisła z wiekiem, ale okrągłe oczka starej kobiety lśniły z podekscytowania. Wysunęła twarz do przodu, rozdymając nozdrza, jakby chciała odetchnąć zapachem rozpaczony Vincente.

— We wrześniu, tak — użaliła się, kręcąc głową. — Każdego lata przychodzi gorączka, jak plaga. Zawsze kilkoro umrze, a jest nas tu tak niewielu.

Kwaśny oddech kobiety spowodował, że Vincente zasłoniła sobie nos dłonią. Okazało się, że pan de Chesse był dorodnym, odpornym mężczyzną i walczył z chorobą kilka tygodni, ale gorączka w końcu okazała się zbyt silnym przeciwnikiem, nawet dla niego.

— Łaska opatrzości — dodała pobożnie kobieta — że przebywał wtedy w osadzie Nowy Orlean, a nie na wsi. Przynajmniej można było wezwać księdza w jego ostatniej godzinie. Może dla panienki będzie pocieszeniem, że otrzymał ostatnie namaszczenie.

We wrześniu. Statek, który przywiózł ją tutaj, wypłynął z Rochefort dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Kiedy staruszka poklepała ją po rękawie, Vincente tylko patrzyła ze zdumieniem i niemal wściekłością. Nie mogła się pozbyć przemożnego uczucia, że ktoś sobie tutaj z niej okrutnie dworuje. Kobieta pokręciła głową, marszcząc brwi i uśmiechając się smutno.

— Nie na takie powitanie liczyła panienka, prawda?

Vincente nagle ogarnęła chęć uderzenia jej. Przycisnęła pięści do twarzy, wbijając kciuki w ciało. Mężczyzna, który miał zostać jej mężem, nie żyje. Szok nie był tak wielki, jak po ujrzeniu wymarzonego łądu, ale też oszałamiał. Najpierw w swym oporze, a potem wymęczona chorobą morską i wiszącym nad

nią nieuniknionym fatum, nie zauważyła, jak niepostrzeżenie przywykła do myśli o małżeństwie. Pudło zawierające drobne upominki z dziedziny gospodarstwa domowego było w ładowni, a to z jej wyprawą stało w kajucie, bo tak przykazała matka: nie po to, oznajmiła, trudziła się wielce, żeby cokolwiek ukradziono albo żeby spleśniało. Zajmowało prawie całą przestrzeń, a skórzane wieko służyło Vincente jako stół i biurko. Tłuste plamy i kleksy, które miały być symbolem buntu, stały się symbolem rezygnacji. Raz czy nawet dwa przyłapała się, że klęczy przed otwartą skrzynią, wodząc palcami po jasnej pianie koronek i jedwabiu. W jej cierpieniu było coś ponuro przyjemnego, jak dotykanie bolącego zęba końcem języka.

Vincente się zachwiała. Ziemia zakołysała się pod jej nogami, jakby wciąż była na statku.

— Pani... trochę źle się czuję. Czy mogłabym dostać nieco wody?

Pani de Boisrenaud zerknęła na nią, oceniając jej twarz i perłową broszkę przypiętą na piersi. Przechyliła głowę. Jej twarz wyrażała współczucie.

— Szkoda mi panienki. Ja też byłam kiedyś zaręczona z mężczyzną, który zmarł przed ślubem. Był ważnym człowiekiem, być może najważniejszym w kolonii, oczywiście poza zarządcą. Powiedzieli, że to grypa. Pięć dni przed ślubem. Pięć dni!

— Niech spoczywa w pokoju.

— O, tak. Choć ci, którzy pozostali, nie zaznali wiele pokoju. Nie byłam zabezpieczona kontraktem małżeńskim jak panienka.

Po drugiej stronie przystani, za zwalonymi beczkami i pudłami, siostra Marie nawoływała swe stadko, by nie zgubiło się w tłumie. Sześćdziesiąt dziewcząt, córek żebraków i przestępców, przyjechało tu zakładu Salpêtriere

w Paryżu, by poślubić ostatnich osadników. Nie prezentowały się kusząco nawet w paryskich gospodach, a teraz, po podróży, były wychudłe i szare na twarzach. Niektóre płakały nieustannie, co skłoniło pewnego marynarza do wygłoszenia opinii, że pierwszy raz płynie statkiem, który ma więcej słonej wody na swym pokładzie niż na zewnątrz.

Podczas sztormu, gdy wszyscy drżeli o życie, Vincente natknęła się na jedną z tych dziewcząt, skuloną na pokładzie. Zaczęła ją nakłaniać, by wspólnie pomodliły się o bezpieczne dotarcie statku na miejsce. Dziewczyna, koścista o spierzchniętych wargach i włosach koloru kurzu, patrzyła na nią wodnistymi, przekrwionymi oczami, a potem zniknęła; dziewczęta z Salpêtriere umiały zniknąć na zawołanie, wyślizgując się przez zamknięte drzwi i szczeliny w podłodze jak dym.

Siostra Marie podniosła głowę i napotkała wzrok Vincente. Mruknęła coś do dziewczyny na przodzie i energicznie wydając komendy, odprowadziła grupę gdzieś dalej.

— Nie nam wątpić w wolę boską — rzekła Vincente sztywno. — Ci, co wierzą w Pana, zbawieni będą i z ciemności przejdą do Jego wiecznego światła.

Stara zamrugała, przekrzywiając głowę.

— Chwali się panience taka pobożność — powiedziała. — Te sieroty mają być ulokowane u zakonnic w mieście, a panienka zamieszka u mnie. Zarządca uznał, że tak będzie najlepiej, przynajmniej na razie. Zrobię, co w mojej mocy, by panience było wygodnie.

— Muszę iść, gdzie Pan każe. — Vincente wzruszyła ramionami.

Kobieta zacisnęła usta.

— Masz więc szczęście, panienko, że nie kazał ci zostać na Massacre Island — stwierdziła cierpko. — Tam byłabyś szczęśliwa, mogąc się schronić w chlewiku.

Vincente przyglądała się dzikusce niosącej kosz na głowie. Pomiedzy zapach soli i smród gnijących wodorostów wdarł się aromat smażonego ciasta, więc ślinka napłynęła jej do ust. Pustka w jej wnętrzu znów się powiększyła.

— Pani...

— No, no, to tylko żarcik. Czyż Pan nie przykazał, byśmy pozostawali pogodni w obecności przeciwnostw losu i znosili kłopoty bez skargi? Oczywiście teraz wyspa nosi nazwę Dauphin, choć większość z nas uważa, że dawna była odpowiedniejsza. Niebiosom niech będą dzięki, że nie ma tylu łodzi, by dowiozły tu wszystkie te szumowiny, które tam docierają. Roi się tam od przestępców i skazańców, powiem panience, mordercy, złodzieje, dobry Bóg tylko wie, co za szelmy przysyłają tutaj, by nie robić sobie kłopotu z szukaniem przyzwoitych ludzi, co by chcieli tu zamieszkać. I czym kosztem, pytam?

— Czy mogłabym...

— Wszystkich nas to złości, nie ma co! Wdzięczni jesteśmy, że zarządca trzyma ich tam, a nie tu, na lądzie. Nie po to się tu męczymy tyle czasu, żeby nas zarżnęli we własnych łózkach. No, dzicy to inna sprawa. Ci niedaleko nas są przeważnie łagodni. Pieniądze, rozumie panienska. Chcą z nami handlować i wiedzą, że nie będziemy tolerować ich wybryków, nawet gdyby nam oddali całą swoją kukurydzę i wszystkie dynie. Niektórzy nawet chrzczą dzieci, chociaż wątpię, czy w Rzymie byłiby zachwyceni ich praktykami religijnymi. Ale na prowincji, to mówią, że niektóre plemiona to rzeczywiście dzikusy...

Dzikuska znikła w tłumie, przytrzymując kosz ręką.

— Pani de Boisrenaud, błagam, czy mogłabym chwilę odpocząć, odświeżyć się? — jęknęła Vincente.

Stara kobieta zamilkła.

— Rozumiem, śpieszy się panience. Dobrze więc, nie będę już zawracać panience głowy.

Ze sztucznym ożywieniem zabrała się do dyrygowania pudłami Vincente, po czym w milczeniu wyprowadziła dziewczynę z przystani. W drodze pod górę chęć pouczania jednak przeważała nad rezerwą.

— Tu, w Luizjanie, nie znajdzie panienka paryskich wygód, rzecz jasna, ale i tak jest lepiej, niż było. W zeszłym roku pan de Catillon sprowadził tu pierwszy powóz, uwierzy panienka? Choć bardziej przydałaby mu się tu łódź. Powóz musiał na razie zostawić w Nowym Orleanie, bo nie ma jeszcze drogi do jego posiadłości i nie będzie, jeśli nie przyślą nam więcej Murzynów. Dopraszamy się o niewolników, ale nic z tego. A tutejsi dzieci albo uciekają do swoich wiosek, albo marnieją i umierają. Tak czy inaczej, żadnego z nich pożytku.

Vincente pozwoliła kobiecie mówić. Pustka wypełniająca ją była jak żywe, zwarte, umięśnione ciało. Rozrastała się w niej, gdy szły porytymi koleinami drózkami, mijając rozpadające się chaty z oknami zakrytymi szorstkim płótnem i z przekrzywiającymi się dachami. Obracała się dookoła, utrudniając oddychanie. Vincente szła naprzód ze wzrokiem utkwionym w czubkach butów, które zbielewały jak stare kości, pokryte pyłem z drogi.

— To Place Royale — poinformowała ją kobieta, gdy mijały fort.

Chyląca się konstrukcja o nierównych ścianach z nieheblowanych desek wyglądała, jakby miała się rozpaść. Drewno było pozieleniałe i napęczniałe od wilgoci. Vincente przypomniała sobie majestatyczne ceglane domy Paryża wznoszące się nad łukowatymi arkadami, z olbrzymimi oknami w obramowaniu z jasnego kamienia. Ogarnęła ją taka desperacja, że prawie zachciało jej się śmiać.

— Place Royale — powtórzyła jak echo.

— A tam jest dom zarządcy, a obok będą mieszkać te sieroty, póki się ich nie wyda za mąż — kontynuowała stara kobieta.

— Nie potrwa to długo, wszyscy tu za czymś tęsknimy. Panie z Mobile chciałyby mieć białą mąkę i pończochy, panowie francuskie wino i świeżą wołowinę, a żołnierze z posterunku tanią whisky i energiczne żony. Przy drzwiach zawsze stoi wartownik, wie panienska. Żeby się zanadto nie roz hulali.

— Żołnierze czy dziewczęta?

Kobieta się zatrzymała. Wciągając policzki, wydała z siebie coś w rodzaju zduszonego śmiechu, podnosząc wskazujący palec w górę.

— Ależ panienko, siostry z pewnością potwierdzą, że do tej pory dziewczęta prowadziły się bez zarzutu. — Nachyliła się do Vincente, a oczy jej zabłyły. — Chyba że panienska wie coś więcej?

Vincente pomyślała o długich, bezgwiezdnym, tropikalnym nocach, gdy gęsta, atramentowa czerń oceanu zlewała się z czarnymi zasłonami nieba. Upalne popołudnia przesyiała, a nocami chowała się na rufie i wpatrywała w biały ślad, rozwijający się za statkiem jak bela koronki. Nie zwracała uwagi na przytłumione stuknięcia, zduszone westchnienia, nagły tupot biegnących bosych stóp. Byli już za White Island* i dawno przestało obchodzić ją cokolwiek poza samotnością i drażącym uczuciem głodu. W Paryżu nie jadała dużo. Posty, pusty żołądek były darem dla Boga. Jeśli pojawiał się szatan i nie była w stanie go odpędzić, wkładała palce do gardła, by wyrzucić z ciała swoją grzeszność. Uwolniona od obrzydliwego apetytu, kontrolująca ściśle swe wychudzone ciało, była czysta w oczach Boga, o władnięta jedynie czystymi, słodkimi pragnieniami serca. Poza tym był to doskonały sposób, by zdenerwować matkę.

Przyzwyczała się do uczucia głodu, ale na pokładzie „Baleine” stało się ono tak gwałtowne, że nie była w stanie mu

* Wyspa przy wybrzeżach Kanady.

się oprzeć. W Hawanie wzięli na pokład mleczną krowę i codziennie na stole pojawiało się mleko, ser i świeże masło, tłuste i chłodne. Przełknęła ślinę. Ciężar jedzenia w żołądku pozwalał jej utrzymać równowagę. A co do sierot, cóż ją obchodziła ich reputacja? Uchronienie ich od upadku było obowiązkiem siostry Marie. Jeśli ludzie będą mieli o nich złą opinię, to o niej także.

— Och, mnie może panienka powiedzieć — przyмила się pani de Boisrenaud.

Vincente spojrzała na jej chciwe oczka i rozchylone usta i poczuła, że jej nienawidzi tak samo jak sierot, siostry Marie i Luizjany. Najbardziej zaś nienawidziła rosnącej w niej pustki, której nie dawało się niczym wypełnić.

— Nie zajmuję się plotkami, pani — odrzekła ostro. — Pasterz źle mówiący o swym stadzie źle mówi o sobie samym. Teraz zaś naprawdę chciałabym coś zjeść.

Twarz starej kobiety ściągnęła się.

— Źle mnie oceniasz, panno le Vannes. Chcę się tylko upewnić, że szanowani obywatele tej kolonii otrzymają za żony równie wartościowe dziewczęta. Cóż, wygląda na to, że, niestety, przysyłają nam tu same odpadki.

Pani de Boisrenaud sztywno się oddaliła. Nie miała zamiaru pozwolić, by pouczała ją jakaś smarkula. Pomyślała o panu de Chesse, którego rozpaczliwe prośby o pomoc, skierowane zarówno do francuskich lekarzy, jak i miejscowych szamanów, nie przyniosły lekarstwa, i kwaśno wykrzywiła usta. Dokądkolwiek poszła jego bezbożna dusza, z pewnością miał powód, by cieszyć się, że udało mu się szczęśliwie umknąć.

N a wysokim brzegu szerokiej, żółtej rzeki znajdowało się skupisko chat zbitych z desek, o dachach z liści palmowych spoczywających na oblepionych błotem ścianach. Za nimi jako tako oczyszczony kawałek ziemi schodził w dół ku oborze, a dalej stały następne chaty, obwieszane sznurami z praniem, zbudowane w okręgu dookoła grupy usmolonych kamieni służących za ognisko. Bliżej rzeki wysoki płot odgradzał osiedle Murzynów, a wyżej chwiejna palisada chroniła osadę przed cieniami lasu.

Osadnicy nazwali to miejsce Spalone Trzciny, z powodu wypalania ziemi, by móc na niej budować. Kiedyś Elisabeth była przygnębiona żalosnym brakiem jakiegokolwiek poetyczności w wymyślaniu nazw przez podróżników odkrywających nowe ziemie. Kolonia była dziewicza, czysta jak nowa kartka papieru, ale nazwy na mapie przypominały listę dla rzeźnika: Rybia Rzeka, Kocia Wyspa, Trawowisko, Czerwony Znak. Kiedy Elisabeth odkryła, że jeden z zakrętów rzeki St Louis otrzymał nazwę Talerzowo, gdyż brat dowódcy zgubił tam talerz, stwierdziła, że to już kpina, i zamierzała zaprotestować u samego dowódcy. Nie zrobiła tego jednak wtedy, a teraz nie miało to już sensu. Plantacja w Spalonych Trzcinach nie należała do nich, lecz do francuskiego szlachcica, którego nazwisko było znane i szanowane wśród paryskiej finansjery.

Nie miało znaczenia, że szlachcic był rozpustnikiem zupełnie niezainteresowanym kwestiami rolnictwa. Nowo założona Kompania Missisipi ofiarowała mu tę ziemię w prezencie, zapewniając, że wystarczy otworzyć kopalnię na jednej dziesiątej jej powierzchni, by wydobyć dość złota na kilkakrotne życie. Szlachcic, który sporo stracił na nieudanych spekulacjach, nie wahał się ani chwili. Sprowadziwszy z Nadrenii sześćdziesięciu krzepkich robotników z żonami, sam wyruszył z Lorientu*, by objąć panowanie nad nowymi ziemiami.

W Hawanie jednak statek zaatakowała gorączka i ponad połowa robotników zmarła. Czekając na podniesienie kotwicy, szlachcic zakupił dwie wychudzone krowy i kilkoro Murzynów, nie zważając na nużących sceptyków, którzy kręcili głowami i wydziwiali nad jego nierealnymi planami. Po kilku miesiącach dopłynęli do Mobile, a kolejny miesiąc minął na szukaniu statku, który przewiozłby go i pozostałych ludzi na plantację. Wściekły i rozgoryczony, nakazał swemu zarządcy, by coś tam zasiał, a sam poszukał schronienia w osadzie zwanej Nowym Orleanem, mieście o raptem kilku chatach, gdzie pocieszał się brandy oraz towarzystwem prostytutek przybyłych z paryskich więzień.

Zarządca wpadł na pomysł, by posadzić indygo, rosnące dziko w tamtych stronach. Uprawa się udała, ale przyszły kłopoty z ludźmi; choć w większości mocno zbudowani i nawykli do trudów, okazali się nieodporni na klimat i trujące wyziewy powietrza, które niszczyły płuca. Znów kilku zachorowało, a nawet zdrowi nie dawali rady pracować w otepiającym upale, który powodował męczące wysypki. Stopy im puchły i wręcz rozkładały się w skórzanych butach, a wnętrzności przechodziły w stan płynny; uporczywe ugryzienia owadów tworzyły wrzody.

Zarządca szlachcica, nazwiskiem Fuerst, znalazł w Mobile

* Miasto portowe na zachodnim wybrzeżu Francji.

zonę. Burrelle, właściciel tawerny, zwrócił jego uwagę na pewną wdowę. Nie była już najmłodsza ani bardzo żwawa, przyznał szczerze, ale jej dom lśnił czystością i miała niewolnicę. Nie była towarzyska i nie będzie jej brakowało miasta. Poza tym śmierć jej męża postawiła ją w dramatycznej sytuacji. Fuerst spotkał się z nią jeszcze tego samego dnia; słabo mówił po francusku, ale wystarczająco, by się porozumieć.

Cztery dni później Fuerst i Elisabeth Savaret wzięli ślub.

Elisabeth siedziała na prowizorycznej ławce pod ścianą największej chaty. Palmowy dach rzucał trochę cienia, ale i tak mrużyła oczy przed ostrym popołudniowym słońcem, schylając głowę nad podartą koszulą. Koszula była uszyta z płótna z włókien pokrzywy i łatwo się strzępiła. Elisabeth założyła szew i wbiła igłę w grubą warstwę tkaniny, mocno zaciskając nić. Obok kuchennej przybudówki dzikuska ubijała kukurydzę na mąkę i monotonne uderzenia niosły się echem w gęstym powietrzu. Dziecko kucąco przy matce, rysując patykami jakieś kształty w pyłe; włosy dziewczynki spadały na oczy, a brudne kolana były kościste i wystające, podobnie jak łokcie. Ile razy Elisabeth spozrzała na nią, była zaskoczona jej szczupłym ciałem o wdzięku młodego żrebaka oraz piegami na nosku. Nikt inny wśród dzikusów nie miał piegów. Elisabeth przypomniała sobie dzień, gdy ją pierwszy raz zobaczyła — pulchne niemowlę zawinięte w płótno, z dołeczkami w policzkach, wielkimi ciemnymi oczami, rozwichrzonymi włoskami i usteczkami jak pączek kwiatu. Zacisnęła oczy, odwracając głowę, jakby uchylała się przed ciosem, i znów wbiła mocno igłę w rąbek koszuli. Syknęła i wsadziła kciuk do ust; na szorstkim włóknie wykwitła czerwona plamka. Elisabeth pośliniła ją i spróbowała zetrzeć drugim kciukiem, ale krew nie schodziła. Elisabeth westchnęła, uciskając oczy palcami.

Wiedziała, że każda kobieta powinna pracować schludnie,

tak jak każda powinna umiejętnie gospodarować swoim dobytkiem, niezależnie od tego, jak skromny by nie był. Wymagało to jedynie dokładności i czujności, a obu tych rzeczy można się było bez trudu nauczyć. Dokładność, czujność i umysł obojętny na wszelkie wspomnienia.

Znów ujęła igłę, ale palce były niezgrabne. Szwy wychodziły krzywo, nić za mocno ściągnięta, materiał się zwijał i nie dawał rozprostować. Na ławce przysiadł motyl. Jego złożone skrzydła drgały jak ręce; potem bardzo wolno je rozłożył. Były aksamitnie pomarańczowe z delikatnym czarno-białym wzorem, każde tak szerokie jak jej dłoń. Przez chwilę siedział spokojnie, z czułkami lekko drżącymi w upale, delikatny jak zaszuszone w książce kwiat, a potem odleciał, błyskając pomarańczowo.

Niektóre dni były trudniejsze niż inne, wymagające większej dyscypliny umysłu. Zaciskając usta, Elisabeth ponownie pochyliła się nad szyciem, rozciągając szew i mocno naciskając kciukiem. Starannie przeciągnęła igłę, ale nić się zaplątała, tworząc supeł. Pociągnęła, by uwolnić igłę. Supeł nie ustąpił. Pociągnęła mocniej i nić się zerwała. Krzyknęła ze złości, zanim zdołała się opanować. Dzikuska spojrzała ze swojego końca podwórza. Elisabeth zmarszczyła czoło, mrużąc oczy i próbując ponownie nawlec igłę, ale nić była postrzępiona, a jej ręce się trzęsły. Po trzech próbach odłożyła szycie na podołek i zamknęła oczy.

Popołudniowy upał i cisza powodowały, że kręciło się jej w głowie i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że umilkł odgłos ubijania kukurydzy. Odetchnęła głęboko, by się uspokoić, wpięła igłę w kołnierz, żeby się nie zgubiła, złożyła koszulę męża i umieściła ją w koszyku stojącym na ziemi. Kiedy podniosła wzrok, niewolnica klęczała przy kuchni z rozpiętą z przodu sukienką i kiwała się z półprzymkniętymi oczami i palcami wplecionymi w potargane włosy dziecka. Dziewczynka przyciskała twarz do jej piersi.

— Na litość...! — wykrzyknęła Elisabeth i ruszyła w ich stronę.

Dziewczynka odchyliła głowę, ocierając usta wierzchem rączki i przytuliła się do boku matki. Brodawka odsłoniętej piersi była nabrzmiała, z bladymi śladami mleka perlącymi się na skórze i wgłębieniem tam, gdzie wciśnięty był nos dziecka. Dłonie dzikuski zacisnęły się na ramionach córeczki. Wstała i zapięła sukienkę.

— Czy nie powiedziałam jasno? — rzekła Elisabeth z naciskiem. — Dziecko ma pięć lat, nie jest niemowlęciem. Jeśli jest głodna, w garnku jest dość papki sagowej.

— Tak, proszę pani — odparła dzikuska łagodnie.

Dziewczynka patrzyła na matkę z wargą wciągniętą między zęby. Elisabeth patrzyła na jej łuk policzka, odbicie słońca w jasnym puszkę za uchem i nagle ogarnęło ją nieznośne zmęczenie.

— Wracaj do pracy — nakazała znużonym tonem. — Jest dużo roboty.

Powoli, na sztywnych nogach, Elisabeth wróciła na ławkę. Usiadła wyprostowana, nie opierając się o ścianę uszczelnioną warstwą wyschniętego błota. Kiedyś ściany domu wydzielały ostry, apteczny zapach cyprysu, którego nie znosiła i z tego powodu nie siadywała na zewnątrz. Teraz zapach cyprysu zniknął i ściana pachniała tylko kamieniami i kurzem. Był to zapach śmierci.

Dłonie Elisabeth uspokoiły się, a puls zwolnił. Strzelba oparta obok o ścianę połykiwała w popołudniowym słońcu. Fuerst pokazał jej, jak się strzela. Pomyślała o ciężarze strzelby, oporze spustu pod palcem, odrzucie po strzale, kiedy broń uderzała o ramię. Ptaki zerwały się z drzew w lesie, bijąc skrzydłami i skrzecząc.

— Obyś nigdy nie musiała jej używać — rzekł — ale nie mogę tu być cały czas. Musisz umieć zabijać, jeśli trzeba będzie.

Tłuczek Jeanne znów zaczął uderzać, gniotąc kukurydziane ziarna. Jeanne. Francuskie imię, które jednak długo brzmiało obco w ustach Elisabeth. W końcu się przyzwyczaiła, imię przyrosło do niewolnicy, a ona do niego. Jeanne nie była już Okatomih, choć wewnątrz nosiła swoje dawne „ja”, jak śliwka pestkę.

Elisabeth schyliła się z wysiłkiem i wyjęła z koszyka pończochę. Po drugiej stronie podwórka dziecko cały czas patrzyło na swoją matkę, która skinęła głową. Ostrożnie, jakby balansowała na gałęzi drzewa, dziewczynka zbliżyła się do Elisabeth i zerknęła na strzelbę.

— Przepraszam, pani — powiedziała z rękami za plecami. Miała lepszy akcent niż jej matka. — Wy lubicie, żeby ją uczyć się?

Elisabeth wsunęła rękę do wnętrza pończochy, rozciągając stopę. Oczy dziewczynki były kształtu migdała, o ciężkich powiekach i szerokich brwiach nadających jej poważny, senny wygląd. Matka nacierała ją niedźwiedzim sadłem, jak wszystkie tubylcze dzieci, co stanowiło ochronę przed słońcem, ale dziewczynka nie opaliła się na brązowo. Jej skóra była jakby nieco przydymiona, a na nosie łuszczyła się lekko, uwydatniając pęgi.

Elisabeth chciała ją wziąć w ramiona, mocno przytulić szczupłe ciało dziecka, ukryć twarz w jej szyi, wplatać palce we włosy, całować. Zamiast tego przyjrzała się dziurze na pięcie. Była cerowana już kilkakrotnie i po brzegach sterczały szwy niczym połamane zęby.

Dziewczynka poruszyła się i obejrzała na matkę. Ramiona Jeanne unosiły się w górę i w dół, mięśnie grały pod skórą jak napięte liny. Mała zawahała się, owijając włosy na palcu i wpychając je sobie do ust.

— Pani? — spróbowała jeszcze raz.

Elisabeth pilnie wpatrywała się w dziurawą pończochę, wreszcie podniosła wzrok. Nad głową dziewczynki słońce zaplątane

w drzewa świeciło gęstym światłem, z promieniami jak sznury palonego cukru. W policzku dziewczynki był dołeczek wielkości koniuszka palca. Elisabeth uśmiechnęła się niezręcznie i pokręciła głową, po czym wróciła do cerowania.

— Nie dziś — odparła, rozpościerając palce wewnątrz pończochy, by ułatwić sobie dostęp do dziury.

Dziewczynka nie odchodziła, rysując w ziemi kółka palcem u nogi.

— Ja lubię uczyć z ty — powiedziała.

— Może jutro, jeśli będzie czas. — Elisabeth poczuła, jak jej ciało opina ciasno niczym żelazny gorset, poczucie nagłej, niesprecyzowanej potrzeby i lekkie mdłości.

— Ale moja mama powie...

— Powiedziałam „nie”, prawda?! — krzyknęła.

Palec dziecka zatrzymał się w połowie rysowanego kółka. Elisabeth zgarbiła się ze wzrokiem wbitym w pończochę.

Pochowano go na bagnistym skrawku ziemi, który de Bienville wybrał na swoją nową stolicę, choć wtedy nie było tam jeszcze miasta. Nalegała, więc zabrali ją do miejsca, które miało uchościć za grób. Perrine Roussel, która natychmiast mianowała się samozwańczo opiekunką Elisabeth, przekonywała ją usilnie, że to głupie, niebezpieczne i że Elisabeth nie była jeszcze dość silna, by wyjść z chaty, ale ona musiała coś zrobić. Podróż do miejsca pochówku trwała trzy dni. Ziemia była podmokła, śliska od błota, które oblepiało brzeg spódnicy, ciężąc jak ołów. Część terenu oczyszczono i blade kłębowiska korzeni wystawały jak palce z rozkopanej ziemi. Nie pamiętała nic poza tym, że prawie nieśli ją do pirogi. Potem jej powiedzieli, że wrywała się i wołała go po imieniu, błagając, by jej pomógł.

— To by mu się podobało, co? — stwierdziła potem Perrine.
— Że to u niego szukałaś pomocy, nawet po jego śmierci.

— Przeciwnie, to by go zirytowało — sprzeciwiła się Elisabeth. Jej oczy błyszczały hardo. — Zawsze chciał, żebym była bardziej samodzielna.

Tej nocy, gdy Perrine zasnęła, Elisabeth wstała i otworzyła swoje pudło. Perrine nalegała, by przebrać jego rzeczy i odłożyć na sprzedaż te, których Elisabeth już nie będzie potrzebowała; ubrań wciąż brakowało i nawet za wielokrotnie cerowaną parę pończoch można było dostać sześć liwrow. Kiedy po dwóch dniach na ulicy d'Iberville Elisabeth układała tylko niewielką skrzynkę własnych rzeczy, które chciała zachować, Perrine zniecierpliwiła się i sama przystąpiła do pracy.

Bardzo powoli Elisabeth wyjęła z pudła swój fartuch. Układała kolejne rzeczy na ziemi. Jego wiązany kapelusz. Jego lniana koszula z postrzępionymi mankietami. Jego płaszcz z najlepszego sukna. Jego lepsze buty, z drewnianymi obcasami oblepionymi błotem. Wszystko, prócz koronkowej sukni, którą przykryła fartuchem i odsunęła pudło, którego rogi zostawiły białe ślady na deskach podłogi.

Tu, w domu Perrine, ubrania były rzeczywiste. Kapelusz był poplamiony, skórzane buty znoszone i wypchane po bokach na zewnątrz od jego stóp. Miał małe, ale szerokie stopy z owłosionymi palcami. Co miesiąc obcinała mu paznokcie, trzymając jego stopy między udami. Dotknęła jednego buta bardzo lekko czubkiem palca. Wyczyści je i nasmaruje olejem. Resztę Perrine może sprzedać — sam Bóg wiedział, jak Elisabeth potrzebowała pieniędzy — ale nie jego buty. Dobre buty były nie do dostania w Luizjanie. Kiedy wróci, będzie ich potrzebował.

— Pani? Dobrze się czuje? — Rączka dziecka delikatnie dotykała jej rękawa.

Elisabeth tępo podniosła wzrok. Dziewczynka przypatrywała jej się z bliska, marszcząc czoło, a jej usta...

Nigdy nie należał do niej. Ogień w jej wnętrzu płonął jedynie dla niego, silny płomień oświetlający tylko jedną stronę, jedną twarz. A ogień w nim był jak pożar, który strawił stare Mobile. Nic nie mogło go powstrzymać. Języki ognia przeskakiwały z jednej chaty na drugą, nie kończąc z jedną, zanim zaczęły z następną, wzbijając się z pasją ku niebu, jakby chciały przyćmić gwiazdy. Gdy wreszcie pożar ugaszono, okazało się, że zniszczył jedenaście chat.

Elisabeth zamknęła oczy. W czerwonej ciemności zobaczyła jego buty stojące obok siebie.

— Proszę — odezwała się. — Zostaw mnie.

Dziecko się zawahało. Elisabeth otworzyła gwałtownie oczy.

— Idź sobie! — krzyknęła.

Mała szeroko otworzyła oczy i objawszy się ciasno chudymi ramionkami, odeszła. Elisabeth ściągnęła pończochę z dłoni. Bardzo ostrożnie wstała i weszła do chaty. Całe jej ciało, ubranie, włosy, płonęło z rozpaczy, wypalającej pęcherze na skórze, czyniącej nieznośnym najlżejszy dotyk.

Po drugiej stronie podwórka dziewczynka wpatrywała się w matkę.

— Nie powinnaś mnie była do niej wysłać — odezwała się we własnym języku. — Była zła.

Jeanne odłożyła tłuczek.

— Och, malutka — powiedziała, głaszcząc czoło dziewczynki kciukiem. — Pan zaraz wróci. Musimy przygotować kolację.

Dziecko nadal patrzyło na matkę.

— Dlaczego pani jest zawsze zła na mnie?

— Jest zła na nas wszystkich. I na siebie.

— Ale dlaczego?

— To jej pomaga zapomnieć o smutku.

— Ale przecież ma teraz nowego męża. Nie powinna być smutna.

— Jest smutna, niedźwiadku. Ich plemię nie jest takie jak nasze. Nawet najwięksi z białych muszą iść sami do krainy ich duchów i opuścić tych, którzy ich kochają. Pani smuci się, bo on jest samotny.

— Czy pan był wielki?

— Nie. Ale był kochany.

— To nie będzie długo samotny.

Jeanne uśmiechnęła się lekko kącikami ust i przycisnęła usta do głowy córeczki.

— Jest tak, jak mówisz. Pani potrzebuje teraz od nas pocieszenia.

Kiedy Artur Fuerst wrócił do osady, już prawie zapadł zmierzch. Mężczyźni byli zmęczeni i głodni, komary zbierały się w czarnych chmurach na tle ciemniejącego nieba. Zjedli posiłek zostawiony przez Jeanne szybko, w ciszy przerywanej tylko głuchym stukaniem widelców o drewniane talerze.

Murzyni w swojej części osiedla gromadzili się przy ognisku mimo ciepłego wieczoru, gdyż kwaśny dym z palmowych liści trochę odstraszał owady. Oni także pożywali się łapczywie, sięgając do sporego cynowego kociołka każdy własną drewnianą łyżką, nabierając porcje gęstej mieszanki grochu i pokruszonych biskwitów. Kiedy Kompania ofiarowała szlachcicowi ziemię, obiecała mu także trzystu Murzynów do pracy; na razie przysłano czternastu. Francuski lekarz zbadał wszystkich i stwierdził, że są poważnie osłabieni po podróży w fatalnych warunkach. Jeden rozchorował się na statku tak poważnie, że nie nadawał się do niczego. Jego oczy były pokryte siecią żyłek, jak pęknięta skorupka jajka, i prawie nic nie widział. Fuerst wysyłał go codziennie nad rozlewisko, by łapał ryby; niewiele było innych zadań, które mógł wykonywać.

Płomienie trzaskały i podskakiwały, wyrzucając w ciemniejące

niebo snopy iskier. Fuerst wezwał Murzyna, którego mianował ich przywódcą, i wydał mu polecenia na następny dzień, podnosząc głos, by mieć pewność, że wszyscy go usłyszeli i nie będą rano tracić czasu na pytania. W świetle ogniska ich twarze miały wyraz zarazem pilny i pusty; ich skóra lśniła czernią i złotem, oczy miały żółte obwódki. Zwierzęcy odór niewolników przebijał się przez gryzący dym i sprawiał, że Fuerst czuł lęk. Zarygłował bramę ogrodzenia i szybkim krokiem podążył w górę urwiska, życząc dobrej nocy robotnikom, których chaty mijał.

Był zmęczony ciągłymi podjazdowymi atakami dzikich. Nie chodziło tylko o stracone zwierzęta, choć to było złe samo w sobie. Ludzie, i tak już osłabieni przez upał, musieli też nieść broń, co spowalniało ich jeszcze bardziej. Nie podobało mu się, że byli uzbrojeni. Byli dobrymi robotnikami, bez skłonności do narzekania, ale zachowywali się niespokojnie. Nie winił ich za to.

W Nadrenii, gdy wysłannicy nowo powstałej Kompanii Missisipi elokwentnie roztaczali przed nimi uroki Nowego Świata, każdy zgodził się związać z Kompanią na trzy lata w zamian za comiesięczną wypłatę i — po upływie tego czasu — otrzymanie trzydziestu arpentów* ziemi na własność. Wydawało się, że warunki umowy są jasne. Rok wcześniej Francja przyznała Kompanii dwudziestopięcioletni monopol na cały handel między królestwem a koloniami, wydobywanie surowców i uprawy.

Potrzebni byli tylko przedsiębiorczy ludzie do pracy na ziemi i dzielenia się tym, co zbiorą. Nadreńczycy chętnie przyjechali do tego raj, w którym dzicy padali na twarz przed białymi, jelenie same prosiły, by je zastrzelić, osadnicy nie płacili podatków, a Kompania rozdawała nie tylko żyzne, urodzajne ziemie, lecz także nasiona na siewy. Teraz zaś już odebrali gorzką lekcję.

* Francuska jednostka powierzchni, ok. 3400 m², używana m.in. w koloniach w Luizjanie.

Całymi miesiącami nie otrzymywali wypłaty. Zakazano handlu między osadnikami i wszystko było do kupienia wyłącznie w sklepach należących do Kompanii, po ustalanych przez nią niebotycznych cenach. Nikomu nie wolno było opuszczać kolonii bez wyraźnego zezwolenia Kompanii i Fuerst słyszał, jak ludzie zaczynają się burzyć. Stwierdzili, że powodzi im się niewiele lepiej niż Murzynom, bo tak samo jak oni muszą służyć okrutnym i bezlitosnym panom. Mieli oczywiście na myśli Kompanię. Fuerst nie był pewien, czy jego autorytet jest wciąż wystarczający, by złagodzić rosnące niezadowolenie.

Pchnął drzwi do chaty, podpierając ramieniem odporne zawiasy. Elisabeth siedziała przy stole, na którym palił się kaganek, i patrzyła w ścianę, wspierając brodę na rękach. Nie odwróciła się, gdy wszedł. Dymiący płomień malował cienie pod jej oczami.

Fuerst nie odezwał się; usiadł na niskim stołku, ściągnął buty i ustawił porządnie przy drzwiach. Na drewnianym kołku powiesił zdjętą brudną koszulę i zabrał się do mycia. Był mocno zbudowany, ale nie gruby; pod piegowatą skórą przeżyły się silne mięśnie. Twarz miał spaloną słońcem, podobnie dłonie i nadgarstki, które odcinały się czerwonym brązem od białych przedramion, jakby nosił rękawiczki. Pochylił się, zwilżając twarz wodą z glinianej miski. Potem potrząsnął głową, rozpryskując srebrzyste krople na ziemię, i wytarł energicznie twarz i szyję szorstkim ręcznikiem, który następnie starannie rozłożył na misce, by wysechł. Sięgnął po czystą koszulę wiszącą na oparciu krzesła i wciągnął ją przez głowę.

— Przyjechał człowiek od de Catillona — odezwał się. — Pożyczą nam swojego byka do rozpłodu.

Elisabeth zamrugała, patrząc na męża, jak wyrwana ze snu. Bez słowa wstała i podeszła do deski służącej za dodatkowy blat, z której wzięła kilka naczyń przykrytych szmatką. Postawiła je na stole wraz z dwoma talerzami, łyżkami i kubkami. Zdjęła

płótno przykrywające garnki i złożyła je w schludne kwadraty, po czym nałożyła mężowi jedzenie na talerz.

Spożywali kolację w ciszy; Fuerst pośpiesznie wkładał do ust małe porcje, które przeżuwał z zamkniętymi ustami. Elisabeth próbowała też przełknąć strawę, ale gdy włożyła widelec do ust, pokarm utknął jej w gardle i zrobiło się jej niedobrze. Spróbowała zjeść następną porcję. Żywności brakowało i nie wszyscy mieli co jeść, ale jej wydawało się, że męczy się tak już godzinami. Kawałki posiłku upodobniły się do francuskich słów, których uczyła dziewczynkę, powtarzanych tyle razy, że straciły jakikolwiek sens. Nie mogła znieść myśli o wkładaniu ich sobie do ust. Fuerst za to przełknął ostatni kęs i ułożył nóż i widelec obok siebie na talerzu. Ziewnął i sięgnął do kieszeni po glinianą fajkę.

— Zupełnie niezłe — ocenił, jak zawsze to robił, ugniatając tytoń kciukiem.

Elisabeth poddała się i odsunęła talerz, kładąc ręce na kolanach. W gęstniejącym mroku jej blade dłonie wyglądały, jakby należały do kogoś innego. Obrączka na palcu lewej ręki była zbyt luźna. Przywiózł ją z Nadrenii — należała do jego matki. Ofiarował jej też Biblię, również z nazwiskiem matki wypisanym ładnym charakterem pisma na wewnętrznej stronie okładki.

Fuerst przytknął kaganek do cybucha fajki i wciągał powietrze, aż tytoń zaczął się żarzyć. Elisabeth poczuła w gardle smak dymu. Stwierdziła, że lubi aromat jego fajki. Patrzyła, jak wyjmuje fajkę z ust i przygląda się jej, z łokciami na stole. Po chwili uniósł głowę i pochylił się do przodu, z otwartymi ustami, jakby chciał coś powiedzieć. Elisabeth czekała wyprostowana. Fuerst omiótł spojrzeniem zarys jej szyi, zgięcie ucha, delikatny kosmyk włosów wymykający się spod czepka i zamknął usta, opierając brodę na pięści. Rozluźnił się, powoli podniósł fajkę do ust i pociągnął.

— Indygo weszło — rzekł. — Jeśli chwasty nie zaduszą młodych roślin, będziemy mieli całkiem przyzwoite zbiory w przyszłym roku. Pan będzie zadowolony.

Elisabeth mruknęła niewyraźnie w odpowiedzi.

— Oczywiście nasiona powinny być siane co stopę, czego Murzyni nie byli w stanie zrozumieć, ale wygląda na to, że mimo to rosną dobrze. Taki zły rok już się nie powtórzy. Gdybyśmy mieli dwa razy tyle niewolników...

— Miałyś dwa razy tyle gąb do wykarmienia.

— No, tak — Fuerst zmarszczył czoło — ale uprawiając dwa albo trzy razy tyle ziemi...

— Jest wystarczająco ciężko. Nawet Murzyni nie jedzą indygo.

Miejsce do spania było oddzielone od głównej izby przepierzeniem z desek. Rozebrali się w ciszy, plecami do siebie. W ciemności sięgnął po nią, więc posłusznie uniosła koszulę, by go przyjąć. Skończył szybko i z widocznym wysiłkiem, po czym natychmiast zasnął. Elisabeth się nie poruszyła. Leżała na plecach z koszulą podciągniętą do talii i rozchyłonymi nogami, wpatrując się w fałdy płótna, które zawiesiła nad łóżkiem dla ochrony przed komarami. Po ciemku jasny materiał wyglądał jak kłęby dymu.

Poderżnęli mu gardło, kiedy spał. Zacisnęła oczy, przykrywając je dłońmi, ale obraz powracał jak fala mdłości: parne nocne niebo usiane rozpalonymi do białości gwiazdami, niosące zgubę cmokanie i syczenie drzemiącego rozlewiska, cichy szepot stóp, błady błysk płótna ściąganego z pirogi, jego śpiąca twarz, ramię odrzucone nad głowę, rzucone podszwami do góry buty, połysk natłuszczonej skóry, gdy ciemna postać wzniosła ostrze — i cisza, jak nagłe westchnienie zatrzymujące noc i nieustanne odgłosy cykad.

Przekręciła się na bok, czując przyśpieszony puls na szyi. Obok Artur chrapał przez otwarte usta. W poczuciu własnej

zdrady zacisnęła pięści, czując ucisk w gardle. Nie miała nadziei, że nowy mąż przypadnie jej do gustu, chciała tylko móc mu usługiwać bez słowa skargi. Zaakceptowała go w poczuciu pewnej samotności, ze słabą, niejasną nadzieją, że w odosobnieniu plantacji i ciężkiej codziennej pracy znajdzie ukojenie. Nie pomyślała o gorącej, walecznej części siebie, która nie przyjmowała do wiadomości, że go nie ma, że wszystko skończone, lecz starała się przekonać samą siebie, że któregoś dnia, jeśli się bardzo postara, będzie w stanie mocą własnej woli dopisać inne zakończenie do tej historii.

Na środku pokoju zastawionego rzędami półek rozpięto się olbrzymie biurko z ciemnego drewna na popękanych nogach pokrytych zielonkawą pleśnią. Za nim stał wysoki mężczyzna o szerokiej, królewskiej głowie i pełnym ciele człowieka niegdyś muskularnego. Mimo ponad rocznego pobytu w kolonii miał bladą skórę pokrytą piaskowymi piegami; znana była odraza, jaką żywił do słońca. Kiedykolwiek wychodził na dwór w Mobile, nakładał charakterystyczny kapelusz z szerokim rondem z najlepszej słomki. Jego głęboko osadzone oczy były szare i chłodne.

Skinął na Auguste'a, by ten zamknął drzwi. Potem, nadal stojąc, wyciągnął kilka listów z leżącego przed nim stosu i odłożył je na bok. Nie poprosił Auguste'a, by usiadł. Szczupłymi palcami przeglądał papiery, z okularami na czubku nosa i lekko zmarszczonym czołem, jakby coś obliczał w pamięci.

— Pan mnie wzywał, panie komisarzu? — spytał August. Bolało go ramię, jak zawsze w mokre dni. Ręka zwisała wygięta pod dziwnym kątem, z wykręconą dłońią.

— Czy ekspedycja przyniosła zyski? — zapytał komisarz.

— Niewiele, panie. Anglicy nie próżnują.

— Ale przecież Czoktawowie są naszymi sojusznikami.

— Zwyczajowo wymieniamy jedną jelenią skórę na dwie trzecie funta prochu strzelniczego. Anglicy oferują im cały funt.

— Nie do wiary! Nie możemy handlować na takich warunkach.

— I nie będziemy. Po długich negocjacjach wódz Czoktawów zgodził się na trzy czwarte funta. Co do żywności, zaakceptują nasze towary i porzuca handel z Anglikami.

— Tylko tyle udało się wam osiągnąć?

— To uczciwy układ, panie. Angielskie towary są lepszej jakości i jest ich więcej.

Komisarz westchnął i skinął głową, gestem zapraszając Auguste'a, by usiadł. August się zawahał.

— Jeśli to wszystko, panie, muszę iść do magazynu. Manifest...

— Manifest może poczekać. — Komisarz zmierzył Auguste'a spojrzeniem zarazem obojętnym i intensywnym.

August skłonił głowę, lecz jego ciało zeszywniało.

— Siadaj — rozkazał komisarz.

August usłuchał. Komisarz nadal stał.

— Chyba jesteś w niezręcznej sytuacji — rzekł wreszcie.

— Obawiam się, że nie rozumiem, panie.

— Radziłbym ci zarzucić nieposłuszeństwo. — Komisarz zacisnął usta. — To nie wyjdzie ci na dobre.

— Nieposłuszeństwo nie jest moim zamiarem, panie.

Komisarz zmarszczył czoło i usiadł. Bez słowa zaczął wpastrywać się w papiery na biurku, wyrównując stosik, na którym leżały. Potem wyjął z kieszeni złożoną chustkę i zaczął czyścić okulary. Robił to bardzo dokładnie, przecierając każdy milimetr soczewki i sprawdzając pod światło, czy są bez skazy, zanim znów zaczepił je na swych wielkich uszach.

— Luizjana jest własnością Kompanii Missisipi, panie Guichard. Nie należy i nigdy nie należała do pana de Bienville'a, niezależnie od tego, co on sobie na ten temat myśli.

August się nie odezwał. Nie było tajemnicą, że komisarz był bliskim zaufanym i poplecznikiem de l'Epiny, który podczas swego krótkiego zarządzania kolonią jako gubernator wszedł w konflikt ze wszystkimi swymi podwładnymi, a zwłaszcza z de Bienville'em. Teraz de l'Epiny wrócił do Francji, a kolonią zarządzał de Bienville.

— Panie?

— Radziłbym ci dobrze się zastanowić, zanim zaczniesz marnować mój czas. Nie jestem cierpliwym człowiekiem.

— Nie wiem, czego ode mnie chcesz, panie.

— Chcę współpracy. Prawie na pewno jest już za późno dla zarządcy, ale nie dla ciebie. — Komisarz odchrząknął i wziął papier ze stosu na stole. — Może na początek powiesz mi, dlaczego wyjechałeś z Mobile. Zbiegło się to w czasie, jak mi się zdaje, z odwołaniem pana de Bienville'a ze stanowiska dowódcy?

— Nie całkiem, panie. W roku 1712, gdy król wydzierżawił Luizjanę bankierowi Crozatowi, ten przysłał z Francji pana de Cadillaca jako zarządcę, chociaż pan de Bienville nadal służył tu w randze porucznika. Kilka tygodni po przyjeździe nowy zarządca wysłał mnie na północ do Illinois jako tłumacza z jedną z ekspedycji.

— Jaki był jej cel?

— Zarządca wierzył, że natkniemy się na złoża minerałów.

— Czyżby?

— Tak, panie.

— Ale ty nie wierzyłeś?

— Nie, panie. Wracaliśmy tam kilkakrotnie, lecz niczego nie znaleźliśmy.

— A więc Crozat miał pecha.

— Luizjana miała pecha, panie.

*

Przez kilka miesięcy po przybyciu de Cadillaca mieszkańcy Mobile wykazywali znaczny optymizm. Po latach protestów udało im się wreszcie nakłonić de Bienville'a, by przenieść osadę na południe, bliżej ujścia rzeki. Piaszczysta gleba w tamtej okolicy nie sprzyjała uprawie, ale mniej cierpiała w czasie powodzi i osadnicy szybko odbudowali swoje domy, zdecydowani pożegnać się z wieloletnimi trudnościami.

Nadzieje jednak szybko gasły. De Cadillac, rozczarowany brakiem metali szlachetnych i wściekły z powodu warunków, w jakich musiał żyć, zemścił się na kolonistach, zabraniając wszelkiego handlu z tubylcami, także przynoszącej duże zyski sprzedaży alkoholu, i otworzył w Mobile jedyny sklep będący własnością Kompanii, gdzie nie dawano kredytu, a para pończoch kosztowała czterdzieści liwów. Ponadto nikt, kto nie był w stanie wylegitymować się dokumentami stwierdzającymi szlacheckie pochodzenie, nie mógł nosić broni pod groźbą więzienia. Zubożali i zdesperowani osadnicy walczyli o przeżycie, co okazało się nie lada wyczynem.

Elisabeth Savaret poślubiła Nadreńczyka, który nie posiadał niczego prócz papieru obiecującego mu ziemię po odsłużeniu kontraktu. Mieszkanki miasta mełły żołądździe na kawę i pocieszały się nawzajem, że pycha zawsze poprzedza upadek. Wiele miesięcy później, gdy wieści o małżeństwie Elisabeth dotarły do Illinois, August wypił zdrowie młodej pary lokalną gorzałką i płakał, wtulony we włosy dziewczyny głaszczącej jego blade ramię miedzianobrazową dłonią.

De Cadillac stracił stanowisko, które zajął teraz de l'Espinay, ale i on nie zagrał miejsca dłużej niż rok. W 1717 roku Crozat, w obliczu olbrzymiego podatku do zapłacenia Izbie Sprawiedliwości, zwrócił się o pomoc do króla. Gdy ekspedycja Auguste'a wróciła do Mobile, córka le Caena była już dorosła i poślubiła

kanoniera, szczurek Ponola zdechł, Luizjana zaś stała się własnością nowo utworzonej Kompanii Missisipi.

Przez jakiś czas wydawało się, że losy kolonii wreszcie potoczą się lepiej. Przy wsparciu regenta i nowo powstałego Banku Królewskiego w Paryżu Kompania Missisipi Johna Law miała hojnie wesprzeć Luizjanę i uczynić ją zamożną. Kompanii przyznano nie tylko wyłączne prawo handlu, lecz także za darmo oddano w użytkowanie wybrzeża, porty i przystanie należące do kolonii, własność fortów, sklepów, domów, broni i statków we władaniu Francji, prawo toczenia wojen i zawierania pokoju z miejscowymi plemionami, a także mianowania wszystkich urzędników kolonii. W zamian Law, nowy idol kupców, obiecał nasiona, towary i trzy tysiące murzyńskich niewolników oraz sześć tysięcy nowych kolonistów. De Bienville triumfował, odzyskawszy stanowisko zarządcy. Rozpoczęła się nowa era.

W tym czasie z Francji do Luizjany przypłynęła prawie setka mężczyzn, agentów bogatych dzierżawców, z rozkazami, by zacząć uprawiać ziemię i zatroszczyć się o zysk, a także o potencjalne żony — wdowy z małymi dziećmi albo poważnymi długami, córki zbyt stare, kłopotliwe czy ubogie, by znaleźć męża. Szacowni obywatele, otępiali od upału i uciążliwości podróży, niepewnie udawali się ku swoim włościom, podczas gdy osadnicy w Mobile kłócili się o towary w świeżo napełnionych magazynach i wypatrywali następnych statków.

Statki przybywały, przywożąc mąkę, wino, poślednie brandy, a wkrótce nowy rodzaj osadników. Mimo wielkich planów Law nie był w stanie przekonać wystarczającej liczby Francuzów, by opuścili kraj z własnej woli, zaczął więc przeczesywać sierocińce i opróżniać więzienia. Wysłał na paryskie ulice ludzi, którzy chwyтали wyrzutków i włóczęgów, wszystkich, nawet najgorszy margines społeczny, byle wywiązać się z obietnicy przysłania kolonii nowych ludzi. Mówiono, że Kompania płaci za każde-

go włóczęgę wysłanego za morze, lecz nie tym, którzy mieli ich przyjąć.

Nie ma na świecie człowieka bardziej zgorzkniałego niż ten, komu udowodniono, że jego ambicje są szaleństwem. Musi znosić poniżenie ze świadomością, że sprawa była od początku przegrana i nie ma nic na swoje pocieszenie poza pielęgnowaniem nowych przekleństw i starych uraz. Długoletni mieszkańcy Luizjany, którzy wiele wycierpieli, reagowali na żądania coraz bardziej nieufnego komisarza niechętnymi komentarzami. Rzecz jasna, zarządca zawsze dbał o swoje, nie ma dymu bez ognia! Wyłączność na handel z dzikimi „w celach dyplomatycznych”; potajemna sprzedaż sklepów przeznaczonych dla garnizonu; korzystanie z królewskich łodzi do transportu futer na własny profit; handel dzikimi niewolnikami; przywileje dla popleczników. Stare plotki, jak podejrzane monety, znów próbowano i polerowano, aż zaczynały lśnić własnym blaskiem.

Komisarz odchrząknął.

— Jak rozumiem, zarządca przyznał ci ziemię. Jak sądzisz, dlaczego?

August pomyślał o de Bienville'u w rozpiętej koszuli, wskazującym palcem pokazującym miejsce na mapie. Języki wytatowane na piersi żmij zbladły z czasem, ale podwinięte rękawy wyglądały, jakby mimo wszystko nie rezygnował z dojścia samodzielnie do przyszłych sukcesów. Zarządca postarzał się, twarz mu zeszczułała, a oczy miał podpuchnięte, ale nie wspomniał ani słowem o przeszłości. To nie leżało w jego naturze.

— To twoje — oznajmił, zakreślając teren. — Zrób z tym coś.

August spokojnie patrzył na komisarza.

— Żeby jak najwięcej ziemi było uprawiane — odparł. — Ważne jest, by kolonia zmniejszyła swą zależność od dzikich.

— A mnie się zdaje, że nagradza swoich przyjaciół. Jesteś jednym z nich, czyż nie?

— Był sprawiedliwym i niezmordowanym dowódcą. Poradzi też sobie z zarządzaniem.

— Guichard, nie udawaj niewiniątka. Dobrze wiemy, że de Bienville nadal ma jakieś własne układy z Hiszpanami w Pensacoli, wbrew jasnym dyrektywom Kompanii. I że ze swymi współnikami handluje francuskimi towarami przysyłanymi tu jako upominki dla dzikich. Do diabła, robicie to od lat! Myślicie, że jestem głupi?! — Komisarz uderzył dłońmi w biurko.

August zauważył, że poczerwieniały mu uszy i szyja, lecz trochę się rozluźnił.

— Z całym szacunkiem, panie, ale wrogowie zarządcy nie ustają w wysiłkach pomówienia go o takie czyny. Niczego nie udowodniono.

— Na razie.

— Nie ma w Luizjanie człowieka, któremu bardziej leżałoby na sercu pomyślność kolonii.

— Nie ma w Luizjanie człowieka, któremu bardziej leżałoby na sercu jego własna pomyślność.

August zamilkł. Komisarz przerzucał stos papierów, wreszcie wyciągnął cieniutki arkusik zapisany wyblakłym atramentem.

— Ale w tym chyba będziesz w stanie mi pomóc — rzekł komisarz, uderzając w arkusik wierzchem dłoni. — Co, na przykład, wiadomo ci o poruczniku nazwiskiem Babelon?

August ani drgnął, koncentrując się całkowicie na utrzymaniu obojętnego wyrazu twarzy.

— Babelon, panie?

— Tak.

— Jean-Claude Babelon był Kanadyjczykiem z Quebecu, jednym z pierwszych osadników na tych terenach, jak sądzę. Nie żyje już kilka lat.

— Dotarło do mnie, że handlował w imieniu zarządcy. I że ty mu w tym pomagałeś.

— Nie, panie. — August potrząsnął głową. — Handlowaliśmy z dzikimi tylko w celu wymiany towarów na żywność. Bez tego ludzie w Mobile nie mieliby co jeść.

— A co z towarami, które zabieraliście z magazynów? Były przeznaczone dla kolonistów.

— Przyjaźń dzikich zdobywa się prezentami, panie. Bez tych sojuszy kolonia nie przetrwałaby ani miesiąca, a co dopiero niemal dwadzieścia lat.

Komisarz zmierzył Auguste'a spojrzeniem, po czym znów przeniósł wzrok na papier.

— Ten Babelon. Zginął nader niefortunnie, prawda? — Wpa-trywał się w Auguste'a zwężonymi oczami.

August nie odwracał wzroku, choć zdenerwowanie kłuło go w szyję i przyspieszyło oddech. Ze swojego miejsca nie widział treści kartki leżącej przed komisarzem, ale wiedział dokładnie, co to za kartka: zgnieciony arkusik wyrwany z notatnika, zapisany jego własnym, niezgrabnym charakterem pisma.

— Tak, panie — odparł spokojnie. — Zabili go dzicy.

— Jaki mieli powód, by go zabić?

— Mówiło się, że podburzyli ich Anglicy, ale nie było na to dowodów. Obrabowali go. Może to wystarczyło.

— A tobie samemu wystarczy takie wytłumaczenie?

— Odkąd tu jestem, luizjańscy dzicy zabili wielu białych. Rzadko kiedy się z tego tłumacza.

Komisarz wydał wargi i znów spojrzął na papiery. August odetchnął ostrożnie, czując woń gnijących słodkich ziemniaków.

— Jak zareagował pan de Bienville na wieść o śmierci porucznika Babelona? — spytał komisarz.

— Wysłał grupę podjazdową do Czikasawów, by go pomścić.

— Tak? A czy próbowano ustalić, który z dzikich odpowiada za przedwczesną śmierć porucznika?

— Zdaje się, że jeden z nich chwali! się, że to on zabił Babelona. Kiedy nasi żołnierze dotarli do wioski, zabili go razem z paroma innymi wojownikami, a kilkoro dzikich przywieźli do Mobile jako jeńców.

— Krwawa odpowiedź.

— Lud Czikasawów dziesięciokrotnie przerasta nas siłą. Dowódca chciał, by wryło im się w pamięć, jak poważną zbrodnię popełnili.

Komisarz znów wydał wargi, stukając palcami w stosik papierów. August pomyślał o wojowniku, którego głowa wraz ze wszystkimi wspomnieniami zmieniła się w krwawą miazgę pod ciosami pałek trzech francuskich żołnierzy. Po jego śmierci nie został żaden dowód — oprócz cieniutkiego arkusika wydartego z notesu i zapisanego niezdarną męską ręką.

Po kilku minutach komisarz odprawił Auguste'a, który wyszedł wolno z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Cokolwiek komisarz znalazł w papierach, nie był to jego list do Elisabeth, co oznaczało, że niczym nie dysponował i niczego nie mógł udowodnić. Na razie.

Tej nocy August wypił trochę brandy, by się uspokoić, lecz i tak nie spał dobrze, nękania niespokojnymi snami. Wstał przed świtem, czując ucisk w żołądku. Powietrze na zewnątrz było niemal chłodne, czarne drzewa tuliły się do siebie jak bydło na pastwisku. August łyknął jeszcze brandy i patrzył, jak nad ich koronami wstaje nowy dzień, ale przed oczami miał cały czas słowa nabazgrane własną niewprawną ręką na cienkim arkusiku: *Decyzja zapadła. Zastawiono pułapkę. Jego śmierć ma być aktem barbarzyństwa wzbudzającym strach w piersi każdego białego. Droga Elisabeth, jeśli go kochasz, nie pozwól mu jechać.*

Dziecko odsunęło się trochę, wpatrując się w zieloną jaszczurkę. Elisabeth podniosła wzrok. Przez chwilę jaszczurka była tylko ciemnym kształtem na stronie wyrwanej z notatnika i zapisanej starannym pismem Auguste'a. Znów zacisnęła oczy. Bywały dni, kiedy nagle, bez ostrzeżenia, część jej odpływała, wpadając jak kamień w przepaść przeszłości, i musiała walczyć z własnym ciałem, by przyciągnąć je z powrotem. Odchrząknęła, ujmując się za łokcie. Tabliczka dziecka leżała porzucona na zakurzonej ziemi.

— *Petchi* — odezwała się do dziewczynki w jej języku. — Siadaj.

Dziecko z wahaniem wyciągnęło rękę, próbując złapać jaszczurkę, ale zwierzę machnęło tylko zielonym ogonem i już go nie było. Dziewczynka wystawiła język.

— *Le lézard vert vif*— powiedziała Elisabeth dobitnie, kładąc akcent na rodzajniku. — *La fille très désobéissante**.

— Nie niegrzeczna — zaprotestowała dziewczynka po francusku. — Jaszczurka... — zawahała się, marszcząc brwi. — Jasnzielona jaszczurka. Ona chciała na lekcji.

— Ona chciała być na lekcji.

— Tak! Sama widziałaś, pani.

* **Jasnzielona jaszczurka; bardzo niegrzeczna dziewczynka (fr.).**

Dziecko reagowało błyskawicznie, jak wypuszczona z łuku strzała. Elisabeth zaszumiało w głowie. Ścisnęła mocniej łokcie.

— Dosyć! *Caheuch*. Chodź tu.

Dziewczynka przyglądała się Elisabeth ciemnymi oczami. W jej wzroku nie było ani bezczelności, ani najmniejszego śladu szacunku. Elisabeth nie spuszczała z niej oczu, czując narastające gorąco. Oczy należały do dziewczynki, ale usta, wąskie, a jednocześnie pełne, z lekko uniesioną górną wargą — patrzyenie na te usta było udręką. Dziecko wydeło wargi w zamyśleniu, ale Elisabeth ani drgnęła. Dziewczynka, cały czas kucając, zbliżyła się do niej i podniosła z ziemi tabliczkę. Ochrzczono ją razem z matką i otrzymała imię Marguerite. Kiedyś podczas lekcji mała spytała Elisabeth, co oznacza jej imię.

— Perła — odparła Elisabeth. — Oznacza perłę.

— Co to jest perła?

— Biały klejnot. We Francji bogate damy robią z nich naszyjniki i przyszywają do ubrań.

— Jak koralik?

— Bardzo cenny koralik.

Elisabeth myślała, że dziewczynka będzie zadowolona, ale ona tylko zmarszczyła czoło i wydeła te swoje niesamowite usta.

— Koralik to nic ciekawego — stwierdziła.

Gliniany rysik zwiisał na skórzanym pasku, a Marguerite poślinionym palcem rysowała czarne, błyszczące kółka na zakurzonej tabliczce. Elisabeth wyprostowała się lekko. Dłonie miała tak zaciśnięte na łokciach, że aż zaboląły ją kostki palców. Powoli złożyła je na kolanach. Kiedy tu przyjechali, mężczyźni musieli się wyprawiać na kilka dni, by coś upolować i zebrać dzikie indygo do uprawy. Gdy nadeszły deszcze, Jeanne przeniosła dziewczynkę do największej chaty, żeby mieć na nią oko podczas pracy. Dziecko wpatrywało się w pająkowany sufit i uśmiechało tajemniczym półuśmiechem swojego ojca. Prawie nigdy nie płakało.

— Klasówka z ortografii.

Marguerite natychmiast skoncentrowała się, wysuwając czubek języka.

— *L'homme* — wyliczała Elisabeth. Czekająca, aż Marguerite, z głową schyloną nad tabliczką, napisze słowa. — *La femme. Le garçon. La fille.* Nie tak mocno, złamiesz rysik. Dalej. *Le fils.*

Marguerite pisała w skupieniu. Potem przechyliła głowę, przyglądając się temu, co napisała.

— Proszę pani, przepraszam, że pytam, ale jak może być „syn” bez słowa „ojciec”?

Elisabeth się zawahała.

— W moim języku nie ma takiego słowa — dodało dziecko.

— A we francuskim jest. Przeliteruj.

Mała posłusznie wróciła do pisania. Elisabeth obserwowała ją ze sztywnymi palcami splecionymi na podołku. *Le fils. F-I-L-S.* Znów wróciło wspomnienie Rochona na werandzie domu przy ulicy d'Iberville, tego dnia, gdy on wyruszył do Czikasawów. Powiedział jej wtedy, że w wielu indiańskich językach nie ma samego słowa „syn”, tylko „syn tego-to-a-tego”. Ciekawostką było, że Indianie wywodzili swój ród po kądzieli i „ojcem” określany był często nie biologiczny ojciec, ale raczej wuj, najstarszy brat matki. Prawdziwy mógł żywić szczery afekt ku swoim dzieciom i być życzliwie witany w plemienu, ale nie miał żadnej władzy. Rochon spojrział wtedy na nią, jak miał to w zwyczaju — poważnie, ale zarazem tak, jakby zaraz miał wybuchnąć śmiechem. Musiała zebrać wszystkie siły, by się z nim wtedy pożegnać. Odszedł, nie odwracając się. Jego znoszony strój był wytarty na siedzeniu.

Dziecko ozdobiło literę „S” zawijasem i odsunęło tabliczkę, podziwiając swoje dzieło.

— To, proszę pani, jakie jest słowo na córkę bez ojca?

— *La filie.*

— Tak samo? — dziewczynka była rozczarowana. — Ale dlaczego?

Kiedy wydymała usta, górna warga układała się w łuk. Elisabeth zakręciło się w głowie. Zmarszczyła brwi, odwracając wzrok.

— Wystarczy pytań. Dalej. *Lenfant*. Napisz. *Lenfant*.

Elisabeth wiedziała, że wspomnianie nikomu nie wychodzi na dobre. Wspomnienia były jak niewolnicy, umiały wyczuć twoją słabą stronę. Jeśli pozwoliłaś komuś zawładnąć na chwilę twoją uwagą, nagle wszystkie tłoczyły się przy palisadzie z wyciągniętymi rękami, przyciskając twarze do bariery. I nic nie utrwała rzeczy w pamięci równie mocno jak chęć zapomnienia.

Na plantacji Fuerst nalegał, żeby Murzynów zamykać na noc w ich obozowisku — dla ich bezpieczeństwa. Czarni z Gwinei, wychowywani w przekonaniu, że biali kupują ich tylko po to, by pić ich krew, ufali swemu panu tak samo jak żaba zaufałaby wężowi. On był jednak porządnym panem. Uważał, że tak samo jak konie, niewolnicy zmarnieją, jeśli każe się im pracować ponad siły, i że należy przydzielać im umiarkowane obowiązki i zapewnić dostateczną ilość jedzenia i wypoczynku. Dał im ubrania, koce i materace, zdając sobie sprawę, że gdyby tego nie zrobił, kradliby przy każdej okazji. Chwalił ich za dobrze wykonaną pracę, a chłostał tylko wtedy, kiedy naprawdę zasłużyli, potem zaś kazał przemywać skaleczone miejsca mieszanką octu, soli i szczypty prochu. Traktował swych Murzynów przyzwoicie, oni zaś ciężko pracowali i nie sprawiali kłopotów. Ale nie ufał im tak samo, jak oni nie ufali jemu, i bardzo pilnował, by ukryć swój strach, bo wiedział, że najniebezpieczniejszy jest wróg, który wyczuje, że się go boisz. Ukrywał to także przed Elisabeth, bo chciał ją chronić. Nie wiedział, że odebrała swoją lekcję dawno temu.

Sąsiadujące z nimi plemię Czitimacha stawało się coraz śmielsze. Nie czekali nawet na zapadnięcie nocy, gdy wyprawiali się

na wojnę, wyposażeni w angielskie strzelby. Elisabeth wiedziała, że powinna być ostrożna. Na plantacjach w górze rzeki zabijano bydło, zabierając martwe zwierzęta do lasu. Któryś raz dwóch ludzi Fuersta wypatrzyło grupę dzikich płynących kanoe kilkaset stóp od miejsca, w którym stali, i potrzeba było kilku strażów, by czerwonoskórzy się wycofali. Fuerst cieszył się, że Nadreńczycy okazali się marnymi strzelcami, gdyż dzicy mścili się bezlitośnie, zdawał sobie jednak także sprawę, że rzeczy nie mogą iść dalej tym torem. Nie mógł sobie pozwolić na utratę cennych krów, a tym bardziej ludzi.

— Nie mam wyboru, muszę zwrócić się do zarządcy — powiedział do Elisabeth owego wieczoru. — Niech zawrze pokój z tymi zuchwałymi Czitimachami. Inaczej będziemy stale zagrożeni.

Nie odpowiedziała, kładąc dłoń na wypalonym kręgu na stole.

— Nie bój się — ciągnął, pykając fajkę. — Tu jesteś bezpieczna. Dzicy są agresywni, ale tchórzliwi. Nie podeszliby tak blisko. Przycisnęła ręką blat, rozstawiając palce.

— Nikt nie jest bezpieczny — odparła.

Fuerst się zawahał. Oparł się o ścianę, wpatrując się w fajkę. Gлина pociemniała wokół cybucha i nosiła ledwo zauważalne ślady jego warg.

— Teraz nie mogę pojechać — powiedział wreszcie. — Nawet jeśli jest w Nowym Orleanie, mamy za dużo pracy. I nie zostawię cię samej. List to jest pomysł. O tej porze po rzece pływa dużo statków handlowych, któryś z nich go weźmie. Szybko, podaj mi papier i atrament.

Odrobina atramentu zaschła na dnie buteleczki i Elisabeth musiała dolać kilka kropli wody. Papier zbrązowił na brzegach od trzymania w wilgotnym pudełku, co w połączeniu z bladeścią rozrzedzonego atramentu dawało wrażenie listu napisanego

dawno temu. Elisabeth przytknęła papier do twarzy, wdychając jego zapach. Stawiała drobne i ściśle litery, pamiętając o stałym braku papieru. Przypomniała sobie kanciaste pismo Auguste'a na arkusiku tak cieniutkim, że tekst przebijał na drugą stronę. Został wyrwany z notatnika, jeden brzeg był poszarpany, a drugi gładki, ze śladami złotego paska. *Droga Elisabeth, nie pozwól mu jechać.*

— Elisabeth, słuchasz? — Fuerst zmarszczył czoło, wyciągając ku niej rękę z fajką.

Elisabeth odwróciła się od niego.

— Musisz tu palić? Dym gryzie mnie w oczy.

— Więc skup się, to szybciej skończymy. „Jeśli wysłę moich ludzi nawet niedaleko, będą codziennie ryzykowali życie...”.

Elisabeth zmusiła się do koncentracji na słowach, uważnie pisząc każdą literę z precyzją, jakiej nauczyciel brata wymagał od niej i jakiej teraz ona wymagała od dziewczynki. Skrobiąc stalówką po papierze, pomyślała o niej, przyciskającej rysik do tabliczki, i poczuła gęsią skórkę.

— „Pański uniżony sługa” itd. Doskonale, gotowe.

Blady atrament już wysechł na szorstkim papierze. Fuerst przeczytał list bardzo powoli, z fajką w zębach i mrużąc oczy od dymu. Położył go na stole, wziął pióro od Elisabeth i złożył na dole podpis.

— Mamy wosk czy trzeba zakleić parafiną? — spytał.

Sięgnęła do drewnianej skrzynki i wyjęła płaski kamyk i kawałeczek wosku wielkości żołądka. Uważając, by nie poparzyć palców, zbliżyła go do ognia i kapnęła roztopionym woskiem na złożony papier. Odczekała chwilę i przycisnęła stygnący wosk kamykiem. Miał pieczęć z ozdobnym J-C otoczonym gałązkami winorośli, którą jakiś dzikus wyrzeźbił mu z kawałka dębu.

Kamyk w jej dłoni był gładki i ciepły.

— Mężu? — odezwała się cicho.

— Zobaczmy. — Podniósł list i przyjrzał się zalepionemu papierowi.

— Oczekuję dziecka.

Fuerst zamrugał, upuszczając fajkę i gniotąc róg listu.

— Dziecka? Pewna jesteś?

— Tak.

Jeanne wie, chciała dodać. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, ale widzę, że Jeanne wykonuje wszystkie cięższe prace i dodaje do posiłków dynię smażoną w niedźwiedzim sadle, żeby dziecko było zdrowe. Widzę też, że zostawia kawałki dyni na talerzu wśród drzew otaczających plantację, żeby złe duchy też się nasyciły i zapomniały, po co przyszły.

— Mogę nie donosić — powiedziała zamiast tego. — Jestem stara i już roniłam.

— No tak. Ale dziecko? Dziecko! Ależ to radosna wieść! — Zadowolenie było widoczne na jego pomarszczonej twarzy farmera oraz w drzeniu grubych, chłopskich palców, którymi ujął fajkę. — Kiedy, jak myślisz?

Elisabeth potrząsnęła głową. Przyzwyczyła się do tego, że nic nie czuje, ale jednak trochę zaskoczyła ją własna obojętność.

— W grudniu, może trochę wcześniej. Nie jestem pewna.

— Dziecko. — Fuerst kręcił głową, uśmiechając się coraz szerzej. — Może będzie chłopiec.

— Może. — Nagle znów opanowało ją wspomnienie regularnego skrzypienia fotela na ulicy d'Iberville i zeszywniałej istoty z gliniastą skórą i ciemnymi włosami, pokrytej zakrzepłą krwią. Zamknęła oczy, by się uspokoić.

— Albo dziewczynka, wszystko jedno — uśmiechnął się do żony. — Żona Karla Kleina, a teraz ty. To powinno podnieść innych na duchu.

— Doprawdy?

Nie powiedzieli jej, gdzie jest pochowane dziecko. Leżała

w chacie Perrine Roussel ze wzrokiem wbitym w brązową plamę **0** kształcie Francji i łydkami oplecionymi ramionami, zwinięta w obronie przed truczną płynącą z jej własnego ciała. Przebudzenie się było męką — unoszenie się klatki piersiowej, oddychanie, ruch palców na kołdrze. Przez pokój przesuwano się na zmianę słońce i księżyc, znacząc swymi cieniami dni, które nie należały do niej. Dziecko nie żyło dość długo, by je ochrzczono, a Elisabeth nigdy nie nadała mu imienia, nawet w snach. Imię było jak ręka wyciągnięta do obcych, przyzwolenie na dotyk. Elisabeth nie chciała, by ktokolwiek jej dotykał.

— Nie powinnaś ciężko pracować. — Fuerst zmarszczył brwi. — Gdybyśmy sprzedali dziewczynkę...

— Nie!

— Elisabeth, zastanów się. To dziecko...

— Zastanowić się? Jestem tu przecież! — Oczy Elisabeth rozwarły się szeroko.

Fuerst zamrugał.

— Jesteś moją żoną — powiedział spokojnie.

— A ona jest moją niewolnicą. Moją. Znasz prawo.

— Straszysz mnie prawem?

— To tylko dziecko! Nic na niej nie zarobisz.

— Wystarczająco, żeby...

— Nie sprzedam jej, słyszysz?

Fuerst zacisnął usta i odwrócił głowę.

— Dlaczego mi się przeciwstawiasz? Jesteś moją żoną.

— Tak — odparła Elisabeth łagodniejszym tonem. — I nie pozwolę ci robić nieprzemyślanych rzeczy. Poczekaj, aż podrośnie i będzie coś warta. Poradzimy sobie.

Nie poruszył się, ale bardzo powoli rozluźnił napięte plecy.

— Dziecko — zamruczał. — Dobra wiadomość.

— Jeśli donoszę.

— Jeśli donosisz.

Odwrócił się, sięgnął po krzesło po drugiej stronie stołu i oparł na nim nogę, siadając bliżej Elisabeth.

— Dobra wiadomość — powtórzył i pokiwał głową, klepiąc ją niezdarne po ramieniu. — Pomyśl, syn. Nazwiemy go Uberto, po moim ojcu.

Poruszyła się, odsuwając od niego.

— Żadnych niemieckich imion — zaprotestowała.

— Dziecko będzie miało niemieckie imię. Moje dziecko zawsze będzie Niemcem, niezależnie od tego, gdzie się urodzi.

— Nie. Ono będzie stąd. Z Nowego Świata.

— A w jego żyłach będzie płynąć krew całych pokoleń Nadreńczyków. Dostanie imię, które uhonoruje jego przodków. Nie wyprze się swojego pochodzenia i historii.

— Więc będzie takim samym głupcem jak ty. Nasze pochodzenie i historia są tylko kamieniami u szyi.

Zapadła cisza. Fuerst podniósł się, mocno uderzając oparciem krzesła o stół. Elisabeth nie patrzyła na niego, garbiąc się w swoim krześle i wpatrując w ścianę. Tuż nad ziemią na szorstkiej ścianie siedziała ćma ze złożonymi skrzydłami, być może nieżywa. Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły. Ćma zadygotała od wibracji, ale nie ruszyła się z miejsca.

Wrócił dużo później. Elisabeth leżała na boku odwrócona od niego, oddychając głęboko i udając sen. Gdy noc zapadła, Jeanne przyszła powiedzieć, że dziecko zachorowało. Nic na to nie wskazywało: wykonywała wszystkie swoje obowiązki, a przed zmierzchem pływała jak zawsze w rzece, trzepiąc energicznie rękami, aby odpędzić aligatory.

Wieczorem jednak dostała wysokiej gorączki i kiedy Elisabeth wróciła do chaty z Jeanne, dziecko leżało na macie. Było rozpalone jak nagrzaną słońcem kamień. Jeanne usiadła ze skrzyżowanymi nogami, wsuwając ręce pod ciało córeczki i biorąc ją

na podołek. Marguerite piszczała, trzęsła się i wyginała plecy w łuk, przyciskając gorącą buzię do brzucha matki. Kaszel był gwałtowny, wstrząsał całym ciałem.

Elisabeth przyniosła napar z czerwonej wierzby i uklękła przy małej, wlewając płyn łyżeczką do ust dziecka. Potem przykucnęła obok. Chciała wyciągnąć ramię, dotknąć ramienia Jeanne, ale tego nie zrobiła. Niewolnica siedziała w zupełnej ciszy, nie patrząc na nią. Razem czekały, aż Marguerite zapadnie w sen. Dziewczynka w gorączce wzdrygała się i trzepotała powiekami. Elisabeth patrzyła w podłogę, by nie widzieć zrozpaczonej twarzy niewolnicy, opanowanej i dalekiej, choć zacisnęła dłonie tak mocno, jakby kości miały przebić jej skórę.

Kiedyś, gdy Marguerite była jeszcze niemowlęciem i bardzo marudziła, Jeanne szeptem opowiedziała Elisabeth o strasznej chorobie, jaka nawiedziła ich wioskę, kiedy sama była dzieckiem. Usta chorych były pełne wrzodów, a na skórze wyskakiwały szkarłatne pęcherzyki nabrzmiałe od śluzu. Szaman modlił się do duchów o uzdrowienia, ale prośby nie zostały wysłuchane i mnóstwo ludzi umarło. Kiedy choroba odeszła, wioska zrobiła się za duża dla tych, którzy przeżyli. Kilka siostr Jeanne zostało zabranych do odległej wioski, by tam znalazły mężów, bo w ich wiosce nie było wielu mężczyzn. Elisabeth słuchała, siedząc w rogu chaty i kołysząc się uspokajająco, i zdała sobie sprawę, że takie opowieści znane są także wśród jej ludu i że nie powinny być odbierane jako pocieszenie, ale jako przestroga.

Kiedy dziecko wreszcie się uspokoiło, a gorączka trochę opadła, Elisabeth pożegnała niewolnicę i wróciła do własnej chaty. Gdy leżała sama w łóżku, odczuwała lęk znacznie silniej. Mówiła sobie, że dziecko jest silne i wkrótce wyzdrowieje, ale kiedy zamykała oczy, widziała pod powiekami zaciśnięte dłonie Jeanne i jej szeroko otwarte, przestraszone oczy. Elisabeth prerażało,

że Jeanne też mogła się bać. Przywykła do jej siły i do cichego wsparcia, jakim ją otaczała.

To August wybrał dla niej imię i załatwił wszystkie formalności związane z chrztem jej i dziecka. Były wówczas jego własnością i mógł z nimi robić, co chciał. Powiedział Okatomih, że w Wielkiej Wsi białych ludzi imię Jeanne oznaczało „matkę pierwszego z Wielkich Słońc”. Nie powiedział, że takie imię nosiła również nieżyjąca matka Jean-Claude'a. Może sam nie wiedział.

Rochon błagał, by tego nie robiła. Obiecywał, że znajdzie jej inną niewolnicę, posłuszną dziewczynę bez obowiązków związanych z opieką nad niemowlęciem, ale nie chciała go słuchać. Nie mogła już dłużej wytrzymać w domu Perrine. Wydobrzała na tyle, by wrócić do własnego przy ulicy d'Iberville. Otepienie, w którym tak długo trwała, stało się wreszcie więzieniem.

Spały nie w kuchennej przybudówce, ale w domu, gdzie każdy kubek i widelec nosiły ślady jego warg, a na drzwiach została tłusta plama po jego kapeluszu. Chata była zamknięta przez wiele tygodni, więc wraz z Jeanne zdjęły z okien spleśniałe płótno, by je wyprać. Omiotły sufit z pajęczyn i wyszorowały podłogę piaskiem. Pracując, napełniały martwe powietrze chaty nowym życiem, spychając w najciemniejsze kąty nieustannie pojawiający się jego cień. Ból ją otepiał. Elisabeth spaliła starą, białą sukienkę Okatomih, która teraz nosiła tunikę z jeleniej skóry. Jej obecność sprawiała już tylko tępy i odległy ból. Za to widok dziecka był niewyobrażalnym cierpieniem.

Łóżko ugięło się pod ciężarem Fuersta, kiedy usiadł na nim i ściągał buty. Elisabeth czekała, jedną ręką ściskając brzeg wypełnionego mchem materaca, a drugą trzymając na brzuchu. Buty upadły na podłogę, dwa głucho uderzenia i mężczyzna położył się obok niej. Pachniał tytoniem i słabo drzewem cyprysowym. Położył dłoń na jej biodrze. Elisabeth zeszywniała, czekając, aż

zacznie podciągać jej koszulę, ale on tylko masował jej biodro ko-
listymi ruchami, jakby było to ostrze wymagające wypolerowania.

— Dziecko — odezwał się.

Elisabeth poczuła nagły strach. Zwinęła się w kłębek, zacis-
kając powieki.

— Jeśli donoszę — szepnęła.

— Donosisz. Zobaczysz.

Auguste był spóźniony. Warkocz nowej peruki podskakiwał między jego łopatkami, gdy biegł zakurzoną ulicą, a jedwabne wstążki powiewały nad ciężkim, brokatowym płaszczem. August wsadził palec pod konstrukcję z końskiego włosia i podrapał się po świeżo ogolonej głowie, nienawykłej do peruki. Skóra go swędziała od upału i dziwacznego uczucia próżności, które się pojawiło wraz ze strojem dandysa.

Wchodząc po schodach, przez otwarte drzwi słyszał brzęk kieliszków i chór głosów zagłuszający nocne skrzeczenie żab. Dom dowódcy został przebudowany i teraz wchodziło się do niego przez obszerny hall. Była to imponująca rezydencja; choć budynki kolonii nadal nie miały szkła w oknach, na ścianach wisiało niewielkie lustro w złoconych ramach, a w ośmioramiennym świeczniku paliły się woskowe świece. August podniósł dłoń z rozstawionymi palcami, co sprawiało wrażenie, jakby płomyki wyskakiwały z ich końców. Tyle lat już nie widział świec, że zapomniał, jak słodko pachną, paląc się.

Zrzekł się swego przydziału ziemi. Po rozmowie z komisarzem udał się do de Bienville'a i oznajmił, że jej nie chce, bo nie zamierza być farmerem. Zarządca próbował namówić go do zmiany decyzji.

— Komisarz nic nie może zrobić — przekonywał. — Przeszłość to przeszłość, odeszła.

August tylko pokręcił głową. Nigdy nie rozumiał, dlaczego

biali upierali się, by traktować czas jak prostą linię, a życie zawsze tylko szło do przodu. On sam, jak lud Ouma, wiedział, że czas to połączone ze sobą pętle, jak przy robieniu na drutach, i że „wtedy” łączyło się ściśle z „teraz”.

— Żadnemu z nas nie wyjdzie to na dobre — rzekł stanowczo.

Położył papiery na biurku zarządcy i skierował się do wyjścia.

— Poczekaj — zatrzymał go de Bienville. — Może jest inny sposób.

August wdychał słodki aromat topiącego się wosku. Z lustra patrzyła na niego jego własna, poważna twarz. Cera wydawała się ciemna przy upudrowanej peruce, spalona przez słońce. Spróbował wyobrazić sobie blade palce białej kobiety dotykające jego policzka, zarys jej jasnej szyi i piersi, ale zamiast tego pomyślał o niewolnicy Okatomih. Tamtej nocy była pełnia i jej biała sukienka okrywała ciało jak abażur, podkreślając kształty jej ciała. Pociągnęła za wiązania i sukienka opadła, biała kałuża u jej stóp. Poniżej schylonej głowy gładkie zarysy ciała lśniły jak wypolerowane drewno, z ciemniejszym cieniem biegnącym od wystającego pępka do trójkąta między udami i dzielącym jej ciało na dwoje. Nie odezwała się, tylko przyklękła przy łóżku i wsunęła rękę pod przykrycie, chłodnymi palcami dotykając jego rozgrzanej skóry. Czuł zapach piżmowego olejku, którym natarła włosy, i był gotowy. Kiedy spytał, co robi, odparła prosto: „Teraz ty jesteś panem”.

Za drzwiami salonu rozległ się przenikliwy śmiech kobiety, jak krakanie wrony. August przycisnął pięść do ust, a mężczyzna w lustrze powtórzył gest. Nic o niej nie wiedział, poza tym, że przybyła z Paryża i że kiedy de Bienville wpadł na ten pomysł, w jego tonie zabrzmiała pewność. August bardzo starannie ubierał się tego popołudnia; włożył czystą koszulę i czyścił spodnie,

aż były bezjednej plamki. Potem ostrożnie wsunął ramiona w rękawy nowego płaszcza. Była to najwspanialsza z rzeczy, jakie kiedykolwiek miał. W migoczącym świetle świec jedwabny brokat połyskiwał jak powierzchnia wody, a podwójny rząd kryształowych guzików zdobiący przód lśnił, rzucając migotliwe błyski. Guziki służyły tylko do ozdoby — były zbyt delikatne, by je zapinać. Niemniej jednak płaszcz miał też dziurki, obszyte cienkimi paseczkami farbowanej na szkarłatno koźlej skórki, jak rzędy miniaturowych ust. Kieszenie były wykończone srebrną krajką. August włożył do jednej dłoń, czując dotyk gładkiego jedwabiu i, głębiej, ostre rogi złożonego kawałka papieru. Rachunek spisany brązowym atramentem, potwierdzający otrzymanie pełnej kwoty. Ale to nie August zapłacił za płaszcz; był on upominkiem od zarządcy.

— Niech to będzie prezent ślubny — wyszczerzył zęby de Bienville. — Od samego pana Johna Law. Tyle przynajmniej może zrobić, biorąc pod uwagę okoliczności.

August nie skorzystał z niemej propozycji niewolnicy. Za bardzo kojarzyła się mu z zabitym mężczyzną, ze zdradą i szaleństwem. Śnił o niej jednak i gdy nad ranem sięgnął ręką, by się zaspokoić samemu, jej usta pieściły go i jej strome piersi spryskał nasieniem. Rano, gdy przyniosła mu śniadanie, unikał jej wzroku. Było mu wstyd, ale odczuwał też wdzięczność; nie zniósłby, gdyby w jego fantazjach pojawiła się Elisabeth.

Później, gdy urodziło się dziecko, August nalegał, by i ono, i matka zostały ochrzczone i otrzymały francuskie imiona. Początek nowego życia w obecności Boga, jak mówił jezuita. Niewolnica ze spuszczoną głową trzymała dziecko w ramionach, a gdy zakonnik nakreślił znak krzyża nad ich głowami i wypowiedział nowe imiona, z jej ust jak potok popłynęła nad głową śpiącego dziecka jej własna pieśń.

W pierwszych dniach urzędowania pana de Cadillaca jezuita

powiedział Auguste'owi, że Elisabeth chciałyby odkupić niewolnicę. Zakonnik, który był poczciwym człowiekiem, błagał go, by się nie zgodził. Ciało Elisabeth wciąż cierpiało od trucizny, argumentował, a szatan zaćmiewał jej umysł. Po tym wszystkim, co się stało, obecność niewolnicy z dzieckiem w domu Elisabeth przybije ją jeszcze bardziej. Była przygnieciona popełnionym przez siebie śmiertelnym grzechem, a wyznaczenie pokuty, dodał cicho, należało do Boga.

August wysłuchał go uprzejmie, ale następnego dnia przygotował wszystko do transakcji wedle życzenia Elisabeth. Spotkali się tylko przy podpisywaniu papierów. Wychudła i była bardzo słaba, co podkreślała jeszcze woskowa skóra i oczy zapadnięte w białej twarzy. Wiadomo już było, że nie stanie przed sądem; zarządca mówił o miłosierdziu, ale było jasne, że zwyciężył pragmatyzm, a nie litość. Przy prawdziwych problemach, z jakimi borykała się kolonia, nieudana próba samobójstwa nie była warta uwagi. Oczyszczenie Elisabeth z zarzutów nie zmieniło jednak faktu, że inne żony przypięły jej już łątkę przestępczyni i wariatki. August widział wszak, że w Elisabeth nie ma szaleństwa, lecz jedynie obojętność kogoś, kto nie ma już nic do stracenia. Poprosiła, by obiecał, że już nigdy się nie spotkają. Dał jej swoje słowo i dotrzymał go.

Jakiś czas później wyjechała z Mobile; ostatnio plotkowano, że ma ją więzi i chce zabrać do Nadrenii. Kompania nie pozwalała na opuszczanie Luizjany, ale statków było dużo, a na wyspie Dauphin panował niewyobrażalny chaos. Nie stanowiło problemu znaleźć kapitana łasego na pieniądze i chętnego, by wrócić do Francji. Może już jej tu nawet nie było.

August wyprostował się i raz jeszcze przejrzał w lustrze. Ze wstydem stwierdził, że wygląda jak wieśniak przebrany w strój swego pana. Z trudem pohamował się, by nie uciec; nie miał pojęcia, co tu robi. Przeszłość nie odeszła, człowiek nie może rzucić skóry jak wąż. Nie był gotowy.

Z domu dało się jednak słyszeć stukot obcasów i wybijający się ponad inne, niecierpliwy męski głos. August odwrócił się, wygładzając załamania na połach płaszcza.

— Panie zarządco — odezwał się i skłonił.

De Bienville zatrzymał się w progu, mrużąc oczy, by móc coś zobaczyć w półmroku korytarza. Za nim stał le Pinteux, młodszy urzędnik w biurze zarządcy, kiedy August był chłopcem. Peruka przekrzywiła mu się na głowie, a rzadkie brwi cały czas drgały nerwowo na czerwonym od słońca czole.

— Guichard? Czegóż, u diabła, skradasz się tak?

— Właśnie przybyłem, panie.

— Więc się spóźniłeś. No, no, patrzcie tylko. Pan Guichard wystroił się jak paw, nieprawdaż, le Pinteux?

Urzędnik się nachmurzył. Z czubka jego łuszczącego się nosa zwisała mała kropelka.

— Rzecz jasna, na takim bywalcu salonów, jak pan le Pinteux, trudno wyrzeć wrażenie — westchnął de Bienville. — Wszyscy chcielibyśmy mieć jego paryski szyk i swobodę obejścia... Słuchaj, mam sprawę do komisarza, ale zaraz wracam. Wejść, powinieneś być w miarę bezpieczny. Jest z nią Barrot i ta stara, zasuszona nauczycielka, ustrzegą cię przed wszelkim uszczerbkiem.

— Pocieszył mnie pan.

De Bienville się roześmiał.

— Będę się musiał jutro z tobą zobaczyć. Znow jest niespokojnie między Czoktawami a Czikasawami. Słyszałeś?

August potrząsnął głową.

— Jak tylko pojawią się statki, wodzowie zaczną węszyć — powiedział Bienville. — Oba plemiona na pewno wyślą delegacje. Musimy być przygotowani.

— Tak, proszę pana.

— Zatem do jutra. I nie myśl, że się wyślizgniesz ukradkiem za moimi plecami. Ja tu wrócę.

— Proszę się nie śpieszyć z mojego powodu.
— Wierz mi, wolałbym tu być, niż użerać się z komisarzem
0 jakieś banialuki. Co tam, nawet bym wolał się ożenić.

— No, nie!

— Naprawdę. Z każdą, nawet z tą starą nauczycielką, słowo
dają.

— Ale nie z panną le Vannes?

De Bienville znów się roześmiał.

— Guichard, jesteś bardzo nieufny. Zobaczysz, czarująca
z niej niemal wdowa. Niebieskie oczy, pulchna jak brzoskwinka
i prawna właścicielka niezłej plantacji indygo. Poważnie, przyja-
cielu, zazdrość mnie zżera. Ale teraz, wybacz...

Auguste skłonił się ponownie. Dowódca pośpiesznie wy-
szedł wraz z różowonosym urzędnikiem. Świece dopalały się,
malując w ciemności złote wzory. Auguste ścisnął kapelusz pod
pachą i wszedł do pokoju.

— Panno le Vannes, proszę pozwolić przedstawić sobie
pana Guicharda. Jest jednym z mężczyznajdłużej służących
kolonii, prawda?

— Możliwe.

Zapadła cisza. Guichard niezgrabnie ujął jej palce i rozejrzał
się, jakby szukając miejsca, gdzie mógłby je odłożyć. Jego nie-
śmiałość napełniła ją rozpaczą. Chciała, by zmiażdżył jej dłoń
w swojej, zwrócił się do niej z energią i wigorem, bez wahania.
Żeby zażądał, by podniosła głowę, bo chce się jej lepiej przyjrzeć,
i żeby mogła go rozczarować. Tymczasem stała z dłonią unie-
sioną do góry i przyglądała się kryształowym guzikom na jego
płaszczu. Świeciły jak kawałki lodu. Wyobraziła sobie, że bierze
jeden do ust.

— No tak. Proszę. — Medyk, którego nazwiska już nie pa-
miętała, chrząknął znacząco. — Panno le Vannes, proszę usiąść.

— Dziękuję.

Niezręcznie wyjęła dłoń z jego ręki i usiadła, poświęcając całą uwagę ułożeniu spódnicy. Kiedy Guichard odwrócił się, by położyć kapelusz na stole, Vincente zauważyła, że kokarda wieńcząca jego warkocz była krzywo zawiązana. Nie spojrzała na nią. Nie podobam mu się, pomyślała Vincente i przełknęła ślinę. Miał smukłą, opaloną szyję i ramiona rysujące się ostro pod drogim płaszczem. Jedna ręka odstawała pod dziwnym kątem. Płaszcz jest brzydki, zdawała się myśleć, absurdalny z tymi pretensjami do elegancji, a poza tym nie pasuje na niego. Mankiety opadają na nadgarstki, jakby dziecko włożyło płaszcz ojca do zabawy.

— Pan Guichard wie wszystko na temat Luizjany — rzekł mężczyzna. — Rośliny, zwierzęta i temu podobne, jeśli to pani interesuje. Miał niezwykły ogród, pełen ziół i wszystkiego, ale dawno temu oczywiście, w starym Mobile. Tylko proszę nie słuchoać, jeśli zacznie mówić, że dzicy wiedzą więcej o medycynie niż francuscy medycy. Nie chciałbym być w razie czego wzywany do pani, by naprawić to, co oni zepsuli.

Vincente zmusiła się do bladego uśmiechu. Guichard sprawiał wrażenie, jakby w ogóle niczego nie słyszał. Stał spokojnie z dłońmi złożonymi na kapeluszu i przechyloną głową, jakby nasłuchiwał jakiegoś bardzo odległego dźwięku. Pod płaszczem nie było widać, jak bardzo zniekształcone jest jego ramię; palce wyglądały normalnie.

Nagle spojrzała na nią. Nie zdążyła odwrócić wzroku, więc zawstydzona spuściła głowę. Spod spódnicy wystawały czubki jej pantofelków. Były stare i matka jeszcze w Paryżu zapowiedziała, że je wyrzuci, ale Vincente zawinęła je w papier i ukryła na dnie swojej skrzyni. Nosiła je tak często, że przybierały kształt jej stopy, nawet gdy stały puste. Podłoga w domu zarządcy była z drewnianych desek, nie szorstkich i pełnych drzazg jak u nauczycielki, ale wyfroterowanych do połysku. Buty medyka ze srebrnymi zapinkami też lśniły. Za to buty Guicharda były prawie tak znoszone jak jej pantofelki.

— Rzecz jasna, on jest tu już wieczność, czyż nie, chłopie?
— spróbował znowu medyk. — Właściwie wychowali go tutejsi dzicy, Naczezi. Szczęśliwie dla panienki, przeżył, by nam o tym opowiedzieć. Ludzie myślą, że Naczezi są najbardziej cywilizowani, bo się porządnie ubierają, ale niech to panienki nie zwiedzie. W zeszłym roku, kiedy żona ich wodza zmarła na gorączkę, cała jej służba została uduszona i powieszona, by towarzyszyli jej w drodze na tamten świat. I dwadzieścioro niemowląt, uduszonych przez własnych ojców i rozdeptanych na miazgę przez niosących zmarłą. Na miazgę, mówię panience.

— Jakie to okropne!

— Tacy są dzicy — rzekł stanowczo.

— Ouma.

— Co mówisz, bracie?

— Jako dziecko mieszkałem u ludu Ouma. Nie u Naczezów.
— Jego francuski był chrapliwy, jakby słowa formowały się nie na języku, lecz w głębi gardła.

— Tak? Ach, pannie le Vannes wszystko jedno, jak sędzę. Wszyscy czerwonoskórzy są tacy sami i tak dalej. Aaa, doskonałe, doskonałe napoje. Od miesięcy nie było na posterunku tak dobrego rocznika. Panno le Vannes, wnieśmy toast za nowo przybyłych. Błogosławić statki, które umęczonym upałem kolonistom przywozły słodkie francuskie kobiety i francuskie wino!
— Medyk zaśmiał się i wychylił kieliszek, od razu biorąc do ręki następny z tacy, zanim niosący ją chłopiec zdążył się oddalić.

Vincente mruknęła coś i przybliżyła kieliszek do ust. Patrząc nad jego brzegiem, zobaczyła, że mimo iż stał spokojnie, jego palce wykonywały nerwowy taniec, każdy po kolei dotykał opuszka kciuka, jakby chciał je policzyć.

— Panu Guichardowi zawdzięczamy, że żyjemy w pokoju z naszymi czerwonymi sąsiadami, na ile to możliwe — stwierdził medyk. — Co oznacza, że stara się, jak może, by walczyli między

sobą i nie mieli już ani ludzi, ani ochoty, by nas atakować. Czyż nie, panie Guichard?

— Coś w tym rodzaju.

— Jak panna widzi, pan Guichard nie należy do gadatliwych. Ale jak już się odezwie, to mówi w wielu przedziwnych językach! No, gdzie się podziewa pani de Boisrenaud? Zapewniła mnie, że wychodzi tylko na chwilkę! — Stał na palcach, wyciągając tłąstą szyję.

Przypominał Vincente jamnika, którego często widywała jako dziewczynka w Tuileries; jego ambitne próby podejmowane w stosunku do suk kilkakrotnie od niego większych powodowały, że opiekunka Vincente chichotała i zakrywała jej oczy czerwoną dłonią.

— Gdzie ten chłopak? A, jest. Wezmę jeszcze, a ty, Guichard? Nie? Powinieneś pić, póki jest, chłopie. Dobre roczniki znikają w mgnieniu oka. Cieszę się tylko, że twoi dzicy wołają mocniejszy alkohol.

— Twoi też, rzecz jasna.

— Słucham?

Guichard nie odezwał się, tylko patrzył kamiennym wzrokiem na medyka, któremu wino zaczynało już plątać język.

— Jeśli oskarżasz moją niewolnicę o pijaństwo, to bezpodstawne pomówienie. Gdyby tylko powąchała korek, sprawiłbym jej baty jak stąd do Pensacoli.

— Zacny pan.

— No więc których dzikich miałeś na myśli? — Machnął butelką w kierunku Auguste'a. — No dalej, wyrzuć to z siebie!

— Nieważne.

— Przeciwnie, jeśli poruszyłeś temat, to na pewno jest ważny. No więc?

Guichard długo się nie odzywał, wreszcie wzruszył ramionami.

— Chodziło mi o dzikich w garnizonie — powiedział cicho.

— W garnizonie? Tam nie ma czerwonych... — Medyk zmieszany zmarszczył czoło. Jednym haustem wypił zawartość kieliszka i natychmiast wlał do niego resztę z butelki. — Boże, Guichard, dość tych nonsensów. Nie zdziczałeś jeszcze tak bardzo, żeby nie móc rozmawiać z nami normalnym francuskim. No, muszę iść poszukać czegoś na ząb... i pani de Boisrenaud. Mam nadzieję, że nam wybaczysz. Panno le Vannes, czy zechce pani towarzyszyć mi przy kolacji?

Vincente zawahała się, ale Guichard nic nie powiedział, ujęła więc ramię mężczyzny, który pomógł jej wstać.

— Nie — odezwał się nagle Guichard. Vincente odwróciła się zdumiona i ich oczy się spotkały. Jego były szarzielone, jak woda w rzece Mobile. Vincente odwróciła wzrok. — Idź, Barrot. Odprowadzę pannę le Vannes do stołu.

— Cóż, jeśli śliczna pani zechce zaczekać... muszę powiedzieć, że smakowicie to wygląda. — Barrot oblizał się, chciwie taksując okrągłymi oczkami talerze wnoszone do pokoju. Aromat pieczystego unosił się w powietrzu. — Pani?

— Tak. Tak, oczywiście. — Vincente zamrugała nerwowo.

— Doskonale. Dobrze. No, dobrze, dobrze.

Medyk zniknął w jednej chwili, jakby uwolniła się trzymająca go sprężyna. Vincente poruszyła się niezręcznie, czując na sobie jego spojrzenie. Sama nie wiedziała, gdzie powinna patrzeć.

— Więc...

— Więc...

Z drugiego końca pokoju dobiegł śmiech i brzęk widelców. Vincente przyjrzała się swojemu kieliszkowi.

— Jest pani głodna? — spytał Guichard.

Pustka w jej żołądku ścisnęła go w twarde orzech.

— Nie. Dziękuję.

Długa przerwa.

- Niedawno pani przybyła — rzekł.
- Ja... przyjechałam dwadzieścia trzy dni temu.
- Jak się pani tu podoba?

Vincente wpatrywała się w niego. Chciało jej się śmiać, krzyczeć, walić go pięściami. Podstawić obrazek pod nos temu beznamietnemu mężczyźnie i spytać, co jeszcze nakłamał ten szatański pomiot, pan Law. Chciała, żeby jej wyjaśnił, jak żyć w takim miejscu, we wszechobecnym strachu, brudzie i mozole w upale, wśród bagien i prymitywu. Jak żyć z obraźliwymi uwagami nauczycielki, która podkradała jej różne drobiazgi; z pajakami, aligatorami, węzami i doprowadzającymi do szału komarami; z grubymi, tłustymi pajdami, które tu uchodziły za chleb, i z mlekiem po pięćdziesiąt sou za dzbanek; z szeptami i ukradkowymi spojrzeniami dziewcząt z Saltpétriére, nieokrzesanymi mężczyznami, z prostytutkami, półnagimi dzikusami i żołnierzami tak pijanymi, że przewracali się na ulicy; z wrzodami i ranami, które nie chciały się goić; z chatą, w której słomiany materac nadawałby się najwyżej dla pasterza w szałasie; ze słońcem, które w południe grzało tak silnie, że mogło zabić swymi promieniami; z dzikimi, z ich tatuażami, diabelską magią i upodobaniem do ludzkiego mięsa.

Co za układ jej matka zawarła z szatanem, czy mógłby jej wytłumaczyć? Wysłać córkę w miejsce, gdzie kościół nie był lepszy od obory, a ksiądz, ziemski namiestnik Boga, był lubieżnym pijakiem, który uciekł z Francji, by uniknąć kary za rozpustne życie, i który już tu, w Luizjanie, uwiódł kobietę w konfesjonale i spłodził z nią dziecko? Cóż za przestępstwo popełniła, ona, która zawsze starała się żyć godnie i cnotliwie, że znalazła się w takim miejscu, od którego nawet Bóg się odwrócił?

Gdzie, chciała się dowiedzieć, gdzie ukryli tę magiczną krainę, o której mówił cały Paryż, w której dzicy uczyli się łaciny i tłumnie uczęszczali do kościoła, czcząc białych tak, że sami się

mianowali ich niewolnikami, i gdzie mięso samo wchodziło na talerz? Gdzie byli dystygowani koloniści zmieniający ten dziewiczy kraj w raj na ziemi? Przyjechała na śmietnisko, brudną kupę odpadków, gdzie wyrzucano łotrów i łajdaków, by zgnili. Nie było dnia bez myśli, że tego nie przeżyje. Ludzie umierali wszędzie, trumny piętrzyły się jak pudła po mące. Tylko że tu nie było mąki, lecz obrzydliwa papka dzikusów, i nie było też trumien, więc w płytkich, nieprzykrytych rowach widać było ubłocone nogi i ręce wystające ze źle zawiniętych całunów.

— Nie jest to Paryż — odparła, przełykając ślinę.

— Nigdy nie byłem w Paryżu.

Czekała, by powiedział coś więcej, ale jemu wcale nie zależało, by ją osmielić. Miała ochotę pociągnąć go za ramię, domagać się jego uwagi. Albo wybiec z pokoju. Zamiast tego wpatrywała się w czubki swoich pantofli. Nie wiedziała, jak ma prowadzić rozmowę z mężczyzną, który żył wśród dzikich, a potem w bezwstydnym konkubinacie z dzikuską spłodził metyskiego bękarta i sprzedał go. Ku niesmakowi Vincente nauczycielka opowiadała tę historię, jakby nie było w niej nic skandalicznego. Co gorsza, upomniała Vincente za okazaną niechęć. Auguste Guichard to porządny człowiek, rzekła ostro, da radę utrzymać żonę na przyzwoitym poziomie i ma poważanie u zarządcy. Vincente miałyby szczęście, wydając się za niego za męża. Bez znaczącego wsparcia nauczycielki nie wiodłoby jej się ani w połowie tak dobrze; Luizjana, jeśli Vincente nie zauważyła, to nie Paryż. W Luizjanie prawie wdowa nie cieszyła się żadnymi względami. Po tej rozmowie nauczycielka zrobiła się chłodna i oschła, odzywając się tylko wtedy, gdy było to konieczne, i cały czas dając do zrozumienia, że uważa Vincente za rozpieszczoną i zepsutą. Nocą Vincente płakała w kuchennej przybudówce. Powtarzała sobie, że raczej umrze, niż poślubi niecnotliwego mężczyznę, a jej łzy mieszały się z garściami surowego jedzenia, które bez opamiętania

wpychała sobie do ust. Po trzech dniach jednak ustąpiła; nawet po tak krótkim pobycie w Luizjanie zorientowała się, że to, co francuskie, choćby zepsute i brudne, pozostawało i tak w sferze marzeń dla większości osadników.

— A więc szuka pan żony — powiedziała w końcu.

— Tak.

— Z powodu plantacji?

Jeśli zaboląta go jej brutalna otwartość, nie dał tego po sobie poznać.

— Plantacja to dobry kawałek ziemi. W Luizjanie nie brakuje dobrej ziemi.

— Tylko kobiet odpowiednich do małżeństwa?

— Właśnie.

Kolejna długa cisza. Przyglądał się jej w zamyśleniu, zupełnie nieskrępowany. Vincente zarumieniła się i odwróciła wzrok, ale dławiący supeł w gardle trochę się rozluźnił. Coś w jego poważnym sposobie bycia uspokajało ją; nie był mężczyzną, z którego można sobie stroić żarty.

— A pani? — spytał cicho. — Pani szuka męża?

— Zamierzam wypełnić wolę bożą — odparła sztywno, wypływając słowa jak kawałki sznurka. Rumieniec na jej szyi się pogłębił.

Nadal przyglądał jej się w skupieniu, bez słowa.

— Ja... tak, szukam męża — dodała, przełknawszy ślinę.

W ciszy, jaka nastąpiła, Vincente przyglądała się chłopcu wnoszącemu dużą misę z galaretką mleczną. Galaretka trzęsła się jak blade ciało. Vincente zawsze nienawidziła mlecznej galaretki.

— Urodziłem się w La Rochelle jako syn Auguste'a Guicharda, dokera — powiedział. — Jestem zatrudniany przez Kompanię Missisipi jako kupiec i wysłannik, za co otrzymuję osiemdziesiąt liwrów rocznie. Mam piętrowy dom przy ulicy Dugué i niewolnicę z plemienia Colapissas. Jestem zdrowy. Czy wolno mi będzie złożyć pani wizytę?

W drugim końcu pokoju kobieta w ciemnoczerwonej sukni podniosła łyżkę i wbiła ją w galaretkę. Suknia, głęboko wycięta z przodu, by uwydatnić bujne piersi, była obszyta złotą tasiemką, która zaczynała się pruć. Kobieta miała ukarminowane usta, a w kok wpięte żółte pióro. Medyk stał bardzo blisko, dotykając palcami jej pulchnego ramienia.

— W Paryżu miałam zamiar wstąpić do zakonu — odezwała się Vincente przez zaciśnięte usta.

— Ale nie wstąpiła pani.

— Matka mi nie pozwoliła.

— Chciała wydać panią za mąż?

— Chciała zarobić na sprzedaży córki. Moja matka bardzo lubiła pieniądze.

— Matka pani zmarła?

— Nie.

— Ale pan de Chesse nie żyje. Umowa pani matki nie jest już wiążąca.

— Ale ja tu jestem i prawo nie zezwala mi na powrót.

— Tu też będzie zakon. Dowódca musi mieć szpital i szkołę dla Nowego Orleanu.

— Kiedy?

— Może za pięć lat.

— To za długo.

— Więc musi sobie pani radzić z tym, co jest.

Vincente spojrzała na niego. Odwzajemnił spojrzenie. Potem odwróciła wzrok. Stoły były zastawione na pół zjedzonymi potrawami. Zachcianka pojawiła się nagle i gwałtownie.

— Dobrze, niech pan przyjdzie — powiedziała pośpiesznie.

— Teraz byłabym wdzięczna, gdyby pan znalazł panią de Boisrenaud. Muszę iść do domu.

Siedemnaście dni później ksiądz du Mesnil połączył Vincente le Vannes i Auguste'a Guicharda węzłem małżeńskim podczas krótkiej ceremonii w maleńkim, surowym kościele garnizonowym. Vincente włożyła suknię z pelerynką z szarego jedwabiu oblamowanego srebrną koronką, którą wybrała jej matka, i swoje stare pantofle. Sukienka była za ciasna, a podeszwa lewego pantofla odkleiła się i ostry koniec gwoździa kłuł ją w duży palec. Zarządca obiecał, że przyjdzie, ale został wezwany w pilnych sprawach do Pensacoli, więc tylko przekazał przeprosiny. Zamiast niego świadkami byli nauczycielka i stary Jean Alexandre. Ksiądz był mizernym człowieczkiem z brązową twarzą posiekaną zmarszczkami i małą bródką; przywodził Vincente na myśl rzepę. Gdy kazał jej powtarzać słowa przysięgi, przypomniała sobie ukradkowe szturchnięcia, którymi siostra częstowała ją w bok, i ogarniał ją strach przed tym, co miało potem nastąpić, wskutek czego słowa, które wy dobyła z siebie, brzmiały sztucznie i bełkotliwie.

Potem w domu nauczycielki wydano niewielkie przyjęcie dla równie niewielkiej liczby gości. Vincente, która do tej pory była ustawicznie pilnowana przez nauczycielkę, rozpoznała tylko jedną czy dwie osoby. Ściskali jej dłoń, przyglądając się ze źle ukrywaną ciekawością. Kiedy wreszcie poszli, Vincente z mężem udała się do ich domu.

Auguste mieszkał w długim, drewnianym budynku z cyprysowymi dachówkami, stojącym bezpośrednio przy ulicy Dugué. Jak we wszystkich domach w kolonii, głównym pomieszczeniem był prosto umeblowany pokój z kominkiem, ale dużo dłuższy i szerszy niż u nauczycielki. Do niego przylegały dwie mniejsze przechodnie izby. Dom był prosty, ale porządnie zbudowany. Ściany miał pobielone, a podłogę z drewnianych desek. Z tyłu wzdłuż całego domu biegła szeroka weranda wychodząca na mały piaszczysty ogródek, w którym rosły podparte trzciniowymi kijkami warzywa.

Skrzynie Vincente zostały przyniesione od nauczycielki. Tę z wyprawą umieszczono w alkuwie mniejszej sypialni. Poplamione i zatłuszczone skórzane wieko dotykało ściany. Nie otworzyła jej, tylko chodziła niespokojnie po pomieszczeniach. Nie było tu żadnego wygodnego miejsca do siedzenia. Pomyślała o kanapce matki, wyszywanej w jednorożce wśród szmaragdowych liści. Jako dziecko lubiła przykucać przy niej tak, by policzkiem dotykać jedwabistego haftu, i udawała, że tam jest, w zielonej głębi lasu, jadąc okrakiem na jednorożcu z włosami powiewającymi za nią jak chorągiew. Błagała ojca, by nie sprzedawał mebla, gdy się pierwszy raz przeprowadzali, ale matka orzekła, że tylko ktoś 0 chłopskim guście może woleć tę kanapę od wyściełanego krzesła. Niestety, krzesło miało tylko różyczki i wstążki, a na różyczkach i wstążkach nie dało się nigdzie pojechać.

Tej nocy Vincente poszła do łóżka sama. On przyszedł później; wiedziała, że przyjdzie, ale kiedy wśliznęła się do łóżka obok niej, podciągnął jej koszulę i zaczął ocierać się o jej ciało, musiała zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć. Leżała sztywno na plecach, z ramionami po bokach i zaciśniętymi oczami, kiedy masował i dotykał ją w różnych miejscach. Była zdziwiona, że jej miękkie ciało tak łatwo się poddaje, jakby jej kości okrywało ciasto. Pieścił ją ciepłymi ustami i drżącym językiem, co było nie do wytrzyma-

nia. Kiedy jęknął, odwróciła twarz, ściągając usta i czekając na koniec; gdy w nią wszedł, szok i ból spowodowały, że krzyknęła.

Następnego ranka po obudzeniu się miała zakrzepłą krew na udach i halkach. Przy śniadaniu odwracała głowę, by na niego nie patrzeć; gdy spytał, czy wszystko jest tak, jak by sobie życzyła, jego głos napełnił ją przerażeniem. Odpowiadała monosylabami, a kiedy wreszcie się pożegnał przed wyjściem, lekko głaszcząc ją po ramieniu, cała się skurczyła z obrzydzenia i wstydu.

Następnej nocy też przyszedł. Chciała płakać, krzyczeć, chwycić muskiet stojący przy drzwiach i wycelować lufę w jego pierś. Zamiast tego zamknęła oczy, wbijając paznokcie w zaciśnięte pięści, i w ciemności całe obrzydzenie i rozczarowanie, jej żalotny los, twardniały w jej ciele, aż prawie nie mogła oddychać. W tej chwili nienawidziła go tak dogłębnie, całkowicie i mocno, że aż był w tym rodzaj triumfu. Leżała sztywno ze ściśniętymi kolanami i odwróconą głową, nie poruszyła się, gdy przywarł do jej miękkich piersi i brzucha. Jeśli spróbuje zrobić coś wbrew jej woli, zgniecie go jak ziarno. Przykrył jej usta swoimi; zaciśnęła wargi i zęby. Przesuwał wargami i niecierpliwym językiem po jej brodzie i szyi, owiewając je gorącym oddechem; ukryła się głęboko, gdzie nienawiść była najsilniejsza. Chciała, żeby umarł. Wtedy wbił się w nią. Ból był mocniejszy niż pierwszej nocy, poczuła, jakby zamek zatrzaszkiwał się w dole brzucha. Wbrew sobie wygięła ciało i z głową odrzuconą w tył zdusiła krzyk. W tym momencie była wolna, unosząc się w gęstej, gorącej ciemności. Mężczyzna leżący na niej nie był panem Guichard, jej mężem i pracownikiem Kompanii Missisipi, nie był w ogóle mężczyzną. Był mrokiem, ucieleśnioną nocą, która wywracała jej ciało na drugą stronę. Zapomniała o nim pogrążona w tych zadziwiająco przyjemnych fantazjach; trzymała się siebie, jedynego punktu

światła, za którym było wyzwolenie. Kiedy rozbłysnął, krzyknęła i mocno wbiła paznokcie w jego plecy.

Rano znów była sobą, a on znowu był mężczyzną, zwykłym nieznanym o wykręconym ramieniu i obcej twarzy. Była podobnie zde gustowana i jeszcze bardziej zawstydzona; zwykłe poranne rozmowy powodowały, że się czerwieniła. Podobnie jak poprzedniego dnia, zjedli śniadanie w ciszy.

Następnej nocy, i jeszcze następnej, przychodził do niej, ale nie było tak samo. Zakłęcie, jakie na nią nałożył, przestało działać i pozostało po nim tylko słabe uczucie odurzenia, jak wspomnienie snu. Dwa dni później wyjechał z Mobile wysłany w sprawach Kompanii do wioski dzikich położonej o kilka dni podróży od miasta. Vincente słuchała, gdy opowiadał jej o ekspedycji, i marzyła, żeby już go nie było; kiedy jednak zniknął za rogiem, stała długi czas na ulicze, patrząc za nim i osłaniając ręką oczy przed ukośnym porannym słońcem. Dopiero kiedy pani Driard wylała pomyje prawie pod jej nogi, powoli opuściła dłoń i patrzyła, jak płyną strumyczkami rzeźbiącymi jakby ślady korzeni w pylistej drodze. Potem odgarnęła włosy z czoła i weszła do środka.

Była całkiem sama; niewolnica pracowała w kuchni, a chłopic schylał się nad grządkami w ogrodzie. Ptaki na dworze wrzeszczały przejmująco, ale w domu było cicho. Pomyślała o Blandine i Marie-Helene, szepczących i chichoczących z matką i milknących, kiedy wchodziła do pokoju, z zaciśniętymi ustami i okrągłymi oczami, oraz wybuchu śmiechu, kiedy się wycofywała. Poczwała smutek.

Vincente pośpiesznie sięgnęła po Biblię. Przewracała cienkie kartki w poszukiwaniu ulubionego fragmentu, ale słowa zlewały się jej przed oczami. Tygodnie spędzone w chacie nauczycielki sprawiły, że oddałaby wszystko za chwilę samotności. Wypełniała ją nieustanny jazgot dzieciaków, białych, czerwonych i miesz-

nych, które pani de Boisrenaud uczyła podstawowych rzeczy, a Vincente musiała jej asystować. Po lekcji, kiedy pragnienie ciszy rosło w niej histerycznie, do zrobienia było mnóstwo rzeczy w gospodarstwie, a nauczycielka nigdy nie przestawała uważać się nad swoimi niezliczonymi dolegliwościami, co stanowiło jej ulubione zajęcie. Gdy zaś wreszcie nadeszła noc, dzieliły sypialnię, a ich postania były oddalone nie dalej niż na wyciągnięcie ręki i chrapanie starej kobiety wstrząsało Vincente. Trzeba było całej siły woli, by jej nie udusić, lecz leżeć spokojnie, dopóki nie było pewności, że śpi głęboko. Wtedy Vincente wyslizgiwała się do kuchni i tylko te nocne wyprawy pozwalały jej nie oszaleć. Czasami, gdy klęczała na brudnej podłodze, wpychając gorączkowo do ust kęsy jedzenia, czuła, że się rozpłaczę z ulgi i wdzięczności.

Tu, w domu przy ulicy Dugué, cisza panowała niepodzielnie, przerywana tylko odgłosami lasu napierającego na miasto, jakby zamierzał odzyskać wydartą mu ziemię. Vincente wiedziała, że każda cisza jest inna. Przy rue Royale cisza była zduszoną wściekłością i oczekiwaniem, a w klasztorze spokój tego miejsca lśnił jak gładka powierzchnia jeziora. Welony i luźne szare habity zakrywały dziwaczne dysproporcje kształtów i upodobań i sprawiały, że wszystko było jak trzeba. Nikt nie podnosił na nią głosu, nie mówił, że jest męcząca, brzydka czy nudna. Choć przychodziła prawie codziennie, nikt nie kazał jej odejść. Matka przełożona ujmowała kościste dłonie Vincente i przestrzegała przed płomieniem, który pali się zbyt jasno i może ją spopielić, ale robiła to tak łagodnie, z czułością i współczuciem, że Vincente zarzucała starej kobiecie ramiona na szyję i przytulała się do niej, wciskając twarz w ramię zakonnicy i rozkoszując się jej jakby przykurzonym zapachem. Matka przełożona klepała ją po plecach i błogosławiła, nazywając swoim dzieckiem.

— Jestem twoim dzieckiem — szeptała Vincente. — Jestem.

— Kochasz mnie, matko? — dopytywała się potem. — Uważasz, że jestem dobra?

— Pan kocha wszystkie swoje dzieci — odpowiadała zakonnica, odplątując ramiona Vincente ze swojej szyi. — I będziesz dobra, jeśli będziesz się spowiadać i żyć według Jego przykazań.

Podczas którejś gwałtownej kłótni z matką Vincente oznajmiła, że zamierza wstąpić do klasztoru. Pani le Vannes uderzyła pięścią w stół i stwierdziła, że Vincente jest najbardziej nieznośną z jej córek. Vincente poczuła przypływ silnej, choć gorzkiej egzaltacji: Pan w Niebiesiech wybrał ją, Vincente le Vannes, na swoją służebnicę i miała zamiar oddać się Mu całkowicie, poświęcając całe swe życie cichej modlitwie i kontemplacji.

Dwa miesiące później została sprzedana na żonę. Vincente, zrozpaczona, udała się do matki przełożonej, prosząc o wstawiennictwo, ale stara zakonnica tylko pokręciła głową i poradziła, by zaakceptowała wolę boską. Vincente się nie poddała. Na pokładzie „Baleine” zadeklarowała swe powołanie siostrze Marii, błagając, by przyjęła ją na nowicjuszkę, ale spotkała się z natychmiastową odmową. Jeśli Vincente chce okazać pobożność, padła ostra odpowiedź, może na początek nauczyć te bezbożne dziewczyny z Salpêtriere katechizmu. Udało się jej przeprowadzić dwie lekcje, po czym dopadła ją choroba morska, przetaczając się po niej straszliwymi, nieprzerwanymi falami. Kiedy morze wreszcie uspokoiło się i statek dopłynął do Hawany, suknia zwiślała na niej luźno.

— Ja nie chorowałam — oznajmiła siostra Marie z satysfakcją, gdy Vincente schodziła na ląd. — I dziewczęta poznały katechizm, mimo że ty zawiodłaś. Bóg jest łaskawy.

Za Hawaną wiatr ucichł, a morze było gładkie i płaskie. Statek dryfował tygodniami, a Vincente z nikim nie zamieniła ani słowa. Pocieszała się Biblią, co okazało się słabym pocieszeniem, oraz pochłanianiem wielkich ilości mleka, sera i masła, co było zdecydowanie lepsze. Raz czy dwa wsadziła palce do gardła, ale bez przekonania, a jej ciało, wymęczone wymiotami, odmówiło.

Teraz była pulchna, o pełnej twarzy i piersiach, a jej uda ocierały się o siebie. Gdy szła, szybko dostawała zadyszki. Nie obchodziło jej to jednak. Nosiła dodatkowe kilogramy jak bieliznę, bez refleksji, że są częścią jej samej. Nie sądziła, że ta miękka obfitość może jej dać tyle przyjemności, doznania tak intensywne, że sam widok łóżka powodował gęsią skórkę na całym ciele.

Zawstydziła się tą myślą i otworzyła skrzynię, mając nadzieję ożywić trochę dom tkaninami, które przywiozła z Paryża. W alkwie nad skrzynią ubrania jej męża wisiały na drewnianych kołkach, drogi jedwabny płaszcz obok brązowych rzeczy uszytych ze skór jelenich i płótna tkanego z pokrzywy. Wzdrygnęła się, czując ich zapach. Ostrożnie zdjęła jedwabny płaszcz z kołka. Wspomnienie rozkoszy załśniło srebrem między jej udami.

— I przystaw sobie nóż do gardła, jeśliś człowiekiem poddanym żądzom — wyszeptła, ale nie było w tym ognia. Może matka przełożona miała rację.

Może ogień sam się wypalił, wszystkie psalmy i przypowieści wraz z resztkami jedzenia opuściły ją, spadając na dno wielkiego, przepastnego oceanu.

Przed nią był pusty, niekończący się dzień. Odwróciła się i wyszła na podwórze. Z komina kuchni wydobywał się dym, a przez szczebiot ptaków przebijał głuchy odgłos — to niewolnica Thérèse ubijała kukurydź na mąkę. Vincente oparła się o framugę drzwi i patrzyła; niewolnica nie podniosła wzroku, tylko dalej wykonywała regularne, wolne uderzenia. Vincente wiedziała, że powinna wrócić do domu i zająć się cerowaniem, ale nadal stała i przyglądała się płynnym ruchom napiętych mięśni niewolnicy. Na ławie stygły placki kukurydziane, a na ogniu bulgotał duży, żelazny garnek. Luizjański chleb smakował, jakby go pieczono z tłustych trocin, ale zupa pachniała smakowicie mięsem.

— Dobrze pachnie — odezwała się.

Niewolnica zerknęła na nią, ale nie zaprzestała ubijania ani się nie uśmiechnęła. Vincente nie była pewna, czyją zrozumiała. Auguste mówił, że pochodzi z plemienia Colapissas i wprawdzie ma francuskie imię, ale zna tylko kilka słów po francusku.

— Zupa — dodała Vincente, wskazując garnek i głaszcząc się dłonią po brzuchu. — Pyszna.

Thérèse przestała ubijać i wytarła ręce w szeroki fartuch, który miała zawiązany w talii. Na jej czole perlił się pot. Sięgnęła na półkę nad głową, zdjęła kawałek płótna i przykryła nim ubite ziarno. Jej głowa była wysunięta do przodu, jakby zbyt ciężka dla smukłej szyi. Potem powoli odwróciła się w stronę paleniska i przysiadła przed nim w kucki, z fartuchem opadającym między udami. Nabrała zupy na chochlę i zbliżyła do twarzy, wachając przez rozdęte nozdrza. Para unosząca się z garnka osiadała na jej brwiach. Coś w jej spokoju przywodziło Vincente na myśl Auguste'a; chciała spytać, czy może skosztować zupy. Patrzyła jednak tylko, jak niewolnica odwiesza chochlę i bierze łyżkę o długim trzonku. Warkocz zsunął się jej na ramię, odsłaniając kręgosłup, blado zaznaczający się pod skórą. Chochla oblepiona kawałeczkami mięsa połyskiwała na haku; kropla gęstego płynu spadła na ziemię. Niewolnica nieustannie mieszała długą łyżką, a aromat zupy unosił się w powietrzu coraz mocniej. Nie zareagowała, gdy Vincente oderwała się od drzwi, chwyciła jeszcze ciepły placek i rwąc go na kawałki, które parzyły ją w usta, odeszła przez podwórko do pustej chaty.

Było późne popołudnie. Cienie wydłużały się, a nietoperze śmigały nad głowami, rozsypując się czarnymi cieniami na tle złotoróżowego nieba. Mężczyźni i Muryzynie mieli wkrótce wrócić z pracy, kobiety przyrządzały posiłek. Zapach pieczonego mięsa i dym unosiły się nad spaloną słońcem ziemią.

Elisabeth siedziała na ławce z rękami złożonymi na podołku, oparta głową o szorstką ścianę z desek. Fuerst był nieugięty: widział to już, stwierdził, w Nadrenii i wiedział, jak to się kończy. Truczna w ciele chorego dziecka była lotna jak alkohol i z każdym oddechem zarażała powietrze. Jak ubranie, które zachowuje zapach potu czy dymu, powietrze przeniesie zarazę na resztę ludzi, a ta wciśnie się przez małe otworki w skórze, by zatruć płyny w ciele. Wszyscy byli zagrożeni, a zwłaszcza Elisabeth oczekująca dziecka i wymęczona upałem. Kiedy zaprotestowała, tylko pokręcił głową. Dziecko musi odejść.

Panowała cisza. Tłuczek Jeanne do ubijania ziarna stał oparty o ścianę kuchennej przybudówki, podobnie jak mózdzierz przykryty kawałkiem drewna i obciążony kamieniem. Palenisko wygasło przykryte grubą warstwą popiołu. Od odejścia niewolnicy żona mężczyzny zwanego Karlem Kleinem, w zaawansowanej ciąży i nienadająca się do pracy w polu, ucierała kukurydzę i przynosiła kolację do chaty. Mąka jej produkcji była gruba,

a papka sago właściwie niejadalna, pełna grudek. Fuerst nie nie mówił, tylko jadł jeszcze schludniej niż zazwyczaj, popijając wodą każdy kęs.

Przez lata niewolnica i pani pracowały ramię w ramię, złączone więzami wygnania, ciszą i dzieckiem, które nie rozpaczało za utraconym życiem, bo nie znało innego życia poza swoim, choć ich dni były tak od siebie odległe jak dąb jest odległy od obory. Z odejściem Jeanne Elisabeth zaczęła odczuwać jakby powiew mroźnego wiatru i wydawało się jej, że las gra z nią w dziecinną grę, podkradając się bliżej za każdym razem, kiedy nie patrzyła.

Pracowała zawzięcie, robiąc parafinowe świece i szorując chatę piaskiem aż do zdercia skóry na dłoniach, ale niepokój trwał w niej. Bez Jeanne cisza była inna. Elisabeth zastanawiała się, kto opiekuje się teraz jej domem. Czasami, kiedy Jeanne myślała, że pani nie patrzy, ukradkiem ściągała włosy z jej grzebienia i zakopywała je, podobnie jak obcięte paznokcie; dzicy wierzyli, że złe duchy wykorzystują je w swej potężnej magii. Poprzedniego ranka Elisabeth przy czesaniu wyciągnęła z włosów splątany kosmyk i kiedy wróciła wieczorem do chaty, nadal leżał tam, gdzie go zostawiła. Długo się w niego wpatrywała, wreszcie ściągnęła włosy z grzebienia i wrzuciła do ognia, który rozpalano przed kolacją. Inne kobiety patrzyły na nią czujnie, obwarowane swoimi garnkami i czajnikami. Smród palących się włosów był silny i nieprzyjemny.

W zagrodzie pod dębem trzymali krowy o chudych bokach. W miesiącach, kiedy nadchodziły huragany i wiatr znad rzeki atakował urwisko, zwierzęta skupiały się wokół drzewa, jakby ono też było krową, a omszała kora znaczyła ich ciała na zielono. Musiały być dojrzałe; Marguerite lubiła bujać się na belkach ogrodzenia i przyglądać, jak Elisabeth zajmowała się krowami. Czasem drzazgi wbijały się jej w ręce i Elisabeth wyjmowała je

igłą, żeby ranka nie zaropiała. W tym klimacie nawet zwykłe zadrapania nie chciały się goić.

Kiedyś aligator z rozlewiska zabłąkał się aż na podwórko i kiedy Elisabeth odwróciła się na krzyk dziecka, stał i wpatrywał się w ogień jak zahipnotyzowany. Był młody, długości najwyższej sześciu stóp, ale wyglądał równie odrażająco jak wszelkie pradawne potwory. Sycząc na dziecko, by stało nieruchomo, Elisabeth wstała powoli ze stołka i wycofała się na tyły zagrody, gdzie prześliznęła się między belkami ogrodzenia i pobiegła do chaty po muszkiet. Gad nie poruszył się, ale Elisabeth się zdawało, że obserwuje nie ogień, lecz dziecko. Chwyliła strzelbę, podnosząc ją do ramienia, jak uczył ją Fuerst, ale zanim zdążyła wystrzelić, zobaczyła, jak Jeanne łapie tłuczek i uderza aligatora z całej siły po łbie. Drżącymi rękami opuściła broń, a Jeanne zadała ostateczny cios gadowi, który padł bez ducha, i uśmiechnąwszy się do swej okrągłookiej córki, poszła nad wodę, żeby umyć tłuczek.

Dziecko poruszyło się w brzuchu Elisabeth. Westchnęła i położyła na nim dłoń. Chciała być zła, ale nie było w niej złości, tylko zmęczenie i niepokój. Nie tylko duchy dzikich bywały kapryśne.

Przybycie pirogi wznieciło ekscytację wśród ptaków, które ze skrzeczeniem schroniły się wśród drzew. Gdy Elisabeth była w połowie drogi, z łódki wysiadł jezuita, a za nim jego skromny orszak. Kiedy go zobaczyła, zatrzymała się, otwierając usta ze zdumienia.

— Ojczy?

— Elisabeth Savaret! — Pośpieszył ku niej z wyciągniętymi ramionami. — Patrzcie no, ile to czasu!

— Tak. Długo.

Zapadła cisza. Wreszcie Elisabeth bardzo wolno wyciągnęła dłoń. Rochon ujął je, ściskając w swoich.

— Udajemy się do misji w Illinois — wyjaśnił. — Czy moglibyśmy prosić o wyrozumiałość i nocleg? Mamy listy z Nowego Orleanu dla twego męża, a także zapasy.

— Ależ oczywiście. Tak, oczywiście. Ja... wybacź, ojczy, jestem zaskoczona. Myślałam, że wróciliście do Francji.

— Och, wróciłem, ale zaraz przypłynąłem z powrotem. — Wzruszył ramionami. — Brakowało mi komarów.

Nie uśmiechnęła się. Patrzył na nią, przechyliwszy głowę.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Radzimy sobie.

— Miałem nadzieję spotkać cię w Mobile. Jest tam mnóstwo nowych twarzy.

— Teraz mieszkam tutaj.

— Tak słyssałem. Mówili, że ani razu nie odwiedziłaś Mobile. Nie sądziłem, że tak polubisz życie na wsi. — Uśmiechnął się do niej krzywo. — Twój mąż, ten Nadreńczyk, dobrze mu się powodzi?

— Raczej tak. Jak indygo, wydaje się świetnie przystosowany do tego miejsca.

— Nie on jeden. Luizjana ma w sobie coś takiego, co przyciąga ludzi.

Nie odpowiedziała. Rochon westchnął.

— Kiedy ostatnio widziałaś księdza, Elisabeth? — spytał łagodnie. — Albo kogokolwiek innego?

— Dawno temu.

— Więc cieszę się, że przybyłem tu. Wypowiadasz się, ja odprawię mszę i opowiem ci najświeższe miejskie plotki. Żyjesz tu na zupełnym odludziu, Elisabeth.

Nie odpowiedziała.

— Zdziwiłem się, że Mobile się przeniosło — kontynuował weselszym tonem. — Myślałem, że jego nazwa to ironia*.

* „Mobile” w wielu językach oznacza „ruchomy”.

Spojrzała na niego. Cały czas uśmiechał się krzywo, ale bardzo czule.

— Była powódź — wymamrotała. — Wkrótce po ojca wyjeździe.

— Powiedzieli mi. — Rochon pokręcił głową. — Wiesz, że ziemia w tym nowym miejscu to sam piach? Znow udało im się osiedlić tam, gdzie nic nie urośnie.

— Naturalnie. Gdyby gleba była urodzajna, ludzie z Mobile musieliby ją uprawiać. Mniej jest zachodu z narzekaniem na niesprawiedliwość i czekaniem na białą mąkę z Francji.

Jezuita się roześmiał.

— Moja droga Elisabeth, tak się cieszę, że cię widzę. Brakowało mi naszej przyjaźni.

— Zostaniecie długo? — spytała, przełykając kulę, która nagle urosła jej w gardle.

— Trzy lub cztery dni. Jeśli możemy cię prosić o tak wiele.

— Będzie mi bardzo miło.

— Mnie też.

Ruszyli razem w stronę chaty.

— Wiesz, nie tylko ty mnie tu ściągnęłaś — wyznał Rochon.

— Cały czas od wyjazdu z Francji pocieszałem się myślą o kuchni Jeanne.

— Więc się ojciec rozczaruje. Jeanne tu nie ma.

— Nie?

— Mój mąż ją odesłał.

— Może to i lepiej.

— Nie zrozumiał ojciec. Dziewczynka jest chora i mąż bał się, że... ja sama oczekuję dziecka od kilku miesięcy, więc ją odesłał.

— Dziecka? Chwalić Boga!

— Błagałam, żeby pozwolił jej zostać, błagałam, ale nie słuchał. Nie powinna podróżować, jest za słaba, a Bayagoulasowie to nie jej lud. Jak ma wyzdrowieć wśród obcych? — Jej głos się załamał.

Rochon delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

— Jest z nią matka, będzie o nią dbać. A twój mąż ma rację, że dmucha na zimne, choć w głębi duszy nie podoba mi się jego decyzja. Musisz myśleć o swoim dziecku.

— Ale była chora już kilka tygodni. Och, ojczy, a co, jeśli umrze? Co, jeśli umrze?

— Jest ochrzczona, Elisabeth. Guichard tego dopilnował. Kiedy nadejdzie jej czas, pójdzie do nieba.

Ramiona Elisabeth opadły.

— Nie może umrzeć — wyszeptwała. — Tylko ona mi po nim została.

— Więc czas, by pozwolić jej odejść, żywej czy nie.

Wieczorem zjedli pieczoną sarninę z plackami kukurydzianymi, a Rochon wypił sporo kukurydzianego piwa Jeanne i opowiadał o swych nieudanych próbach powrotu do życia prowincjonalnego księdza we Francji. Elisabeth zapomniała, jak zaraźliwy mógł być jego śmiech. Nawet Fuerst, zmęczony i poirytowany niespodziewanymi gośćmi, trochę się odprężył, gdyż dowcip jezuita i nieprzemijający dobry nastrój wymusiły na nim coś w rodzaju powściągliwej tolerancji. Gdy jednak zakonnik przeszedł do relacji z sytuacji na wybrzeżu, ton jego głosu stał się niezwykle poważny.

W efekcie zobowiązania pana Lawa do powiększenia kolonii plądrował on ulice już nie tylko Paryża, ale Lyonu, Rochefortu, Orleanu i Bayonne, ładując swe „zdobycze” na zatłoczone statki. Zamęt na wyspie Dauphin był nie do opisanego. Dostępne zakwaterowanie było żałośnie niewystarczające — ściany z byle jak ułożonych kamieni przykryte dachem z palmowych liści. Setki głodnych ludzi domagały się jedzenia, a często i tak już skromne środki były przechwytywane przez zorganizowane grupy przestępcze albo żołnierzy z garnizonu. Na tutejszym piasku nie dało

się niczego uprawiać. Kto wybrał się łowić ostrygi niedaleko brzegu, wracał spalony i wycieńczony palącym słońcem. Większość chorowała; wielu zmarło. Mnożyły się szczury, które ogryzały nawet drewniane części muszkietów. I tak tam wegetowali; uprowadzeni, przybici okolicznościami albo po prostu zdesperowani, głodujący i cierpiący, gdyż brakowało łodzi mogących przetransportować ich dalej. Nie sposób było wyobrazić sobie, co się stanie z nadejściem zimy.

— Pan Law to szarlatan — orzekł Fuerst — albo głupiec. Czy nie rozumie, że jeśli mamy coś stworzyć z tego miejsca, potrzebujemy niewolników, nie przestępców?

— Przestępca też ma ręce — zauważył Rochon. — Może pracować.

— Tylko że wyżywienie go kosztuje więcej niż zysk z jego pracy. Z kamieni nie robi się złota.

— To prawda. Ale jeśli masz kilka kilofów, wykujesz złoto ze skały.

— Jeśli Law chce traktować Luizjanę jak kopalnię, to niech tu przyśle górników. Nie jesteśmy wysypiskiem, na które może wyrzucać wszystkie francuskie odpadki.

— Ci ludzie uniknęli szubienicy. Wdzięczny człowiek to dobry pracownik.

— A złodziej to złodziej. — Fuerst odsunął talerz i sięgnął po fajkę. Skinął głową w stronę Elisabeth, która wstała, by zebrać brudne talerze.

Rochon przyglądał się jej, popijając piwo.

— Co jeszcze mógłbym wam powiedzieć? Trwa wojna z Hiszpanią, fort w Pensacoli należy znów do Francji. Twoja stara znajoma, Renée Gilbert, wyszła trzeci raz za mąż, za kupca Trégona.

Elisabeth nie przepadała za małą Renée Gilbert i jej przekrzywioną brodą, gdy spoglądała na swego wysokiego kanoniera. Już

dawno nie żył, podobnie jak jej drugi mąż. Lata ciężkiej pracy i niedojadania posrebrzyły gęste, brązowe włosy Renée i nadały jej szczęce wyraz niezłomnej zaciętości. Powinna być szczęśliwa z Zachariaszem Trégonem. Dobrze prosperujący kupiec, nieomylny w interesach.

— Burelle przesyła pozdrowienia — ciągnął Rochon. — Wreszcie przywrócono mu licencję na prowadzenie tawerny i ma mnóstwo wnuków, wszystkie zdrowe dzięki mocnemu piwu dziadka. Co jeszcze dziwniejsze, wydaje się, że ta nauczycielka porzuciła wreszcie nadzieje na poślubienie dowódcy. Twierdzi, że niedomaga, i żąda wysokiej renty i powrotu do Francji.

— Mój Boże — westchnęła Elisabeth sucho, podnosząc kubek z piwem. — Jak dzieci w kolonii poradzą sobie bez niej?

— Z pewnością nie uda się szybko znaleźć podobnej do niej.

Uśmiechnęli się. Elisabeth napełniła kubek Rochona i podała dzban mężowi.

— Muszę zajrzeć do Murzynów — mruknął Fuerst, marszcząc czoło. — Myślałem, że zakonnikom nie wolno pić piwa.

— Niektórzy zaiste wolą go unikać — zgodził się Rochon. — Ale Pan jest łaskawy. Ma mój ślub czystości i nie wymaga ode mnie jeszcze trzeźwości. W każdym razie nie codziennie.

Fuerst się skrzywił.

— Nie będę długo. Kiedy wrócę, chciałbym się położyć.

Elisabeth bez słowa wzięła talerze i wystawiła je na ganek. Zmierzch gęstniał od chmur kęsających owadów i postać jej męża mijającego pustą chatkę Jeanne była ledwo widoczna. Szybko zamknęła drzwi.

— Wybaczcie nieuprzejmość mego męża — powiedziała, odwracając się do Rochona. — Nie jest przyzwyczajony do gości.

— To ja powinienem przeprosić. Mam zbyt ostry język.

— Nie dla mnie.

— Nie. Nie dla ciebie.

W chacie zrobiło się ciemno. Elisabeth sięgnęła na półkę po kaganek.

— Zaraz wrócę — powiedziała.

— Chwileczkę, chciałbym z tobą porozmawiać o Guichardzie. Czy już przyjechał?

Elisabeth prawie upuściła kaganek.

— Czy przyjechał? Nie, oczywiście, że nie. Po co miałby tu przyjeżdżać?

— Nie słyszałaś?

— O czym?

— Że Guichard się wreszcie ożenił.

Elisabeth postawiła kaganek. Podstawa zagrzechotała o blat stołu.

— Ożenił się?

— Tak.

— Nie z tą czarnowłosą córką le Caena?

— Nie, nie z nią.

— Więc z kim?

Rochon się zawahał.

— No?

Jezuita westchnął, rozpościerając palce na stole.

— Pan de Chesse przed śmiercią zamierzał się ożenić, jak może wiesz. Zaaranżował małżeństwo z panną, która miała przyjechać do niego z Paryża. W kontrakcie ślubnym uczynił ją jedyną spadkobierczynią w razie jego śmierci.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego z Auguste'em.

— Ta kobieta jest teraz w Luizjanie. Wyszła za Guicharda.

Elisabeth wpatrywała się w niego.

— Elisabeth, August Guichard jest twoim nowym panem.

— Nie.

— Tak.

- Ale on tu nigdy nie przyjedzie. Nie tutaj.
- Przeciwnie, właśnie zrezygnował z pracy dla Kompanii. Ma tu przyjechać i zamieszkać na stałe.
- Nie! — Elisabeth patrzyła na Rochona dzikim wzrokiem.
- Niemożliwe. Przecież dał mi słowo.
- Ale jednak przyjeżdża.
- Kto przyjeżdża? — Fuerst stał w drzwiach z zapaloną pochodnią.

Płomień oświetlał jego twarz na pomarańczowo; wyglądał jak dzikus. Elisabeth zakryła twarz dłońmi.

— Herr Fuerst — powiedział łagodnie jezuita — ufam, że wszystko w porządku?

— To do oświetlenia drogi. Dobranoc, ojcie. — Fuerst wręczył mu pochodnię.

— Tak, tak, oczywiście. Dobranoc wam obojgu. Dziękuję za pyszną kolację. Jestem niezmiernie wdzięczny za waszą uprzejmość.

Zakonnik wstał. Obchodząc stół, zatrzymał się na chwilę za krzesłem Elisabeth. Nie podniosła wzroku, gdy leciutko położył dłoń na jej głowie.

— Niech Pan wam błogosławi, tej nocy i zawsze. Mogę?

Zakonnik wziął pochodnię od Fuersta i zapalił od niej kaganek, napełniając izbę przydymionym żółtym światłem. Kiedy podszedł do drzwi, Fuerst stał w nich z szeroko rozstawionymi nogami, blokując przejście. Potem się odsunął i jezuita, niosąc pochodnię, wyszedł w rozbrzmiewającą rechotem żab noc.

— Przebiegły sukinsyn — mruknął Fuerst, ściągając buty. Elisabeth nie zareagowała.

— Kto przyjeżdża? Ten klecha mówił, że ktoś przyjeżdża.

— Tak.

— Kto?

— Mamy nowego pana.

— Kiedy?

— Ja... nie wiem, nie słuchałam.

Fuerst spojrział na nią i kiwnął głową.

— Do łóżka — zakomenderował. — Jestem wykończony.

Elisabeth wpatrywała się w kaganek, gdy jej mąż chodził po pokoju. Knot był niedbale przycięty, więc palił się szybko i mocno, pryskając wokół bawolim tłuszczem, aż parzyło jej ręce. Usłyszała skrzypienie łóżka.

— Elisabeth! — zawołał, ziewając. — Chodź!

Elisabeth wstała powoli. Plecy i ramiona bolały ją ze zmęczenia. Zanim rozsznurowała gorset, Fuerst spał, pochrapując przez rozchyłone usta. Osłaniając dłonią płomień, zdmuchnęła kaganek.

Łóżko było zawilgocone i śmierdziało potem oraz pleśniejącym mchem. Fuerst chrapał coraz głośniej. Położyła się na boku, potem na drugim, ale nie mogła zasnąć. Myślała o Marguerite, z poszarzałą skórą i oczami błyszczącymi w gorączce, bez której jakby skończyło się dla niej życie. I o Auguste Guichardzie, który kiedyś ją kochał, a teraz był jej panem, o mężczyźnie, którego miała nadzieję nigdy już nie spotkać, bo jego obecność byłaby nie do zniesienia. To na pewno nieporozumienie, mówiła sobie. Rochon źle zinterpretował intencje Auguste'a. August nie przyjechałby tu, wiedział przecież, że ona tu była, a czyż jej obecność nie była tak samo nieznośna dla niego? Nie wybaczyłby jej, nie łudziła się i wcale tego nie chciała. Chciała tylko, żeby zniknął, żeby mogła żyć tu dalej, starać się żyć dalej.

Nie przyjedzie. Gdyby przyjechał, czy którekolwiek z nich mogłoby udawać, że zapomnieli? Elisabeth usiadła i w mroku strach zalał jej ciało falą nudności. Czy przyjeżdżał po to, żeby właśnie zmusić ją do pamiętania?

No, jak tam życie małżeńskie?

— Trudno powiedzieć.

— Nie bój się. Jeszcze masz tyle czasu, że ci się znudzi.

— Będę trzymał kciuki.

— Jak do tej pory, zdaje się, że szczęście ci sprzyja. —

De Bienville pokiwał głową. — Chciałbym, żeby Kompania przysłała nam więcej takich panien jak le Vannes. Prostytutki, które tu lądują, nie nadają się na żony bardziej niż mordercy i złodzieje na żołnierzy.

Auguste się nie odezwał. Dowódca nie był nigdy żonaty, choć oczywiście składano mu propozycje. Było więc naturalnie wiele plotek, niektóre wzajemnie się wykluczające. Kilka lat temu doszło w Mobile do skandalu, kiedy ksiądz nie zgodził się, by zarządca został ojcem chrzestnym z powodu rzekomych nieprzyzwoitości, jakich miał się dopuszczać z francuską pokojówką. Auguste pamiętał, że była dość ładna. Chociaż to ksiądz wyszedł z całej sprawy z bardziej nadszarpniętą reputacją, nie pomogło to de Bienville'owi poprawić swoich notowań na dworze w Wersalu. Pięć lat uległości pod rządami pechowego de Cadillaca było surową karą. Odkąd wreszcie odzyskał stanowisko, de Bienville zaprzestał swych podbojów albo był ostrożniejszy.

— Oczywiście pisałem do Paryża, ale równie dobrze mógłbym pisać do samego siebie — ciągnął de Bienville. — Strasz-

liwy pan Law wydaje się nie rozumieć, że nie zrobię solidnych kolonistów z szalejących awanturników, którzy uganiają się za indiańskimi dziewczuchami.

— Żona nie zawsze oznacza, że to się skończy.

De Bienville potarł dłońmi uda i wstał.

— Więc jak ci się podoba Nowy Orlean? — spytał. — Roi się tam od przemytników morskich, ale przynajmniej ci ludzie są zdolni do jakiejś aktywności.

August się rozejrzył. Na urwisku wznoszącym się nad szerokim, żółtym zakolem rzeki około sześćdziesięciu mężczyzn zajmowało się pracą. W powietrzu dźwięczały ich nawoływania oraz dzwonienie siekier i młotów. Duża część terenu była już wykarczowana i dookoła centralnego placu wydzielono może sto prostokątnych działek. Na wielu stały już chaty. W tylnej części znajdowały się dwa duże drewniane magazyny i niski, długi budynek pokryty liśćmi palmowymi, który służył za koszary. Wszędzie wznosiły się budowle w różnym stadium zaawansowania. Świeżo wykopane rowy zieleńły się od odrastających roślin, wypełnione śmieciami przemieszanych z połamanymi gałęziami, wachlarzami liści palm i karpowiną wydobytą z poszycia.

Mimo to las kontratakował. Odwieczne drzewa stały nadal pokryte grubą warstwą mchu. Za karczowanym urwiskiem, gdzie teren schodził ku rzece, mokradła porośnięte cyprysami i trzcina rozpierały się wzdłuż brzegów i sterczały pod niskim, ciężkim niebem. Powietrze było gęste i ciężkie, pełne fetoru rzeki.

— Nie wyleje? — spytał.

— Rany boskie, człowieku, mówisz jak ci głupcy w Paryżu. Czy ludzie nie umieją radzić sobie z rzeką? Wiadomo, że nie da się rządzić Luizjaną bez ujarznienia Missisipi, a tu mamy naturalną przystań, wystarczająco głęboką na największe statki. Kiedy zbuduje się nabrzeże, Nowy Orlean rzuci wyzwanie

największym portom świata. Szału można dostać, że tego nie rozumieją, wola, żebym w kółko podróżował z Mobile. Powinniśmy byli przenieść tu stolicę wiele miesięcy temu.

— Jeszcze masz tyle czasu, że ci się znudzi, panie.

De Bienville się roześmiał.

— Jeśli to posiadanie żony tak wyostrza ci dowcip, to może powinienem się cieszyć, że nie ma ich tu więcej.

Dwaj mężczyźni szli razem wzdłuż urwiska. Szeroka rzeka pod nimi toczyła obojętnie swe wody. Małe żółte fale pojawiały się na powierzchni jak nastawione uszy.

— Plantacja królewska będzie dokładnie tu. — De Bienville wskazał przeciwległy brzeg.

— Dobre miejsce.

— W istocie. A jak twoje?

— Mojej żony.

— Czyli twoje. Jak ci się podoba?

— Jeszcze tam nie byłem.

— Przecież to tylko kilka dni drogi stąd. Z pewnością...

— Pojadę, panie.

Mężczyźni zatrzymali się, patrząc na rzekę.

— Masz moje słowo — dodał August.

De Bienville westchnął.

— Wiesz, jeszcze nie jest po wszystkim — powiedziała. — Komisarz ma wysłać kolejny raport.

— < Komisarz o niczym nie wie.

— Może i nie, ale jak każdy człowiek na nieodpowiednim dla siebie stanowisku, nienawidzi swych przełożonych. Wbiły mi nóż w plecy ot tak, dla kaprysu. Poza tym ludzie w Mobile mają dobrą pamięć i są porywczy.

— Wszystko to tylko plotki i insynuacje.

— A od kiedy to nie wystarczy?

August nie odpowiedział. De Bienville westchnął ponownie.

— Ziemia, którą miałeś otrzymać, będzie należeć do kuzyna komisarza — powiedział.

— Tak słyszałem.

— Zawsze wiernie służyłeś Luizjanie, Guichard. Nie zapomniano o tym.

— Może gdyby zapomniano, byłoby lepiej dla nas wszystkich.

Dowódca położył dłoń na ramieniu młodszego mężczyzny.

— Pewnym pocieszeniem niech ci będzie fakt, że plantacja de Chessea warta jest każdej żony — rzekł. — Masz szczęście, że ten Nadreńczyk Fuerst pracuje dla ciebie. Niewielu pracowałoby tak jak on bez pana i jego bata. Indygo to była rozważna decyzja. Czy on przypadkiem nie jest mężem...?

— Tak. Tak, jest.

— Co za ironia, w tych okolicznościach. Ale doświadczona kobieta pewnie będzie wsparciem dla twojej żony, zwłaszcza na początku. — De Bienville wsadził ręce do kieszeni. — Wydano nowy edykt zabraniający królewskim zarządom posiadania plantacji. Wiedziałeś o tym? Kiedy wreszcie przyznano mi tytuł, muszę sprzedać ziemię, które dostałem z tego samego powodu. Mogę mieć tylko tyle ziemi, ile trzeba na ogród warzywny.

— To trochę niesprawiedliwe, panie.

— Trochę? Na szczęście uważam, że warzywa są niezbędne dla zdrowia. Czterdzieści cztery akry powinny wystarczyć, jak sądzisz?

— Czy to nie sprowokuje komisarza?

— Oczywiście, że sprowokuje. Wszystko, co robię, jest dla niego prowokacją. Nie patrz tak na mnie, Guichard. Traktuj komisarza jak komara; nie ma co zwracać na niego uwagi, jeśli się chce tu cokolwiek osiągnąć. To mój kraj, do cholery! Poświęciłem życie temu miejscu i wreszcie zaczynam coś z tego mieć. Nie pozwolę, żeby jakiś biurokrata-liczykrupa stał mi na zawadzie.

Następnego ranka August wszedł na statek Kompanii udający się na wybrzeże. W kieszeni miał papierowe certyfikaty pieniężne, które mu siłą wpełchnął zarządca, i kilka listów do fortu w Mobile.

Lato zbliżało się ku końcowi. W prowizorycznym doku obok statku ładowano zapasy na kilka piróg. Łodzie niedbale wycięte z pni drzewnych kołysały się na wodzie, wyładowane belami płótna żaglowego związanymi linami. Auguste'owi przypomniała się kołyska zwana przez Ouma *ullosi afohka*, naczynie na niemowlę — wygięty kawał kory wyścielony hiszpańskim mchem, z którego dziecko wyglądało na świat jak jeszcze nieprzepoczwarzony motyl, owinięty w brązowy kokon. Dziecko spędzało w takiej kołysce cały pierwszy rok życia, na plecach matki lub oparte o drzewo, by lepiej widzieć świat.

Jeanne nie zrobiła kołyski dla swojego dziecka, tylko przywiązywała je do ciała pasami płótna. Często nosiła je po prostu w ramionach, obejmując dłońią małą główkę jak orzech. Zrozumiał wtedy, że jak matka jest całym światem niemowlęcia, tak dziecko może się stać ziemią, niebem i wioską dla swojej matki.

Statek wreszcie był załadowany i gotowy do wypłynięcia. Wykrzyczano rozkazy, liny zapiszczały w drewnianych bloczkach, żagle zatrzęszczały, chwytając lekką bryzę, gdy statek kierował się ku szybkiemu nurtowi na środku rzeki, a żółta woda oblewała spiralami jego dziób. Murzyn w podartej koszuli przeszedł obok Auguste'a, ciągnąc linę zwiniętą u jego stóp. August nie poruszył się; wiedział z doświadczenia, że gdzie by nie stanął na pokładzie, zawsze będzie komuś przeszkadzał. Skrzyżował więc ramiona na piersi, patrząc, jak budowana osada znika z oczu i widać już tylko las. Po obu stronach rzeki zwarta masa drzew rysowała się czarno na tle siniego nieba. Bagno łączyło się z wodą, sięgając aż do statku, za którym płynęły w kipieli całe pnie drzew, wznosząc swe połamane gałęzie w niemej prośbie.

Naprawdę miał zamiar pojechać. Wysłał Fuerstowi wiadomość przez jezuitę, by się go spodziewał. Napisał, że chce obejrzeć posiadłość, stwierdzić, jakie narzędzia są potrzebne do jej dalszego rozwoju oraz do budowy domu dla niego i jego świeżo poślubionej żony. Zapewnił Fuersta, że dochodzą do niego wyłącznie pochwały na temat jego wysiłku wkładanego w plantację i że bardzo chce się z nim spotkać. Tymczasem prosił, aby Nadreńczyk był uprzejmy przekazać gorące pozdrowienia swojej żonie, Elisabeth. Ma nadzieję, że jest zdrowa, i byłby szczęśliwy, mogąc odnowić znajomość.

Prosiła, by się już nigdy nie spotkali, a on skłonił głowę i dał jej słowo. Było to bolesne, ale także przyniosło ulgę. Nie wspomniała o liście. Może powinien był poprosić, by mu go zwróciła lub zniszczyła, ale nie zrobił tego. Chciał, by go miała. List należał do niej, jak ostrze, które można wyciągnąć z pochwy, kiedy cierpienie nie wystarczało, by ugasić gniew czy przynajmniej zrozumieć jego bezsens. Postrzegał to jako rodzaj sprawiedliwości, by miała do dyspozycji możliwość zemścić się i by stale prześladował go cień tej możliwości. Straciła męża i dziecko. Nie miała nic innego, co mogłaby przeciwstawić straszliwej pustce swojego smutku.

A teraz August złamie dane słowo i nie było na to rady. Nie mógł dalej żyć, nie wiedząc. Jednak gdy nadszedł ten dzień, poinformował ludzi, że jadą bezpośrednio do Nowego Orleanu, a stamtąd z powrotem do Mobile. Mężczyźni żartowali z jego pośpiechu i pozwalali sobie na mało wyrafinowane uwagi o apetytach świeżo upieczonych małżonków, ale byli zadowoleni, że jadą na południe. W Nowym Orleanie kościół był nadal tylko drewnianym rusztowaniem na kawałku ziemi, ale prostytutki już oferowały swoje usługi, a naprędce sklecone tawerny wyrastały jak grzyby po deszczu.

— No, dalej, Guichard, powiedz nam. Jaka jest?

August wpatrywał się w żołnierza. Widzisz ją, chciał powiedzieć, z lekko odchyłoną głową i ciemnymi włosami spiętymi pod czepkiem? Jest uczciwa, odważna, czuła, waleczna i całkowicie pozbawiona próżności. Jest wykształcona, czyta książki i zawsze chce wiedzieć więcej. Gdy się na czymś skupia, wsuwa koniuszek różowego języka między zęby, a między jej brwiami pojawia się zmarszczka w kształcie litery V. Płacze cicho, ściskając dłonie w pięści. Ale kiedy spojrzy na ciebie, kąciki unoszą się w uśmiechu, a cynamonowe oczy łagodnieją, wtedy świat zaczyna się chwiać i musisz trzymać się z całej siły, by nie upaść.

Tylko że ona nie patrzy tak na mnie. Jej oczy są martwe i martwe jest wszystko, co było w niej łagodne, odważne i ciekawe. Przeze mnie. Bo zamordowałem jej męża.

— Popatrzcie na niego, ale mu się oczy zamgliły! A już myślałem, że staje mu tylko przy tych jego dziwacznych roślinkach.

— Dawaj, Guichard. Musi coś mieć, że cię tak wzięło!

— W Luizjanie? Tu wystarczy, że dziewczucha oddycha i się uśmiecha.

— Żona Guicharda ma nie tylko uśmiech, wierz mi.

— Cycki, że jezuita by błagał o litość.

— To jak jest, Guichard? Są tak dobre, na jakie wyglądają?

— Zostawcie go w spokoju, dopiero co się ożenił.

— I dupczy za darmo, czego nie da się powiedzieć o nas. Czemu mamy mu dać spokój? — Najbliżej siedzący mężczyzna szturchnął Auguste'a mocno łokciem w żebra.

August wstał i odszedł.

— Nie powinniście mówić w ten sposób o mojej żonie — mruknął.

— Nie mówilibyśmy, gdybyś kiedyś sam coś o niej opowiedział!

Mężczyźni się roześmiali. August wpatrywał się w rzekę. Jego żona. Silił się, by przywołać jej obraz, kształt twarzy, kolor oczu, dotyk ciała pod jego dłońmi, ale jego myśli były zamglone i nieposłuszne. Ostro rozkazał ludziom zebrać obóz i załadować łodzie. Zaraz płyną na południe. Sam się zmusił, by doglądać właściwego załadunku zapasów. Źle ułożone mogłyby zamoknąć i się zepsuć.

— Do pierwszej pirogi — nakazał mocno zbudowanemu mężczyźnie zwanemu Le Fut. — Z przodu, na dziobie.

Le Fut zrobił, jak mu kazano, i wyprostował się, ocierając czoło rękawem.

— Żonaty, co? Słodki Jezu, szczęśliwy z pana sukinkot, nie ma co.

— Czyżby?

— Niewdzięczny dureń. Lepiej niech pan uważa. Kobietom potrzeba czegoś więcej, żeby były słodkie.

— Tak?

— Zapamiętaj pan moje słowa. Na początku wszystkie cię kochają, ale poczekaj pan tylko. Tylko poczekaj.

— Na litość boską! — krzyknął August i uderzył Le Futa pięścią w twarz.

Wszyscy w obozie podnieśli głowy. Le Fut zatoczył się w tył i ciężko upadł na pirogę. Z nosa popłynęła krew. August stał przez chwilę, oddychając urywanie, z wciąż podniesionymi pięściami. Potem opuścił ręce, odwrócił się i odszedł w stronę lasu.

Nie sposób było w Mobile być mężatką i unikać towarzystwa. Pan Law przekonał paryskie gazety, że port w Luizjanie był miasteczkiem z ponad dwoma tysiącami mieszkańców, ale prawda była taka, że od ponad dwunastu lat miejsce to zamieszkiwało mniej niż dwieście dusz, nawet wliczając w to garnizon, i choć się rozrosło pięciokrotnie, nadal wszyscy się w nim znali. Mieszkańcy Mobile, mieszczenie, kupcy, urzędnicy i właściciele tawern mieli we krwi wścibstwo, które zwali „przyjaznymi stosunkami z sąsiadami”.

Vincente le Vannes, wreszcie zamężna i pani we własnym domu, została opadnięta przez kobiety uchodzące w Luizjanie za szacowne damy. Tak jak Luizjana nie miała nic wspólnego z Paryżem, tak te proste kobiety o szorstkich dłoniach i jeszcze bardziej szorstkim poczuciu humoru nie były w niczym podobne do dam znanych Vincente we Francji. Były niechlujnymi, bezbożnymi ignorantkami. Żadna nie znała nawet dziesięciu słów z Biblii. Przerazały ją, ale jeszcze bardziej przerażała ją perspektywa wyizolowania.

Nigdy nie lubiła być sama; towarzystwo innych było lustrem, w którym się przeglądała, nie tyle z próżności, ile dla poczucia bezpieczeństwa. Jeśli ją widzą, to znaczy, że istnieje. Zaskakiwała ją fizyczność innych ludzi, ich podniesione głosy, ciężkie kroki, intensywna woń. Nawet zakonnice w swoich habitach istniały

z niezbitą pewnością, której mimo bolesnych wysiłków nie była w stanie naśladować. Bała się, że gdyby odebrano jej dowód istnienia w postaci odbicia w innych ludziach, zaczęłaby powoli znikać.

Kobiety w Mobile nie były dobrymi zwierciadłami, ale lepsze to niż brak jakiegokolwiek zwierciadła. Mówiły po francusku i rozumiały jej problemy. Pocieszało ją ich nieskrywane zainteresowanie jej osobą oraz akceptacja jej zniechęcenia i czarnych myśli. Wszystkie były zrozpaczone po przyjeździe, jak jej powiedziały. Przywyknie, tak jak przywyknie do małżeństwa. Była to kwestia ułożenia spraw, by wychodziły ci na korzyść.

Kobiety były tak chętne do pouczenia, jak Vincente do nauki. Pod ich kuratelą dowiedziała się, które rodziny w mieście są przyzwoite i porządne, gdzie znajdzie niegodnych zaufania dzikich handlarzy i co robić z płótnem, żeby nie pleśniało. Burrelle, właściciel tawerny, zawsze wynajdzie trochę białej mąki, nawet przy pustych magazynach. Można skinąć głową kobiecie z plemienia Taensa, która była matką dzieci kupca Charly'ego, ale z żoną cieśli, pochodzącą z Alabamów, lepiej nie mieć nic wspólnego. Powiedziały jej też, że przez sprowadzanie prostytutek i przestępców z Francji miasto nie było już tym, czym kiedyś — wzorem rygorystycznie przestrzeganych nakazów przyzwoitości.

— Musisz być na mszy przynajmniej jedną niedzielę w miesiącu — pouczyła ją Gabrielle Borret. — Trzeba być przykładem dla tych rozpustników, którzy nie odróżniają kościoła od kawałka sera.

W Paryżu, pomyślała Vincente, odpowiedziałyby na tak bezbożną propozycję, cytując wszystkie biblijne przypowieści i psalmy. Teraz tylko przytaknęła, prześlizgując wzrokiem po twarzy Perrine Roussel i innych kobiet, czy sobie z niej nie dworują. Wciąż piekły ją uszy na wspomnienie dnia, w którym zszokowana

niegodziwościami obojętnego na grzech duszpasterza, zwróciła się do żon, aby pomogły jej pokonać straszliwe królestwo szatana w Nowym Świecie. Nie westchnęły z powagą, jak oczekiwała, ani nie zawrzały słusznym gniewem; patrzyły na siebie, wciągając policzki, jakby im przykręcono śrubę w szczęce, a potem wybuchły śmiechem. Zawstydziała się i uciekła.

Później przyszła do niej Renée Gilbert.

— Ma pani sarkastyczne poczucie humoru — rzekła cicho starsza kobieta — ale wolałybyśmy, żeby powstrzymała się pani od takich dowcipów. Życie w Mobile jest wystarczająco trudne, żeby jeszcze święci wtykali nam swoje kościste palce w żebra, nawet w żartach.

Przez dwa dni Vincente nie wychodziła z domu, czytając Biblię, klęcząc i modląc się ze złożonymi dłońmi. Drzazgi podłogi zaczepiały jej spódnice, wrywając w nich dziury. Pomyślała o szorstkim, szmacianym dywaniku, który uparła się mieć w swojej sypialni na poddaszu przy rue Royale, i o jedwabnym dywanie z delikatnymi wzorami, który był za duży do saloniku matki. Na trzeci dzień wstała, umyła twarz i poszła spotkać się z kobietami na targu.

Nie wiedziała, jak by sobie poradziła bez ich instrukcji. Pokazały jej, jak się robi knoty do kaganków ze skręconego włókna mlecza, szczotki i miotły z kaczanów kukurydzy i chwastów o sztywnych łodygach, mydło z mieszanki ługu i bizoniego sadła. Nauczyły, że pasta z rdzenia drzewa sasafrzanu świetnie koi zaczerwienienie i obrzęk oczu, a wdychanie dymu palonych liści bielunia łagodzi ucisk w piersiach. Doradzały, jak w najlepszy sposób uchronić mięso oraz niewolników od zepsucia. Dowiedziała się, jakie produkty, których stale brakowało, można było zawsze zdobyć za pewną cenę oraz że kobiety z Mobile mogły się żywić wyłącznie papką kukurydzianą, ale kiedy do portu zawijał

statek z Francji, zrobiłyby wszystko, by wejść w posiadanie nowej mufki czy nowego kołnierza.

Nabożnie wzdychały nad jej wyprawą, gdy obszyty koronką jedwab prześlizgiwał się im przez palce jak pienista woda. Vincente, która w Paryżu stała z zaciśniętymi szczękami i ani słowem nie pochwaliła krawcowej upinającej na niej suknię, teraz już nie nienawidziła swoich strojów z takim zapamiętaniem. Czasami nocą, gdy była sama, rozkładała pelerynki, koszule, halki i płaszcze na łożku. Ciężki jedwab lśnił i był chłodny w dotyku, wciąż rozbrzmiewając aprobującymi pomrukami kobiet.

Była mężatką już prawie miesiąc, gdy wybrała się z Germaine Vessaille do wdowy Freval. Germaine, żona rusznikarza Jacques'a le Bruna, była miłą, uśmiechniętą, roztargnioną matką gromadki dzieci. Kilka dni później Vincente odwiedziła ją sama i przy wrzasku gromadki o lepkich rączkach spytała nieśmiało, czy nie chciałaby koronkowej apaszki, która Vincente nie była przydatna. Germaine, ciągnięta za spódnicę przez jedno z dzieci, nic nie powiedziała, tylko głośno wciągnęła powietrze i przycisnęła dłoń do ust. Vincente zrobiło się tak miło, że aż się zaróżowiła.

Anne Negrette, żona Kanadyjczyka zwanego Le Grand, pierwsza zaczęła wypytywać Vincente o męża. Wcześniej rano kobiety czekały przed obskurną piekarnią, by otwarto okiennice.

— No, powiedz — zachęciła Anne, szturchając Vincente ko-szykiem. — Jaki on jest?

Vincente zaczerwieniła się zaskoczona niestosownością pytania.

— Och — wyjąkała. — Z pewnością to przyzwoity mężczyzna.

— Przyzwoity? No, to nam nie wystarczy, droga pani. Prawda, moje panie?

— Ja... jestem pewna, że znacie go lepiej niż ja — powie-

działa zbita z tropu ich śmiechem. — Spędziliśmy razem raptem siedem dni.

— I siedem nocy! — wtrąciła Yvonne Lereg.

Śmiech kobiet wzmógł się.

— I tak uważam, że macie przewagę — wymamrotała Vincente.

— Żadna z tego korzyść — powiedziała Gabrielle Borret.

— Nigdy go tu nie ma, ciągle załatwia jakieś sprawy z dzikimi.

— Dziwne, czyż nie? Wydawałoby się, że nie będzie chciał mieć z nimi do czynienia po tym, jak go potraktowali.

— Ja na jego miejscu nie śmiałabym spojrzeć im w oczy.

— Nie tylko patrzył im w oczy — zachichotała Yvonne Lereg.

— Pamiętacie tę jego niewolnicę?

Zapadła niezręczna cisza.

— No, co? — broniła się Yvonne. — To przecież żadna tajemnica. Rodzice dziecka są wpisani w rejestrze parafialnym, każdy może sobie zobaczyć!

— Tak czy inaczej, twój mąż miał szczęście — odchrząknęła Perrine Roussel. — Gdyby nie nadjechał misjonarz, te diabły by go z pewnością zabiły.

— I uratowano ramię.

— Bogu dzięki. Pamiętacie, że to Le Granda poproszono, żeby mu je odciął, bo myśleli, że już nic się nie da zrobić? — Anne Negrette uśmiechnęła się do Vincente. — Twój mąż miał szczęście, ale mój też. Zawsze mówił, że potrzebowałyby więcej wódki niż Guichard, żeby to zrobić.

Vincente z wdzięcznością oddała uśmiech.

— To były straszne czasy — wzdrygnęła się Gabrielle Borret.

— Nic do jedzenia, rozwścieczeni dzicy. Wszyscy baliśmy się, że zostaniemy wymordowani we własnych łózkach.

— Tyle złych wspomnień! — przytaknęła Perrine Roussel.

— Wciąż prześladowuje mnie obraz Elisabeth Savaret, jak trzyma swoje martwe dziecko.

— Nikt się nie może dziwić, że zwariowała ze smutku — dodała Anne Negrette. Kobiety wymieniły spojrzenia. — Zupełnie oszalała z miłości do tego mężczyzny.

— Była świetną położną — zaprotestowała Anne Conaud.

— Była wariatką! — wybuchła Yvonne, nie będąc już w stanie tłumić frustracji. — I to nie tylko z powodu wiecie czego. Wyobraźcie sobie, że wyszła za mąż za zwykłego robotnika bez jednego sou w kieszeni!

— Może to jej kolejna wielka miłość — skomentowała sucho Anne Negrette.

— Może Vincente nam powie, teraz jest przecież jej panią!

— Tak jest! Vincente, radzę ci, żebyś trzymała ją krótko. Duma i próżność są marnymi pomocnikami.

— O tak, bij ją często, bij! — zaśmiała się Yvonne, trącąc Vincente koszykiem.

— Biedna Vincente nie ma pojęcia, o czym rozmawiamy!

— Elisabeth Savaret przypłynęła na „Pelicanie” z Perrine — wyjaśniła Gabrielle Borret.

— I od początku były z nią kłopoty. Jej pierwszy mąż został zamordowany w tajemniczych okolicznościach.

— Anne Negrette, jesteś odrażającą plotkarką!

— Z żalu próbowała popełnić samobójstwo.

— Oczywiście ją odratowano, ale dziecka w jej łonie nie.

— We Francji stanęłaby przed sądem i poszła do więzienia, a tu chodzi wolna!

— A teraz poślubiła nadzorcę pracowników na twojej plantacji. No i jak ci się to podoba?

— Nikt w mieście jej nie lubił.

— Jezuita Rochon był dla niej miły — przypomniała Anne Conaud.

— Tak, miała swoich wielbicieli — zachichotała Yvonne. —
Guichard łąził za nią jak zakochany szczeniak!

Zapadłą ciszę przerwało dopiero uderzenie pięści w okiennicę, która się zacięła.

— No, wreszcie! — ogłosiła rażno Perrine Roussel. — Panie, staśmy w porządnej kolejce, bardzo proszę. Piekarnia otwarta.

Po wyjeździe jezuita upalne dni ciągnęły się w powietrzu gęstym jak błoto. Fuerst wychodził o świcie, a wracał, gdy pierwsze gwiazdy pojawiały się na granatowym niebie. Serce Elisabeth skakało, gdy trzasnęła gałązka albo jakiś cień poruszył się wśród drzew, ale nikt nie przychodził. Krowy w zagrodzie zwieszały głowy, dysząc i kryjąc się w skąpym cieniu. Elisabeth miała w chacie gotowy dzbanek zawsze świeżej wody dla posłańców, ale dopiero po pełni przyszedł dziki z wioski położonej za lasem. Przeszedł przez podwórko i z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu podszedł do Elisabeth. Cofnęła się, wspierając plecy w szorstką ścianę.

— Przynoszę słowo — odezwał się bez uśmiechu łamanym mobiliańskim.

— Dziecko — powiedziała, czując ból w wargach formujących słowo.

— Tak.

Elisabeth spuściła głowę. Chciała zakryć uszy i sięgnąć ku leniwemu niebu, wyrwać palące słońce z korzeniami i cisnąć je z powrotem do poranka.

— Złe duchy odeszły.

Elisabeth odetchnęła tak gwałtownie, że zabrzmiało to niemal jak śmiech. Dziki niezręcznie przekazał resztę wiadomości, pomagając sobie gestami. Dziecko było wciąż słabe i powoli wracało

do zdrowia, nie mogło opuścić wioski, ale gorączka spadła. Duchy śmierci zostały odstraszone. Elisabeth odrzuciła głowę w tył. Czuła wdzięczność gorącą jak południowe słońce.

— Bogu dzięki — wyszeptała.

Trzęsącymi się rękami podała posłańcowi coś do jedzenia i wodę, rozlewając trochę na ubite klepisko. Dziecko w jej brzuchu kopnęło.

— Cicho — mruknęła, przyciskając rękę do wypukłości. — Nie zapomniałam o tobie.

Dziki na podwórku kucał cierpliwie w cieniu. Elisabeth podniosła kubek i znów go postawiła, rozglądając się. Poza stołem z dwiema ławami i skrzynią za drzwiami chata była prawie pusta. Żadnej ozdoby, dywanika na ziemi, plecionego koszyka na stole czy nawet zasłonki w oknie. Nic, co mogłoby utrwalić się w pamięci, czego można by się uchwycić w niepewnych czasach.

Na ścianie za drzwiami wisiała pojedyncza półka. Elisabeth sięgnęła za stary, osmolony czajnik i zniszczoną szczotkę z kaczana kukurydzy i wyjęła tabliczkę Marguerite. Stępiony rysik wisiał na skórzanym pasku, na tabliczce zaś było wypisane starannym dziecięcym pismem:

le beau fils

la belle fille

les beaux enfants.*

Słowa były słabo widoczne na zakurzonej tle. Elisabeth ścisnęła tabliczkę w dłoniach i przypomniała sobie różowy koniusek języka Marguerite między zębami, gdy dziewczynka pisała obce litery, pochylając głowę tak, że kręgi szyjne widać jej było przez skórę. Gorączka spadła. Marguerite będzie żyła.

* Ładny chłopiec, ładna dziewczynka, ładne dzieci (fr.)

— Elisabeth, musisz się na to przygotować. Naprawdę sądzisz, że jego żona pozwoli im zostać?

Elisabeth otrząsnęła się jak pies, ale słowa jezuity wciąż brzmiały w jej uszach. To był ostatni wieczór pobytu Rochona. Mężczyźni jeszcze nie wrócili z pola, a w obejściu cienie wyciągały długie palce po zakurzonej ziemi. Jezuita mówił łagodnie, bez nacisku, jakby tylko przypominał jej o czymś, o czym sama dobrze wiedziała. Szok w jej oczach sprawił, że twarz mu się skurczyła w gwałtownym przyptywie współczucia. Elisabeth odwróciła wzrok.

— To już tyle czasu — powiedziała drżącym głosem. — Sześć lat. Może nawet o tym nie wie.

— W Mobile?

Była rada, że otacza ją cień, a mężczyźni wracający z pola napełniają podwórko hałasem i krzataniną. Następnego ranka, gdy przewodnicy szykowali pirogi, Rochon i Elisabeth poszli aż na skraj pola indygo. Nie rozmawiali wiele, żadne nie chciało przyznać, że czas się pożegnać.

— Wygląda, że będą dobre zbiory — ocenił Rochon, ogarniając wzrokiem morze zieleni.

— Mówi ojciec, jakby wiedział, jak wyglądają dobre zbiory. Rochon się uśmiechnął.

— Bardzo mi smutno cię opuszczać — wymamrotał.

— Nie jestem tego warta — odparła.

Pomyślała o liście, o beczce w składziku na drewno, o truciznie w jej krwi i nagle poczuła ogromną potrzebę opowiedzenia mu o tym.

— Ja też nie. Ale jestem szczęśliwy, że się spotkaliśmy.

— Ojciec, gdybyś wiedział... popełniłam wielkie grzechy.

Słowa czekały w jej ustach i gotowa była wyrzucić je z siebie, przestępując z nogi na nogę z oczami wbitymi w ziemię, ale on

zatrzymał się, wyciągając ramiona i poprosił, by na niego spojrziała.

— Chcesz się wyświadczyć, dziecko?

Spojrziała na jego mądrą, miłą twarz i na zmarszczki wokół ust, na przerwę między brwiami, które w delikatnym, mlecznym świetle wczesnego poranka wydawały się tylko słabymi maźnięciami, i potrząsnęła głową. Kilka godzin później Rochon odpłynął.

— Bądź silna, Elisabeth — powiedział, kiedy się żegnali. — Pomyśl o swoim mężu, o dziecku, które nosisz w łonie. Pomyśl o Marguerite.

Elisabeth wpatrywała się w tabliczkę. Potem chwyciła rysik, przekreśliła zdecydowaną linią pierwszą i trzecią linijkę, a na dole napisała pośpiesznie drukowanymi literami: *RENTREZ VITE. LES LÉZARDS MANQUENT NOTRES COURS*. Położyła na tabliczce kawałek zimnej pieczonej dyni oraz kukurydzianego chleba i wraz z wodą zaniósła dzikusowi czekającemu na podwórku. Młodzieniec jadł i pił wolno, przykucnięty w cieniu. Kiedy podała mu tabliczkę, jego palce zostawiły ciemne ślady na zakurzonej powierzchni.

— Zanieś to dziewczynce — powiedziała Elisabeth swoim łamanym mobiliańskim.

Potaknął, najwyraźniej chcąc już iść; mięśnie jego nóg drgały jak u jelenia. Był w połowie podwórka, kiedy Elisabeth przywołała go z powrotem. Trzymała w ręce szpilkę do włosów, którą wpięła w skórzany pasek przytrzymujący rysik, upewniając się, że supeł trzyma mocno.

— Szczęśliwej drogi — mruknęła po francusku.

Kosmyk jej włosów wysunął się i opadł nieprzytrzymywany spinką.

To Rochon namówił ją, by sprzedała niewolnicę. Jej mąż był pochowany, ciało oddał ziemi, a duszę Bogu i co się stało, to się nie odstanie. Musiała myśleć o swoim nienarodzonym dziecku. Obecność Okatomih oraz jej nabrzmiewający brzuch nie złagodzają jej cierpienia; nie ma po co jej trzymać. Zresztą w mieście był kupiec, który oferował dobrą cenę w hiszpańskich piastrach.

Elisabeth nie protestowała. Niezdarnie podpisała umowę, trzymając się za wypukły brzuch. Dziecko, zwinięte we wnętrzu, było spokojne i rzadko się poruszało. Szli przez życie razem z opuszczonymi głowami, zaciśniętymi pięściami, ramionami oplatającymi ciasno kostki. Czasami w nocy czuła poruszenia, ale wiedziała, że to nie dziecko rosnące w niej, ale nieutulony żal, który jej nie opuszczał.

Kilka tygodni później kobiety w Mobile zaczęły rozmawiać o tym, że niewolnica zwana Okatomih jest bez wątpienia w ciąży.

— Mówią, że jej czas się zbliża — Perrine Roussel powiedziała do Elisabeth, z oczami okrągłymi z oburzenia. — A to znaczy, że rzecz stała się pod twoim dachem, Elisabeth. Pod twoim nosem. I to po wszystkim, co zrobiłaś dla tego chłopca. Muszę jednak przyznać, że ten zepsuty Guichard zachował resztki przyzwoitości. Kupił ją, więc przyznał, że ma zobowiązania i nie wypiera się udziału w całej sprawie. Podobno chce nawet, żeby dziecko było ochrzczone.

Tego popołudnia Elisabeth wybrała się na spacer, po raz pierwszy od śmierci męża. Dziecko uciskało na jej kręgosłup i chodzenie było niezwykle bolesne, ale doszła do domu Auguste'a na ulicy Conde. Tam zawahała się, lecz w końcu zapukała. Kiedy stanął w drzwiach, na jego twarzy odmalował się szok; szok, żal i rodzaj strachu. Po chwili jednak jego twarz się wygładziła i Elisabeth widziała w niej tylko pustkę.

— Elisabeth — odezwał się.

— Nie — zaprotestowała.

Czekał.

— Nie mogę... Muszę cię o coś spytać. Proszę tylko, byś odpowiedział szczerze.

August patrzył na nią wyprostowany, choć jego kalekie ramię zwisało u boku.

— Dziecko. Dziecko niewolnicy... — przerwała, starając się opanować.

August postąpił krok w jej kierunku.

— Nie! — cofnęła się z drżącymi rękami. Ścisnęła je mocno razem. — Dziecko. Jest jego, prawda?

August nie spuszczał z niej swoich poważnych, szarych oczu.

— No więc?

— Nie — odparł bardzo cicho. — Dziecko jest moje.

Elisabeth wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Potrząsnęła głową. Było jej słabo.

— Nie — wyszeptała przez spieczone usta. — Nie. Kłamiesz.

— Dziecko niewolnicy jest moje — powtórzył, a w jego oczach nie było chęci uchylecia się, tylko smutek i porażka.

Elisabeth zamknęła oczy. Ledwo mogła oddychać.

— Jean-Claude...

— ..jest w tej sprawie niewinny, cokolwiek innego zrobił. Przykro mi, Elisabeth.

— Nie. — Otworzyła oczy i znów potrząsnęła głową, i jeszcze raz, i jeszcze. — Nie.

— Tak.

— Dlaczego mnie okłamujesz? To jego dziecko. Wiem, że jest jego. — Prawie go teraz błagała z dziką desperacją w głosie.

August zacisnął wargi i skłonił głowę.

— Zrób, co uznasz za stosowne — wymamrotał. — Nie ma na świecie wystarczająco surowej kary za moje grzechy.

Elisabeth zebrała spódnice i jak niewidoma, słaniając się na nogach, wyszła z chaty, objijając się o drzwi i idąc z wysiłkiem ulicą. Na rogu żona cieśli zawołała do niej z życzliwym współczuciem, ale Elisabeth ledwo ją usłyszała. Jej własny, urywany oddech brzmiał w jej uszach jak krzyk. Jakiż okropny grzech popełniła?

Zaczęła biec, aż dotarła do drewnitni. Gdy zobaczyła dziecko niewolnicy, w twarzyćce niemowlęcia dostrzegła zarys jego czoła, jego uśmiech w kąciku ust. Nie było wątpliwości.

Po krótkiej wymianie uprzejmości zjedli obiad prawie w całkowitym milczeniu. Nakryła stół obrusem, którego wcześniej nie widział, z ładnego adamaszku obszytego koronką. Jadł bardzo ostrożnie, by go nie poplamić. Nadchodziła burza, Auguste poznawał to po kłuciu w stopach. Gdy się ściemniło, Vincente wstała i zapaliła kaganki; w kątach pokoju zatańczyły cienie. Ona też była wzburzona, widział to w drganiu jej ramion i niespokojnym dygotaniu rąk. Prawie nic nie zjadła. Patrzył, jak wciąż wygładza obrus i przestawia jakieś miseczki na toaletce.

— Chodź — odezwał się łagodnie. — Usiądź przy mnie.

Posłuchała go. Auguste przełknął ostatni kęs i uśmiechnął się do niej, odsuwając talerz. Zamrugła i odwróciła wzrok. Miała piękną białą szyję. W półświadomym stanie między snem a jawą przytuliła się do niego ciepło i miękko, z nocną koszulą już podciągniętą nad talię, a jej usta i dłonie były bardzo chętne do spotkania z nim. Teraz dłonie splatała mocno na podołku i zagryzała zębami dolną wargę, a plecy miała proste jak pień drzewa cyprysowego. Na głowie miała koronkowy czepek, równie biały jak szyja. Tylko kosmyk włosów przyklejony do karku świadczył o jakimkolwiek nieporządku.

— Będzie burza — odezwał się.

— Tak.

Ciszę wypełniał rosnący chór cykad, jak szum oceanu. Zawsze odzywały się najgłośniej przed burzą. Auguste nasłuchiwał, próbując odróżnić odgłosy nocnych ptaków. Na ulicy d'Iberville nigdy nie słyszał cykad, wieczory były tam tak wypełnione słowami, że wydawało się, iż przewracają się jedne o drugie, niecierpliwiąc się, by je wypowiedziano. Auguste uważał to za miarę szczęścia — niekończąca się liczba słów, które można do siebie powiedzieć. Teraz jednak wydawało mu się, że się myli. Kilka razy przyglądał się Vincente na targu, otoczonej innymi kobietami i przypomniawsobie wodza Ouma, który kiedyś spytał go, w jaki sposób Francuzi rozumieją się nawzajem, kiedy skrzeczą wszyscy razem jak tokujące ptaki. Wodza smuciło, że biali marnują słowa tak samo jak dary ziemi, nie uprawiając ani nie hodując niczego, a jedynie jedząc, pijąc, paląc tytoń, jakby ziemia nie była ich matką, lecz niewolnicą, własnością, z którą można robić, co się chce. Statki białych dusiły rzeki, a ich wyziewy wznosiły się aż pod niebo. Ponadto się złościli, kiedy przychodziła powódź, a po niej głód.

— Kardynał — stwierdził nagle Auguste. — Słyszysz?

Vincente podniosła wzrok, z twarzą skupioną jak u dziecka. Zaskoczyła go i poruszyła intensywność jej reakcji. Znow się uśmiechnął, tym razem prawie czule. Wyraz jej twarzy pogłębił się, jakby przyciągali się nawzajem niewidzialnymi nićmi. Więc to jest małżeństwo, pomyślał, i choć ta myśl go zaskoczyła, nie była nieprzyjemna.

— Ptak, nie duchowny — dodał. — Słuchaj.

Radosne gwizdy ptaka wypełniły pokój. Napięcie w twarzy Vincente zelżało nieco, wygładzając dwie kreski między brwiami. Zawahała się lekko i pochyliła do przodu; kreski wróciły, głębsze niż przedtem.

— Chcę pojechać z tobą — oznajmiła. — Na plantację.

Oczywiście kobiety jej powiedziały. Przypomniał sobie, jak się tłoczyły wokół Vincente na targu, przekrzykując się nawzajem.

- Na plantację — powtórzył.
- Tak.
- Nie radziłbym.
- Doprawdy? A czemuż to?
- Sytuacja jest niebezpieczna.
- Pan jest z nami, gdziekolwiek się udajemy.
- Ja znam tylko biskupów z piórami.

Vincente zaczerwieniła się po uszy.

- Nie wyśmiewaj się ze mnie. Nie boję się.
- A może powinnaś — powiedział Auguste łagodnie. — Czi-
timachowie atakują nasze ekspedycje i zastawiają zasadzki przy
plantacjach. Tu byłabyś bezpieczniejsza.

- A ty?
- Ja też.
- Więc zostaniesz? — spytała Vincente niepewnie.
- Nie.
- W takim razie musisz mi pozwolić jechać z tobą.
- Nie wyjeżdżam na długo.
- Czyli prędko wrócę w bezpieczne miejsce.

Auguste obserwował żonę, trzymając palce na ustach. Na jej
zwykle białych policzkach wykwitły teraz różowe plamy.

— Uparłaś się — stwierdził w końcu. — Skąd ta determi-
nacja?

- To moja plantacja, prawda?— Vincente odwróciła wzrok.
- Tak.
- Należy do mnie z mocy prawa.
- To prawda.
- I mamy tam mieszkać, czyż nie?
- Tak — odparł Auguste, krzywiąc lekko usta i zaciskając

palce.

— Więc muszę tam pojechać. Trzeba wszystko przygotować.
Teraz wybacz, ale robi się późno. Idę do łóżka. Dobranoc, mężu.

Vincente zadarła brodę i ująwszy świecę w jedną rękę, a koszulę w drugą, ruszyła w stronę sypialni. Choć było jasne, że miała to być demonstracja zwycięstwa, jej skulone ramiona sprawiały, że wyglądała jak dziecko przebrane w suknie swojej matki. Gdzieś głęboko Auguste znów poczuł lekko bolesne dotknięcie czułości.

— Dobranoc, żono.

Nie był pewien, czy wypowiedział te słowa na głos. Zasłona w drzwiach do sypialni opadła, zasłaniając wejście i wprawiając w drżenie płomyk lampki na toaletce. Auguste rozplótł dłonie. Nigdy jeszcze nie rozmawiali ze sobą tak swobodnie i tak długo. Płomyk chylił się i prostował, plując czarnym dymem, a cisza wzdychała, ponownie sadowiąc się w pokoju.

Zza zasłony słyszał, jak Vincente szykuje się do snu, ale nie poszedł do niej. Pomyślał o ciemnej sypialni, o niewypowiedzianym świecie w pościeli, gdzie słowa nie istniały, i wiedział, że przynajmniej dziś ten świat dla niego nie istnieje. Słowa rozdarły ciemność i wpuściły światło, a światło nie mogło tam istnieć.

Przeciąwszy, niski pomruk grzmotu wprawił ciężkie powietrze w drżenie. Auguste ucisnął oczy palcami. Potem odsunął krzesło i podszedł powoli do toaletki, na której kaganek dopalał się, sycząc, skwiercząc i rzucając tańczące cienie na ścianę. Auguste zdmuchnął płomyk i poślinionymi palcami zdusił knot. Wyszedł na zewnątrz i oparł się plecami o nadproże werandy. Grzmot znów zamruczał. Lekki wietrzyk poruszał czubkami drzew, ale noc nie była rześka. Powietrze niemal przylegało do twarzy. Nagła linia bieli przecięła niebo i znów przyszedł grzmot — już nie ostrzeżenie, ale okrzyk wojenny. Deszcz lunął strumieniami.

Auguste wyciągnął dłoń, czując kłujące uderzenia wody. Zastanawiał się, czy Vincente śpi z twarzą wciśniętą w poduszkę, oddychając głośno. Deszcz walił w ziemię, a gdy nadeszła kolejna błyskawica, rozświetliła noc milionami roztrzaskanych odłamków szkła. Czy sto lig na północ, na urwisku nad rzeką Missisipi

też padało? Czy leżała w ramionach swego Nadreńczyka, wolna od gniewu i żalu, podczas gdy żółta woda w rzece się burzyła? A może przesuwiała czubkami palców po arkusiku z jego niezgrabnym pismem i myślała „dzisiaj”?

Deszcz powoli słabł, burza przesuwiała się w kierunku morza. Nad drzewami, na wypogadzającym się niebie, zaśnięto kilka gwiazd jak krople rosy. Ta obca osoba, po którą sięgał w innym świecie nocy, była jego żoną i weźmie ją ze sobą. To wiele zmieni z pewnością, ale też pomoże mu utrzymać równowagę. Gdyby miało się wydarzyć najgorsze, ona też musi o tym wiedzieć. Dowiedzą się razem.

Odrzucił się i wszedł do chaty. W ciemności stół wyglądał ciężko i nieznajomo. Już się prawie przyzwyczyił do niewielkich zmian, które ukazywały mu się, gdy otwierał drzwi: sosnowa ława przykryta szalem z miękkiej, zielonej wełny, lniany ręcznik przy umywalce, tkana narzuta na łóżko obszyta jedwabną taśmą. Skrzynia Vincente była jak czarodziejskie pudełko, za każdym razem pełne nowych skarbów, których nigdy przedtem nie widział. Poprzedniego dnia zauważył przy łóżku nieduży stołek na wygiętych, mahoniowych nóżkach, a na nim bukiet wiosennych kwiatów przewiązany jedwabną wstążką.

W sypialni ściągnął mokre ubranie i stał, trzęsąc się, przy łóżku. Leżała zwinięta jak krewetka, zrzuciwszy na ziemię kołdrę, a jedna jasna stopa zwisała na zewnątrz. Ostrożnie ujął ją i położył z powrotem na łóżku. Vincente zamruczała przez sen i wyciągnęła ramię w jego stronę. Usiadł, strzepując drobinki, które przywarły do jego bosych stóp, po czym wśliznął się do łóżka, biorąc jej ciepłą dłoń w swoje chłodne.

W ciemności wszystko było proste.

H ałaśliwy port w Mobile emanował odgłosami codziennych zajęć. Statek właśnie wpłynął do doku i mężczyźni nawoływali do siebie, by opuścić żagle i właściwie zabezpieczyć liny. Ludzie stłoczeni na wąskim pokładzie, niechlujni, spaleni słońcem, siedzieli ze zwieszonymi głowami. Kobiety i dzieci skrywały się wśród rozrzuconych pak, lin i łachmanów.

Stojąc przy jednostce Kompanii, która miała ich zabrać do Nowego Orleanu, Vincente przyglądała się mężowi, który pilnował bezpiecznego załadunku ich bagaży. Nie tylko oni płynęli do Nowego Orleanu. Miał podróżować z nimi pewien dżentelmen z Pikardii, pan de la Houssaye, jego ludzie i kilku robotników, pod ścisłym nadzorem mężczyzny o czerwonej twarzy. Słyszała, że mają zostać zabrani do posiadłości de Catillonów, oddalonej tylko o dzień drogi od ich własnej. Bracia de Catillon byli prawdopodobnie najbogatszymi finansistami w Paryżu. Wyobraziła sobie, jak jej matka mówi z dumą „Sąsiedzi mojej córki” i otrząsnęła się jak mokry pies.

Wyglądało na to, że doszło do jakiegoś nieporozumienia co do rozmieszczenia bagażu. Auguste był poirytowany, widziała to po przechyleniu jego kalekiego ramienia. Nie krzyczał jednak na dzikusów, jak to czynili inni, i nie wymachiwał pięściami, wznosząc oczy do nieba; przemawiał powoli, z łatwością formując dziwaczne dźwięki ich języka, a kiedy oni coś mówili, słuchał

uważnie, jak gdyby rozmawiał z równymi sobie. Nie przestawało ją zadziwiać, jak inny był od wszystkich.

— Wszyscy nasi mężowie — mówiły często kobiety z Mobile.
— Oprócz twojego.

— Wiem! — stwierdzała wtedy, przewracając oczami w udawanej rozpacz. Istniała między nimi przepaść, oddalając je od siebie. Ich mężowie nie mówili językami dzikich. Byli cieślami, rusznikarzami, właścicielami tawern. Nie cierpiała ich prostactwa, choć nieraz chciała, by jej mąż był jak oni. Kobiety nazywały go „białym dzikusiem” i żartowały na temat barw wojennych czy kości jego przodków, które, jak sugerowała Yvonne Lereg, trzymał w naczyniu w kuchni.

— Lepiej się upewnij, czy niewolnica rzeczywiście wkłada do zupy kości jelenie — chichotała.

Vincente śmiała się razem z innymi, trzymając się za brzuch, i sama już nie wiedziała, czy bardziej by chciała, żeby Yvonne Lereg ją lubiła, czy żeby padła trupem na miejscu.

— Dobry egzemplarz.

Vincente się odwróciła. Obok stał lekarz Barrot, wskazując na statek, gdzie chłopak próbował wprowadzić po wąskim trapie gniadego konia na pokład. Boki zwierzęcia pokrywała piana; z obłędem w oczach koń rzucał się i zapierał kopytami w deskę.

— Chyba woli zostać na suchym lądzie — stwierdziła Vincente.

— Na suchym lądzie? W Luizjanie? — medyk roześmiał się, aż mu zatrzęśły się policzki. — Podziwiam pani optymizm.

Koń wyciągnął szyję i zarżał rozpaczliwie. Rozległ się stukot i ostrzegawcze krzyki. Zwierzę wspięło się na tylne nogi i młóćąc powietrze przednimi, wyrwało się chłopcu i dziko pogalopowało z powrotem do doku. Mężczyźni rzucili się, otaczając zwierzę i sięgając ku uździe. Koń znów zarżał. Ludzie czekali na pokła-

dzie zebrani w grupki, między którymi przepychali się chłopcy okrętowi, znosząc pudła i beczki na brzeg.

— Słyszałem, że będziecie żyli wśród dzikich — powiedział Barrot. — Mąż zabiera panią, by zapoznać z rodziną, co?

— Jedziemy na naszą plantację.

— Och, niechże pani nie patrzy na mnie tak nieprzyjaźnie. To tylko żarcik starego człowieka. Wszyscy wiemy, jak Guichard kocha tych cholernych dzikusów.

— Nie ma powodu, by się pan tak wyrażał — stwierdziła sztywno Vincente. — Dzicy są tak samo stworzeniami bożymi jak my.

— W rzeczy samej. Podobnie jak węże, jadowite pająki i aligatory, które odgryzą ci nogę, ani się spostrzeżesz. — Barrot patrzył nieszczęśliwym wzrokiem w stronę doków. Czoło pod peruką lśniło mu od potu. — Luizjana to ściek na najmniej udane eksperymenty Wszechmogącego. Do zobaczenia na pokładzie, pani.

Skłonił się i odszedł, wyciągając z kieszeni chustkę do otarcia twarzy. Po drugiej stronie doków Auguste odwrócił się do niej i kiwnął głową. Odpowiedziała tym samym, ciasno krzyżując ramiona na piersiach. Nie wiedziała, dlaczego wystąpiła w obronie dzikich przed Barrotem. Odstęczali ją tak mocno, że czuła wręcz mdłości.

Kiedy powiedziała żonom, że zamierza pojechać na plantację, w ich głosach również zabrzmiała nieskrywana odraza.

— Do dzikich?

— Jak możesz?

— Oni wrzucają dzieci do ognia! Żywe dzieci, aby ugłaskać swoich bogów!

— Jedzą ludzkie mięso!

Niewolnica Thérèse, niezauważona przez nikogo, rozwieszała

mokre płótna na krzakach, aby wyschły. Vincente poczuła, jak żołądek podszedł jej do gardła.

— Obiecałam, że z nim pojedę — wyznała ze smutkiem. Jeśli kobiety uznają, że to nierozsądna decyzja, pocieszała się, posłucha ich. Nic w tym w końcu dziwnego, że mogła zmienić zdanie.

— Jesteś pewna, że powinnaś? — wątpiła Anne Negrette. — Tam nie jest bezpiecznie nawet dla mężczyzn.

— Tu też nie jest wiele lepiej — wtrąciła Renée Gilbert. — Prowadzimy wojnę. Trégon mówi, że jeśli Hiszpanie są gotowi zaatakować Dauphin, nie wiadomo, co będzie dalej.

— Ale Hiszpanie nie zamordują cię we własnym łóżku, jak dzicy.

— Ja bym nie pojechała — orzekła Germaine Vessaille. — Zbyt bym się bała.

Anne Conaud pokręciła głową i poklepała Vincente po ramieniu, by dodać jej otuchy.

— Nie słuchaj jej — powiedziała. — Pan de Bonne, prokurator królewski, zabrał żonę i dzieci na plantację. A pan Dubuisson siostry do posiadłości de Catillonów. Nie może tam być tak niebezpiecznie.

— Wiem tylko, że nie chciałabym być żoną farmera — stwierdziła Anne Negrette. — Nawet w mieście żyje się wystarczająco trudno.

— Tam z pewnością będzie więcej jedzenia — odbiła piłeczkę Anne Conaud.

— I zatrute strzały.

— A ja myślę, że Vincente nie chce puścić męża samego — rzekła chytrze Yvonne Lereg. — No, co tak na mnie patrzycie? Wcale się nie dziwię. Ja mojemu też bym nie ufała.

— Auguste poprosił, bym z nim pojechała — odezwała się Vincente zdławionym głosem.

— Ja bym pojechała — powtórzyła Anne Conaud. — W końcu zyski z plantacji należą do Vincente.

— Jeśli będą jakieś zyski.

— Oczywiście, że będą — stwierdziła Gabrielle Borret. — Pamiętacie? Kiedy de Chesse przyjechał, miał ze sobą mnóstwo pak. Tam jest na pewno pełno skarbów.

Kobiety otworzyły szeroko oczy.

— De Bonne sprowadził powóz — powiedziała Germaine Vessaille. — Czy de Chesse też?

— Nie bądź głupia.

— Ale są tam meble. Prawdziwe francuskie meble i francuska pościel. Może nawet dywany, wyobrażacie sobie? Dywany!

— To niesprawiedliwe. Ci, co i tak mają dosyć, dostają zawsze jeszcze więcej — wydeła wargi Yvonne Lereg.

— Los sprzyja odważnym — uśmiechnęła się Anne Conaud.

— I zaręczonym z nieżyjącymi szlachcicami.

— Yvonne Lereg, jesteś jak kwaśna cytryna — skrytykowała Anne Negrette. — Nie zwracaj na nią uwagi, Vincente. Ani się obejrzysz, jak wróćcie.

— Rzecz jasna, musisz obiecać, że przywieziesz nam coś w dowód przyjaźni — powiedziała Renée Gilbert. — Na przykład chusteczkę.

— Kawałek koronki.

— Powóz!

— Tak, obiecaj!

Kobiety śmiały się i szturchały ją w bok. Vincente też się śmiała, bo cóż miała robić? Wyglądało na to, że decyzja zapadła. Żony pomogły jej zebrać zapasy na drogę, doradziły, jak powinna się ubrać, czym natrzeć twarz, by odpędzić komary, i wszystkie te przygotowania, wbrew woli Vincente, popychały ją do przodu.

Potem, sama w chacie, obserwowała pracującą niewolnicę Thérèse i z lękiem zastanawiała się, co za szatańskie fantazje rodzą się w jej głowie i jakie dzikie przesady żyją w chudej piersi. Powtarzała sobie, że Bóg w niebie jest wszędzie, nawet w Luizjanie, i jak barbarzyńskie nie byłyby obyczaje dzikich, ich bogowie to tylko nic nieznaczące fałszywe bożki stworzone w wyobraźni łatwowiernych ignorantów; ale nocą, gdy ucisk w żołądku stawał się zbyt natarczywy i wykradała się bosą na ganek, by wpychać do ust wystygłą papkę sagową pozostałą z kolacji, kiedy nietoperze przecinały ciemność na skórzastych skrzydłach, a sowy pojękiwały jak dusze w czyścicu, wiedziała, że tą nocą rządził nie Bóg, lecz złośliwe zwierzęce duchy dzikich wijące się między chatami jak winorośl, które przychodziły ponownie objąć we władanie ten maleńki skrawek cywilizacji na skraju upadłego, bezbożnego lasu. Nocą przyciągała ciało męża do swojego i dopiero pod jego ciężarem czuła się bezpieczna.

Vincente przypatrywała się Auguste'owi przepychającemu się przez tłum. Nie po raz pierwszy doznała dziwnego uczucia, rodzącego się gdzieś w brzuchu, że im bliżej niej był, tym mniej wyraźnie go widziała. Gdy dotarł do niej, uśmiechnęła się uprzemie i odwróciła wzrok.

— Wszystko gotowe? — spytała.

— Tak. Z Nowego Orleanu popłyniemy pirogami. Obawiam się, że może ci być niewygodnie.

— Tak.

Zamilkli. Vincente przyzwyczała się już do tych chwil milczenia, przerw, ale nadal ją niepokoiło, jak niematerialny stawał się wtedy jej mąż. Usłyszała w głowie niezadowolony głos matki szydzącej z jego niskiego urodzenia i dziwacznych zachowań. Można by pomyśleć, mówiła ironicznie, że wcale nie jest Francuzem. Vincente westchnęła i uśmiechnęła się do niego.

— Wejździemy na pokład? — zaproponowała.

Przytakała, podtrzymując ją zdrowym ramieniem. Poszła za nim na rufę, cały czas widząc, jak jego płaszcz wydyma się na nienaturalnym wygięciu okaleczonego ramienia. Nie mogła na to patrzeć w świetle dnia, choć jej palce znały wypukłości nierówno zrosniętej kości i woskową gładkość blizn.

— Naprawdę się nie boisz? — szepnęła poprzedniego dnia Gabrielle Borret, gdy kobiety przyszły pożegnać się z Vincente. — Tak daleko od miasta i garnizonu? Ja bym oszalała ze strachu.

Pozostałe uciszyły ją i zaczęły rozmawiać o zwykłych sprawach, o odbudowie kościoła i siódmym porodzie Germaine Vessaille. Dopiero gdy się zaczęły zbierać do wyjścia, Vincente wyznała im, jak bardzo się naprawdę boi. Były dla niej miłe, trzymały ją za rękę, klepały po ramieniu i mówiły, że ma szczęście; jej mąż zna języki dzikich i ich dziwne obyczaje, jest z nimi zaprzyjaźniony na tyle, na ile to możliwe dla białego człowieka. Z pewnością z nim będzie bezpieczna.

Vincente była wdzięczna. Popłakała trochę, tuliła się do nich i dawała pocieszać. Kiedy poszły, pomyślała o ich zapewnieniach i znów się rozpłakała. W mieście jej mąż uchodził za Francuza. Jadł jak Francuzi, ubierał się jak Francuzi i utrzymywał stosunki z Francuzami z tak dobrymi manierami, na jakie go było stać. W mieście ona była żoną, a on mężem, białym mężczyzną, który mimo wszystkich swoich dziwactw nie był aż tak różny od innych. Ale wśród dzikusów? Kto wie, jakim dzikusiem sam się może okazać?

Stateczek powoli odpływał od nabrzeża, tnąc wodę dziobem i oddalając się od zabudowań dokowych. Żagle trzepotały, hałas na przystani cichł. Kobiety na targu witały się, jak zwykle, wymieniając najświeższe wiadomości. Vincente mocno trzymała się ławki obiema rękami. Perspektywa podróży przerażała ją, ale patrząc na coraz szerszy pas wody oddzielający ją od tego, co

znajome, wiedziała, dlaczego tu była. Pomyślała o Augustie Guichardzie, swoim prawowitym małżonku, który mówił w nieznanym jej języku, chodził po obcej ziemi, uśmiechał się do kobiety, która nie była jego żoną. Elisabeth Savaret. Kiedyś ją kochał. Był wtedy chłopcem, stwierdziły kobiety, ale żadna nie zaprzeczyła. August miał pojechać na plantację, gdzie mieszkała Elisabeth Savaret, którą kiedyś kochał, z niewolnicą, która była konkubina Auguste'a, i jego dzieckiem z nieprawego łoża, którego nazwisko widniało w księgach parafialnych. Jakie było jej miejsce w tym układzie — jej, która była jedynie żoną?

W mieście, otoczona innymi kobietami, wiedziała, że nie ma się czego obawiać. Powtarzała sobie, że pajęczce nitki przeszłości są niczym wobec świętych więzów małżeńskich i wierzyła w to — w mieście. Mobile nie było Paryżem, ale funkcjonowało na francuską modłę; układ ulic, pory posików i obyczaje, na których niezmienności można było polegać.

Co będzie w dziczy, do której się udawali? Tam w cieniu czaili się tubylcy, a rozrastający się las wślizgiwał się, wpełzał i oplatał się bezustannie dookoła wszystkiego. Wszeteczny dotyk powodował gnicie korzeni drzew, więc rósł ślepo we własnym, na pół przetrawionym, rozkładającym się przepychu splotów i nieprzebranych kształtów wytryskujących w górę z gęstej, czarnej mazi. Jego płodność była równie groteskowa, jak bezwstydna. Pulsowała w nieustającej pieśni cykad i odgłosach zarośniętych trzcina rozlewisk, zwieszała się aksamitnie i żarłocznie z pni i konarów drzew, eksplodowała bladymi, mięsistymi grzybami u ich korzeni. Las nie miał kształtu, nie panował w nim porządek, lecz anarchiczny nadmiar zasłaniający światło, pożerający żyzny kompost powstały z tego, co już umarło.

— Chcę się nauczyć języka dzikich.

— Morska choroba przeszła? — spytał August.

Stał na dziobie, oparty łokciami o barierkę.

— Tak, dziękuję.

— Dobrze.

Stali razem w ciszy, podczas gdy statek prześlizgiwał się po żółtej wodzie. Vincente wpatrywała się w gęste zarośla trzciny, do połowy zatopione, rozciągające się wzdłuż brzegów. Nie sposób było stwierdzić, gdzie kończyła się woda, a zaczynał ląd.

— Chciałabym, żebyś mnie uczył — powiedziała. — Możemy zacząć od razu.

— Nie ma pośpiechu. Szybko sama opanujesz podstawy.

— Będę potrzebować więcej niż podstaw. — Vincente potrząsnęła głową, a w jej głosie zadźwięczała niewzruszona pewność.

— Może w niemieckim. Pracownicy są przeważnie Nadreńczykami.

— Nie zrozumiałeś mnie. Jak mam uczyć dzikich, jeśli nie będę mogła się z nimi porozumieć?

— Uczyć?

— Dzieci — odparła z naciskiem. — Na plantacji są dzieci, prawda?

Przytaknął.

— No, co?! — krzyknęła. — Dlaczego tak na mnie patrzysz? Uważasz, że sobie nie poradzę?

— Nie, skąd.

— Ta stara jędza uczyła wszystkie dzieci w Mobile, czerwone i białe. Katechizmu, pisać i czytać, liczyć. Nawet te, które nie były mieszanej krwi.

Auguste się nie odezwał.

— Dzicy to też stworzenia boże, niezależnie od ich niewiedzy — powiedziała. — Jak długo będę wśród nich, jest moim obowiązkiem przybliżyć je do chwały Pana. Tam są też kobiety, prawda? Żony pracowników. Pomogą mi. Zbudujemy szkołę, zobaczysz.

- Wcale w to nie wątpię.
- Więc dlaczego masz taką niezadowoloną minę?
- Nie, ja tylko... zaskoczyłaś mnie, to wszystko.
- Zaskoczyłam?
- Tak.
- Ale nie uważasz, że to głupie?
- Nie. Nie jest głupie.

Stali obok siebie, milcząc. Nad ich głowami zaskrzypiał żagiel.

— Miałam nadzieję, że mi pomożesz — odezwała się Vincente i nie patrząc na męża, wyciągnęła rękę i dotknęła jego rękawa.

Cisza trwała. Auguste westchnął i się przeciągnął. Vincente niezgrabnie odsunęła rękę.

— Trochę za bardzo wybiegamy w przyszłość — powiedział, chwytając barierkę obiema rękami, i choć jego usta uśmiechały się, oczy były poważne. — Będzie mnóstwo rzeczy, które trzeba zrobić najpierw.

Dotarli na plantację późnym popołudniem. Słońce stało nisko, a na zarośniętych tatarakiem płyciznach ogłuszająco rechotały chóry rogatych ropuch.

— To tutaj? — spytała Vincente słabo, gdy przewodnicy zabrali się do przywiązywania pirogi.

— Tutaj — potwierdził Auguste.

Wygramolił się z łódki i spojrzał w górę, gdzie na urwisku tuliło się do siebie kilka naprędce skleconych chat. Czuł lekkie zawroty głowy, mieszaninę oczekiwania i niedowierzania oraz rodzaj radosnego uniesienia spowodowanego własną lekkomyślnością.

— Przecież tu nic nie ma — zaprotestowała Vincente, ale w jej głosie nie było zwątpienia, lecz spokój.

Auguste się odwrócił. Siedziała w pirodze objęta ramionami, z głową odchyłą do tyłu i przyglądała się lasowi, lichym chatynkom, osypującym się urwisku. Łódka kołysała się lekko.

— Przykro mi — powiedział.

— A inne plantacje? Też tak wyglądają?

— Jedna czy dwie mają młyn, jak sądzę.

Przygryzła wargi.

— To nie jest Paryż — stwierdziła.

Popatrzył na nią. Jego żona, z rozczochranymi włosami i twarzą w plamach od ukąszeń owadów. Od Nowego Orleanu podróż

była męcząca i niewygodna, ale Vincente nie poskarżyła się ani słowem. Prawie się nie odzywała, siedząc na dziobie pirogi ze spódnicami ciasno owiniętymi wokół nóg, dłońmi między kolanami i twarzą ściągniętą w obronie przed sekretnymi okropieństwami bagien.

— Nigdy nie byłem w Paryżu — odparł.

Zamrugała i odwróciła wzrok. Nocami przynosiła ukradkiem jedzenie do kajuty i pożerała gorączkowo, jakby był to jej ostatni posiłek w życiu. Nie pytał dlaczego. Myślała, że on nic nie wie.

W Nowym Orleanie, czekając na pirogę, która miała ich zabrać na północ, zatrzymali się w rozpadającej się starej chacie, która kiedyś należała do de Chessea. Auguste nie był tu od sześciu miesięcy i widać było, że miasteczko de Bienville'a w zakolu rzeki przegrywa walkę z naturą. Bojąc się wylewającej rzeki, de Bienville kazał wykopać rów dookoła całej osady i dodatkowe rowy po wszystkich czterech stronach każdej działki. Gdy nadeszła wiosna, a z nią woda wezbrała, miasto stało się archipelagiem maleńkich wysepek, każda z chatką z cyprysowych desek, otoczonych zewsząd naniesionym zielskiem i czarną, nieruchomą wodą. Rowy roiły się od węży i aligatorów, a o zmierzchu chmury komarów tańczyły na tle fioletowego nieba. Całe miejsce sprawiało żałosne wrażenie.

Podczas pobytu w Nowym Orleanie Auguste śnił, że czeka na Elisabeth ukryty w trzcinach. Rzeka płynęła blisko, słyszał jej chlupotanie i pomruki. W trzcinach coś ruszało się i trzaskało, świeciły jakieś oczy, ale choć Auguste wytężał wzrok, niczego nie zobaczył. Grunt pod stopami był bagnisty i zdradliwy, a on był bez butów i zimne błoto wchodziło mu między palce. Dał krok do tyłu, ale tu mokradło było głębsze; wessało jego stopy i Auguste rzucał się w panice, by się uwolnić, lecz błoto powoli zamykało się wokół jego kolan, ud, talii, piersi, miażdżąc i ściskając, jak wąż dusiciel. Sięgało mu do ramion. Miał błoto w ustach, w uszach,

nozdrzach, oczach. Nie widział niczego poza błotem i białą poświatą odległego księżyca. A potem księżyc się przybliżył i nie był już księżycem, ale czaszkami, setkami, tysiącami czaszek tworzących konstelacje na nieskończonym, błotnistym niebie.

— Panie? — spytał dziki przewodnik. — Wyładujemy?

Rozlewisko szeptało i wzdychało, usiane na powierzchni złotymi plamami słońca prześwitującego przez gałęzie drzew. August pomyślał o dniu, wiele lat temu, kiedy stał na brzegu innego rozlewiska i patrzył, jak żółta woda unosi w dal wszystko, co było jego światem. Gdzieś na górze czekała na niego Elisabeth. Powoli, z przewodnikiem u boku, wrócił do pirogi. Wyciągnął dłoń do żony, pewnie stojąc na twardym gruncie. Ich ziemia, na dobre i na złe.

— Przyjechaliśmy — powiedział cicho. — Witaj w domu.

Stroma ścieżka wiodła pod górę, kończąc się na pylistym kwadracie oczyszczonej ziemi. August podszedł do największej z chat, której szeroki dach dawał trochę schronienia przed bezlitosnym słońcem. W rozpadającej się zagrodzie w odległym kącie podwórka kiwała się na boki otępiała od upału krowa z otwartym pyskiem. Poza nią nie było widać żywego ducha. W powietrzu wisała cisza, wolno pulsując w słońcu. August wyobraził sobie, jak Elisabeth idzie przez podwórko, dźwigając wodę albo drewno, z włosami wymykającymi się spod spinek. Tyle razy chodziła tędy tam i z powrotem, że na stałe wydeptała ścieżkę, widoczną na ziemi. Pod ścianą największego budynku stała ławka zbita z desek, jak przy ulicy d'Iberville, gdzie lubiła siadywać wieczorami z nożem w ręku, obierając warzywa w wydłużających się wieczornych cieniach.

Kiedyś mu powiedziała, że woli ich zobaczyć, zanim oni zobaczą ją i od tamtej pory zawsze miał nadzieję, że dostrzeże ją taką, jaką była, kiedy była sama, bez niego, bez nich, prawdziwa. Przez jakiś czas Babelon pogwizdywał na nią, jakby wołał psa. Bawiło go to, może ją też. Któregoś wieczoru na jego gwizd zerwała się z ławki tak gwałtownie, by ich powitać, że przewróciła koszyk i warzywa wysypały się na ziemię. Śmiała się wtedy, ucałowała męża i przytuliła się do niego, a August schylił się, by pozbierać warzywa, i boleśnie poczuł samotność, która odarła go ze wszyst-

kich lat i ponownie uczyniła z niego chłopca. To było w innym życiu. Mówili, że ten Nadreńczyk to dobry człowiek, pracowity.

Auguste zastukał do drzwi.

— Halo? — zawołał. — Jest tam kto?

Nikt się nie pojawił.

— Już prawie żniwa, pewnie wszyscy są w polu! — zawołał do Vincente. — Poczekaj tu w cieniu, zaraz wracam.

Przeszedł przez podwórko opadające w stronę lasu. Po tak długim czasie spędzonym w pirodze jego krok był niepewny. Niżej zobaczył mały domek z desek cyprysowych, z otwartymi drzwiami, a po drugiej stronie kolejne skupisko prowizorycznych chatek. Było tam wypalone koło po ognisku, przy którym leżała złamana szczotka z liści palmowych, a osmolony czajnik wisiał na rozdwojonej gałęzi powyręcanego drzewa świętojańskiego. Na krzakach, w słońcu, suszyło się kilka rozciągniętych sztuk płótna, a obok, w cieniu sumaka, zwanego przez osadników octowcem, chrapała kobieta z odrzuconą w tył głową i otwartymi ustami.

Nie Elisabeth. Podszedł do niej powoli. Była w zaawansowanej ciąży, wyglądała, jakby miała przywiązany na brzuchu wielki kamień, ciągnący ją w dół. Spódnice miała podciągnięte do kolan, a spuchnięte kostki wylewały się z butów jak ciasto. Na nogach miała znoszone mokasyny roboty dzikich, ozdobione wzorkiem z malutkich muszelek. Chciał ofiarować takie Vincente, bo miała tylko stare zniszczone pantofelki, w których chodziła codziennie, ale nie wiedział, jaki rozmiar nosi, a wstydził się spytać.

Odchrząknął.

— Pani?

Kobieta zacmokała przez zęby, wykrzywając twarz, jakby chciała opędzić się przed muchami, ale się nie obudziła. Podszedł bliżej.

— Pani?

Kobieta drgnęła i obejmując olbrzymi brzuch, otworzyła

z niechęcią jedno oko, mrużąc je przed słońcem, i wymamrotała coś w niezrozumiałym języku. Auguste pokręcił głową.

— *Parlez-vous français?* — spytał. — Albo może po mobiliańsku?

Ziewnęła szeroko, pokazując duże, nierówne zęby. Potem zaczęła coś pokazywać, dźgając powietrze palcem. Auguste usłyszał nazwisko Fuerst.

— Pani Savaret? — spytał.

— Frau Savaret? — Kobieta wyduła usta, mrużąc coś do siebie i dźwigając się na nogi.

Auguste znów pomyślał o wodzu Ouma i jego słowach, że nie ma potrzeby uczyć się języka białych, bo każdy biały, którego spotkał w życiu, miał wszystkie swoje myśli jasno wypisane na twarzy. Kobieta na szeroko rozstawionych nogach ruszyła w stronę sterty drewna. Auguste odwrócił się i powoli zaczął wspinać się po stoku do miejsca, gdzie zostawił Vincente.

Fuerst był niewysokim, mocno zbudowanym mężczyzną o piaskowych, zmierzwionych włosach i stale zafrasowanym wyrazie twarzy. Zawiadomiony przez jednego z dzikich przewodników Auguste'a o przybyciu nowego pana, spiesźnie ruszył z pola, by go powitać. Twarz miał czerwoną, nieco zakurzoną.

— Witaj, panie, pani, na państwa plantacji — odezwał się staranną francuszczyzną. — Przepraszam, że nie było nikogo na miejscu, ale przyjechali państwo w najgorętszy czas.

Fuerst nie zabawił długo; wkrótce trochę niezręcznie, ale nie przepraszając, wrócił na pole. Słońce schowało się już za drzewami, kiedy wreszcie przyszedł z resztą ludzi. Auguste czekał i słuchał bez ruchu, jak myśliwy. Głosy mężczyzn brzmiały basowo na tle przenikliwego brzęczenia owadów, wprawiając w drżenie podeszwy jego stóp i odzywając się burczeniem w żołądku. W obozowisku poniżej z ogniska unosił się dym, zasłaniając złoty

rąbek nieba. Słysząc było okrzyki i pobrzękiwanie naczyń. Krowy muczały w zagrodzie, nie mogąc się doczekać wieczornego dojenia.

Auguste czekał. Wreszcie pojawił się Fuerst, a za nim kuśtykała ciężarna kobieta, opierając garnek na swym wielkim brzuchu.

— Mam nadzieję, że pan i żona zjedzą z nami? — spytał Auguste, starając się panować nad głosem.

— Tak, panie. Ale to jest moja żona.

Kobieta postawiła na ławie trzy drewniane talerze i nałożyła w milczeniu strawę, mocno uderzając łyżką w każdy po kolei. Trzy porcje cienkiej potrawy z fasolą i trzy kubki miejscowego piwa. Fuerst nachylił się nad kolacją. Jadł nie jak mężczyzna, lecz schludnie, ruszając zamkniętymi ustami. Kiedy skończył, położył łyżkę na środku talerza i odsunął go od siebie.

— Całkiem niezłe — powiedział cicho.

Vincente nie jadła. Siedziała blada, z podkrążonymi oczami. Kiedy Auguste skończył i odłożył łyżkę, przeprosiła i wstała; oczy jej się same zamykały ze zmęczenia. Ich chata, należąca do Fuersta, była mała i ledwo urządzona, ale w miarę czysta, z łóżkiem wprawdzie bez zasłon, ale za to z miękkim materacem z hiszpańskiego mchu. To nie był Paryż, choć właściwie Auguste nie wiedział, co takiego mogło być w Paryżu, za czym tak tutaj tęskniła. Sięgnął po fajkę i skinął na zarządcę, by zrobił to samo. Fuerst wyjął z kieszeni skręcone źdźbło trawy, podpalił je nad płomieniem i zapalił najpierw fajkę pana, a potem swoją. Siedzieli w milczeniu.

— Mam nadzieję, że będą państwo zadowoleni — odezwał się wreszcie Fuerst, wydmuchując dym. W jego głosie pobrzmiwał respekt, ale i duma. — Zrobiliśmy, co w naszej mocy.

Auguste przyjrzał się Nadreńczykowi. Trzymał głowę nisko między muskularnymi ramionami, jakby zamierzał nią przebijać się przez życie.

- Dobrze będą zbiory? — spytał.
- Z wolą boską.
- Ludzie pracują ciężko?
- Wiedzą, że muszą. To za indygo dostają pieniądze.
- A Czitimachowie?
- To stałe zagrożenie. Codziennie obawiamy się ataku.

Zapadła cisza. Obaj mężczyźni palili, wydmuchując dym, który układał się w niedbałe zawijasy w gęstym powietrzu.

— Gdzie jest twoja żona? — spytał August, gwałtowniej, niż by sobie życzył.

Fuerst milczał, obserwując czerwony żar w cybuchu fajki.

- Myślałem, że masz żonę? — naciskał August.
- Ja też tak myślałem.
- I niewolnicę. Nie ma jej?

Nadreńczyk nadal nie odpowiadał. August uderzył pięścią w stół, aż łyżki podskoczyły na talerzach.

— Odpowiadaj, do cholery!

Fuerst skulił się i pochylając się do przodu, starannie wyrównał ułożenie łyżek na talerzach.

— Dziecko niewolnicy zachorowało. Musiałem je odesłać do wioski Bayagoulasów, którą zwą Puchiyoshuba, sześć lig stąd.

- A twoja żona? Też jest chora?
- Nie.
- Więc gdzie jest?
- Powiedzieli mi, że też odeszła. Do tej samej wioski.
- Ale nie wiesz?

Fuerst wykrzywił usta.

— Dwa dni temu wróciłem z pola i patrzę, że jej nie ma. Poszła z jakimś dzikim, by sprowadzić niewolnicę z powrotem, tylko tyle ta głupia kobieta była mi w stanie powiedzieć. Że przyszedł dzikus i ona z nim poszła.

— I nie poszedłeś za nimi? A jeśli ją zwabiono, zabrano wbrew jej woli?

— Pójść za nimi? Panie, są żniwa. Kto będzie zbierał indygo, jeśli mnie tu nie będzie? Kto dopilnuje Murzynów?

— To sześć lig, nie sześćset!

— Z całym szacunkiem, panie, w tej ziemi jest mój pot i moja krew. Nie przynoszę jej wstydu. A co do zachcianek mojej żony... — przerwał, patrząc w stół.

Przez chwilę mężczyźni siedzieli w ciszy, pociągając fajki. Między nimi, na glinianym talerzyku, skwierczał kaganek.

— Każdy może zostać zdradzony — rzekł w końcu August.

Fuerst nie odpowiedział, tylko wydał z siebie coś w rodzaju niewesołego śmiechu, wypuszczając dym przez nozdrza. Wykrzywił usta, położył dłonie płasko na stole po obu stronach lampki i rozwarł kciuk i palec wskazujący, jakby chciał coś zmierzyć. Długi czas wpatrywał się w kaganek, mrużąc oczy od dymu, ale fajkę nadal trzymał w zębach. Wreszcie zniecierpliwiony odsunął talerzyk. Pod spodem ukazał się półksiężycowaty wypalony ślad, w miejscu, gdzie kiedyś, dawno temu, ktoś nieostrożnie postawił gorący kociołek.

— Zabrała mój muszkiet — powiedział Fuerst, garbiąc się i napinając mięśnie szyi. — Obroni się w razie czego.

Linny posłaniec przyniósł tabliczkę z powrotem. Była starta, a na swoim skórzanym pasku wisiał rysik, ale spinka do włosów zniknęła. Stał przed nią ze schyloną głową, oddychając ciężko. Serce Elisabeth się zamknęło. Ścisnęła kurczowo tabliczkę, w tej ostatniej chwili, kiedy jeszcze nie wiedziała. Był późny poranek wypełniony głosami ptaków i żab. Jasnoniebieski motyl składał i rozkładał skrzydła. Krowy w zagrodzie drzemały, bijąc się ogonami po bokach, aby odgonić muchy. Miedziana skóra dzikusa lśniła od tłuszczu i potu. Kiedy odzyskał oddech, podniósł głowę i spojrzał na nią poważnymi oczami, ze zmarszczonym czołem.

— Przynoszę złe wieści — rzekł.

Elisabeth potrząsnęła głową, zaciskając dłonie na tabliczce.

— Duchy gorączki. Zabrały ją.

— Nie! — zaprzeczyła histerycznie. — Już zdrowiała. Powie dzieli, że zdrowieje.

— Pochowaliśmy ją w zgodzie z jej obyczajami, ale starszyzna jest niezadowolona. Teraz inni wśród nas zachorowali.

— Nie! — Elisabeth kręciła się niespokojnie, zaciskając pięści i walcząc z narastającą słabością. — Nie.

— Jest jeszcze nadzieja. Dziecko jest małe, ale nieugięte. Lamentuje nad miejscem pochówku bez ustanku. Przynosi zaszczyt swoim przodkom.

Elisabeth zamarła. Poruszała ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

— Martwa kobieta nie jest z naszego ludu. Zadbaliśmy o jej odejście i zapasy na podróż. Niektóre kobiety też płaczą, z szacunku i lęku przed duchami. Ale tylko dziecko jest naprawdę w żałobie.

Nastała długa cisza.

— Jeanne — szepnęła Elisabeth. — Jeanne nie żyje.

— Tak.

Elisabeth zamknęła oczy i poczuła smutek biorący początek gdzieś trzewiach i rozprzestrzeniający się aż na policzki. Dzikus czekał spokojnie, rozstawiwszy szeroko stwardniałe stopy i nie odzywając się. Elisabeth odłożyła tabliczkę, otarła twarz fartuchem i przygładziła włosy.

— Powinna była być pochowana tutaj — powiedziała cicho. Dziki pokręcił przecząco głową.

— Tylko między swoimi znajdzie spokój.

Elisabeth milczała. Wolnym krokiem udała się do chaty, wzięła z półki kubek, napełniła go wodą z dzbanka i zanosła posłańcowi.

— Wybacz — powiedziała, podając mu kubek. — Na pewno jesteś spragniony.

Dzikus ujął kubek i się napił. Elisabeth wróciła do chaty i ukląkłszy przed skrzynią, podniosła wieko i zaczęła grzebać w złożonych fartuchach i wełnianych pończochach. Jej palce musnęły kawałek żółtkącej koronki i zatrzymały się na chwilę, szukając cery pod małym rękawkiem. Wreszcie wyciągnęła nadjedzony przez mole szal i zamknęła wieko. Na przykrytym talerzu na stole była zimna zastygła kasza i połówka upieczonego leśnego gołębia. Odkroiła trochę, a resztę zawinęła w szal.

— Jak daleko do twojej wioski? — spytała, gdy dzikus ukucnął, by zjeść.

- Od świtu do trzeciej części dnia.
- Wracasz tam teraz?
- Tak.
- Weź mnie ze sobą.

Dzikus przysiadł na piętach, unikając jej wzroku.

— Moja wioska to dobrzy ludzie i przyjaciele waszego ludu — powiedział wolno. — Chcemy waszego przymierza. Nie zabieramy tego, co należy do was.

— Zabierz mnie, błagam. Jeśli się pośpieszymy, będziemy przed zmrokiem.

— Nie mogę.

— To moje dziecko. Moja rodzina. Muszę z nią być w żałobie.

Dzikus milczał.

— Nie powstrzymasz mnie — nalegała Elisabeth. — Jeśli odmówisz, pójdę za tobą.

— Niedoświadczony myśliwy nie widzi jelenia.

Elisabeth zawahała się. Znów weszła do chaty i na czworakach sięgnęła pod łóżko. Muszkiet był naładowany, gotowy do użycia przeciwko Czitimachom, gdyby ośmielili się podejść tak blisko. Kilka miesięcy temu, gdy zaczęły się problemy, Fuerst zabrał ją na podwórko i pokazał, jak się używa broni. Wyszła na dwór. Dzikus spojrział na muszkiet, odruchowo sięgając do noża zwisającego przy przepasce w talii.

— Weź mnie ze sobą — powtórzyła i podała mu broń. Zrobił krok do przodu, przesuwając dłońią po kolbie, jakby to było przestraszone zwierzę. Elisabeth cofnęła rękę z muszkietem.

— Kiedy będziemy na miejscu — powiedziała — dam ci go.

Dzikus szedł bezszelestnie, zwinnie omijając nierówności gruntu i splątane poszycie. Zawiniątko zarzucił sobie bez trudu na ramię. Elisabeth z wysiłkiem ruszyła za nim, nie będąc w stanie

dotrzymać mu kroku. Ciężki muszkiet obijał się jej o bolące plecy, a pas, na którym wisiał, wrzynał w szyję. Oczy łzawiły, podrażnione słońcem i potem. Szli jednak cały czas. Przeszli przez cienisty cyprysowy zagajnik i gęste zarośla trzciny. Kilka razy przekraczali wąskie strumyki; dzikus trzymał nóż w pogotowiu, brodząc w płytkiej wodzie. Elisabeth podwiązała spódnice na wysokości ud i uparcie szła za nim, jedną ręką podtrzymując brzuch, a drugą strzelbę, w razie gdyby mieli napotkać aligatory. Jeanne nie żyła.

Elisabeth było słabo ze smutku i zmęczenia, ale z każdym krokiem odczuwała też pociechę. Całe życie czekała, jak było przeznaczone kobiecie, podczas gdy inni gdzieś żyli naprawdę. Ograniczona przez osadę, a potem plantację, bez walki zaakceptowała to uwięzienie na kawałku oczyszczonej ziemi. Granice jej świata wytyczały pale palisady i nieustanne dreptanie wokół nich, jak galernik przykuty łańcuchem do słupa. Pod tym względem Luizjana nie różniła się od Paryża.

Słońce zsuwało się w dół, ku gęstniejącemu mrokowi, a dzikus wciąż szedł. Las przerzedził się i weszli na pola wysokiej kukurydzy, której kolby chwiały się na tle ciemniejszego nieba. Włosy Elisabeth wysliznęły się spod spinek i wilgotnymi kosmykami spadały na twarz i szyję. Cały czas ją teraz zadziwiało, że tak potulnie zaakceptowała dziwaczne stereotypy narzucone jej płci. Kobieta nie mogła pracować na własnej ziemi, ale mogła ją zostawić odłogiem, aby niszczała. Nie mogła się oświadczyć, ale mogła odrzucić oświadczyni. Nieświadomie poddała się zasadzie mówiącej, że jedyną siłą kobiety jest odmowa, tchórzliwe i zdradliwe uniki.

Fuerst na pewno już wrócił z pola i dowiedział się o jej odejściu bez pozwolenia. Wiedział, że mówi po niemiecku słabo, ale całkiem zrozumiale. Kiedy wróci, a wrócić musiała, poniesie tego konsekwencje. Wszystko się zmieni z powodu jej decyzji. Ta myśl zacisnęła się wokół jej serca i dodawała siły zmęczonym nogom.

Gdy dotarli do wioski, księżyc stał już wysoko na niebie i oblewał białym światłem podobne do uli chaty. Pomiedzy nimi wielkie ognisko strzelało płomieniami ku niebu, nadając mu kolor ochry. Słychać było muzykę, bicie w bębny, nawoływające głosy i cienki jęk trzciny fletni, jak głos skarżącego się ducha. Psy szczekały w zgiełkliwej kakofonii, a niewzruszone żaby i cykady kontynuowały swoją niekończącą się pieśń. Elisabeth wyteżyła słuch, ale nie dotarł do niej płacz dziecka. Gdy wchodzili do wioski, dzikus zatrzymał się i wyciągnął dłoń.

— Strzelba — rzekł.

— Zaprowadź mnie do dziewczynki. Wtedy ci ją dam.

— Najpierw strzelba.

— Nie.

Dzikus patrzył na nią oczami błyszczącymi w mroku.

— Proszę. Przyszłam tu dla niej. Zaprowadź mnie.

Bardzo wolno opuścił rękę i bez słowa poprowadził ją łagodnym zбочem za wioską. Łąka była porośnięta trawą i chwastami. Ich cienie rozlewały się wokół jak atrament. Niebo było pełne gwiazd, przeważnie rozłożonych regularnie, ale nad ich głowami skupiły się tak gęsto, że tworzyły szarawy wir, jak za bardzo używana tabliczka do pisania. Wtedy usłyszała lament, niesamowity i poruszający, jak stłumiony krzyk sowy w nocnym wietrze, przecinający niebo. Elisabeth nigdy przedtem nie słyszała takiego płaczu. Był w nim smutek tak stary jak same gwiazdy i tak jak one nie do opanowania. Rósł on także w jej piersi. Zaczęła biec, z kolbą muszkietu objijającą się o plecy i rozpacz podążającą jej śladem jak chorągiew na wietrze.

Kilka postaci, jedna bardzo mała, klęczało w ciasnym kole nad kopczykiem grobu. Głowy miały zakryte derkami i lamentowały przejmująco. Głosy wznosiły się falami ku kopule nieba i opadały, by powrócić do świeżo wzruszonej ziemi. Obok bawiła się

grupka małych dzieci i ich radosne okrzyki mieszały się z pieśnią pogrzebową, tworząc niezwykłą muzykę. Elisabeth odwróciła się do dzikusa i podała mu muszkiet. Pochylił głowę i oddał jej zawiniątko.

— Dziękuję — mruknęła i ujawszy pakunek, ruszyła wzdłuż kręgu, zatrzymując się za najmniejszym z żałobników.

Ostry krzyk znów wznosił się do nieba. Elisabeth wysypała zawartość zawiniątka na ziemię i owinęła głowę szalem.

Marguerite nie odwróciła się, gdy Elisabeth uklękła w ciszy obok niej. Odrzuciła głowę w tył i zawyła do nieba, jakby chcąc ściągnąć gwiazdy na dół, na zimną ziemię. Elisabeth zamknęła oczy i złożywszy dłonie, poczuła, jak w jej ściśniętej piersi rodzi się taki sam krzyk. Robiło się coraz ciemniej. Dzieci zostały zabrane do wioski, przygasł też płomień odległego ogniska. Żałobnicy nadal lamentowali pod niebiosami. W ich płaczu był cały smutek świata, niewyraźny żadnymi słowami. Od czasu do czasu dwie lub trzy postacie opuszczały krąg, a ich miejsca zajmowały inne, klęcząc, zasłaniając głowy i włączając się w żalną pieśń.

Gdy Elisabeth wreszcie wstała, był prawie świt i linia drzew rysowała się jak czarna koronka na różowo-szarym horyzoncie odchodzącej nocy. Dzikuski opuściły głowy i trwały w ciszy. Rzeźkie, ciche powietrze rozbrzmiewało tylko głosami ptaków, w uniesieniu witających śpiewem nowy dzień. Kobiety wstały, podeszły do dziewczynki i łagodnie przyprowadziły ją do Elisabeth. Marguerite spojrzała w górę. W usmarowanej kurzem twarzyczce było widać tylko wielkie, podkrążone oczy.

— Pani — szepnęła po francusku.

— Marguerite — odszepnęła Elisabeth i wyciągnęła ręce do dziecka.

Dziewczynka chwyciła je swoimi małymi dłońmi i mocno przycisnęła do chudych policzków. Elisabeth uklękła. Ból w sztywnych kolanach był tak dotkliwy, że się skrzywiła, ale

głowy jej i dziewczynki znalazły się na tym samym poziomie. Chciała chwycić ją w ramiona, ale coś ją powstrzymywało, coś niesprecyzowanego, ale mającego związek z indywidualnością i szacunkiem.

— Przyszła pani.

— Tak.

— Moja matka...

— Wiem.

— Noc była jasna, widziała pani? Nie zgubi się. — Marguerite zamrugała, gryząc wargi.

Elisabeth przypomniała sobie, co jej kiedyś powiedział Auguste: że według c...
dusz wiodącym do Wielkiej Wsi, gdzie stale panowała wiosna i była obfitość zwierzyny.

— Odważni i lojalni się nie gubią.

— Czy moja matka była odważna?

Elisabeth zamknęła oczy, przyciskając czoło dziewczynki do swojego. Czuła, jak dziecko dygocze.

— Tak. Była bardzo odważna.

Marguerite się odsunęła. W jej oczach lśniły łzy. Starła je piąstkami.

— Ja nie jestem odważna — wymamrotała.

— Ależ jesteś.

— Nie. Boję się.

— Wszyscy się boimy — odparła Elisabeth. — Odważni też się boją. Dlatego właśnie są odważni.

Był już ranek. Słońce rozlało się po drzewach, świecąc w oczy. Z wioski dobiegały zwykłe, codzienne odgłosy.

— Chodź — powiedziała Elisabeth łagodnie. — Trzeba coś zjeść i odpocząć.

Marguerite nie się ruszyła. Wpatrywała się w kopczyk i ślady kolan w miękkiej ziemi.

— Już prawie skończyłam płakać — powiedziała. — Duch mojej matki będzie bezpieczny i będzie mogła odwiedzać mnie w snach. Jak duchy przodków.

— Tak.

— Kiedy mnie pani zabierze?

Elisabeth się zawahała. Ściągnęła szal z ramion i złożyła go starannie, wygładzając zagięcia.

— Ja... nie przyszedłam tu, żeby cię zabrać — odrzekła. — Twoje miejsce jest wśród twoich ludzi. Powinnaś wrócić do wioski swoich przodków. Przyszedłam, by pożegnać twoją matkę, a tobie życzyć szczęśliwej podróży. Nie mam do ciebie żadnych praw.

— Więc jestem wolna?

— Tak.

Elisabeth patrzyła, jak dziewczynka kłękła przy grobie z opuszczoną głową, grzebiąc rękami w ziemi.

— Nie chce mnie już pani?

— Och, dziecko — westchnęła Elisabeth. — Pragnę cię całym sercem, ale to nie sprawi, że będziesz moja.

— To czyja jestem?

— Jesteś dzieckiem dumnego ludu Yasoux, plemienia twojej matki. W waszych żyłach płynie ta sama krew. Należysz do nich, a oni do ciebie.

— Wysłałaby mnie pani do obcych, bo w naszych żyłach płynie ta sama krew?

— To twój lud.

— Nie. — Marguerite pokręciła głową. — Pani i pan są moim ludem. Państwo i krowy, i Murzyni, i ci mężczyźni, co tak śmiesznie mówią. — Chude ramionka dziewczynki się zatrzęsły. — Proszę, pani. Moje miejsce jest z wami.

Elisabeth wpatrzyła się w przechyloną ku niej buzię i coś ją ścisnęło w gardle.

— Będę się pilnie uczyć — dodała Marguerite prosząco. — Obiecuję.

Elisabeth nie mogła przełknąć śliny. Wyciągnęła rękę i pozwoli odgarnąć dziewczynce włosy z czoła. Marguerite zamknęła oczy, poddając się dotykowi.

— Będę grzeczna — szepnęła.

Czubki palców Elisabeth musnęły ucho dziewczynki i ostry zarys szczęki.

— Tęsknię za mamą.

Elisabeth czuła uderzenia pulsu dziecka na jego gładkiej, ciepłej szyi i przypomniała sobie pewną noc dawno temu, kiedy zacisnęła palce na innej szyi i myślała, że ta udręka jest nie do zniesienia.

— Wiem — powiedziała i pogłaskała dziecko tak, jak głaskała krowy przy dojeniu, aby je uspokoić.

Dzicy przyszli nocą. Weszli na podwórko i zarżnęli jedną krowę i cielę. Ziemia w zagrodzie była pokryta ciemnymi plamami, na ogrodzeniu były ślady krwi, które prowadziły do ścieżki znikającej w lesie za kuchnią. Nikt nie miał pojęcia, jak mogli to zrobić, nie budząc nikogo. Brama była otwarta, a na podtrzymującym ją palu wisały dwie obroże z metalowymi dzwoneczkami. Ostatnia krowa nie uciekła, tylko jak zawsze czekała przy szorstkich deskach na poranne dojenie.

— Sukinsyny — mruknął Fuerst. — Zniszczą wszystko, co wypracujemy.

Auguste nie odzywał się, tylko dmuchał na swoją kaszkę sagową, żeby wystygła.

— Chyba musimy ich ścigać, co? Żniwa, nie żniwa...

— Nie od razu. — Auguste potrząsnął głową. — Niech myślą, że są bezpieczni.

Mężczyźni wyszli w pole z muszkietami przewieszonymi przez plecy. Auguste dołączył do nich. Na gospodarstwie została Vincente, która oparła czoło o krowi bok i pociągała za wymiona tak, jak pokazała jej Niemka, ale mleko nie chciało płynąć. Krowa szarpała się na sznurze, wykręcając szyję. Vincente wyprostowała się, przysunęła stołek bliżej i spróbowała ponownie, ale wymiona ślizgały jej się w rękach. Krowa uderzyła Vincente kopytem w łydkę i o mało nie wyróciła wiadra. Vincente łyzy napłynęły do oczu.

— Przestań, głupia! — syknęła i mocno wparła ramię w bok zwierzęcia, ściskając wymiona pięściami.

Żona Fuersta zawsze doiła krowy, powiedziała jej Niemka, sadowiac swe rozdęte ciało na stołku. Miała tak wielki brzuch, że sięgając po wymię, poczerwieniała z wysiłku. Nazywała się Nellie i twierdziła, że żona Fuersta ma dobre podejście do krów. Nikt nie umiał ich wydoić tak jak ona. Vincente postanowiła wtedy, że też się tego nauczy, ale okazało się to nie takie proste. Pociągnęła znów, z czołem zmarszczonym ze złości.

— To dziecko myli się z uczuciem i melodią! — komentowała jej matka, śmiejąc się melodyjnie. — Zabiera się do klawikordu* jak do siekiery.

Pusty żołądek Vincente wydał cichy jęk. Zakręciło się jej w głowie. Zamknęła oczy, przed którymi pływały srebrne plamy. Znów pomyślała o matce, z jaką pogardą wykrzywiłaby usta, gdyby zobaczyła swoją córkę, pannę le Vannes, z rodu powiązanego małżeństwami z najznamienitszymi rodzinami Francji, próbującą wydoić krowę jak wiejska dziewczka. Krowa wydzielała ciepłą, stęchłą woń, jak łóżko, z którego właśnie ktoś wstał. Vincente znów oparła głowę o jej bok, a burczenie w brzuchu rozbrzmiewało echem w jej czaszce.

Żywność, którą przywiozła z Mobile, prawie się skończyła. Ubiegłej nocy, kiedy Auguste zasnął, wykradła się do kuchni, ale drzwi były zaryglowane i nie mogła ich otworzyć, choć napierała z całej siły. Usiadła na ziemi. Głód szarpał jej nerwami, poruszał palcami u rąk i nóg. Aby się uspokoić, wbiła dłonie w ziemię, zaciskając pięści na kamykach i żdźbłach suchej trawy i przez chwilę czuła nieodparty impuls, by wepchać je sobie do ust. Jednak otworzyła pięści i ich zawartość wysypała się z powrotem na ziemię. Oparła głowę o drzwi. Włosami zaczepliła się o wystające

* Dawny klawiszowy instrument muzyczny.

drzazgi. Wyciągnęła szyję i otworzyła usta, jakby chciała wypełnić je ciemnością. Przepastne niebo było tak pełne gwiazd, że w niektórych miejscach wirowały jak mleczna zupa, rozświetlając noc.

Kuchenna przybudówka była o kilka kroków od zagrody dla krów. Gdyby wtedy przyszli dzicy i natknęli się na nią, skuloną jak przestępca przy kuchni, mogli ją zabrać zamiast krów. Poderznięliby jej gardło nożami o płaskim ostrzu i zabrali ze sobą, niosąc przywiązaną za nadgarstki i kostki do kija i kołysałyby się lekko w takt ich kroków jak upolowany jeleń. Jej krew spływałaby, tworząc ścieżkę na ziemi, życie uciekałoby z niej ciemnymi płatkami padającymi na glebę dzikiego kraju. Pewnie by nawet nie zauważyli, że jej nie ma.

Auguste i Nadreńczyk wyszli przed świtem ze swoją grupą ludzi, mężczyzn i kobiet. Był czas żniw, powiedział Fuerst, każda para rąk była potrzebna. Vincente została z Nellie, która rzeźała cały czas przez otwarte usta, jak muł, a jeśli się odzywała, to tylko po to, by na coś ponarzekać. Lista skarg była imponująca. Vincente próbowała spytać ją o Elisabeth Savaret i o niewolnicę, ale Niemka tylko wzruszała ramionami i zaczynała się skarżyć na ból w plecach. Zupełnie sama w popołudniowym upale, Vincente pochłaniała kolejne kęsy żółtego chleba. Choć mogła dotknąć swojego ciała, czuła się, jakby znikała. Wiedziała, że kobiety w Mobile powoli o niej zapomną. Znów oparła czoło o krowi bok. W piersiach czuła ucisk, aż musiała się pochylić. Przesunęła dłońmi po wymionach, od niechcienia, jak dziecko, które udaje brak zainteresowania. Krowa poruszyła się i cicho zamuczała. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej mleko zaczęło spływać do wiadra.

Tego wieczoru na plantacji pojawiła się grupa myśliwych. Kiedy Nadreńczycy zobaczyli dzikich, przestali jeść i wstali, zaciskając pięści i nawołując do siebie w podnieceniu. Hałas ściągnął Au-

guste'a, który był z Fuerstem w wyższej osadzie. Szybko chwycił strzelbę, odbezpieczając ją.

— Zostań tu — przykazał Vincente, która po chwili wahania podążyła za nim, owijając się fartuchem; bała się zostać sama. Jednak gdy Auguste zobaczył dzikich, opuścił broń.

— To nie Czitimachowie — powiedział. — To Bayagoulasowie, nasi sprzymierzeńcy.

Słuchał uważnie, a potem odwrócił się do Vincente.

— Powiedz Fuerstowi, że przynoszą wiadomość z wioski o nazwie Puchiyoshiba — rzekł. — Jego żona jest tam razem z córeczką niewolnicy. Są bezpieczne.

Vincente posłuchała. Kiedy wyszła z Fuerstem z chaty, zobaczyła, że Auguste wskazuje na ogień w obozowisku. Później, kiedy przyniesiono jedzenie dla dzikusów i rozbito obóz, zobaczyła, że mężczyźni znów rozmawiają z Auguste'em. Niósł pakunek, który im wręczył.

— Co im dałeś? — spytała, kiedy wreszcie usiadł do kolacji.

— Niewiele.

— Niewiele czego?

Auguste przestał ściągać buty i spojrzał na nią. Jej uszy zaróżowiły się lekko. Czuła się nieswojo, kiedy tak bezbłędnie odgadywał niewypowiedziane intencje, ale nie było to uczucie całkiem nieprzyjemne. Wygładziła spódnicę i zadarła brodę.

— Gabrielle Borret mówiła, że Francuzi zawsze dawali dzikusom zbyt dużo i że dlatego stali się tak chewi.

— Ich zwyczajem jest wręczanie i otrzymywanie upominków — wyjaśnił Auguste, przyglądając się jej.

— Więc co im dałeś?

— Niewiele — powtórzył, rzucając buty na podłogę. — Trochę świecidełek, koraliki, trochę prochu i brandy.

— Mówią, że dla brandy dzicy zrobią wszystko.

— A więc wnosimy światło Pana do królestwa szatana.

Chciał ją sprowokować. Vincente ze złością postawiła przed nim talerz.

— Więc żona Fuersta zamierza wrócić, tak? Jak długo jeszcze będziemy czekać?

— Może kilka dni. Aż załatwi swoje sprawy.

Vincente przewracała jedzenie na własnym talerzu. Nie mogła jeść, gdy na nią patrzył.

— Kim tej kobiecie się wydaje, że jest, do diabła? — spytała agresywnie. — Załatwia sprawy z dzikusami?

Auguste milczał, wreszcie pokręcił głową.

— Nie wydaje mi się, bym wiedział — odparł.

— Nie mówią o niej dobrze. Anne Negrette, Perrine Roussel, one... — urwała, gubiąc wąż pod jego niewzruszonym spojrzeniem.

W zapadłej ciszy spuścił wzrok, układając łyżkę równo z miską. Potem ujął ją i zaczął jeść. Żuł i przełykał, podnosząc kolejne porcje do ust. Żadne z nich się nie odzywało. Kiedy skończył, odsunął talerz. Tłuszcz w garnkach zastygł już i nabrał białego koloru. Gdzieś w oddali zawył pies, a odgłos wycia rozszedł się echem w ciemności. Wreszcie Auguste pochylił się w przód i odchrząknął.

— Rozmawiałem z Fuerstem. Jutro jadę do Ouma. Żniwa czy nie, nie możemy pozwolić, żeby Czitimachowie wchodzili na nasze ziemie i zabijali bydło.

Vincente potaknęła.

— I co zrobisz? — spytała.

— W wiosce Ouma zawsze są jacyś ludzie Czitimacha. Postaram się o ich pomoc w zawarciu pokoju.

— Sam?

— Tak.

— Czy to nie jest niebezpieczne?

— Może trochę.

Vincente milczała.

— Przepraszam — powiedział cicho. — Nie powinienem był pozwolić ci tu przyjeżdżać.

— Nie pozwoliłeś. Ale i tak tu jestem.

— Tak.

Cisza się przeciągała. Auguste wpatrywał się w swoje dłonie, a Vincente odsunęła krzesło i pobierała naczynia. Przy drzwiach się zatrzymała. Siedział nieruchomo z pochyloną głową.

— Uważaj na siebie — szepnęła i postawiła talerze na ziemi z brzękiem mogącym odstraszyć samego szatana.

Wyjechał następnego dnia przed świtem. Było jeszcze ciemno, gdy wstał i szukał po omacku ubrania, potykając się. Vincente leżała i nasłuchiwała, jak zbiera swoje rzeczy, bierze muszkiet i wychodzi z izby. Próbowała uchwycić odgłos jego kroków w chacie, ale poruszał się bezszelestnie na twardej, ubitej ziemi. Zaskrzypiały tylko drzwi wejściowe, jakby w proteście przeciwko tak wczesnej godzinie. W nocy objął ją, a ona przywarła do niego. Teraz, pod wpływem nagłego impulsu, odrzuciła przykrycie i wybiegła z sypialni, ale się nie odwrócił. Chciała go zawołać, lecz nie zrobiła tego i drzwi zamknęły się, znacząc wachlarzowaty kształt w pyłe. Patrzyła za nim z okna. Szedł różnym krokiem, nie oglądając się, a za nim mężczyźni z na wpół zamkniętymi oczami, jak zombie. W koszach na plecach nieśli kosy. Za nimi postępowały kobiety z jedzeniem zawiniętym w szale. Dało się słyszeć świst bata i piski spłoszonych ptaków, gdy wyganiano czarnych z ich obozowiska. Vincente widziała Murzynów już wcześniej; kiedy byli jeszcze bogaci, kuzynka matki miała czarnego chłopca niewolnika. Pызaty, o skórze koloru mlecznej czekolady był ulubieńcem dzieci. Pieściły go, ubierały w jedwabne stroje i wkładały na szyję ozdobną obrozę ze złotą kłódką. Bawiło je zabieranie go

na spacer do ogrodu na smyczy ze szkarłatnej skórki. Gdy urósł i jego pyzata buzia nabrała twardych, męskich rysów, sprzedano go handlarzowi w Rouen.

— Jak niedźwiedź — stwierdziła wszystkowiedzącym tonem kuzynka, gdy spytano ją o zdanie. — Słodziutki w młodości, a potem po prostu niebezpieczny.

Murzyni nie byli związani wspólną liną. Przemierzali podwórko prowadzeni przez jednego z nich, a za nimi szło dwóch Nadreńczyków z batami w pogotowiu. Gdy szli, widać było białe podeszwy ich stóp. Tak samo białe mieli wnętrza dłoni i blizny, które znaczyły ich nagie plecy. Na reszcie ciała skóra była tak czarna, że zaszokowało to Vincente. Nie mogła przywyknąć do tego widoku. Wreszcie zniknęli.

Zapadła nagła cisza, w której las przysunął się trochę bliżej i Vincente znów zaczęła się bać, lęk narastał w niej jak żar wschodzącego słońca. Lęk przed dzikimi, przed Murzynami, przed krzepkimi Niemkami, które patrzyły na nią, jakby ją miały zdeptać, jeśli zbliży się za bardzo; lęk przed okrutnym upałem, przed aligatorami i jadowitymi węzami, przed gorączką, wyczerpaniem i obezwładniającą perspektywą monotonnej pracy, a przede wszystkim lęk, że Auguste nie wróci i nie będzie miała żadnego oparcia, niczego i nikogo pomiędzy nią i wszystkimi strachami świata.

Była panią plantacji. Wzięła od Fuersta klucz od kuchni i kiedy ludzie wyszli w pole, napełniła jedzeniem kieszenie fartucha i zaniósła do chaty, ukrywając je za wielką księgą stojącą na półce przy drzwiach. W nocy odsuwała księgę i jadła, pośpiesznie, na ślepo, nie zapalając lampy.

Nigdzie nie było klucza do pozbawionej okien chatki, w której de Chesse trzymał swoje rzeczy. Fuerst musiał wyłamać zamek.

— Większość zabrał — wyjaśnił, waląc w drzwi siekierą, aż ustąpiły.

Wewnątrz chatki było mroczno i wilgotno, jak w kościele. Niewiele było tu rzeczy prócz pajęczyn, ale w kącie znalazła zwinięty dywan, tylko trochę postrzępiony na rogach, i kilka sztuk mebli: stolik z drewna orzechowego, lustro i kanapkę pokrytą zaplamionym niebieskim aksamitem. W pudłach było nieco lekko zbrązowiałego płótna.

Vincente zniosła wszystko do chaty. Ustawiła stół i kanapkę razem w kącie, a upstrzone przez muchy lustro pod ścianą; odbijało światło jak srebro. Potem klęcząc, starannie rozwinęła dywan, przykrywając ubitą ziemię. Tkanina była chłodna i miękka w dotyku, miała wzór z dużych, kremowych róż na jasnozielonym tle. Położyła się i przytuliła do niej policzek, wyobrażając sobie, co by powiedziały kobiety z Mobile na jego widok i czy też kładłyby się na nim, rzędem obok siebie jak ziarna fasoli w strąku. Ta myśl była jednocześnie pocieszeniem i niepokojem.

Nie zdawała sobie sprawy, że zwykła praca może być tak dokuczliwa. Auguste zapewnił, że będzie musiała robić tylko to, co niezbędne do funkcjonowania osady, ale monotonia i nuda tych powtarzalnych zajęć były nie do wytrzymania. Cały czas w uszach rozbrzmiewały jej słowa matki o „niewłaściwości” wykonywania tak niskich prac, o hańbie, jaką okryła rodzinę; garbiła się wtedy, zaciskała na tłuczku ręce pełne pęcherzy i zaczynała miażdżyć kukurydzę tak mocno, że ziarna wyskakiwały z płytkego moździerza, tworząc żółte wzory na ziemi. Z całego serca przeklinała Elisabeth Savaret, przez którą znalazła się tutaj, gdzie spędzi swoje życie i umrze przygnieciona ciężką harówką, która była jej obowiązkiem.

Nocami czuła nieustanne mrowienie w kończynach, które nie dawało jej zasnąć. Kładła się wtedy na podłodze i wyobrażała sobie inne żony, na których twarzach malowało się współczucie

i podziw; rozpraszało ją jednak skrzywienie ścian i nie mogła się skupić na tym obrazie.

Fuerst też wydawał się podenerwowany. Kazał mężczyznom spać kolejno na skórach jelenich rozłożonych przy zagrodzie dla krów, sam zaś kładł się w składziku na drewno tuż za kuchnią, który był najbliżej lasu. Drzwi zostawiał uchylone i blade światło księżyca padało mu na twarz, rysując cienie pod muszkietem, który kładł przy ramieniu.

Vincente nie sięgała po Biblię, tylko leżała wyciągnięta na dywanie z zamkniętymi oczami, jakby wszystko z niej wyciekło, i czekała na ślepe, czarne nocne godziny, kiedy jej dłonie nie należały już do niej i to mogło przynieść ukojenie.

Elisabeth Savaret wróciła piątego dnia, rozpalonym wczesnym popołudniem. Psy spały w cieniu dębu, wywiesiwszy języki, a krowy drzemały w zagrodzie, od czasu do czasu tylko wzdrygając się, by odpędzić muchy, wążące im do oczu. Nellie też drzemała; dziecko uciskało główką na uda, gdyż termin porodu był już bardzo bliski. Przygłuszony szum upału przerywało tylko tępe uderzanie metalu o drewno. W cieniu największej chaty Vincente, z głową obwiązaną chustką, kroїła arbuzy dużym nożem. Czerwony sok ściekał po palcach, a fartuch upstrzony był płaskimi, czarnymi pestkami. Odkrojone kawałki owocu układała na dużym, drewnianym półmisku.

Najpierw nie usłyszała Elisabeth, tylko trajkotanie dziewczynki huśtającej się na palach zagrody dla krów i wyciągającej ręce do zwierzęcia. Dziecko wołało do kogoś we własnym języku. Serce Vincente na chwilę przestało bić.

— Odejdź od zwierząt, słyszysz? — zawołała po francusku i pogroziła nożem. — Idź stąd!

Dziecko odwróciło się, osłaniając oczy dłonią. Potem zeszło z ogrodu i pobiegło w stronę lasu. Vincente zamrugała. Kręciło jej się w głowie i nie mogła utrzymać noża w dłoni; znów zapadła cisza. Na pokrojonych owocach siadła tłusta mucha. Powoli, mrużąc oczy, Vincente wyszła na słońce, trzymając nóż obiema rękami przed sobą. Gorąco rozsadzało jej czaszkę. Pod

drzewami i między chatami w cieniu lśniły głównie dzid i obłe czarne groty zatrutych strzał. Skóra Vincente była lepka od potu. Gdzieś w cieniu Nellie czekała samotnie na swoje dziecko. Krowa poderwała łeb i odbiegła, objając się o pale ogrodzenia.

Vincente odwróciła się gwałtownie. Stał przed nią dzikus o lśniącej skórze poznaczonej na czarno, za nim dziecko z językiem między zębami, a jeszcze dalej biała kobieta ze skórą spaloną na brąz od słońca, w połatanej sukience z haftowanej bawełny. Vincente opuściła nóż. Kobieta była stara. Miała pomarszczoną twarz, a włosy, upięte w luźny węzeł na karku, miały sporo siwych pasm. Nie nosiła kapturka ani gorsetu. Kiedy podeszła bliżej, Vincente zobaczyła, że jest w ciąży.

— Pani le Vannes? — odezwała się.

Vincente zamrugała i schowała nóż w fałdach fartucha.

— Ja... tak, to ja. Przestraszyłaś mnie.

— Jestem Elisabeth Savaret.

Vincente bez słowa patrzyła na nią, nie będąc w stanie dopasować stojącej przed nią kobiety do Elisabeth Savaret ze swoich wyobrażeń. Kiedy pytała Perrine, Anne i inne, wzdychały i stwierdzały zgodnie, że Elisabeth była dumna, próżna i samolubna, że zawsze uważała się za lepszą od innych, bo ciągle czytała i na wszystkim się znała i nic ją nie obchodziło poza nią samą i jej ambitnym mężem. Mówiły, że jeśli jemu sprawiłoby to przyjemność, pozwoliłaby im wszystkim umrzeć z głodu. Potem, ilekroć Vincente wyobrażała sobie Elisabeth Savaret, miała ona twarz w kształcie serca, woskowo gładką jak lalka, o okrągłych oczach i niezmiennym wyrazie. Twarz jej siostry Blandine.

— Czy mój mąż jest na polu? — spytała Elisabeth.

— Są żniwa — odparła Vincente.

Jej pierś wypełniało radosne uniesienie. Ta zniszczona, stara kobieta, o ciele zniekształconym ciążą, to właśnie była Elisabeth Savaret.

— A pani mąż? Też tam jest?

Vincente zesztyniała i zacisnęła dłoń na rękojeści noża ukrytego w fartuchu.

— Pana nie ma — odparła ostro. — Bardzo źle wybrałaś sobie czas, żeby teraz właśnie zniknąć.

— Tak. Proszę mi wybaczyć.

— O wybaczenie będziesz musiała poprosić pana. Na razie jest mnóstwo pracy, potrzebna jest każda para rąk.

Tej nocy Fuerst spał jak zwykle w drewnitni, z muszkietem pod ręką. Po północy Nellie odeszły wody. O świcie, kiedy jej mąż przyszedł po Vincente, miała już regularne skurcze.

— Proszę przyjść — powiedział po niemiecku. — To jej pierwsze. Boi się.

Vincente patrzyła przerażona na Nadreńczyka.

— Ja? Ale... Z pewnością któraś z kobiet...

— One nic nie wiedzą. Prosi, żeby pani przyszła.

Na podwórku zaświstał bat i rozszczękały się szaleńczo psy. Vincente przełknęła ślinę.

— Będą wiedziały, co robić — odparła. — Ja... ja nie wiem.

Odwróciła się, ale Nadreńczyk złapał ją za rękaw. Zobaczyła jego palce z połamanymi paznokciami. Skóra była czarna od brudu.

— Proszę — zająknął się i wzmocnił uścisk, szczypiąc jej skórę. — Proszę. Nie wiem, co robić.

Nellie leżała na jeleniej skórze w kącie ciemnej chaty z oczami rozszerzonymi przerażeniem i z rozchyłonymi kolanami. Skurcze nasilały się i Nellie jęczała, odrzucając głowę w tył i kopiąc spuchniętymi nogami ubitą ziemię w chacie. Vincente zacisnęła oczy. Zrobiło jej się słabo.

— Pomóż mi! — błagała Nellie, z trudem łapiąc oddech. — Boże Wszchemogący, pomóż mi!

— Ja... — Vincente ucisnęła skronie palcami.

— O Boże!

— Pani Savaret — zdecydowała zdesperowana Vincente. — Pani Savaret będzie wiedziała, co robić.

Wycofała się w stronę drzwi.

— Nie... nie zostawiaj mnie. Dziecko... o Boże...

— W porządku, nie bój się! — zawołała Vincente przenikliwie. Rzuciła się do drzwi i otworzyła je. — Wszystko będzie dobrze. Elisabeth!

Wybiegła na dwór. Dzika dziewczynka stała w drzwiach do kuchni, trzymając stos brudnych naczyń.

— Elisabeth!

— Poszła po wodę, proszę pani — powiedziało dziecko po francusku.

— Więc sprowadź ją! Już!

Dziewczynka rzuciła talerze na ziemię i pomknęła przez podwórko.

— Powiedz jej, że Nellie rodzi! — zawołała za nią Vincente.

— Niech przyjdzie szybko!

Elisabeth doskonale wiedziała, co robić. Przyniosła brandy i niedźwiedzie sadło i kazała Vincente powiedzieć dziewczynce, by zagrzała wodę i znalazła czyste płótno. Kiedy wsunęła dłoń między uda Nellie, Vincente odwróciła się, ale Elisabeth ani drgnęła; pouczała rodzącą kobietę cichym, wyraźnym głosem, aby ją uspokoić. Trzęsąc się z ulgi, Vincente trzymała Nellie za rękę i wycierała jej czoło szmatką zmoczoną w chłodnej wodzie, usiłując nie patrzeć na smugi krwi na pokrytych żyłakami nogach.

Poród trwał długo, ale przebiegł bez komplikacji; dziecko urodziło się wieczorem, kiedy mężczyźni skończyli jeść kolację. Nellie już nie krzyczała i w chacie panowała cisza wypełniona dymem kaganka i cieniami. Vincente patrzyła, jak Elisabeth

sprawnie podwiązuje i odcina pępowinę i klepie noworodka po plecach. Dziecko wydało pisk.

— Chłopiec — oznajmiła Elisabeth, kładąc go na brzuchu matki.

Leżał tam, zwinięty, jakby nadal był wewnątrz, śliski od krwi i białawej substancji pokrywającej jego ciało jak grudki sera, z wystającą resztką podwiązanej pępowiny. Nellie wzięła go w ramiona, a Vincente i Elisabeth spojrzały na siebie i razem uśmiechnęły się nad dokonany cudem.

— Boli, wiem — powiedziała Elisabeth do popłakującej Nellie. — Ale się zagoi.

Później Elisabeth i Vincente wróciły razem na podwórko. Niebo było zsypane gwiazdami jak drobno zmieloną mąką. Chwała Panu, który stworzył niebo i ziemię, pomyślała Vincente, i choć nie pamiętała dokładnie słów, przepełnił ją spokojny podziw.

— Dziecko Nowego Świata — odezwała się Elisabeth, a w jej głosie też był podziw. — Dla niego tu nie będzie pewnie dziwnie.

— Nie wiem. Chyba dla dziecka każde miejsce jest dziwne.

— Może, gdy jest samo. Ale w ramionach matki?

— Może nawet dziwniejsze. — Vincente wzruszyła ramionami.

Elisabeth się nie odezwała. Vincente przypatrywała się czubkom swoich znoszonych pantofli wysuwających się spod spódnicy. Na szczycie wzgórza skierowała się w stronę swojej chaty.

— No to dobranoc — powiedziała. — Cieszę się, że tu jesteś. Z powodu Nellie.

Elisabeth nie odpowiedziała.

— Dzięki Bogu — dodała Vincente. — Zdrowy, mocny chłopak.

— Miejmy nadzieję, że uczyni z tego miejsca coś lepszego, niż nam się udało.

Haftowana suknia Elisabeth była tylko popielatą smugą w ciemności. Jej twarz kryła się w cieniu.

— Ta dziewczynka — odezwała się nagle Vincente. — Dziecko niewolnicy. Jest mojego męża, prawda?

Pytanie zawisło w gęstym powietrzu.

— Marguerite należy do mnie — odparła wreszcie Elisabeth.

— Nie o to mi chodziło.

— Nie.

— No więc?

— Jej matka była z plemienia Yasoux, a ojciec był Francuzem. Oboje nie żyją.

— Wiesz, w Mobile mam przyjaciółki. Powiedziały mi wszystko.

— Oczywiście. Nie mogły się powstrzymać. Ale się mylą, jeśli o to chodzi.

— Czy księgi parafialne też się mylą?

— Tak.

— Mój mąż jest ojcem dziecka. Podpisał się.

— To nie znaczy, że taka jest prawda.

— Więc kto jest ojcem dziecka, jeśli nie mój mąż?

— Mój.

Vincente patrzyła z otwartymi ustami.

— Twój?

— Matka dziecka była naszą niewolnicą. Była bardzo piękna. Mój mąż ją kupił albo ukradł, nie wiem. Potem... kiedy mój mąż zginął, Auguste, pani mąż, myślał, że gdyby tylko mógł... zabrał ją. Wydaje mi się, iż sądził, że nie wiem, że nikt nie wie. I kiedy dziecko się urodziło, oznajmił, że to jego.

— Po co miałyby to robić?

— Żeby oszczędzić wstydu mnie i mojemu nieżyjącemu mężowi. Zawsze był dobry dla nas obojga.

Vincente potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

— Dlaczego więc teraz nie jest jej właścicielem?

- Bo go prosiłam, bym mogła ją odkupić.
- Ale dlaczego?
- Żeby nie zapomnieć.
- O grzechu męża?
- O moim grzechu.

Vincente wpatrywała się w ciemną linię drzew i gwiazdę, która weszła nad nimi i nagle rozbłysła mocniej. Na tle rtęciowo-srebrzystego nieba przemykały nietoperze.

— To ładna historia — powiedziała Vincente, zanim zdążyła ugryźć się w język.

— Nie tak bardzo. Mój mąż nie umiał kochać. Myślę czasem, że ja też nie. Nie zasługiwaliśmy na tak wiernego przyjaciela, jakim był Auguste Guichard.

W jej głosie była czułość i łagodność, co drażniło Vincente. W brzuchu poczuła znajomy ucisk zalewający ją strumieniami poczucia cnoty i prawości.

— Oby Bóg wybaczył ci kłamstwa — syknęła. — Wiem, że dziewczynka jest jego!

Elisabeth odwróciła się bez słowa i odeszła.

— „Małżeństwo jest uświęcone we wszystkim, i w łożu nie skalanym: ale dziwkarzy i cudzołożników Pan osądzi!” — zawołała za nią Vincente. — I kłamców!

Znów długa cisza, a potem spokojny głos Elisabeth dotarł do niej przez ciemność. Nie było w nim złości, tylko dojmujący smutek.

— Jeśli sądzisz, pani, że kłamię, spójrz na dziecko. Jean-Claude, mój... — urwała. Dokończyła tak cicho, że Vincente ledwo ją słyszała. — Są jak dwie krople wody.

Vincente pomyślała o Anne Negrette, która nazwała małżeństwo Elisabeth związkiem z wielkiej miłości, i o Germaine Vessaille, w ciąży z siódmym dzieckiem.

— Pewien mądry przyjaciel powiedział mi kiedyś, że jeśli

istnieje coś takiego jak udane małżeństwo, to przypomina ono bardziej przyjaźń niż miłość. Było mi go szkoda — wyrzuciła Elisabeth stłumionym głosem. — Było mi go szkoda.

Vincente nie odzywała się przez chwilę.

— Jaki przyjaciel? — spytała w końcu. — Mój mąż?

— Pani mąż? — Elisabeth wydawała się zaskoczona. — Nie, nie, nie on.

Vincente opasała się ramionami. Po raz pierwszy przyszła jej do głowy myśl: nasze dziecko.

— Wydawało mi się, że rozumiem — powiedziała cicho Elisabeth. — Że ja też zmądrzałam.

— Może tak było.

— Nie. Myślałam... Robiłam straszne rzeczy.

— Wszyscy grzeszymy. W dniu Sądu Ostatecznego Pan będzie litościwy.

— Nie — wymamrotała Elisabeth. — Nie. Nie dla mnie.

— Co takiego mogłaś uczynić — Vincente uniosła w górę rękę — co byłoby niewybaczalne?

Ale Elisabeth odeszła.

Zobaczył ją pierwszy. Podwórko było ciche, siedziała tam sama, tylko żółty pies spał w cieniu dębu. Zobaczył ją, ale nie zawołał. Nie wiedział dlaczego, ale ta chwila zapierała dech w piersiach, była pełna cichego „jeszcze nie” i nie chciał tego utracić. Pies poruszył się i podniósł łeb, gdy przemierzał oboje. Pył na ziemi tłumił jego kroki. Nad kołnierzem widać było jej biały kark. Wydęła wargi, mocując się z nitką. Widział, jak jej pierś opada i wznosi się i jak pot perli się na jej czole.

Był tylko kilka kroków od niej, gdy podniosła głowę. Natychmiast zrozumiał, że błędnie ocenił sytuację, że powinien był zawołać, dać jej czas na pozbieranie się. W jego bliskości było coś niemal lubieżnego, nie powinien oglądać jej w chwili niekontrolowanej naturalności. Niezgrabnie odłożyła szycie, wstając i odwracając głowę, by nie dostrzegł zmieszania w jej oczach.

— Wróciłeś — powiedziała niewyraźnie.

— Wróciłem.

Nastała cisza. Pies pod dębem dźwignął się i z wywieszonym językiem ruszył w stronę Auguste'a, by ułożyć się u jego stóp. August powoli wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Nie cofnęła jej. Drugą rękę położyła na jego koszuli, aż poczuł na skórze fakturę ściegów. Stali tak przez dłuższą chwilę, a cisza między nimi gęstniała, pełna niewypowiedzianych słów.

— Bogu dzięki — powiedziała.

Niepokoilo go, jak jej twarz byla zarazem obca i znajoma. Na lewej malzowinie ucha widnial pieg. Nie pamietal, czy zawsze go tam miala. Byla prawie tak wysoka jak on.

— Wygladasz na zmeczona — odezwal sie.

— Zniwa. Prawie wszystko jest zwiezione. I urodzilo sie dziecko Nellie. Chlopak, nazwali go Karl. Po jego ojcu.

— To dobre wieści.

— Murzyn, ktory byl chory, czuje sie lepiej.

— Dobrze.

— I wrócila Elisabeth Savaret.

Twarz mu nie drgnęła. Spodziewal sie tego.

— Fuerst sie ucieszy — odparł wyważonym tonem.

Vincente odwrócila sie, pochylajac sie ponownie nad szyciem.

Igła błyskala w jej dłoni.

— Jest w nizszej osadzie z dziewczynka, jesli chcesz sie z nimi zobaczyc.

— Moze pózniej.

Zawahala sie. Wpięła igłę w kołnierzyk.

— Na pewno jesteś głodny — powiedziala.

— Nie bardzo. Ouma dali mi prowiant na droge.

Potaknęła, skladajac koszule i wkładajac ją do koszyka na ławce. Tym razem cisza między nimi miala w sobie pustkę.

— Muszę znaleźc Fuersta — powiedzial.

— Tak.

Zawahal sie, ale odezwala sie pierwsza.

— Zobaczymy sie pózniej — rzekla i nie patrzac na niego, zabrala koszyk z szyciem i weszla do chaty.

— Poczekaj! — zawolal, gdy popchnęła drzwi ramieniem, i sam poczul sie zaskoczony swoja impulsywna reakcja. — Poczekaj!

Zatrzymala sie z koszykiem opartym na biodrze. Słowa kłębiły sie w jego głowie, zmieniajac ksztalty na coraz bardziej nie-

prawdopodobne. Otworzył usta i zamknął je. Bolało go ramię. Wziął głęboki oddech.

— Ja... — spróbował. — To znaczy...

— Tak?

— Jednak chyba jestem trochę głodny.

Poszli razem do kuchni. Vincente wyciągnęła klucz z kieszeni fartucha i otworzyła drzwi.

— Jak widzisz, jestem panią domu — powiedziała lekkim tonem.

— To ci przystoi.

— Przeciwnie. Zobacz, mam ręce jak dwie stare podeszwy.

— Wyciągnęła dłonie do Auguste'a, ale kiedy chciał je ująć w swoje, zaśmiała się niezręcznie i odsunęła.

Auguste patrzył, jak bierze talerz i nakłada trochę kukurydzianego chleba i pieczonej dyni. Poruszała się w małej przestrzeni z łatwością świadcząca o przyzwyczajeniu, bez kłopotu sięgając na wysoką półkę po sól i ser. Łatwo było wyobrazić ją sobie tutaj nawet po ciemku.

— Zjedz ze mną.

— Nie jestem głodna.

— Proszę, tak bym chciał, żebyś ze mną zjadła.

Niepewnie wzięła od niego kawałek dyni i włożyła do ust. Przeżuła, jakby to było chrząstkowate mięso, i przełknęła.

— No — powiedziała, wycierając usta wierzchem dłoni.

— Dziękuję.

Zamrugnęła, odwracając wzrok. Nastąpiła długa cisza.

— Czitimachowie chcą pokoju, jestem pewien — odezwał się wreszcie. — Mają dość walk z sąsiadami, którzy nam sprzyjają.

Vincente potaknęła, nadal odwrócona.

— Wiesz — kontynuował tym samym lekkim tonem, żeby nie zorientowała się, że dostrzegł jej łyzy — jeden z wojowników Ouma zapytał mnie, dlaczego biały człowiek nigdy nie jest zado-

wolony. Kiedy go spytałem, czemu tak sądzi, powiedział, że biali zawsze marszczą czoło, a oczy mają wybałuszone, jakby wpatrywali czegoś, czego nigdy nie znajdują.

— I co mu powiedziałaś? — Vincente ucisnęła oczy palcami.

— Że dopóki dzicy kradną jego własność i toczą przeciwko niemu wojnę, biały człowiek nie ma wyjścia. Musi być czujny. Co do marszczenia czoła, to musimy się jakoś chronić przed bezlitosnym luizjańskim słońcem.

Vincente uśmiechnęła się lekko, co go ucieszyło. Stali obok siebie bez słowa w ciasnej kuchni i panował spokój. Nie miało znaczenia, że nie był prawdziwy, że nic nie powiedział, tylko słuchał w milczeniu, kiedy Tohto stwierdził, że nad białym człowiekiem wisi fatum szaleństwa, bo myśli on głową, podczas gdy dzikus myśli sercem i dlatego może iść prawdziwą ścieżką, wolną od zdradliwych zakrętów intelektu. Słuchał i patrzył, gdy ogień się dopalał, i zastanawiał się nad dziwnym faktem, że każdemu zdarza się powiedzieć jakąś prawdę, mędrcomi tak samo jak zupełnie głupcowi. Tohto był przeważnie pijanym bufonem, wymieniał skóry zwierząt na whisky, lecz dobry był z niego myśliwy. Rzadko miał rację w czymkolwiek niedotyczącym polowania.

Krowa w objęciu wydała żałosny ryk.

— Czas ją wydoić — powiedziała Vincente, przykrywając talerz z dynią i stawiając go na półce. — Muszę iść.

— Nauczyłaś się dojenia?

— Wielu rzeczy się nauczyłam. Długo cię nie było — powiedziała z wahaniem, unosząc ręce.

Pod pachami miała ciemne plamy. Żołądek Auguste'a ścisnął się, lecz Auguste się nie poruszył.

— Muszę wydoić krowę — powtórzyła.

Miał zamiar iść na pole. Przeszedł obok obozowiska Murzynów i brzegiem lasu, lecz zatoczywszy koło, zszedł niższą ścieżką do

osady robotników. Żółty pies towarzyszył mu przez chwilę, ale potem zniknął.

Prymitywne chaty drzemały w upale. Krzaki za kręgiem ogniska pokrywało rozwieszane pranie, a nisko zwieszające się gałęzie dębu obwieszane były podniszczonymi garnkami i kociołkami. Dziewczynka siedziała w cieniu, plotąc ostre palmowe liście i trzymając na kolanach na wpół gotowy koszyk. Spojrzała na niego. Podszedł powoli.

— Witaj — rzekł.

Dziewczynka zamrugała. Była chuda i niezbyt czysta, z ciemnymi, spletanymi włosami wokół twarzy. Podobieństwo było jednak uderzające.

— Jesteś nowym panem — powiedziała.

— Tak.

— Nie pamiętam cię.

— Nie. Ale ja ciebie pamiętam.

Dziewczynka trzymała na kolanach lalkę z poczerńiałego mchu. Lalka miała sukienkę z plecionej trawy i okrągłe oczy z muszelek.

— Twoja pani. Jest tu? — spytał.

Dziewczynka potrząsnęła głową.

— Jest przy rozlewisku. Dziś dzień prania.

— Którędy?

Odwrócił się na skraj podwórka. Dziecko trzymało lalkę przy twarzy, szepcząc coś do jej czarnego ucha. Kiedy zobaczyła, że August patrzy, zamilkła i się wyprostowała. Obydwie, dziewczynka i lalka, wpatrywały się w niego równie okrągłymi oczami. Podniósł dłoń, a potem odwrócił się i zszedł wśród trzciny nad strumień.

Nie była sama. Inna kobieta, jedna z Niemek, prała zgięta nad tarą, z mokrymi włosami oblepiającymi gorset i rękawami podwiniętymi powyżej łokci silnych, czerwonych ramion. Elisabeth

była przy niej chudziutka jak dziecko. Obydwie miały fartuchy z płótna workowego na podwiązanych spódnicach i bezkształtne kapturki z liści palmowych osłaniające ich twarze przed słońcem. Ich nogi w brązowej wodzie były blade jak ryby.

— Elisabeth Savaret — powiedział cicho.

Spojrzała na niego i opuściła ramiona. Koszula, którą trzymała, rozwinęła się i przywarła do jej nóg, jak wstydlive dziecko. Ostre światło powodowało, że zmarszczki na jej twarzy wydawały się czarne. Poczul w sercu coś, jak wspomnienie z dzieciństwa, ostre i pełne tęsknoty, ale Elisabeth żwawo wrzuciła koszulę do wody, wypłukała ją, wyżęła i rzuciła na wierzch reszty mokrego prania w koszu.

— Czego chcesz? — spytała wcale niełagodnym tonem. Kobieta zerknęła na Elisabeth i opierając tarę mocniej o nogi, podjęła energiczne tarcie. Auguste'a ogarnęła przemożna chęć, by odejść, ale pomyślał o Vincente, o komisarzu i o wszystkich latach rozciągających się przez wieczność, każdy rok zapisany jego własnym pajęczym pismem. Przełknął, by zwilżyć wyschnięte usta, i wypowiedział słowa, które tylokrotnie mówił sam do siebie:

— Nie mogę tego zrobić, Elisabeth.

— Dałeś słowo.

— Przysięgam, zamierzałem trzymać się z daleka, ale nie mogę.

— Nie mam ci nic do dania.

— Wiem, że nie mam prawa cię o to pytać, ale... — zająknął się, przełykając ślinę. — Elisabeth. Muszę znać swoją przyszłość.

— Twoją przyszłość? — zaśmiała się zduszonym głosem. — Chyba jest jasna.

— Więc mi powiedz. Nie chcę twojego przebaczenia, nie zniósłbym go. Ale muszę wiedzieć.

— Twoja przyszłość. — Elisabeth schyliła się, wygniatając w wodzie następną koszulę. — Będziesz uprawiać indygo, chyba że zbiory okażą się słabe. Wtedy zbiedniejesz.

- Pozwoliłabyś mi na to?
- Ty tu jesteś panem. Możesz zbiednieć bez mojego pozwolenia.

August zamilkł. Niemka nuciła pod nosem, trąc płótnem o tarę.

- Proszę — odezwał się. — Przejdź się chwilę ze mną.
- Nie mogę. Nigdy nie skończymy tego prania.
- Proszę.

Elisabeth zawahała się przez chwilę. Potem westchnęła, wytarła ręce w fartuch, wyszła z wody i opuściła spódnicę do ziemi.

— No dobrze, szybko — powiedziała bez uśmiechu. Odwiązała fartuch i wsunęła stopy w znoszone mokasyny.

Ruszyli wzdłuż brzegu do miejsca, w którym trzciny rosły tak gęsto, że nie dawało się przejść.

- Oczekujesz dziecka — rzekł August. — Nie wiedziałem.

Elisabeth nie odpowiedziała. Obejmowała się mocno ramiionami, aż ostre łokcie sterczały na zewnątrz, i wpatrywała się w rozlewisko. August patrzył na jej wypukły brzuch i znów poczuł dobrze znane ukłucie w sercu, ale tym razem powiedział sobie, że go to cieszy.

- Nie mogę ci wybaczyć — odezwała się w końcu.
- Ja sam nie mogę sobie wybaczyć.
- Nie zniosłabym twojego przebaczenia.
- Mojego? Ty potrzebujesz mojego przebaczenia? Przecież gdybym...

- Nie. Ja... Nie.

W piersi czuł ucisk, jakby wyęła jego płuca razem z koszulą. Żaby darły się wniebogłosey. Niebo nad lasem było białe, poranny błękit całkiem spłowiał. Elisabeth położyła dłoń na łodydze trzciny i August dostrzegł, jak ta łodyga i jej palec są do siebie podobne: silne, szczupłe z wystającymi brązowymi stawami.

- Nie zostanę tu — powiedział.

- To twoja plantacja — odparła.
- Jej twarz, jej oczy nie wyrażały niczego.
- Nie powinienem był przyjeżdżać.
- Dałeś słowo.
- Wiem.
- No, ale teraz jesteś tu panem — dodała gorzko. — A pan robi, co mu się żywnie podoba, prawda?
- Nie. Wiesz, że to nieprawda.
- Nie?
- Pan robi, jak tobie się podoba.
- Przestań.

Usłyszał ból w jej głosie i wyczuł niebezpieczeństwo, ale zignorował je. Nie miał nic do stracenia.

— Co „przestań”? Nie mogę zmienić faktów, Elisabeth. Masz list.

Patrzył na nią. Stała nieruchomo, choć pod jej skórą przebiegały lekkie drgania, jak u sarny.

— List?

— Nie proszę o miłosierdzie. Ja... nie mam prawa prosić cię o cokolwiek. Nie mam prawa tu być, stać tu przed tobą. Ale mam... mam żonę, za którą jestem odpowiedzialny. Ze względu na jej dobro, ze względu na siebie, muszę wiedzieć. Zamierzasz go użyć?

— Użyć?

— Nie winiłbym cię. Gdybym był na twoim miejscu, chyba bym to zrobił.

Elisabeth podniosła głowę. Twarz miała wykrzywioną zaskoczeniem i żalem.

— Czy ty... o Boże, August! — wykrzyknęła. — Myślałeś, że go zachowam?!

— Ja... — August wpatrywał się w nią.

— Kiedy papier się zajął, uleciał w powietrze, jakby był żywy. Palił się na zielono.

Znów opłótła się ramionami. Pod sukienką na plecach było widać jej wystające kręgi. Długo milczała, wreszcie podniosła głowę.

— Nieważne, co się jeszcze stanie, nie rozumiesz? On nie żyje przeze mnie.

— Wiesz, że tak nie jest. Zanim... Było za późno.

— Nie.

— Nic nie mogłaś zrobić. Mój list... Nie było cię tam. Jak mogłaś go powstrzymać, jeśli cię tam nie było?

Palce Elisabeth włąbiły się w zebro.

— Obiecałaś, że nie przyjedziesz — wyszeptła. — Dałaś mi słowo.

— Och, Elisabeth. Tak bardzo mi przykro. — Wyciągnął ku niej dłoń, zanim zdążył się powstrzymać, ale uchyliła się, jakby ją parzył, i odwróciła się plecami.

— Żegnaj, Elisabeth — powiedział. — Już się nie spotkamy, przysięgam.

Nie odwróciła się. Splótł palce, aż mu zbieleły kostki.

— Wybacz mi. Nie powinienem był przyjeżdżać.

— Możesz robić, co chcesz — odparła tępo. — To twoja plantacja.

— Mojej żony. A ona woli miasto. — Czekał, ale Elisabeth nadal stała tyłem do niego. — Jutro wyjedziemy. Sytuacja z Czitimachami nie powinna ulec zmianie. Mam trochę pieniędzy i niezły kredyt, przyślę więcej niewolników. A kiedy twój mąż odpracuje, co należy, pomogę mu wybrać własną ziemię. To dobry człowiek i ciężko pracuje.

Uspokoiła go prosta stosowność tych słów.

— Zbiory będą dobre — dodał. — Mam dług wdzięczności wobec was obojga.

August spędził tyle lat wśród dzikich, że milczenie było jego naturalnym stanem; a teraz słowa płynęły z jego ust jak strumień.

— Wasza własna farma. Będzie przynosiła dochody — mówił. — Przyszłość. Dla ciebie, dla twojego dziecka. Może w końcu znajdziesz tu swoje miejsce.

Popatrzył na splątane zarośla na rozlewisku, gdzie wiły się węże, a czarne błoto mogło wessać człowieka. Pomyślał o Vincente, która jadła mu z ręki i nauczyła się doić krowy.

— To nie Paryż — mruknął.

— Mogę to znieść, jeśli jesteś cicho. — Elisabeth zamknęła oczy i położyła dłonie na brzuchu. Auguste czuł litość i znów to nieodparte pragnienie, by odejść od niej.

— Dziewczynka — powiedział. — Jej wygląd...

— Wiem.

— Nie wiem, jak to wytrzymujesz.

— Czy sądzisz, że bez niej zapomniiałabym?

— Może gdybyśmy ją kupili, zabrali ze sobą? Żebyś...

— Nie. Ona chce zostać.

— A ty? Też tego chcesz?

— Uważałam, że ona jest moją pokutą. — Elisabeth potrząsnęła głową, uśmiechając się zaciśniętymi ustami.

Auguste milczał.

— To się stało... — odezwał się w końcu. — To się stało, zanim napisałem list. Nie powinienem był... nie mogłaś nic zrobić.

— Mogłam go zatrzymać.

— Jak? List przyszedł za późno.

— Nie przyszedł za późno. — Jej twarz ściągnęła się, a szczeka zbielała jak kość aligatora. — Posłałam tamtego dnia do domu. Dostałam twój list. Wiedziałam, lecz pozwoliłam mu pojechać.

Auguste nie spuszczał z niej oczu. Elisabeth odpowiedziała spojrzeniem.

— Myślałem...— zaczął.

— Tak.

— Wiedziałaś?

— Tak.

Oboje milczeli dłuższą chwilę. Słysząc było tylko westchnienia rzeki za zaroślami.

— Nie powinienem był go wysyłać — stwierdził wreszcie.

— Nic nie mogłaś zrobić. Zdradził kolonię. Nie pozwoliliby mu żyć.

Patrzyła na niego z politowaniem i jakimś zmęczonym wątpiewaniem.

— I to cię pociesza?

— Zdradził cię. Zdradził nas wszystkich.

— A my jego.

— Musieliśmy.

— Doprawdy?

August nie odpowiedział. Żaby rechotały, wprowadzając zamęt w jego myślach. Elisabeth odwróciła się, wygładzając fartuch na brzuchu. Nagle zabrakło mu tchu. Przypomniał sobie inny rozpalony do białości dzień, kiedy Elisabeth stała przed nim na jego ganku i tak samo gładziła dłońmi ukryte w jej ciele dziecko.

— Dziecko — wyjąkał i potrząsnął głową. Mówienie przychodziło mu z trudem. — Dziecko niewolnicy. Wtedy, kiedy do mnie przysłaś i spytałaś, spytałaś wprost...

— Przestań.

— Wiedziałaś, że dziecko jest jego, a ja skłamałem. O Boże, Elisabeth! Gdybym nie skłamał...

— Nie! — Twarz Elisabeth była ściągnięta, a palce białe. Auguste patrzył tępo w wodę. Powoli docierała do niego prawda.

— Muszę wracać — powiedziała w końcu. — Pranie.

Wyrzuciła go. Nogi uginały się pod nim i kilka razy potknął się na nierównym gruncie. Wiązania jej fartucha były wystrzępione, spódnica połatana. Kosmyki włosów wyslizgiwały się z luźnego koka i przylegały do wilgotnego karku, spalonego

na brąz od słońca. Kiedy prawie dotarli na miejsce, schwycił ją za ramię.

— Elisabeth. Proszę.

Wyrwała mu rękę, uchylając się z niechęcią.

— Ja... kiedy ja... gdybym wiedział... — Słowa paliły go w gardle.

— Puść mnie — powiedziała łagodnie.

Uwolnił ją z wahaniem. Na plecach, nad wystrzępionymi wiązaniami fartucha widniała ciemna, owalna plama potu. Ani razu nie obejrzała się, odchodząc.

Następnego dnia po wschodzie słońca zabrał Vincente, nie wyjaśniając, dlaczego wyjeżdżają tak nagle. Powiedział tylko, że zrobił, co miał do zrobienia, i że Naderńczycy są na miejscu, by doglądać spraw, więc oni, Auguste i Vincente, nie muszą też tu siedzieć. Na prośbę Vincente dywan w kwiaty, lustro i orzechowy stolik zostały owinięte skórami, by nie uległy zniszczeniu, i zapakowane razem ze skrzyniami na dnie pirogi.

Przed samym odjazdem Vincente zeszła do niższej osady. Nellie podała jej dziecko do ucałowania i Vincente przytuliła ciężkie niemowlę, czując lepką wilgoć jego policzka na szyi. Elisabeth płukała fasolę przy dymiącym popiele. Vincente oddała dziecko Nellie i podeszła do niej. Woda w skorupie do płukania była szara i pełna banieczek powietrza.

— Przyszłam się pożegnać — odezwała się Vincente.

Elisabeth pokiwała głową i wytarła czoło rękawem.

— Poradzisz sobie? — spytała Vincente. — Wkrótce będziesz miała dziecko.

— Nellie mi pomoże.

— Mimo wszystko...?

— Damy sobie radę. Przynajmniej jest pokój z Czitimachami.

— Jeśli się utrzyma.

Elisabeth spojrzała na nią w dziwny sposób. Vincente nie wiedziała, o co może jej chodzić.

— Mój mąż uważa, że Anglicy nie ustaną w sprawianiu kłopotów, teraz, kiedy przyjechało tyle ludzi — powiedziała. — Jest zdania, że zrobią wszystko, by nastawić dzikich przeciwko nam.

Elisabeth wzięła kijek i dźgnęła nim wygasłe ognisko, mrużąc oczy przed dokuczliwym dymem.

— Przyjechałaby pani tu, gdyby pani wiedziała? — spytała cicho.

Vincente patrzyła, jak nakłada pokrywkę na garnek i kucając, umieszcza go w popiele. Białe strzępki przywarły do jej spódnicy jak małe motyle.

— Nie wiem — odparła.

— „Ja wiem dobrze, od czego uciekam, choć nie wiem, czego poszukuję” — powiedziała Elisabeth półgłosem.

— Słucham?

— Mówią, że w Paryżu ojcowie straszą niegrzeczne dzieci: „Jeszcze jedno słowo i wyślę cię nad Missisipi!”.

— Kiedy ja wyjeżdżałam z Paryża, wszyscy mieli być milionerami. Sklepikarze rezerwowali miejsca w operze, a stangreci kupowali zamki i własne powozy. — Vincente wzruszyła ramionami. — To tylko inny rodzaj szaleństwa.

Obie kobiety zamilkły, wpatrując się w zagłębiony w popiele garnek.

— Muszę iść — rzekła wreszcie Vincente.

— Tak.

— Może... jeśli byłabyś w mieście?

Elisabeth przytaknęła i rażno wytarła ręce w fartuch.

— Marguerite? — zawołała lekko łamiącym się głosem. — Marguerite, chodź tu! Czas pożegnać się z panią.

Dziecko nie odpowiedziało.

— No to do widzenia. — Vincente wyciągnęła rękę.

Elisabeth ujęła ją po chwili wahania.

— Szczęśliwej podróży. Oby Bóg nad panią czuwał.

— I nad tobą.

Vincente zebrała spódnice i szybko ruszyła w górę urwiska. Za jej plecami Elisabeth, stojąc wśród rozwalających się chatynek z rękami na brzuchu, wciąż wołała dziką dziewczynkę, a w cieniu żółty pies, obudzony jej nawoływaniem, odrzucił łeb w tył i zawył w coraz gorętsze niebo.

Rok zbliżał się ku końcowi, a dziecko nadal żyło w jej brzuchu, który był teraz naprawdę wielki. Nie było Jeanne, by pomóc Elisabeth, i mało czasu zostawało na lekcje; tabliczka leżała zakurzona na półce wraz z książkami Elisabeth. Myślała, że po zadomowieniu się w nowym miejscu wznowią naukę, że będzie trochę pieniędzy, że wreszcie będą pracować na swój rachunek. Wiosną miał się zakończyć czas kontraktu Fuersta i zgodnie z umową Kompania Missisipi przyznała mu posiadłość o powierzchni pięciu arpentów w okolicy zatoki Saint-Jean, na oczyszczonym gruncie będącym wcześniej wioską dzikich. Gleba była tam urodzajna, a Fuerst otrzymał pozwolenie na zakup niewolników na dwuletni kredyt, choć Murzynów było mało, a ceny za nich niebotyczne. Słońce wyżyłobiło zmarszczki między jego brwiami, ale czasami, gdy szedł na pole, nucił sobie bardzo cicho pod nosem piosenkę ze starego kraju. To miała być ich ostatnia zima w Puchiyoshuo.

Elisabeth trzymała Marguerite przy sobie. Nauczyła ją, jak uzyskać materiał z kory morwy, a guziki z łusek aligatora, tak, jak kiedyś ją uczyła Jeanne; jak najeżona ostrymi zębami szczeka belony nadaje się doskonale na grzebień, a ości niektórych ryb na igły. Gdy ciężar wspomnień był zbyt przygniatający, przekazywała dziewczynce umiejętności kolonistów — jak robić kaganki, a jak mydło, masło i twaróg. Dojenie krowy było obowiązkiem

Marguerite; dziewczynka tak przywiązała się do zwierzęcia, że nadała jej imię, jak to miał w zwyczaju jej lud. Za pierwszym razem Elisabeth była zaskoczona, słysząc dziecko przemawiające do krowy w obcym języku. Dziewczynka była mała, a na plantacji nikt nie rozmawiał z nią w języku Yasoux, więc Elisabeth sądziła, że wszystko zapomniała.

O własnych ograniczeniach starała się nie myśleć. Fuerst nie poruszał tego tematu, a Marguerite kilka razy zadawała dociekliwe pytania, ale Elisabeth zbywała ją krótkimi wymijającymi odpowiedziami. Kiedy termin porodu był już blisko, zawołała Nellie i wytłumaczyła jej podstawy położnictwa. Nellie słuchała uważnie, ze zmarszczonymi brwiami powtarzając za Elisabeth, jakby wypowiadała słowa przysięgi.

— A co, jeśli zapomnę? — pytała kilkakrotnie, nerwowo wyłamując palce. — Co wtedy?

— Nie zapomnisz — zapewniła ją Elisabeth. — A nawet jeśli, ja tam będę i ci przypomnę. Nie zostawię cię samej.

Nellie wydobyła z siebie przerażony chichot i spazmatycznie ścisnęła swoje czerwone dłonie. Swojego synka nosiła w płócienej chuście przewieszanej przez ramię, by mogła swobodnie pracować. Poruszył się i Nellie położyła na nim dłoń, uspokajając go cichym mruknięciem. Elisabeth pomyślała o małej Marguerite i o pozostałych dzieciach, bezimiennych zjawach, jak cienie o północy w najciemniejszych kątach jej jestestwa, i położyła ręce na własnym brzuchu, zamknawszy oczy i starając się uspokoić.

Czasami przy pracy Elisabeth słyszała głucho uderzenia tłuczka Jeanne, ale kiedy podnosiła wzrok, nie widziała nikogo, tylko przykryty moździerz i tłuczek oparty o ścianę. Zwieszała wtedy głowę i liczyła spokojne uderzenia własnego serca. Gdy zapadał wieczór i komary gromadziły się na tle ciemniejącego nieba, długie cienie na podwórku też przybierały kształt Jeanne. Elisabeth przyglądała się Marguerite, pieśczośliwie przemawiającej

do krowy, i zastanawiała się, o czym myśli to dziecko i co widzi, kiedy jest samo, ale nie rozmawiały o tym. Czasem, gdy podniosła wzrok znad roboty, mała wpatrywała się w nią spod splecionej czupryny; Elisabeth uśmiechała się i patrzyła jej w oczy tak długo, aż dziewczynka zaczynała mrugać, gryźć wargi i też uśmiechać się kącikiem ust. To wystarczyło. Od zawsze żyły w niedostatku i miały silnie rozwinięty odruch cieszenia się tym, co jest. Tym bardziej zaskoczyło Elisabeth, że któregoś dnia Marguerite zaczęła mówić o dziecku. Zbierały drewno na opał i Elisabeth musiały co chwilę przerywać dla złapania oddechu.

— Nie będziesz mnie już tak lubić — stwierdziła Marguerite, odwracając twarz i wyciągając z poszycia oporną gałąź. — Kiedy dziecko się urodzi.

— Ależ będę!

— Ale nie najbardziej ze wszystkich. — Marguerite pokręciła głową.

— Serce to nie melon — powiedziała cicho Elisabeth. — To nie jest tak, że dostaniesz mniejszy kawałek, bo trzeba nakarmić więcej osób.

— Będziesz lubiła dziecko bardziej niż mnie — upierała się Marguerite. — Bo wyrosło u ciebie.

— Ty też rośniesz u mnie, Marguerite. Codziennie.

Dziewczynka zmarszczyła pytająco czoło.

— Nie pamiętasz ogrodu nowego pana w Mobile, bo byłaś wtedy niemowlęciem. To było piękne miejsce, zwłaszcza wiosną. Kochał rośliny. Ze wszystkich wypraw przywoził nowe do swojego ogrodu. Niektóre hodował z nasion, które są małą roślinką, zwiniętą w skorupce i trzeba je tylko wsadzić do ziemi, jak kuku rdzę, ale inne rozwijały się z sadzonek, odciętych z już dorosłych roślin. To nie miało znaczenia, rosły tak samo.

— Czy rośliny nie boli, kiedy odetnie się jej kawałek?

— Nic a nic. Wypuszcza nowe pędy.

— Ale panu nie odrośnie nowe ramię.

— Nie, nie odrośnie.

Marguerite h/pnęła na Elisabeth.

— Więc rośliny wcale nie są jak ludzie.

Elisabeth poczuła palące drapanie w gardle. Marguerite siedziała ze zgarbionymi ramionami i zafrasowaną miną. Elisabeth pomyślała o Jeanne, jej cierplivej wytrzymałości, cichym głose i mocnych dłoniach obejmujących głowę ssącego dziecka. Pochyliła się, obwiązała wiązkę drewna konopnym sznurem i zarzuciła ją na ramię.

— Nie — potwierdziła łagodnie. — Rośliny nie są jak ludzie. Chyba że są w jednym miejscu tak długo, że zapuszczą korzenie. Chodź szybko, ptaszku, oczyść nóżki z błota. Słońce zachodzi, zaraz będzie kolacja.

Pierwsze skurcze pojawiły się, gdy stała po kolana w rzece, z tarą przy nogach. Elisabeth gwałtownie wciągnęła powietrze i zatoczyła się do tyłu. Pośliznęła się na śliskich od wodorostów kamieniach i upuściła tarę, która wpadła z pluskiem do wody. Ból rozchodził się na plecy; Elisabeth, pojękując, pozbierała na wpół wypłukane pranie i pochyliła się, by podnieść tarę. Pod mokrym płótnem skóra na jej brzuchu była gorąca i napięta, jak na bębnie. Wygramoliła się na brzeg, ciągnąc tarę za sobą. Wiedziała z doświadczenia, że to nie musi być początek porodu. Wiele razy były z Guillemette wzywane, kiedy główka dziecka nawet się jeszcze nie opuściła i sądziła, że to jeszcze nie to, choć nie mogła mieć pewności. Rodzące kobiety uskarżały się, że główka dziecka uciska na pęcherz i zmusza je do chodzenia w dziwacznej pozycji. Elisabeth nie czuła niczego podobnego. Nie była jednak w stanie zapanować nad strachem, głosami i cieniami, które ukrywała tak długo, że przywykła do bólu wywołanego ich stałą obecnością. Tłoczyły się wokół, nieustannie dźwięcząc w uszach. Elisabeth wdrapywała się na brzeg, chwytając dłońmi kępki trawy i wbijając palce w ziemię.

Nie wiedziała, jak długo siedziała tam, zanim skurcze minęły, i powlokła się, drżąc, z powrotem do osady. Świeżo wyprane ubrania pokrywało brązowe błoto, w które je upuściła. Hałasowała garnkami, by odpędzić lęk, ale nie chciał odejść; rozpałała

ogień, przygotowała kolację, a wspomnienie przeszłości szalało w jej myślach.

Później, gdy Fuerst wyszedł, by zajrzeć do Murzynów, sięgnęła na półkę nad stołem i zdjęła z niej Montaigne'a. Też się postarzał: okładki były ponadgryzane i wystrzępione, pochlapane woskowatym tłuszczem, a wilgoć zniekształciła skórzaną oprawę, książka wciąż jednak stanowiła miły ciężar. Oparła miękkie rogi książki o brzuch, przesuwając palcami po znajomych wgłębieniach i zagięciach, i przyciągnąwszy ławę do ognia, zabrała się do lektury, ale nic do niej nie docierało. Słowa pozostały niezmiennione, suche, ostre i jasne, i choć wiedziała, że stał przed nią tak jak zawsze, bez maski czy przebrania, nie docierał do niej. Druk tańczył i rozmazywał jej się przed oczami i chociaż starała się skupić, nieubłagany ciężar strachu i wspomnień usuwał jej grunt spod nóg jak lawina błotna. Zamknęła oczy, uciskając powieki. Książka ześliznęła się z kolan i spadła na podłogę.

Kiedy Fuerst wrócił do chaty, siedziała skulona na ławie z ramionami wokół łydek i udami przyciśniętymi do wypukłego brzucha. Na ziemi zobaczył duży tom, otwarty i leżący okładką do góry. Podniósł go, wygładził pomięte strony i odłożył na stół. Czekał, patrząc na żonę, ale się nie poruszyła. Delikatnie dotknął jej ramienia.

— Chodź do łóżka — powiedział.

Podniosła głowę, patrząc na męża mętnym wzrokiem.

— Dziecko? — spytał. — To już?

Zaprzeczyła ruchem głowy i znów złożyła ją na kolanach. Ogień prawie wygasł.

— Więc chodź do łóżka. — Poklepał ją niezgrabnie i się odwrócił.

Pod zamkniętymi powiekami Elisabeth ciemność była czerwona, rozświetlona węgielkami dogasającego ognia. Mąż rzucił buty na podłogę, jedno głucho uderzenie, a potem drugie.

— Wybacz mi — wyszeptała.

Słowa zawisły w ciszy jak dym.

— Boisz się — odezwał się Fuerst łagodnie. — To normalne. Ale ciężko pracujemy i jesteś silna. Bóg będzie miłosierny.

Elisabeth przycisnęła dłoń do twarzy.

— Wybacz mi — powtórzyła, tłumiąc krzyk stulonymi dłońmi. Słowa zacisnęły się jak pęda na jej sercu.

Kaganek skwierczał i pryskał, plując dookoła czarnymi strzępkami. Elisabeth zgasiła kciukiem czerwone oko knota. Noc była ciemna, z księżycem w postaci cieniutkiej niteczki. Z ognia został już tylko jasny popiół. Fuerst oddychał wolno i głęboko. Tylko jego oddech rozbrzmiewał w ciszy. Był ostrożnym mężczyzną, ale nie lęklwym. Należał już do tego miejsca, wrastał w tę ziemię. Mogła spróbować go wyciągnąć z korzeniami, by zobaczyć pozostałą dziurę, ale nie chciała.

Tu już były jego korzenie. Ich oddechy mieszały się, dziecko się kręciło w jej ciele wraz z lękiem i nie wiedziała, co czuje mocniej. Śniła, choć wydawało się jej, że nie śpi; jakaś część jej obserwowała te sny z drugiej strony przebudzenia, żeby mogła się w każdej chwili obudzić, ale nie mogła. Nie mogła zatrzymać snów. Przychodziły jak skurcze, żelazne obręcze wyciskające wspomnienia, każde brutalne i nagłe, jakby rozświetlone błyskawicą, zarysowane na czarno i całkowicie pozbawione litości.

Kiedy wiadomość o jego śmierci dotarła do Mobile, dowódca sam przyszedł jej powiedzieć. Otworzyła drzwi i zobaczyła powagę na jego szczupłej, chłopięcej twarzy. Złapała się framugi i powiedziała, że nie ma teraz czasu. Myślała, że jeśli tego nie powie...

Nie żył. Patrzyła, jak wyjeżdżał, i nic nie powiedziała. Po tym, jak odszedł, straciła wszelką równowagę i wypełniały ją tylko gorzkie czarne łyzy zatykające oddech, grzmiące w uszach. Dzień

po dniu, w pokoju z płamą w kształcie Francji pod oknem, garbiła się nad swym ogromnym brzuchem, trzymając w ramionach blade jak ostryga dziecko, które poruszało się w jej wnętrzu, dziecko, którego niewierny ojciec nie żył i którego brat czy siostra w tej chwili poruszało się tak samo w łonie innej kobiety, jak lustrzane odbicie.

I wtedy, w upalne popołudnie, Perrine Roussel cmokająca krytycznie językiem. Elisabeth próbowała wyrzucić z pamięci jej wydęte usta i ziemniaczaną obierkę w rękę, ale słowa powracały z całą ostrością, jak gwoździe wbijane w drewno. „Po wszystkim, co zrobiłaś dla tego chłopca! Przynajmniej nie uchyla się od zobowiązań i nie wypiera udziału w tym”.

I August w drzwiach swojego domu z poważnymi oczami i zgarbionymi porażką ramionami. Ciężar dziecka wbijający się w jej kręgosłup.

„Jean-Claude jest niewinny. Dziecko niewolnicy jest moje”. Nieprawdopodobieństwo, jak krzyk uwieźły w gardle. Pojechał na północ, a ona nic nie powiedziała. „Wszystko jest ustalone”. Patrzyła, jak wyjeżdża, wiedziała i nic nie powiedziała. Ból w boku, kiedy biegła, ledwo mogąc oddychać. Dziecko Okatomih nie było jego. Jedynym pocieszeniem były słowa Guillemette. Belladona to oczywiście trucizna. Za duża dawka zabija.

Elisabeth gwałtownie odwróciła twarz, ale wyrazistość wspomnienia była zbyt silna. Podwórko, szerokie jak spokojne morze. Ukośne promienie słońca. Napuchnięte od gorąca, zacinające się drzwi do składziku. Szaleństwo silniejsze niż strach, silniejsze nawet niż smutek. Nagle napływająca ślina do ust, głód i zapach cyprysu. Stos drewna pod jej stopami, niecierpliw grzechot belek przykrywających otwartą beczkę, ich ciężar i jej niezgrabność, drzazgi pod paznokciami, szukające palce chwytające powietrze. Ściąganie szmatki, wydłubywanie zatyczki i stukot glinianego naczynka o jej zęby. Gruby brzeg naczynka, jak szorstki piasek.

Błogosławiony spływ gęstego płynu po brodzie. Płótno na jej łapczywym języku. Obrazy coraz wolniejsze, tylko rozrzucone, zniekształcone fragmenty.

Zimna podłoga chaty. Konwulsje. Krew rozlewająca się w czarną kałużę. Zimno przesywające jej ciało i oczyszczający, opróżniający ból. Zanikające światło, coraz mniej kolorów. Stół, skrzynia, koszyk niewyraźne, płaskie, jak maźnięte węglem szkice. I ciemność wypełniająca oczy, uszy, usta, zamykająca się nad nią jak lodowate morze. W dół, w dół, ku otchłani. Przerazenie jak stół w ciemności, jest, ale go nie ma. I wreszcie straszliwa, tępa obojętność, prawie spokój. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. A grzesznicy na wieczność potępieni będą. Koniec. Bogu dzięki.

U kresu ciemności szare światło pod powiekami, jak brudna woda, śpiew ptaka i szczekanie psa. Zwykłe wrażenia, jakby śmierć nie różniła się niczym od życia. Oprócz strachu, obejmującego ją jak zimno, och, jak zimno. Dygot aż do bólu i mdłące trzepotanie serca. Kwaśny smak w ustach i lepkie gardło. Przez uchylone powieki widać znajome kształty stołu, skrzyni, koszyka.

Żyła. O Boże, jeszcze żyła. A potem nagły, przesywający ból i mięsisty, szarobłękitny sznur między nogami, a na jego końcu mały, szary kształt, pokryty czarną krwią, z zeszywniałymi palcami, delikatne kostki obciążone skórą. Dziewczynka.

Możliwe, że Elisabeth krzyknęła; wydawało się, że echo zawisło w ciemnej chacie, gdy spuściła nogi na ziemię i usiadła zgarbiona, sztywna i zziębnięta, czekając, aż przestanie szlochać. Wreszcie wstała, potykając się i podeszła do drzwi. Było jeszcze zupełnie ciemno i bezgwiazdne, czarna noc napierała na ganek, pełna kształtów i cieni. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, trąc ramiona dłońmi. Fuerst po drugiej stronie, zakopany w pościeli, westchnął i przewrócił się na drugi bok.

Potem, nie wiadomo, z litości czy by ją ukarać, Perrine powie-

działa, że znalazły ją na ulicy, półnągą, umazaną krwią i z martwym dzieckiem z niepodwiązaną pępowiną w ramionach. Nie chciała go oddać. Kiedy je zabrali, wrzeszczała, jakby diabeł w nią wstąpił. Przez wiele dni była w delirium. Kobiety siedziały przy niej na zmianę, ale nie dawała się uspokoić. Darła pościel, drapała się po ciele, gryzła wargi i palce do krwi, rzucała się i krzyczała, błagając śmierć, by jej nie opuszczała. Gorączka połogowa, stwierdziły i cmokając przez zęby, czekały, aż umrze.

Ale nie umarła. Po siedmiu dniach gorączka ustąpiła. Anne Conaud stwierdziła, że to cud boski. Pozostałe w większości zgadzały się z opinią Renée Gilbert, że w szaleństwie jest siła, ale nie mogły jej opuścić. Było ich za mało.

Wreszcie zaczęło się przejaśniać. W słabym świetle wczesnego ranka przedmioty w chacie odzyskiwały swoje zwykłe kształty — ława, skrzynia, wyszorowany drewniany stół. Na stole leżało coś ciemnego i kwadratowego. Elisabeth podeszła do stołu. Nie podniosła książki, ale położyła na niej ręce. Potem przeniosła je na brzuch i zamknęła oczy.

Czy była to ofiara, czy ślepy traf, jej życie nie należało już tylko do niej. Nosiła w łonie dziecko mężczyzny, który był dobrym człowiekiem. Choć ostatni raz czytała książkę sześć lat temu, słowa powróciły do niej wraz z twarzą mężczyzny, który je wypowiedział i który też był dobrym człowiekiem. „Jakież to cud — kropla nasienia, z której powstajemy, nosi w sobie obraz nie tylko ciała, ale także myśli i skłonności naszych ojców!”.

Podniosła książkę delikatnie, jakby to było dziecko, lekko dotykając ustami zatłuszczonej skóry, po czym odłożyła ją z powrotem i uklękła przed ogniem, szykując się do nowego dnia.

Z plantacji popłynęli pirogą na południe aż do Nowego Orleanu, skąd statek miał ich zabrać dalej. Gdy dotarli do osady, kilka małych jednostek było przywiązanych u błotnistego nabrzeża, a za urwiskiem najeżonym pniakami po ściętych cyprysach z błota wyłaniała się nowa przystań.

Podeszli tam razem. W tylnej części placu rozłożył się prymitywny targ, gdzie dzicy wyłożyli na jelenich skórkach towary na sprzedaż. Lekki wietrzyk poruszał flagą Bourbonów — trzy złote lilie na białym tle.

— Jak idą interesy? — spytał August jedną ze sprzedających.

Wzruszyła ramionami. Na nosie miała tatuaż z ciemnych kropek, drugi na brodzie i nosiła kilka naszyjników z pestek tak wypolerowanych, że wyglądały jak porcelanowe.

— Przypływają biali — odparła. — Nasza wioska musiała się przenieść na brzeg jeziora, żeby mieli ziemię pod uprawę.

Kupili chleb i udali się do chaty de Chessea. Burze w tym roku nadeszły późno, niszcząc chaty i zalewając całą niżej położoną część miasta. Rowy otaczające chaty, wykopane dla odprowadzania wody, były wypełnione ciemną, stojącą, odrażająco śmierdzącą wodą. Nawet ulice były wyłożone krzyżującymi się deskami, by uchronić nieostrożnego przechodnia przed wpadnięciem po kolana w błotnistą maź. Przy ulicy de Conti kończył się oczyszczony teren, a zaczynały bagniste cyprysowe zagajniki.

Krzewy i młode drzewa napierały na stojące tu chaty jak piechota przekraczająca okopy. Było tu zbyt wilgotno i zbyt gęsto, by teren nadawał się do wypasu bydła, zwierzęta chodziły więc bez celu po mieście, podobnie jak mężczyźni, wytaczający się późną nocą z nielegalnych tawern, które wyrastały jak grzyby po deszczu; jedne i drudzy chronili się w końcu w oborach i stajniach. Przy samej chacie de Chessea Vincente i Auguste musieli czekać, aż olbrzymi wieprz o pysku unurzany w błocie przepuści ich między naprędce skleconymi konstrukcjami.

— Miasto wygląda jednak trochę lepiej, niż je pamiętałam — stwierdziła Vincente, rozglądając się po chyłących się chatynkach otoczonych ogródkami pełnymi oślizłych wodorostów.

Auguste się uśmiechnął.

— Dzicy mówią, że nie da się wrócić do tego samego miejsca, choćby po krótkiej nieobecności, i zastać je w niezmiennym stanie — powiedział. — Mówią, że czas zmienia kształt oczu człowieka.

Później wybrał się do miasta po wieści. Właściciel tawerny, rumiany mężczyzna o drżących rękach i okrągłych jak dropsy oczkach, nalał Auguste'owi piwa, rozlewając trochę, gdy stawiał kufel na nierównym kontuarze. Zapewnił go, że statki pływają między Nowym Orleanem a Mobile mimo pory roku.

— Wożą ulubieńców zarządcy, prawda — wyjaśnił wszystkimowiedzącym tonem. — Nie mówiąc o materiałach budowlanych. Powinieneś zobaczyć, jaki dom sobie tu stawia. W życiu takiego nie widziałeś.

— Często zarządca tu bywa?

— Prawie cały czas. Akurat wczoraj się na niego natknąłem. Ale siedzę cicho. Nie jest służbistą, ale co tam, lepiej się nie wychylać, jeśli wiesz, o czym mówię.

Następnego dnia Auguste załatwił podróż do Mobile. Nie był na tyle naiwny, by wierzyć, że jego krótki pobyt w Nowym

Orleanie pozostanie niezauważony, ale podobnie jak oberżysta, nie chciał przyciągać uwagi. Żona zresztą chciała wracać do domu. Patrzył, jak stała na dziobie statku, wychylając się do przodu ponad żółtymi wodami niczym koń w uprzęży, i sprawiało mu przyjemność robienie tego, co chciała.

Tydzień później byli już znów w domu przy ulicy Dugué. Wrócili tak szybko, że nie zdążyły się jeszcze nawet rozejść plotki o ich powrocie. Pierwszego dnia na targu Vincente zobaczyła wszystkie kobiety czekające na otwarcie piekarni i pobiegła w ich stronę, nie mogąc się już doczekać ponownego spotkania. Zawołała dopiero, gdy już była prawie przy nich i odwróciły się, otwierając usta z zaskoczenia i zadowolenia; wtedy zobaczyła, że był wśród nich ktoś obcy, i jej powitalny uśmiech natychmiast zgasł, jakby ktoś posypał jej język solą.

Otoczyły ją, zasypując pytaniami. Starła się odpowiadać, ale cały czas myślała tylko o obcej kobiecie. Była młoda, chyba młodsza od Vincente, w szarej, spłowiełej sukni. Strzelała oczami po twarzach rozprawiających kobiet, jakby chciała przyciągnąć wzrokiem ich uwagę, ale gdy spojrzała na Vincente, oczy jej się zwężyły, a usta zacisnęły. Anne Negrette wypchnęła dziewczynę do przodu.

— Nie znasz jeszcze panny de Larme, prawda? — zagadnęła.
— Przypłynęła na „Charente”, wraz z matką.

Młoda kobieta przekrzywiła głowę, wpatrując się w Yvonne, jakby szukała u niej potwierdzenia, że Vincente jej nie ugryzie. Vincente zacisnęła dłonie na koszyku i w duchu życzyła nowo przybyłej wszystkiego najgorszego.

— Ma poślubić wdowca Martina — rzekła Perrine Roussel.
— Panna de Larme, nie matka — dodała Yvonne Lereg, ujmując dziewczynę pod ramię. — Martin postawił sprawę jasno.

Kobiety roześmiały się, a Vincente czuła coraz cięższy kamień uciskający ją w żołądku. Uśmiechnęła się sztywno.

— Bardzo mi miło panią poznać, panno de Larme.

— I wzajemnie, panno le Vannes.

Yvonne Lereg nachyliła się i zaszeptła coś dziewczynie do ucha.

— Pewnie słyszałaś smutne wieści o Germaine Vessaille?

— spytała Anne Conaud, kładąc dłoń na jej rękawie. Vincente zaprzeczyła. — Przy porodzie... były komplikacje. Nie była wystarczająco silna.

— Ósme dziecko — westchnęła Anne Negrette. — Wszystkie poprzednie urodziły się bez problemu.

— Bogu dzięki, dziecko przeżyło.

— I ma się dobrze. Indiańska niańka ją karmi.

— Tensawka. Nigdy bym nie zostawiła dziecka z żadną z nich.

— Jak się nie ma, co się lubi...

— Poza tym rusznikarz się rozpił.

— Któregoś dnia odstrzelił sobie stopę.

— Będzie miał szczęście, jeżeli nic więcej.

Kobiety plotkowały, a Vincente powoli się rozluźniała. Popatrzyła po otaczających ją ożywionych twarzach i pomyślała o Germaine Vessaille i jej gromadce dzieci, i o tym, jak się zarumieniła z radości, kiedy Vincente dała jej jakiś drobiazg ze swej wyprawy. Poczuła w ustach smak strachu. Było ich tak niewiele, że strata nawet jednej stawała się ziejącą wyrwą w bezpiecznym murze, którym ją otaczały.

Od tej pory była miłsza dla panny de Larme, choć nie mogła pogodzić się z tym, jak ta szeptała i chichotała z Yvonne Lereg, jakby dzieliły się sekretami, do których nikt inny nie miał dostępu. Tak czy inaczej, dopiero gdy z innymi żonami poszła na ceremonię zaślubin dziewczyny ze starym Martinem, zrozumiała, że nie było się czego bać. Przybycie młodej kobiety nie oznaczało

wyrzucenia jej, Vincente, poza nawias, raczej przeciwnie. Dla panny de Larne Vincente nie była najmłodszą, najmniej ważną z żon; była jedną z nich, jedną z palmowych łodyg, z których spleciono koszyk. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że jej przyjazd tutaj musiał być tym samym dla Yvonne Lereg.

Po kilku tygodniach w Mobile przyszło wezwanie od gubernatora. Auguste spodziewał się tego. Gdy posłaniec poszedł, stanął na ganku, patrząc na pusty zimowy ogród. Nigdy nie próbował uprawiać tu czegokolwiek i zaniedbane grządki porosły zieliskiem, teraz uschniętym. Wyrwanie chwastów nie miało sensu. Kiedy nadejdzie wiosna i Fuerst przeniesie się na własną ziemię, wróca do Puchiyoshibo i tam Auguste zacznie od nowa. Już zaplanował ogród pełen ziół leczniczych, używanych przez dzikich: grzyb zbożowy, nawłóć, dziki bez, kocimiętka, bieluń, a także rośliny przywiezione z dalekich stron — zapaliczkę z której korzeni otrzymywano gumożywicę, drzewo arganowe, rabarbar. Lekarstwa uśmierzające ból, zmniejszające obrzęk, sprzyjające gojeniu.

— To dobry pomysł — oceniła Vincente. — Nie ma chyba lepszego miejsca do sprzedawania lekarstw niż Nowy Orlean. Więcej tu zarazy w powietrzu niż komarów.

— Nie zamierzam ich sprzedawać. — Auguste potrząsnął głową. — To dla nas, dla ludzi na plantacji.

— Ale przecież wyhodujesz więcej, niż nam potrzeba? Dlaczego ich nie sprzedać i nie zarobić?

— Będziemy mieli dość pieniędzy bez handlowania medykamentami.

— A gdybyśmy handlowali, mielibyśmy więcej.

Auguste przykucnął przy ganku, grzebiąc w zimnej ziemi. Gleba była piaszczysta i lekka, przesypywała mu się między palcami. Wreszcie wstał i udał się do komisarza. Kiedy wrócił, Vincente klęczała przy palenisku, usiłując podpalić kawałki

drewna. Jej plecy rysowały się łagodnym wygięciem nad pulchnymi ramionami. Nie wiedział, czy nadal podjada nocami w tajemnicy. Chyba tak, ale rzadziej niż kiedyś. W mroku widział jej lekko wypukły brzuch. Może wkrótce będzie bardziej wypukły — pozostawało czekać i mieć nadzieję. Vincente westchnęła i opadła na pięty.

— Drewno jest wilgotne.

— Ciesz się, że nie jesteś w Nowym Orleanie.

— Anne Negrette mówiła, że zalało tam cementarz i zwłoki wypłynęły na wierzch. — Vincente się wstrząsnęła. — Jakby ziemia chciała się ich pozbyć. Wyobraź sobie. Całe tuziny, powiedziała, unoszących się na wodzie.

— Te kobiety mówią dużo różnych rzeczy.

— Powiedziała, że świnię żarły ciała.

Siedzieli w milczeniu, patrząc w ogień.

— Czego chciał gubernator? — spytała wreszcie.

— Pociechy.

— I dałeś mu ją? — Vincente spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie sądzę.

— Bo jej nie ma?

— Bo nie da się naprawić popełnionych błędów. Da się tylko popełnić nowe.

Auguste zamknął za sobą drzwi, obserwując gubernatora przemierzającego pokój. Nie pozostało ani śladu po jego sarkastycznym poczuciu humoru. Chwytał oparcie krzesła, stawiając je z hukiem. Kostki palców zbieleły mu, a twarz drgała.

— To koniec — powiedział wysokim, piskliwym głosem. — Bank Lawa upadł i Kompania Misisipi razem z nim. Wszystko skończone.

— To pewne? — August zmarszczył brwi.

— Mandeville przyplłynął dziś rano na „Portefaiksie” i od razu tu przyszedł. Cały Paryż jest poruszony, zamieszki na ulicach. Wiesz, co Law powiedział regentowi na ostatniej audiencji, zanim uciekł, by ratować życie? Że popełniał błędy, ale zawsze z najszlachetniejszych pobudek. — De Bienville zaśmiał się gorzko. — Jakby to miało rozwiązać sprawę.

August milczał.

— Banknoty wydane przez jego bank są bezwartościowe — mówił zarządca. — Sam Law układa je w stosy i podpala, razem z certyfikatami akcyjnymi. Wszystko idzie z dymem.

— Dla nas bieda to nic nowego.

— Teraz nie będą przyplływać statki. Żadnych towarów ani niewolników. Ojczyzna znów odwróci się do nas plecami.

— Może jesteśmy na tyle dorośli, byśmy radzili sobie sami?

- Jak? W garnizonie mam żalosną zgrają złodziei i dezertów. Sądziś, że nie podniosą buntu, kiedy nie będzie zapłaty?
- Mamy wielu sprzymierzeńców wśród dzikich.
- A jak długo, według ciebie, możemy polegać na ich przyjaźni, mając puste magazyny?
- Obaj zamilkli.
- Dalsze istnienie tej kolonii to tylko przedłużająca się agonia — powiedział cicho gubernator. — Brakuje podstawowych warunków do życia.
- Ale jednak żyje.
- Po co? Pan Law okazał się niewart złamanego grosza.
- Może dla finansjery francuskiej, ale nie jesteśmy we Francji.
- Kilka miesięcy temu ci wyfiokowani, wyperfumowani szlachcice przedstawiali Luizjanę w Wersalu jako raj na ziemi — stwierdził de Bienville. — Teraz ją potępiają, jak kostnicę samego diabła.
- Luizjana uczyniła ich bogatymi, a teraz czyni ich biednymi. — Wzruszył ramionami August.
- Żaden z nich nawet nie postawił stopy na tej ziemi.
- Więc mamy za co być wdzięczni.
- Nie przypuszczałem, że z ciebie taki optymista, Guichard.
- De Bienville potrząsnął głową.
- Nie optymista, ale wiem, że żadne miejsce na ziemi nie jest ani tak wspaniałe, ani tak okropne, jak byśmy chcieli. I żaden człowiek.
- Poza komisarzem.
- Być może z wyjątkiem komisarza. — August skłonił głowę.
- Mam nadzieję, że straty, jakie poniósł, odciągną go trochę od prześladowania mnie — powiedział de Bienville z bladym uśmiechem.
- A zatem, panie, ty także jesteś optymistą.
- Jestem gubernatorem Luizjany. Jaki mam wybór?

Gdy August wychodził, komisarz czekał w zewnętrznym pokoju. On również chodził nerwowo po małej izbie, mnąc kapelusz w rękach.

— Słyszałeś wieści, jak mniemam? — spytał.

— Słyszałem.

— Jeśli masz w głowie trochę oleju, wyjedź. Wracaj do Francji, dopóki jeszcze pływają tam statki.

— Dziękuję, ale zamierzam zaryzykować tutaj.

— Nie myśl, że i tym razem możesz polegać na przyjaźni gubernatora. — Komisarz wydał policzki, kręcąc głową. — Na tej żalosnej padlinie nie zostało dość mięsa nawet dla niego samego.

— Więc będę polegać na indygo — odparł August, mierząc go spokojnym wzrokiem.

— I bez wątpienia odniesiesz sukces, jeśli przeżyjesz fale głodu, Anglików, dzikich. A, i huragany — wyliczał na palcach komisarz.

— Na indygo i na łucie szczęścia — powtórzył August.

— To niebezpieczna strategia.

— A są jakieś inne?

To było wszystko, co mieli sobie do powiedzenia. Komisarz wyciągnął rękę, a August ją uścisnął. Dłoń komisarza była bezwładna, jakby obluźowały się śruby trzymające ją przy nadgarstku. Żaden z nich się nie uśmiechnął.

August zatrzymał się przy drzwiach, z ręką na kłamce.

— Czy miał pan akcje Kompanii Misisipi?

Usta komisarza zacisnęły się w wąską kreskę, ale nie padło z nich żadne słowo. August założył kapelusz, popchnął drzwi i wyszedł w słoneczne, wiosenne popołudnie.

Dziecko Elisabeth urodziło się o świcie dwa dni przed tłustym wtorkiem. Poranek był niezwykle zimny i wilgotny, powietrze przylegało do skóry jak mokre ubranie. Fuerst zabił i oskórował schwytanego jelenia, umiejętnie nacinając i oddzielając skórę od szkarłatnego mięsa, by zawinąć noworodka w jeszcze ciepłe futro. Zwierzę było duże i skóra doskonale nadawała się do tego celu.

Zwołał ludzi i żony Niemców upiekły mięso, a potem wszyscy jedli do syta i pili piwo warzone z indiańskiej kukurydzy. Nellie, która od czasu urodzenia własnego dziecka stała się dla kobiet pewnym autorytetem, wzniosła toast za Michela Fuersta. Ojciec chłopca siedział wśród nich i uśmiechał się niezręcznie, wstydząc się odczuwanej radości. Na zniszczonej skórze blisko ognia siedziała Marguerite i popiskiwała na trzcinyowym flecie, a obok niej dziecko Nellie, leżące na plecach jak przewrócony żuk, gaworzyło i kopało tłustymi nóżkami. Powietrze było pełne dymu i piosenek. Wkrótce się rozstaną i każdy pojedzie objąć we władanie własną ziemię. Trzyarpentowe działki ciągnęły się wzdłuż Missisipi na północ od Nowego Orleanu jak koraliki na sznurku. Żartowali, że to będzie wspaniała kolonia, kawałek Nadrenii przeniesiony do Nowego Świata.

Elisabeth, sama w chacie, leżała spokojnie pod stosem okryć, trzymając w ramionach śpiącego noworodka. Poród trwał długo

i był bardzo bolesny, jakby dziecko miało rozerwać ją na dwoje. Zaskoczyło ją to; myślała, że jej nerwy stępieły, ale gdy zaczęła rodzić, była samym czystym bólem. Wypchnęła synka na świat z całej siły, jakby chciała go wyrzucić, niepomna na nic poza pozbyciem się bólu i ciężaru, ale gdy Nellie uniosła chłopczyka i położyła go na jej piersi, Elisabeth poczuła nowy, zupełnie inny rodzaj cierpienia; przytuliła dziecko i zapłakała.

— Boli — stwierdziła Nellie, uśmiechając się szeroko — ale się zagoi.

Elisabeth natychmiast poczuła przemożną miłość do dziecka. Mówiono, że niektóre dzikie zwierzęta próbują zjadać swoje młode, kiedy coś im zagraża, by mogły znów się schronić w łonie matki; kiedy Fuerst wszedł do chaty, objęła dziecko mocno i trzymała przy sobie. Smuciło ją, że pępownina została odcięta i podwiązana i że jej dziecko już oddaliło się od niej. Fuerst uklęknął przy łóżku i wysunął palec, by dotknąć głowy chłopca.

— To Michel — powiedziała Elisabeth i Fuerst nic nie odpowiedział, tylko przytaknął. Zobaczyła, jak miękną rysy jego spracowanej twarzy i coś w niej też złagodniało. — Weź go — powiedziała i patrzyła, jak uniosł swego śpiącego synka. Znów wcisnęła pięści w materac, by mu go nie wyrwać.

W nocy dziecko płakało. Elisabeth chodziła tam i z powrotem po ubitej ziemi, kołyszając je i opowiadając mu o ojcu, który mało mówił, ciężko pracował i poruszał się po polu jak rzeka w swym korycie, pewna swego kursu. O farmie nad zatoką Saint-Jean, która pewnego dnia będzie należała do niego, jeśli zechce, i o książkach w skrzyni, które też będą jego, czy zechce, czy nie. Opowiedziała mu o jezuitcie nazwiskiem Rochon, który nie był pochopny w sądach, za to pierwszy do śmiechu, i który pewnego dnia zostanie ojcem chrzestnym chłopca, jeżeli się zgodzi.

— Masz jeszcze jednego ojca chrzestnego — szeptała, wtó-

rując cienkim piskom dziecka. — Ale nikt poza tobą nie będzie o tym wiedział. Jego słowa zawsze będą cię prowadzić i pocieszać.

Niemowlę nie chciało się uspokoić, więc wyniosła je na podwórko. Wyrazisty księżyc na niebie rysował na ziemi ostre, atramentowe cienie. Było zimno i każdy jej oddech był obłoczkiem pary. Skierowała się ku oborze, śpiewając cichutko i układając dziecko w zgięciu ramienia.

Kiedy pchnęła drzwi, krowa podniosła szeroki łeb i delikatnie naparła na spódnicę Elisabeth. Dziecko dostało czkawki; nie kwiliło już tak zdecydowanie jak przedtem i rozluźniło zaciśnięte piąstki. Środkiem pyska krowy biegł szeroki, biały pas, a nad czołem zwierzę miało kępkę loczków nadającą mu zalegniony wygląd. Elisabeth pogładziła je po gładkiej szyi. Krowa parsknęła, nadal szturchając ją pyskiem. Elisabeth oparła się o bok zwierzęcia, wdychając jego ciepły zapach.

— Jak będziesz starszy — zamruczała — może Marguerite nauczy cię ją doić.

Ale dziecko już spało. Miało jasnoliliowe powieki z niebieskimi żyłkami i suchą, łuszczącą się skórę między zdziwionym zarysem malutkich brwi. Elisabeth wzmocniła uścisk, przytulając chłopca do wzbierających piersi. *Mon fils*. Słowo jak pocałunek, sycząco pozostające na wargach. Twarzyczka dziecka zadrgała, a piąstki uniosły się, ale się nie obudziło.

Nagle Elisabeth poczuła się tak zmęczona, że zakręciło jej się w głowie. Obejmując dłońią główkę dziecka, usiadła na stołku do dojenia i zamknęła oczy, opierając głowę o ulepioną z suchego błota ścianę, by jej wymęczone, krwawiące ciało zaznało trochę wytchnienia. Krowa kręciła się obok i wzdychała, szeleszcząc słomą. W podparyskich wioskach wieśniacy zabierali na zimę zwierzęta do chat i Elisabeth zawsze była zdania, że jest w tym korzyść jedynie dla zwierząt, teraz zaś przyszło jej do głowy, że pewnie było dużo takich rzeczy, które nie do końca rozumiała.

Prawie już zasypiała, gdy rozbudziło ją skrzypienie drzwi. Zamrugała, odruchowo zaciskając ramiona na śpiącym dziecku. W wejściu stała Marguerite. Księżyc osrebrał jej włosy i obryso-
wywał szczupłą sylwetkę pod płócienną sukienką. Dziewczynka spojrzała na Elisabeth, a potem wbiła wzrok w ziemię, rysując kółko palcem u nogi.

— Nie mogę spać — wyjaśniła.

— Ja też — odparła Elisabeth.

— Przecież właśnie spałaś — zaprotestowała dziewczynka.

— Widziałam.

Elisabeth uśmiechnęła się, trąc oczy.

— Chodź — powiedziała. — Usiądź przy mnie.

Mała się zawahała.

— To jest Michel. Obiecałam mu już, że kiedy podrośnie, nauczysz go doić krowę.

— Michel.

— Tak jest.

— To po francusku?

— Tak.

— Co to znaczy?

Elisabeth zamilkła.

— Czy oznacza koralik? — pytała dalej Marguerite.

Elisabeth się uśmiechnęła.

— Nie — zaprzeczyła. — Ma wiele znaczeń. Dla mnie oznacza mądrego przyjaciela.

Marguerite niepewnie wyciągnęła brudny palec i dotknęła głowy chłopca.

— Mądry przyjaciel — powiedziała. — Wygląda jak zółw.

Elisabeth spojrzała na dziecko. Łaciateda skóra jelenia owijała się wokół jego główki. Z zawiniątka wystawały tylko piąstki i czubek głowy.

— Masz rację — przyznała, znów się uśmiechając. — Rzeczywiście wygląda jak żółw.

— Może powinnaś nazwać go żółwiem.

— Może i powinnam. Ale jego ojciec chyba woli Michel.

— W moim języku mówimy Olo. Chyba będę go tak nazywać. Powinien mieć nasze imię oprócz francuskiego, tak jak moja mama i ja.

— Masz drugie imię? — Elisabeth wpatrywała się w dziewczynkę.

— Oczywiście.

— Nie wiedziałam.

Marguerite lekko wzruszyła ramionami.

— Jest taki mały — stwierdziła i nakryła główkę dziecka swoją brudną rączką jak czapeczką.

Elisabeth poczuła nagły, niespodziewany skurcz i skrzywiła się, gwałtownie łapiąc powietrze.

Marguerite zmarszczyła czoło.

— Jesteś chora? — spytała.

— Nie, tylko mnie boli. — Elisabeth odetchnęła głęboko i skurcz minął.

Dziewczynka przypatrywała się jej czujnie.

— Umrzesz?

— Kiedyś. Ale nie teraz.

Marguerite zamilkła. Mokry krowi nos połyskiwał w mroku; zwierzę wyciągnęło szyję i szturchnęło ją w brzuch. Dziewczynka otoczyła szyję krowy ramionami, przemawiając łagodnie w swoim języku. Krowa cicho zamuczała i przysunęła się bliżej. Zawadziła kopytem o stołek, a Elisabeth odczuła to w głębi podbrzusza.

— Jakie masz drugie imię? — spytała. Marguerite z wahaniem pokręciła głową.

— Tylko mama i ja wiemy.

— To sekret?

Marguerite zastanowiła się, marszcząc brwi i wydymając usta.

— To jak kiedy wołam krowę — odparła. — I wiem, że przyjdzie.

Dziecko poruszyło się na ramieniu Elisabeth. Wtuliła twarz w jego czółko, wdychając słodki zapach siana.

— Chciałabym, żebyś miała też takie imię dla mnie — powiedziała cicho. — Żebyśmy tylko my dwie je znały.

Marguerite oparła się na szerokim czole krowy, ciągnąc ją za uszy.

— Ono musi coś znaczyć. Jak „mądry przyjaciel”. Nie może być po prostu rzeczą jak koralik, bo nie zadziała.

— Jak „dziewczynka bez grzebienia”?

— Nie!

— To może „mały ptaszek”?

Marguerite zamilkła.

— Tak — odezwała się wreszcie, bardzo cicho. — Jak „mały ptaszek”.

Księżyc stał wysoko nad skupiskiem chat na urwistym brzegu. W cieniu wielkiego dębu panowała cisza przerywana jedynie oddechem drzemiącej krowy. Niedaleko, pod poszarpanym palmowym dachem, spali rodzice i niemowlę, które właśnie otworzyło okrągłe oczka i wpatrywało się w dach, jakby zdziwione samym kształtem wlotu powietrza. Ciche podwórko skąpane było w księżycowym blasku i puste, tylko na środku stała dziewczynka z głową odrzuconą do tyłu i ramionami wyciągniętymi w górę, ku mnogości gwiazd na niebie, a na ziemi widniał cień obrysowujący jej kształt tak wyraźnie, jak w świetle dnia.

OD AUTORKI

Na historię pierwszych francuskich osadników w Ameryce natknęłam się, szukając materiałów źródłowych do mojej pierwszej książki *The Nature of Monsters*, której akcja rozgrywała się w Londynie w tych samych czasach. W 1720 roku załamał się raczkujący w Londynie rynek akcji, po spektakularnym pęknięciu bańki Kompanii Mórz Południowych*. Giełda paryska załamała się pół roku wcześniej w podobnych okolicznościach, co zostało spowodowane widowiskowym wzrostem, a następnie spadkiem wartości akcji wielkiej spółki handlowej, Kompanii Missisipi. Żyłam wtedy w czasach ogromnego wzrostu wartości akcji, skokowych podwyżek cen domów i rządów twierdzących, że ten trend będzie trwał wiecznie. Zainteresowała mnie historia pierwszych, choć bynajmniej nie ostatnich europejskich spekulantów.

Jeszcze ciekawsze były opowieści o tak zwanych *casket girls*, dziewczętach w wieku odpowiednim do małżeństwa, wysyłanych z Francji do Luizjany, by poślubiły kolonistów. Otrzymywały pewną sumę pieniędzy przez rok lub do chwili zamążpójścia, w zależności od tego, co nastąpiło wcześniej, i wyływały w niebezpieczną kilkumiesięczną podróż, sprzedane mężczyznom, których nie widziały na oczy, w kraju,

* south sea bubble — tzw. bańka spekulacyjna, a następnie załamanie rynku akcji Kompanii Mórz Południowych w Londynie, występujące w tym samym czasie co krach Kompanii Missisipi w Paryżu.

o którym niczego nie wiedziały. W moich myślach zakiełkował wtedy mglisty pomysł na postać Elisabeth.

W 1703 roku, kiedy „Pelikan” wypływał z La Rochelle, Luizjana należała do Francji dopiero od dwóch dekad. Już w 1608 roku Francuzi założyli Nową Francję na północy, ale dopiero w 1678 roku Francuz znany jako pan de La Salle rozpoczął, na zlecenie Ludwika XIV, badanie terenów na południe i zachód od Wielkich Jezior. Miał być dowódcą wszelkich fortów, jakie mogłyby tam powstać. W następnym roku La Salle popłynął w dół rzeki Illinois, docierając w końcu do ujścia Missisipi. Tam, w kwietniu 1682 roku wznosił krzyż i ogłosił, że terytorium wokół jest kolonią francuską. Na cześć króla nazwał je Luizjaną.

Jednak kiedy La Salle próbował dwa lata później powrócić nad Missisipi, mgła była tak gęsta, że nie udało mu się znaleźć tego miejsca. Mimo zbudowania fortu nad zatoką Biloxi, jego ludzie zbuntowali się i zamordowali go w 1686 roku. Dopiero po dwunastu latach Pierre d'Iberville, Kanadyjczyk pochodzący z rodziny Lemoine z Normandii, uzyskał od Ludwika XIV pozwolenie na zajęcie Luizjany. Wraz ze swym bratem, de Bienville'em, wypłynęli z Francji jesienią 1698 roku, dysponując pięcioma statkami. Byli zdecydowani bronić francuskiego prawa do Missisipi, budując garnizon, gdzie oprócz oficerów i żołnierzy miały rezydować cztery rodziny kolonistów.

D'Iberville zbudował swą wysuniętą placówkę w zatoce Mobile — wyspa nazwana przez niego Massacre Island zapewniała tam ochronę i dobrą przystań — i przeniósł do niej większość garnizonu z Biloxi. Potem wrócił do Francji, zostawiając brata na stanowisku dowódcy fortu. W 1704 roku miasto liczyło osiemdziesiąt drewnianych chat krytych palmową strzechą i mniej niż dwustu mieszkańców, włączając żołnierzy.

Od samego początku kolonia walczyła o przetrwanie. Luizjana zajmowała obszar wielokrotnie większy od Francji, rozciągając się trzy tysiące mil na północ od ujścia Missisipi, na terenie obecnych stanów Luizjana, Missisipi, Arkansas, Missouri, Illinois, Iowa, Wisconsin i Minnesota oraz części Kanady. Ten olbrzymi obszar ziemi był nieuprawiany,

w dużej mierze niepoznany i zamieszkaný tylko przez plemiona rdzennych Amerykanów. Nikt nie wiedział, jakie kryje skarby, większość Francuzów nie miała nawet pojęcia, gdzie kolonia się znajduje. Plotki mówiły o rajach ociekającym złotem, srebrem i szlachetnymi kamieniami; jednak teren wybrany przez d'Iberville'a nie nadawał się na osadę. Był zbyt piaszczysty, by na nim cokolwiek z powodzeniem uprawiać. Pszenica przywieziona z Francji weszła, ale wilgotny klimat spowodował, że kłosy zgniły, zanim dojrzały. W głębi kraju leżały żyzne ziemie, ale nikt nie zaryzykowałby życia, by się tam wyprawić, zresztą Francuzi nie przybywali do Luizjany z zamiarem uprawiania ziemi. Pierwsi osadnicy nie byli rolnikami ani twardymi pionierami jak Anglicy, lecz mieszczuchami, na ogół biednymi i niewykwalifikowanymi, którzy przepłynęli ocean zwabieni wizją szybkiego wzbogacenia się, oraz wieściami o kopalniach wszelkich obfitości i oswojonych bizonach. Ani im w głowie było męczące wydzieranie plonów ziemi. Prowadzili więc beczynne życie w okolicy fortów Mobile oraz, w mniejszym stopniu, Biloxi.

Wszyscy, także oficerowie i żołnierze, handlowali z Indianami i Kanadyjczykami przybywającymi z Nowej Francji. Hodowali trochę bydła, świń i kur, latem polowali i łowili ryby. Głównie jednak czekali na statki z Francji, by ojczyzna dostarczyła im tego, czego potrzebowali. Ojczyzna jednakże była zajęta wojną w Europie i wszystkie jej środki były pilnie potrzebne gdzie indziej. Znalezienie statku i jakichkolwiek towarów, które mógłby zawieźć do Luizjany, graniczyło z cudem do tego stopnia, że Ludwik XIV zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie zrezygnować z kolonii. Mieszkańcy Luizjany musieli się czuć tak, jakby król już to uczynił. Zimą, gdy brakowało żywności, zdani byli na łaskę i niełaskę rdzennych mieszkańców Ameryki. Znana jest historia niejakiego Picarda, Francuza, który uczył kobiety z plemienia Colapissa tańczyć kadryla w zamian za miskę sagowej papki.

Nic więc dziwnego, że koloniści z entuzjazmem powitali dwa statki, które przypląnęły z Francji w 1704 roku — „Loire” i kilka miesięcy później „Pelikana”. Statki przywiozły towary, żołnierzy i dwadzieścia

dwie dziewczyny, które, jak łudził się d'Iberville, przyniosą pociechę niezadowolonym mężczyznom i pozwolą na założenie ludnej w przyszłości kolonii. Prosił Pontchartraina z Ministerstwa Morskiego o sto kobiet, ale brak funduszy i trudności w przekonaniu „młodych i dobrze urodzonych panien” do uroków życia w Luizjanie spowodowały, że trzeba było zadowolić się mniejszą ich liczbą. Popyt na żony znacznie przewyższał podaż; poza jedną, wszystkie dziewczęta z „Pelikana” wyszły za mąż w ciągu miesiąca.

Zachowała się lista pasażerów, z której pochodzi wiele imion bohaterek tej książki. Postać Elisabeth Savaret jest zlepkiem dwóch prawdziwych pasażerek statku, Elisabeth Deshays i Gabrielle Savaret, choć jej małżeństwo z Jean-Claude'em Babelonem to sytuacja całkowicie fikcyjna. Niewiele szczegółów z życia tych kobiet jest nam znanych — mieszkanki Luizjany nie prowadziły dzienników, a jeśli pisywały listy, to bardzo rzadko. Historię ich życia opisują tylko suche odnotowania małżeństw, chrztów i zgonów w księgach parafialnych Mobile. Widać z nich, jak mało dzieci przeżywało pierwszy rok życia, co dało asumpt do przypuszczeń, że klimat Luizjany czynił kobiety bezpłodnymi. Widać także, że koloniści zawierali małżeństwa trzy- lub czterokrotnie, a wdowy często nie czekały nawet kilka tygodni na powtórne zamążpójście. Podobnie jak w owych czasach we Francji, zamężne kobiety używały swego panieńskiego nazwiska. Co ciekawe, prawo luizjańskie, wprowadzone w 1712 roku na podobieństwo praw paryskich, dawało żonie pewną ochronę finansową — nawet pierwszy mąż nie nabywał w pełni praw do własności żony, a każdy kolejny nie miał w ogóle żadnych praw tego typu. Stąd też w powieści niewolnica Elisabeth jest wyłącznie jej własnością, także po ślubie z Fuerstem; posiadłości Vincente również należą jedynie do niej. Tak było do lat sześćdziesiątych XVIII wieku, kiedy to Hiszpanie przejęli władzę w kolonii.

Niedobór kobiet był nie lada problemem zarówno dla de Bienville'a, jak i dla księży w kolonii, gdyż wielu Kanadyjczyków nie tylko otwarcie żyło z kobietami z przyjaznych plemion, ale także napadało

wioski, by zdobyć sobie konkubiny-niewolnice. Powstał czarny rynek handlu lokalnymi kobietami pojmanymi w głębi łądu i sprzedawanymi jako niewolnice w garnizonie. Dzieci mieszanej krwi, zwane *mestifs* (Metysami), często pojawiają się w metrykach chrztu (Pierre Charly, kupiec, o którego dziecku rozmawiają żony w powieści, był prawdziwą postacią). Dochodziło także do międzyrasowych małżeństw, choć bez kościelnego błogosławieństwa, tak zwanych związków naturalnych (*mariages naturel*). Poza tego typu związkami za obopólną zgodą były także gwałty i inne brutalne zachowania, w czym celowali zwłaszcza kanadyjscy awanturnicy. Wydaje się więc, że sytuacja, w jakiej znalazła się Elisabeth Savaret po tym, jak jej mąż uczynił niewolnicę swą kochanką, nie była niczym niezwykłym.

Elisabeth Savaret nie jest jedyną postacią w książce stworzoną na podstawie luźnego podobieństwa do rzeczywistych osób. W marcu 1703 roku de Bienville spotkał się z wodzami plemion Czoktaw i Czikasaw w celu utworzenia trójstronnego przymierza, po czym ludzie Czikasawów zabrali ze sobą do wioski francuskiego chłopca imieniem Saint-Michel. Chłopcu zlecono nauczyć się ich języka, by mógł służyć za tłumacza Francuzom i Kanadyjczykom trafiającym do wioski, oraz bacznie obserwować Czikasawów, których przyjaźni Francuzi nie byli całkiem pewni. Saint-Michel był jednym z czterech chłopców, których wysłano w podobnej misji do najważniejszych ludów Luizjany, prawdopodobnie najstarszym (miał wówczas czternaście lat). W tym czasie mieszkał już od jakiegoś czasu w Luizjanie i poznał język Ouma.

Dwa lata później chłopak znalazł się w centrum poważnego incydentu dyplomatycznego. W 1705 roku Francuzi dowiedzieli się, że Anglicy namówili kilku wojowników Czikasaw do uprowadzenia paru rodzin Czoktawów odwiedzających ich wioski, co miało odnowić stare konflikty i dokonać rozłamu w starannie budowanych sojuszach z Francuzami. Gdy wodzowie Czikasaw zorientowali się w spisku, udali się do Francuzów i wyjaśnili sytuację, winiąc za akty agresji tylko kilku zbuntowanych wojowników. Czoktawowie byli jednak wściekli.

Stwierdzili, że Czikasawowie są perfidni, podstępni i że to oni zdradzili francuskich sojuszników, pałac Saint-Michela na stosie. Czikasawowie zdecydowanie zaprzeczyli tym pogłoskom, Czoktawowie zaproponowali więc, by sprowadzili chłopca do ich wioski na dowód, że żyje i jest w dobrym zdrowiu. Wodzowie Czikasawów mieli w tym czasie pozostać z Czoktawami jako zakładnicy. Czikasawowie przystali na te warunki, nie wiedząc, że Czoktawowie wysłali własnych ludzi za posłańcami, którzy mieli być zamordowani przed przybyciem do wioski. Gdy posłańcy Czikasawów nie powrócili, Czoktawowie zamordowali zakładników, dokonując zemsty za wcześniejszy atak. Wszystko było oczywiście ukartowaną grą; młody Saint-Michel wrócił nietknięty do Mobile zimą tego roku.

Ta wszechobecna dwulicowość i nietrwałość wszelkich sojuszy w tym, co w Luizjanie uchodziło za dyplomację, jest osią powieści. Historia jest życzliwa dla Francuzów, stwarzając pozory, że w swym postępowaniu z rdzennymi Amerykanami byli oni bardziej oświeceni niż Anglicy czy Hiszpanie, nie istnieją jednak żadne na to dowody; była to raczej kwestia pragmatyzmu. Francuzi dysponowali żałośnie małymi oddziałami (w 1713 roku na posterunku w Mobile było tylko sześćdziesięciu siedmiu żołnierzy, z czego dziesięciu zbyt starych lub niesprawnych, by nadawali się do służby) i musieli podpierać się siłą największych plemion lub pogodzić z tym, że wewnętrzne ziemie między Appalaciami a Missisipi przejdą we władanie bogatszych i liczniejszych Anglików, wywierających nieustanny nacisk ze swych kolonii na wschodzie. De Bienville nie wahał się przed skłóceniem plemion ze sobą, jeśli było to w interesie Francji, i nawet chwalił się, że w pewnym konflikcie „nie została przelana ani kropla francuskiej krwi, dzięki temu, iż zadbałem o to, by nastawić jednych barbarzyńców przeciwko drugim”. Biorąc pod uwagę braki w zaopatrzeniu w towary, za pomocą których de Bienville mógł kupować ich przychyłność, i ceny dóbr angielskich, jego umiejętność wykorzystania wszelkich sojuszy dla dobra Francji jest zaiste godna podziwu.

Stosunki między Francuzami a niektórymi z ich rdzennych sąsiadów ociepliły się w końcu tak bardzo, że niektóre plemiona, jak Ouma, przeniosły się bliżej wybrzeża dla łatwiejszego handlu, a wystannicy de Bienville regularnie podróżowali w górę Mobile i Missisipi, jak Babelon, by nabyć kukurydzę od mieszkających tam ludów. Nie upłynęło dużo czasu, a de Bienville został oskarżony o ciągnięcie prywatnych zysków z odsprzedaży żywności i w 1708 roku Ludwik XIV przysłał z Francji komisarza, by zbadał te zarzuty. Śledztwo, jakkolwiek bardzo drobiazgowo, nie dostarczyło przekonujących dowodów i sprawę po cichu odłożono ad acta. Dzisiejsi historycy raczej zgadzają się, że zarzuty stawiane de Bienville'owi najprawdopodobniej nie były całkiem bezpodstawne. Tak więc nielegalny handel opisywany w książce to proceder fikcyjny, choć można tu znaleźć pewne powiązania ze stanem faktycznym.

Z pewnością skandal towarzyszący procesowi we Francji zdyskredytował nie tylko rodzinę de Bienville'a, ale całą kolonię, co tłumaczy w jakim stopniu, dlaczego Francja z chęcią sprzedała prawa do ziemi bogatemu finansistcie nazwiskiem Crozat w 1712 roku. Crozat włożył w Luizjanę ponad półtora miliona liwrow, z czego lwia część była przeznaczona na poszukiwanie złóż kopalnych bogactw naturalnych. Jednak pięć lat później, w obliczu konieczności zapłacenia wysokiego podatku, a nie znalazłszy ani jednego złoża minerałów, zmuszony był zrezygnować z nabytku i kolonia wróciła do monarchii. Tymczasem w 1715 roku zmarł Ludwik XIV, pozostawiając kraj z ponad dwoma miliardami liwrowo długu. Zdesperowany książę Orleanu, pełniący funkcję regenta do czasu aż pięcioletni wówczas Ludwik XV osiągnie dojrzałość, zwrócił się do Szkota Johna Lawa z prośbą o pomoc w odwróceniu złej passy kraju. Law zaproponował utworzenie pierwszego narodowego banku Francji finansowanego przez akcjonariuszy i wspieranego przez najpotężniejsze wówczas przedsiębiorstwo na świecie, Kompanię Missisipi, mającą wyłączne prawo do wszelkich transakcji handlowych w Luizjanie. By zapewnić sukces swemu przedsięwzięciu, Law przyznał wpływowym biznesmenom wielkie połacie ziemi w Luizjanie i zobowiązał się do

dostarczenia kolonii siedmiu tysięcy nowych francuskich osadników i trzech tysięcy afrykańskich niewolników.

Law dysponował olbrzymią machiną propagandową. Oficjalna francuska gazeta „Nouveau Mercure”, pisała z zachwytem o nowym Edenie, entuzjazmując się umiarkowanym klimatem, urodzajną glebą, bogatymi złożami złota i srebra. W 1719 roku opisywano Nowy Orlean jako świetnie prosperujące miasto z „niemal 800 bardzo wygodnych, doskonałej jakości domów, do każdego z których przynależy 120 akrów ziemi na potrzeby rodziny”, a ilość i jakość znajdujących minerałów przekraczać miała „wszystkie kopalnie Potosi**”. „Niczego nie trzeba temu miejscu — pisał pewien dziennikarz — poza ludźmi z inicjatywą i rękami do pracy”. Inwestorzy szturmowali Paryż; w ciągu kilku miesięcy cena akcji wzrosła ze 150 liwrow do ponad 10 tysięcy. Kolonia jednak cały czas walczyła o przetrwanie. Do końca 1717 roku tylko pięciuset potencjalnych kolonistów wypłynęło do Ameryki. Co najmniej jeden szlachcic, jak niedoszły zmarły mąż Vincente, pisał nagłąco do Ministerstwa Morskiego, by przysłali mu żonę, ale entuzjazm dla wyjazdu powoli zanikał. De Bienville wprawdzie zakazał kolonistom powrotu do Francji bez jego wyraźnego zezwolenia, ale pogłoski o ciężkim życiu w kolonii i tak docierały do ojczyzny. Strumień kolonistów przybyłych z własnej woli wysechł i Law zmuszony był uciec się do przemocy, by wypełnić swe zobowiązania. Opróżniano więzienia, a grupy bandolierów przemierzały kraj, chwytając żebraków i włóczęgów; za każdego Kompania wypłacała pewną sumę pieniędzy. Luizjana stała się śmietniskiem, na którym ładowali niechciani: przemysłowcy, przestępcy i prostytutki.

Kiedy w 1719 roku nastąpił krach Kompanii Missisipi, Luizjana w wyobraźni Francuza była piekłem na ziemi, przepastnym, zabójczym bagnem, gdzie południowe słońce zabijało ludzi, tubylcy byli bez wyjątku ludożercami, a żaby miały takie rozmiary, że połykały dzieci

*** Kopalnie w dzisiejszej Boliwii, do końca XVII w. były największym ośrodkiem wydobycia srebra na świecie.**

w całości. W 1720 roku przestał istnieć Banque Royale, a Law uciekł z Francji. Próbując uładzić swe sprawy i ugłaskać strasznych akcjonariuszy, Kompania Missisipi zdecydowała się na drastyczne cięcia, które najbardziej uderzyły w pozostających w Luizjanie osadników. W kolonii używano banknotów Lawa, które po upadku banku straciły 80 procent wartości. Dramatycznie brakowało wszystkiego. Na przykład za parę pończoch, która we Francji kosztowałaby sześć sou, w Luizjanie trzeba było zapłacić sześć liwrow — sto razy więcej. Głód i gorączka pustoszyły kolonię.

W 1723 roku straszliwy huragan zniszczył nową stolicę, Nowy Orlean, spustoszył z całkowicie trzy statki stojące w porcie. Całymi miesiącami w osadzie umierały średnio dwie osoby dziennie. Koloniści topili swe smutki w alkoholu i hazardzie, co skłoniło de Bienville'a do wydania całkowitego zakazu uprawiania gier. Ludzie jednak starali się powrócić do normalnego życia; do końca 1724 roku odbudowali miasto, tym razem część domów wzniesiono już z cegły.

Spuścizna Lawa z pewnością nie była tym, czego oczekiwał, ale przecież Kompania Missisipi zmieniła Luizjanę. Spośród tysięcy, którzy w latach 1717-1720 podjęli niebezpieczną podróż do Luizjany, ponad połowa zmarła w jej trakcie, a setki już po przyjeździe z głodu lub chorób, niemniej jednak populacja wzrosła z czterystu osób do prawie pięciu tysięcy. Setkami sprowadzano niewolników, a założenie dużych plantacji rozpoczęło ważny proces uniezależniania się i samowystarczalności.

Monarchia francuska utrzymała swą amerykańską kolonię podczas wojny z Naczezami i innymi rdzennymi ludami Ameryki do 1763 roku, kiedy to mocą traktatu paryskiego terytoria na wschód od Missisipi przeszły w ręce Anglii, a te na zachód — Hiszpanii. W 1800 roku Francja na krótko odzyskała kontrolę nad kolonią, ale już trzy lata później Napoleon sprzedał Luizjanę prezydentowi Jeffersonowi za 15 milionów dolarów — cztery centy za akr za jednym zamachem dwukrotnie powiększając terytorium Stanów Zjednoczonych. Przy podpisywaniu

umowy Napoleon oznajmił, że „zakup tego terytorium potwierdza potęgę Stanów Zjednoczonych; ofiarowałem Anglii morskiego rywala, przed którym wcześniej czy później będzie musiała się ukorzyć”. Potomkowie owych pierwszych francuskich kolonistów, obecnie zwani potocznie Kreolami, choć różniący się od swych przodków religią, obyczajami, prawami, rządami i językiem, z pewnością czerpaliby z tego pewną pociechę.

PODZIĘKOWANIA

Mam duży dług wdzięczności wobec dawnych i współczesnych pisarzy, którzy starali się rzucić trochę światła na ten mało znany okres amerykańskiej historii. Jest ich zbyt wielu, by tu wymienić, ale chciałabym wyrazić szczególną wdzięczność Jayowi Higginbothamowi za jego niezwykłą historię Mobile: *Old Mobile: Fort Louis de la Louisiane 1702-1711*, bez której nie byłabym w stanie napisać tej książki. Bardzo pomocne mi były opisowe historie Luizjany pióra Charles'a Gayarre'a i Marcela Girauda, a także *Four Cents an Acre* George'a Oudarda i *Colonial Mobile* Petera J. Hamiltona. Bezcennym źródłem artykułów na wszelkie tematy związane z kolonialną historią regionu była gazeta „Louisiana History”.

Istotne szczegóły dotyczące tamtego okresu zaczerpnęłam z relacji współczesnych, zwłaszcza *Fleur de Lys* i *Calumnet*, dziennika pisanego przez luizjańskiego cieślę, wspaniale przetłumaczonego i wydane go przez Richebourga Gaillarda McWilliams oraz *History of Louisiana*, obserwacji Le Page'a Du Pratz, Francuza przybyłego do Luizjany w 1717 roku. Niezmiernie przydatne okazały się też dzienniki Sauvolego, pierwszego gubernatora Luizjany i Pierre'a d'Ibervillea, te drugie tłumaczone i wydane przez Carla A. Brasseaux. Dziękuję personelowi Williams Research Center w Nowym Orleanie za umożliwienie mi dostępu do tych i innych rzadkich tomów oraz do nieporównywalnej kolekcji map i druków z tamtego okresu.

Jeśli chodzi o szczegóły życia rdzennych Amerykanów w początkach XVIII wieku, nieocenioną pomocą były *Everyday Life of the North American Indian* Jona Manchipa White'a, *Indians Settlers & Slaves in a Frontier Exchange Economy* Daniela H. Usnera Jr. oraz wspaniała *A History of the Indians of the United States* Angie Debo, jak również *History of the Choctaw, Chickasaw and Natchez Indians* H.B. Cushmana, starannie wydana i opatrzona przypisami także przez Angie Debo. Co do historii Johna Lawa, trudno byłoby znaleźć bardziej wyczerpujące, a zarazem zajmujące źródło niż *The Moneymaker* autorstwa Janet Gle'eson.

Na koniec muszę podziękować Michelowi de Montaigne'owi, którego *Próby* — ponad pięćset lat po jego śmierci — nadal poruszają, inspirują i cieszą czytelników. Dziękuję z całego serca jemu i innym uczonym, których dzieła pochłaniałam. Na ich wiedzy i mądrości opiera się ta książka; wszelkie zaś ewentualne błędy są wyłącznie moje.